

Jilliane Hoffman

OSTATNI ŚWIADEK

*Aby dotrzeć do seryjnego mordercy,
musi uknuć spisek*



Świat Książki



Jilliane

Hoffman

OSTATNI ŚWIADEK

Z angielskiego przełożył *Andrzej Leszczyński*

Tytuł oryginału THE LAST FITNESS

Dla Richa, jedyne, który nadal nie ma wątpliwości.

I, oczywiście, dla Amandy oraz Katariny

Pamięci Hanka Hoffmana

Ciężkie dębowe drzwi sali rozpraw 4-8 po raz kolejny otworzyły się tak szeroko, że aż stuknęły o oparcie krzesła, na którym siedział sądowy strażnik, bezmyślnie obracając w palcach najniższy guzik służbowej zielonej wiatrówki. Do sali wszedł ubrany po cywilnemu detektyw i ruszył powoli środkowym przejściem, ciężko stawiając stopy na wytartej brązowej wykładzinie. Nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia podekscytowanych widzów, usiadł na miejscu dla świadków, znajdującym się na lewo od mahoniowego tronu sędziego Leopolda Chaskela.

Zastępca prokuratora stanowego z Miami, C.J. Townsend, poczuła, że zasycha jej w gardle. Raz i drugi poruszyła wargami, nie tylko po to, żeby przełknąć ślinę, lecz także w celu ukrycia swego podenerwowania przed obiektywami kamer i aparatów, sądowymi rysownikami oraz dziennikarzami, którzy nie spuszczaali jej z oka. Serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe. Nie mogła jednak stąd uciec, nie mogła nagle wstać od stołu i wyjść, bo to po prostu nie wchodziło w rachubę. Zmusiła się więc, żeby dalej patrzeć śmiało przed siebie. Do tej pory nawet nie spojrzała w bok, w kierunku stołu oskarżenia, za którym siedział

przystojny mężczyzna z teatralnie zbolalym wyrazem twarzy, ubrany w drogi włoski garnitur.

Wiedziała jednak, że i on ją uważnie obserwuje, ciekaw jej reakcji. Jakby specjalnie dla niej momentami rezygnował ze znudzonej miny i ledwie zauważalnie uśmiechał się ironicznie, cały czas niemal bezgłośnie przebierając palcami po stole.

– Czy oskarżenie jest gotowe zadawać świadkowi pytania? – odezwał się sędzia Chaskel, wyraźnie zaniepokojony, że ta sama sprawa znów zwałała mu się na głowę.

Przeprowadził niemal wzorcowy proces, zatem nie powinien od nowa rozpatrywać tych samych argumentów. A już na pewno nie z tego powodu.

– Tak, Wysoki Sądzie – odparła Rose Harris, przyjaciółka C.J. pracująca w tym samym wydziale zabójstw w Biurze Prokuratora Stanowego. Po chwili wstała z miejsca i zwróciła się do świadka: – Proszę podać do protokołu swoje imię, nazwisko i stopień.

– Agent specjalny Dominick Falconetti z Florydzkiego Wydziału do Zwalczenia Przestępczości.

– Od jak dawna pracuje pan w tym wydziale?

– Od piętnastu lat. Wcześniej przez cztery lata służyłem w policji nowojorskiej, na Bronksie.

– Agencie Falconetti, chciałabym się skoncentrować na wydarzeniach z roku dwutysięcznego. W tamtym okresie kierował pan dochodzeniem w sprawie stanu Floryda przeciwko Williamowi Rupertowi Bantlingowi. Zgadza się?

– Tak, proszę pani. W naszym wydziale powołano specjalny zespół dochodzeniowy zajmujący się tą sprawą, zwaną powszechnie jako sprawa Kupidyna. W jego skład wchodziłi oficerowie śledczy z różnych agencji stojących na straży porządku publicznego w południowej Florydzie. Zespół

utworzono jeszcze w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym w reakcji na całą serię porwań i brutalnych morderstw, do jakich doszło w Miami Beach. Sprawca otrzymał pseudonim Kupidyn ze względu na to, co robił z sercami swoich ofiar, stąd też wzięła się obiegowa nazwa sprawy. Byłem najstarszym stopniem detektywem oddelegowanym do zespołu przez Wydział do Zwalczania Przeszłości, dlatego stanąłem na jego czele.

Rose Harris wskazała mężczyznę siedzącego przy jej stole.

– Czy w wyniku tego dochodzenia dziewiętnastego września dwutysięcznego roku został aresztowany ten człowiek, William Rupert Bantling?

– Tak. – Dominick popatrzył we wskazanym kierunku i obrzucił szybkim spojrzeniem Bantlinga, który nerwowo skubał dolną wargę, wskutek czego sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał się rozpłakać. – Funkcjonariusze z Miami Beach aresztowali pana Bantlinga na autostradzie McArthura. W bagażniku jego samochodu odnaleziono zwłoki Anny Prado, kolejnej ofiary zabójcy.

– I jeszcze w tym samym roku pan Bantling stanął przed sądem oskarżony o popełnienie tego morderstwa?

– Tak.

– Kto kierował oskarżeniem w jego sprawie, agencie Falconetti? – zapytała nieco ostrzejszym tonem prokurator.

Dominick zawahał się na chwilę i spojrzał w kierunku C.J.

– Zastępca prokuratora stanowego, C.J. Townsend – odparł spokojnie – która wcześniej ponad rok pełniła funkcję doradcy prawnego specjalnego zespołu dochodzeniowego.

– I w czasie tego procesu nawiązał pan romans z panną Townsend, zgadza się?

– Tak – rzekł zakłopotany, spuszczać wzrok. – Nawiązała się między nami bliższa znajomość.

– Tymczasem proces zakończył się skazaniem pana Bantlinga, prawda?

– Tak. Oskarżony został skazany na karę śmierci.

Rose Harris przesunęła się w bok i stanęła za krzesłem Bantlinga. Położyła dłoń na jego ramieniu, on zaś dwornie skłonił lekko głowę.

– Jednakże odkrył pan, agencie Falconetti, że pan Bantling nie jest winny zarzucanych mu czynów, prawda?

– Tego nie mogę powiedzieć z całą pewnością. – Dominick poruszył się niespokojnie.

C.J. tylko poczuła na sobie jego wzrok, gdyż wciąż siłą woli kierowała spojrzenie prosto przed siebie. Pod stołem zaczęły jej się trząść kolana.

– Jednak ujawnił pan pewne fakty, agencje Falconetti, i zaczął powątpiewać w winę pana Bantlinga. Zgadza się? Nabrał pan podejrzeń, że oskarżony został wrobiony w to morderstwo?

– Można powiedzieć, że ujawnione przeze mnie fakty wzbudziły poważne wątpliwości co do kilku rzeczy.

– I nasunęły podejrzenia, że pan Bantling padł ofiarą spisku?

– Owszem, doszedłem do takiego wniosku – przyznał z ociąganiem Dominick głosem pełnym rezygnacji, ponownie spuściwszy głowę, jakby w końcu zaniechał daremnych prób nawiązania kontaktu wzrokowego.

– Zechce pan łaskawie przedstawić Wysokiemu Sądowi owe fakty, które nasunęły panu wątpliwości co do winy pana Bantlinga i zrodziły podejrzenia, że padł ofiarą spisku, jak utrzymywał od samego początku? – Rose Harris zaczynała się zachowywać jak wygłodniały pies, który zwęszył smakowitą kość. – Proszę zademonstrować odkryte przez pana dowody rzeczowe, które zostały zatajone w trakcie procesu, a które przekonały pana, że niewinny człowiek został oskarżony o popełnienie zbrodni i osadzony w celi śmierci.

Dominick ponuro skinął głową. Wyglądał na przybitego, jakby i jemu zbierało się na płacz. Sięgnął gdzieś pod barierkę odgradzającą miejsce dla świadków i podniósł czarny plastikowy worek na śmieci zaklejony czerwoną policyjną taśmą. Włożył gumowe rękawiczki, nożem o ząbkowanym ostrzu rozciął taśmę samoprzylepną i sięgnął w głąb worka długą laboratoryjną pęsetą. Wyłoniła się z niego gumowa maska szeroko uśmiechniętego klauna, trzymał ją pęsetą za puszysty kłaczek czerwonych włosów. Jej krwistoczerwone usta wygięte w uśmiechu, podskakując z wolna w górę i w dół, zaczęły się obracać na boki, od ławy przysięgłych w stronę stłoczonych fotografów i kamerzystów. Na widowni rozległ się głośny jęk.

C.J. nie mogła tego dłużej wytrzymać. Zerwała się z miejsca i wrzasnęła:

– On wcale nie jest niewinny! Wręcz przeciwnie! Winny!

– Spokój! Panno Townsend! Jako wytrawny prawnik powinna pani dobrze wiedzieć, jak należy się zachowywać na sali rozpraw. Sędziowie przysięgli zechcą zlekceważyć ten wyskok – rzekł ostro sędzia Chaskel.

C.J. usiadła z powrotem i ukryła twarz w dłoniach. Wciąż czuła na sobie uważne spojrzenie mężczyzny siedzącego przy drugim stole, domyślała się jego triumfalnego uśmiechu. Miała wrażenie, że on pragnie tylko zacisnąć palce na trzonku piłkowanego noża Dominicka, żeby jego ostrzem uczynić kilka dalszych ran na jej ciele. Może jeszcze wypożyczyć swoją maskę na godzinę albo dwie.

– Znalazłem to w szafie panny Townsend, upchnięte w kartonowym pudle z kilkoma starymi raportami policji z Miami Beach – powiedział Dominick.

Rose Harris odczekała, aż na widowni ucichną pomruki dezaprobaty, po czym rzekła:

– Agencie Falconetti, czy panna Townsend jest dzisiaj obecna na tej sali?

– Tak.

– Proszę nam ją wskazać dla formalności.

Dominick podniósł głowę. W lewym ręku trzymał maskę klauna, która wciąż delikatnie podrygiwała. Prawą wskazał drugi koniec środkowej części sali, gdzie przy stole obrony siedziała C.J. Zaszumiały kamery, nasiliło się pstrykanie migawek aparatów fotograficznych.

– Jest tam, siedzi przy stole.

Rose posępnie skinęła głową.

– Proszę o odnotowanie w protokole, że agent Falconetti poprawnie zidentyfikował pozwaną C.J. Townsend.

C.J. obudziła się i gwałtownie usiadła w łóżku z twarzą zalaną potem i łzami. Cisza wypełniająca pogrążony w ciemności pokój zdawała się huczeć jej pod czaszką. Przycisnęła dłonie do piersi, chcąc uspokoić serce bijące jak oszalałe. Budzik stojący na bieliźniarce wskazywał 4.07 w nocy. Ostrożnie wyciągnęła rękę i wymacała leżącego obok Dominicka.

Jego ciepłe nagie ramię powoli unosiło się i opadało w rytm powolnego oddechu śpiącego człowieka.

Już dobrze. Wszystko w porządku. Wszystko musi być w porządku. To tylko senny koszmar. Tylko mi się przyśniło... – powtarzała w myślach, rozglądając się na boki i próbując przeniknąć wzrokiem ciemności.

Nagle, jak gdyby pobudzony jej spojrzeniem do życia, zaświergotał przywoływacz leżący na nocnym stoliku przy łóżku.

I to był dopiero rzeczywisty początek prawdziwego koszmaru.

– Pieprz się, ty zasrana, pierdolona świnió! – wrzasnęła gruba dziwka.

Rękę tuż nad łokciem wciąż miała przewiazaną gumowym wężym po ostatnim zastrzyku, jego długie końce zatrzepotały w powietrzu, gdy z wściekłością zaczęła gwałtownie gestykulować.

– Czyż to nie piękne? I tą ordynarną gębą masz odwagę całować własną matkę? –

Detektyw Victor Chavez był w kiepskim nastroju. Zdecydował się już odstąpić od aresztowania i puścić dziewczynę wolno, a tymczasem ona postanowiła mu za to nawymyślać. W takich chwilach po prostu nienawidził swojej roboty. – I tak musisz się natychmiast stąd wynieść.

– To nie w porządku. Próbowałam tylko zarobić parę groszy. Zrobić panu loda, panie władzo? Za dwadzieścia dolców. Rozluźni się pan trochę – mruknęła przymilnie.

– Liczę do dziesięciu. Jeśli w tym czasie nie znikniesz mi z oczu, wpakuję cię na całą noc do więzienia okręgowego.

Nie miał najmniejszej ochoty psuć sobie tego przyjemnego wieczoru wizytą w więzieniu okręgu Dade i marnować dwóch godzin w tej śmierdzącej norze na wypełnianie papierków dla kogoś, kto i tak z samego rana zostanie zwolniony przez pierwszego lepszego rozdrażnionego i zawalonego robotą sędziego.

– Nie chcę iść do więzienia, mistrzuniu – wymamrotała, spoglądając na niego spod przymrużonych powiek.

Chwilę później nogi się pod nią ugięły i runęła jak długa na jezdnię prawie tuż pod koła nadjeżdżającego forda mustanga. Rozległ się pisk hamulców i ryk klaksonu, kierowca rzucił kilka niecenzuralnych słów.

– Pocałuj mnie w dupę! – wrzasnęła dziewczyna za samochodem.

Podniosła się szybko, odeszła chwiejnym krokiem i zniknęła za rogiem.

Chavez spoglądał jeszcze za nią, kiedy zatrzeszczało w głośniczku krótkofalówki, którą miał przymocowaną do pasa na ramieniu.

– Alfa osiemset szesnaście. Trzydzieści osiem, trzydzieści pięć z nożem w zaułku na północny wschód od rogu Siedemdziesiątej Dziewiątej i Biarritz Drive, na tyłach Atlantic Cable Company. Biały mężczyzna koło pięćdziesiątki, z siwą brodą. Mieszkańcy skarżą się na zakłócenie porządku.

Trzydzieści osiem oznaczało podejrzanego typka, a trzydzieści pięć pijanego. W

wyniku prostego równania trzeźwy i politycznie poprawny gliniarz miał ruszyć w pościg za wstawionym bezdomnym awanturnikiem. To było wezwanie najgorsze z możliwych, ale ponieważ

zostało skierowane imiennie do niego, Victor Chavez musiał je przyjąć.

Rzygać mu się chciało na myśl o bagnie, w jakim ostatnio pracował. Musiał ścigać po ulicach prostytutki, zbieraczy złomu i żebraków zaganiać z powrotem do ich nor, bezdomnych przesadzać na inne parkowe ławki. A kiedy się z tym uporał, mógł dodatkowo liczyć na zadanie odciążenia męża od skatowanej i zakrwawionej żony, ewentualnie na interwencję przy wypadku drogowym spowodowanym przez jakiegoś wymuskanego idiotę, który za szybko próbował wrócić do domu z Miami Beach. Spojrzał na zegarek. Była dopiero pierwsza w nocy, minęły tylko dwie godziny od rozpoczęcia służby.

Nie cierpiał nocnych zmian. Nienawidził stałego nadzoru przełożonych z komendy miejskiej w Miami Beach, którzy usiłowali kontrolować niemal każdą minutę dziesięciogodzinnej służby. Nie znosił patroli w obskurnych dzielnicach, podczas których włóczędzy obsikiwali tylne siedzenie jego auta. Dlatego stale się zastanawiał, kiedy jego pokuta dobiegnie wreszcie końca i rachunki z sierżantem zostaną uregulowane.

Bo od sprawy Kupidyna pełnił służbę tylko po nocach, nie zaliczano mu żadnych nadgodzin, a urlop dostawał ostatni. Kiedy wreszcie to się skończy? Był już u kresu wytrzymałości, gonił resztkami sił. Zamierzał w przyszłym tygodniu szczerze rozmówić się z sierżantem Ribero i zażądać traktowania na równi z innymi, wciągnięcia do normalnego grafiku patroli. Miał absolutnie dość ciągłego użerania się z bezdomnymi i dyskusji z dziwkami. Przecież nie po to przed czterema laty wstępował do służby w policji. W

ostateczności mógł się przenieść do Hialeah, gdzie w policji pracował jego brat. Tam na pewno dostałby lepszy przydział i po pewnym czasie awansował na detektywa. Trzeba było zapomnieć o urokach Miami Beach, które w tej sytuacji i tak nie miało dla niego żadnego uroku.

Wcisnął guzik nadawania krótkofalówki i rzekł do mikrofonu:

– Tu Alfa osiemset szesnaście. Przyjąłem. Odjeżdżam z rogu Dwudziestej i Collinsa.

Przemknęło mu przez myśl, że zamiast mówić „przyjąłem”, powinien odpowiedzieć:

„Biorę na siebie to gówno, które spływa na sam dół”.

Miał dość. Po dziurki w nosie. Przecież w gruncie rzeczy wcale nie spieprzył sprawy Kupidyna. Zatrzymał na autostradzie McArthura sukinsyna pędzącego ze zwłokami dziewczyny w bagażniku samochodu, już jedenastej dziewczyny zarżniętej i wypatroszonej przez tego psychola. Ale w oczach sierżanta i tej nadętej suki z prokuratury okaleczone zwłoki w bagażniku wcale się nie liczyły, bo zatrzymanie przeprowadził „niewłaściwie”.

Tylko z tego powodu już przez trzy lata próbował naprawić swój błąd. Ale miarka się przebrała.

Chavez wsiadł do wozu patrolowego, zadowolony, że podjął wreszcie stanowczą decyzję. Pocieszał się myślą, że może już za miesiąc znów będzie mówił z dumą o swojej służbie. Niech się dzieje, co chce, ale tak dłużej być nie może. Uruchomił silnik, włączył

koguta i pojechał na róg Siedemdziesiątej Dziewiątej i Biarritz, żeby wyciągnąć z zaułka jakiegoś biedaka, który pewnie uważał go za swój dom.

Mężczyzna ukryty w głębokim cieniu nie mógł tego widzieć, był jednak przeświadczony, że jeśli dobrze wyteży słuch, wyłowi odgłosy zabawy trwającej przy Ocean Drive, zaledwie parę kilometrów od niego – stłumiony gwar setek głosów rozchodzący się w parnym gorącym powietrzu, brzęk sztućców i naczyń w ogródkach przed restauracjami, rytmiczne basowe dudnienie muzyki rozbrzmiewającej w dziesiątkach barów i klubów oraz denerwujące wycie silników rozmaitych porsche, mercedesów i bentleyów krążących po Ocean Drive i Washington Avenue w bezskutecznym w ten piątkowy wieczór poszukiwaniu miejsca do zaparkowania.

Nawet jeśli czegoś nie widać, nie oznacza to jeszcze, że niczego tam nie ma.

O tej porze Miami Beach tętniło życiem, bogaci i sławni – ale i mniej bogaci i mniej sławni – przyjeżdżali tu, żeby się zabawić. No i, rzecz jasna, pokazać. Śliczne dziewczęta obnosiły się ze swoimi silikonowymi biustami, ubrane w obcisłe i bardzo krótkie spódniczki odsłaniające wspaniałą opaleniznę, oczywiście bez śladu tych obrzydliwie białych, nieopalonych miejsc. Piękni chłopcy prezentowali swoje rzeźbione w siłowniach ciała obciążone lycrą, węzową skórą czy spandeksem. Wszyscy bratali się ze sobą, popijając cosmopolitana, czekoladowe martini bądź też tanie tropikalne koktajle w rodzaju mojito. Z

daleka dało się wyczuć silne napięcie seksualne, które wprost wisiało w powietrzu.

Zamknął na chwilę oczy, wyteżając słuch.

Zaledwie parę kilometrów od tych wszystkich przejawów dekadencji on musiał tkwić w swojej nędznej norze i patrzeć na uliczkę zawaloną śmieciami, usłaną puszkami i butelkami po piwie, zużytymi prezerwatywami i opakowaniami po żarciu z barów szybkiej obsługi.

Chuligani już przed laty wytłukli większość latarń, a władze miasta nie kwapiły się z ich naprawą, bo tu przecież nie zaglądali turyści zasilający pieniędzmi miejską kasę. Uliczka stała się oazą pijaczków i narkomanów. Teraz jednak nie było w niej żywej duszy. Patrol gliniarzy z Miami Beach zdążył już ją odwiedzić i przepędzić włóczęgów i awanturników.

Ale nawet jeśli ich nie widać, nie oznacza to jeszcze, że ich tu nie ma.

Usłyszał odgłosy dużo wcześniej, niż zobaczył samochód – zgrzyt pokruszonego cementu, odłamków szkła i śmieci pod kołami; ciche mruczenie silnika i stuk zamykanych drzwi; trzaski krótkofalówki i głośnie stapanie ciężkich butów. W wąskim zaułku między murami nieczynnych fabryk te odgłosy rozbrzmiewały donośnym echem, które wydawało się głośniejsze od nich samych. Kroki stopniowo ucichły w oddali, gdy przyjezdny ruszył w przeciwnym kierunku, lekceważąc mroczny koniec zaułka.

Serce zaczęło mu walić z podniecenia. Zaczerpnął głęboko powietrza przesyconego nocnymi zapachami, a gdy zwiększona dawka tlenu przedostała się z płuc do krwi, jego puls jeszcze przyspieszył, pobudzając umysł do wyteżonej pracy. Odczekał cierpliwie, aż kroki całkiem umilkną, po czym wyłonił się z cienia. Ostrożnie podszedł do samochodu, uważnie stawiając stopy między pordzewiałymi puszkami po piwie i potłuczonymi butelkami. Pod połą kurtki przeciągnął dłonią w

gumowej rękawiczce po ostrzu noża i uśmiechnął się lekko.

Elektryzujące niebieskie i czerwone rozbłyski migacza wozu policyjnego tańczyły po murach w hipnotycznym rytmie.

Nadeszła pora łowów.

– Zgłasza się Alfa osiemset szesnaście – rzekł Victor do mikrofonu krótkofalówki na ramieniu, rozglądając się z odrazą po zaśmieconym zaułku. – Jestem przy rogu Siedemdziesiątej Dziewiątej i Biarritz w odpowiedzi na trzydzieści osiem, ale nikogo tu nie ma.

– Alfa osiemset szesnaście. Chodziło o zaułek na tyłach Atlantic Cable Company, przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Northeast i Biarritz Drive. Zgłoszono obecność białego mężczyzny z nożem i zażądano interwencji patrolu.

Chrapliwy głos dyspozytora dobiegający z głośniczka niósł się po całym zaułku, ale gdy szum połączenia nagle ucichł, kiedy Victor wcisnął klawisz nadawania, uzmysłowił sobie nagle, że jest całkiem sam na tym odludziu.

– Tu Alfa osiemset szesnaście – rzekł. – Powtarzam, nikogo tu nie ma. Sprawdziłem także parking przy ulicy i oba sąsiednie budynki, ale wszędzie panuje spokój. Nie dostrzegłem niczego podejrzanego.

– Rozumiem, Alfa osiemset szesnaście. Czekać na rozkazy.

– Alfa osiemset szesnaście. Przyjąłem. Będę na dwunastce.

Minęło wpół do drugiej w nocy, a dwanaście oznaczało, że robi sobie przerwę na posiłek. Marzył o grubym, soczystym hamburgerze, który z pewnością pomógłby mu przetrwać resztę tej gównianej nocy w jako takiej formie. Nazajutrz miał wolne, zamierzał

spędzić kilka dodatkowych godzin na siłowni.

– Alfa osiemset szesnaście, wpisuję cię na dwunastkę do... wpół do trzeciej –

odpowiedział dyspozytor.

Radio umilkło na dobre i znów poczuł się osamotniony. Ruszył z powrotem do samochodu, zastanawiając się, czy nie pojechać do SoBe i nie wpaść do baru The Diner na rogu Jedenastej i Washington Avenue. Jedząc kanapkę, mógłby pooglądać zgrabne cycaste samiczki, które wysiadały z limuzyn przed sąsiednim klubem Mynt ubrane w cętkowane, krótkie zakieciki i skórzane minispódniczki.

Otworzył drzwi i zajął miejsce za kierownicą. Specjalnie zostawił włączony silnik, kiedy sprawdzał zaułek, żeby działająca klimatyzacja utrzymała w środku przyjemny chłód.

Był już listopad, lecz wciąż utrzymywały się temperatury w okolicach trzydziestu stopni, a wilgotność powietrza nie spadała poniżej dziewięćdziesięciu procent. W takich warunkach nawet przystosowani do parnego klimatu Kubańczycy tęsknili za orzeźwiająjącym chłodem.

We wrześniu Jordan, szef komendy miejskiej z Miami Beach, wydał polecenie zainstalowania we

wszystkich wozach patrolowych nowoczesnych laptopów, co miało świadczyć, że policja dostosowuje się do wymogów współczesności, chociaż koledzy z florydzkiej drogówki i patrol z komendy okręgu Miami-Dade dysponowały takimi komputerami już od dwóch lat. Miało to przyspieszyć wiele działań, na przykład sprawdzanie rejestru mandatów, kontrolę praw jazdy, przeszukiwanie spisów osób poszukiwanych, sporządzanie raportów, czy choćby usprawnić łączność z analogicznymi służbami z innych stanów bądź agencjami federalnymi. Rzeczywiście, komputery ułatwiły dostęp do baz danych, umożliwiły kontakt pocztą elektroniczną, a poprzez stałą łączność z Internetem udostępniły nawet szeregowym funkcjonariuszom wgląd do rejestrów kryminalnych wymiaru sprawiedliwości. Niemniej, przynajmniej w opinii Victora, umożliwiały dostęp do zbyt wielu informacji, toteż kiedy ktoś tak jak on spieprzył sprawę i coś tam przeoczył, stanowiły doskonałą wymówkę dla beztronski przełożonych, którzy mogli się teraz tłumaczyć, że czegoś nie dopatrzeli ze względu na brak wprawy w posługiwaniu się nowoczesną techniką.

Wcisnął klawisz pod monitorem, chcąc napisać kolejny nikomu niepotrzebny raport o tym, czego nie znalazł w zaułku. Na ekranie pojawiła się dobrze znana plansza z odznaką policji miejskiej z Miami Beach, lecz chwilę później zastąpił ją biały ekran z napisem utworzonym wielkimi literami, aż poświata bijąca od monitora wypełniła całe wnętrze radiowozu. Victor wbił w niego zdumiony wzrok. Dopiero po paru sekundach wszystko stało się dla niego jasne, ale wtedy już było za późno.

CZEŚĆ, VICTOR. OBEJRZYJ SIĘ.

W białym blasku monitora komputerowego gruby kark Chaveza o oliwkowej skórze, pokrytej krótko przystrzyżonymi włoskami, był wręcz idealnym celem. Pleksiglasowa płyta oddzielająca przednie fotele od tylnego siedzenia bezszelestnie stanęła na podłodze radiowozu, a ponad nią wysunęła się dłoń w gumowej rękawiczce. Gliniarz przez kilka sekund gapił się jak urzeczony na ekran laptopa, jakby zębatki w jego tępym łbie były źle naoliwione. Ręka intruza niczym boa dusiciel wyciągnęła się, powoli sięgnęła pod brodę, po czym gwałtownie zacisnęła się na gardle i błyskawicznie szarpnęła głowę Victora do tyłu, nim ten zdążył oderwać wzrok od ekranu komputera, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jest się na co oglądać.

Chavez, pociągnięty z całej siły do tyłu, wyprężył się, przygwożdżony do oparcia fotela, i zadarł głowę, aż oparła się o krawędź opuszczonej pleksiglasowej płyty. Ostrze noża przecięło mundur na karku, ale nie zagłębiło się w ciele, tylko przyszpiliło materiał koszuli do winylowego poszycia fotela, unieruchamiając Chaveza w niewygodnej pozycji. Mimo woli zapatrzył się na podsufitkę i osłonę lampki pod dachem auta, choć zdawał sobie sprawę, że ma odsłonięte gardło. Zaczął się szarpać i wierzgać, a po chwili odruchowo sięgnął do kabury na prawym boku, ale mężczyzna siedzący z tyłu przewidział to wcześniej. Jeszcze sięgając lewą ręką do gardła policjanta, prawą szybko wyciągnął ciężkiego sig-sauera P-226. W ciągu sekundy rozbroił swoją ofiarę, toteż Chavez mógł tylko bezradnie pomacać pustą kaburę, jednocześnie lewą ręką bezskutecznie próbując się uwolnić z morderczego uścisku. Mocniej wierzgnął nogami. Zatrąbił klakson, gdy trafił kolaniem w środkową część kierownicy, a laptop spadł z podstawki i zsunął się na podłogę pod prawym siedzeniem. Miał nadzieję, że jakimś cudem uda mu się uwolnić, ale było to niemożliwe z głową odchyloną daleko do tyłu i koszulą przyszpiloną nożem do oparcia fotela.

Nagle poczuł na prawej skroni dotyk zimnej lufy swojego sig-sauera, a równocześnie dłoń w gumowej rękawiczce nieco zwolniła ucisk na gardle.

– Ciii... – szepnął napastnik.

Pistolet przystawiony do głowy spowodował, że Victor się uspokoił. W samochodzie zapadła nagle cisza przerywana tylko ciężkim sapaniem, tak napięta, że niemal było słychać myśli tłukące się jak oszalałe w jego głowie.

– Nie dasz rady. Rozwałę ci łeb, zanim zdążysz unieść nogę na wysokość siedzenia.

Napastnik wiedział zatem o niespodziance, którą Victor miał przymocowaną nad kostką lewej nogi. Gwałtownie spojrział w lewo i prawo, ale nie mógł dojrzeć twarzy człowieka siedzącego z tyłu radiowozu.

Z głośnika krótkofalówki na jego ramieniu doleciał trzask.

– Alfa dziewięćset dwanaście, Alfa czterysta pięćdziesiąt dziewięć. Collins tysiąc trzysta dwadzieścia, za Czterdziestą pierwszą. Możliwe trzysta trzydzieści dwa. Czarny mężczyzna na

poboczu, nie reaguje. Ekipa ratunkowa już w drodze.

Przez radio popłynęły krzyżujące się meldunki wywoływanych patroli. Wozy policyjne ruszały przez Miami Beach w kierunku miejsca zdarzenia. Victorowi przemknęło przez myśl, że ma pecha, bo nie będzie w tym uczestniczył.

– Czego... chcesz?... – wychrypiał łamiącym się głosem, nieświadomie dając napastnikowi do zrozumienia, że jest bliski łez.

– Jeszcze nie płacz, Victorze. Najpierw musimy porozmawiać.

Mężczyzna na tylnym siedzeniu wyciągnął spod kurtki drugi nóż. Ten był do celów specjalnych. Przytknął ostrze do lewej skroni gliniarza, tak by ten mógł je widzieć.

Oczy Chaveza rozszerzyły się ze strachu. Poczł nagle ciepłą wilgoć w kroku spodni i bezradnie wyprężył nogi, zapierając się nimi o podłogę auta.

– W porządku, Victorze – powiedział z uśmiechem napastnik. – A teraz otwórz się przede mną.

Świergot przywoływacza podziałął na nią jak kubeł zimnej wody. Pospiesznie sięgnęła na nocny stolik, wymacała po ciemku przywoływacz.

– To ty? – mruknął zaspanym głosem Dominick. Obrócił się do niej i wciąż nie otwierając oczu, objął ją w pasie.

– Przepraszam, że cię obudziłam. Już jest wyłączony – szepnęła C.J.

– Nie wiedziałem, że masz dyżur w tym tygodniu – wymamrotał, próbując mocniej ją przytulić.

Odsunęła jednak jego rękę, spuściła nogi z łóżka i odgarnęła z twarzy zwilgotniałe włosy. Senny koszmar sprawił, że aż się spociła. Woląta nie zdradzać, że znów ją zaczynają dręczyć złe sny.

– Owszem. Dostałam nadzwyczajną premię.

Dyżury pod telefonem, jak je powszechnie nazywano, stanowiły nieodłączny element jej pracy po godzinach służbowych, polegający na udzielaniu policjantom rad w sprawach formułowania zarzutów, prowadzenia rewizji, warunków uzyskiwania sądowych nakazów czy dokonywania aresztowań. Jerry Tigler, prokurator stanowy, szczególnie troszczył się o to, by policja o każdej porze dnia i nocy miała zapewniony kontakt z jego podwładnymi, zwłaszcza że w przeciwieństwie do biur prokuratorów okręgowych w innych miastach, gdzie lokalni prawnicy dyżurowali przez całą dobę, w Miami większość instytucji prawnych o piątej po południu zamykała na głucho swe podwoje. Podzielił zatem stołeczny okręg na dwie strefy, północną i południową, a w każdej z nich jeden z dwustu czterdziestu prokuratorów z biura stanowego musiał pełnić nocne dyżury pod telefonem przez cały tydzień po kilka razy w ciągu roku.

Obowiązek ten spadał głównie na prawników z poziomów A, B i C, a więc pracujących w sekcjach oskarżycielskich wydziałów do spraw przestępstw pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia, którzy najczęściej musieli odpowiadać na pytania w rodzaju: *Czy potrzebny mi nakaz rewizji w domu podejrzanego, gdy jego żona wpuściła nas do środka i zgodziła się na przeszukanie? Czy muszę informować rodziców, że chcę przesłuchać ich nieletniego syna w sprawie rabunku, jakiego moim zdaniem dopuścił się w ubiegłym roku?*

Czy mam prawo przeszukać samochód zatrzymanego, jeśli nabrałem podejrzeń, że trzyma rewolwer ukryty pod siedzeniem? Większość pytań dotyczyła kwestii zasadniczych, ale zdarzały się też bardziej skomplikowane. Najgorsze były sytuacje, gdy gliniarze przytaczali długą i zawiłą relację z dokonanych przez siebie odkryć, chcąc się dowiedzieć od wyrwanych ze snu prokuratorów, czy zebrany materiał dowodowy jest wystarczający do aresztowania podejrzanego. Były to zarazem pytania podchwytliwe, gdyż ocena niejednokrotnie dwuznacznych i mało przekonujących faktów mających być podstawą aresztowania należała do obowiązków policjantów, a nie prokuratorów. To oni na miejscu musieli rozstrzygnąć, czy zebrane dowody są dość przekonujące i świadczące o winie podejrzanego, by można go było aresztować. Tymczasem wielu gliniarzy pod wpływem chwili mylnie interpretowało pewne spostrzeżenia, byle tylko pasowały do założenia, które z góry przyjęli. Zdarzało się też, że niektórzy celowo pomijali milczeniem fakty niepasujące do ich hipotezy.

Od strony formalnej prokurator wkraczał na scenę już po aresztowaniu podejrzanego, by postawić mu konkretne zarzuty. Aby więc uwolnić stróżów prawa od ciągłego lęku przed możliwością ponoszenia konsekwencji prawnych swoich poczynań, władze legislacyjne Florydy uchwałyły przepisy zapewniające pewien immunitet operacyjny, zarówno policjantom prowadzącym dochodzenia, jak i pracownikom biur prokuratorskich formułującym oskarżenia. Niemniej jednak, zakresy ich działania w żadnej mierze się nie pokrywały, toteż zarządzenie Tiglera często zmuszało prokuratorów do przekraczania tej cienkiej granicy i udzielania gliniarzom o trzeciej nad ranem porad w sprawach wykraczających poza ich kompetencje.

Szczególnie odrażającymi przestępstwami zajmowali się prokuratorzy wydziałów specjalnych, z którymi łączność zapewniały specjalnie do tego celu wydzielone numery przywoływaczy. I tak w sprawach gwałtów należało się kontaktować z pracownikami Wydziału Przestępstw na Tle Seksualnym, w sprawach przemocy w rodzinie z prokuratorami z Wydziału do Walki z Przemocą w Rodzinie, w sprawach dotyczących narkotyków z prokuratorami z Wydziału do Walki z Narkotykami, w sprawach poważnych defraudacji z pracownikami Wydziału Przestępstw Gospodarczych, natomiast zabójstwami zajmowali się na zmianę kierownicy biur okręgowych i prokuratorzy z Wydziału Zabójstw. Z kolei sprawami z czołówek gazet – przestępstwami rozmaitych O.J. Simpsonów, wiecznie występujących w białych rękawiczkach, a więc przypadkami oczywistymi nawet dla prawniczych żółtodziobów zaraz po dyplomie, wprowadzającymi jednak straszliwy zamęt w codzienne życie – zajmowali się wyłącznie doświadczeni prokuratorzy z Wydziału Zabójstw.

Dziesięciu adwokatów, którzy w nim pracowali, było stosunkowo mało obłożonych pracą w porównaniu z kolegami z innych wydziałów i biur okręgowych. Ale zajmowali się najgłośniejszymi sprawami morderstw, zazwyczaj brutalnych i odrażających, których rozwikłanie przysparzało liczne problemy. Niemal wszystkim oskarżonym groziła kara śmierci, czy to na krześle elektrycznym, czy przez wstrzyknięcie trucizny. C.J. pracowała w Biurze Prokuratora Stanowego już dwanaście lat, z czego siedem właśnie w Wydziale Zabójstw.

Chyba nie zdarzyło się jeszcze, by o trzeciej nad ranem ktoś niepokoił dyżurującego prokuratora pytaniami dotyczącymi sprawy o defraudację. Jednakże do zabójstw dochodziło wystarczająco często, by móc się oswoić ze świergotem przywoływacza, który wyrwał

człowieka ze snu. A według innego zarządzenia Jerry’ego Tiglera prawnicy mieli obowiązek reagować na takie wezwania osobistymi wizytami na miejscu zbrodni. Elektroniczny sygnał

oznaczał zatem, że trzeba wstać z łóżka, ubrać się i wyjść z domu. Jako pracownik Wydziału Zabójstw C.J. pełniła dyżur pod telefonem średnio przez tydzień na dwa miesiące, ale jako kierowniczką tego wydziału musiała być powiadamiana o każdym użyciu broni przez policję czy też w ulicznej strzelaninie. To już nie była nadzwyczajna premia, ale szczególny dodatek funkcyjny. Nic więc dziwnego, że zerwana z łóżka o czwartej nad ranem wracała myślami do swoich planów przeniesienia się do Wydziału Przestępstw Gospodarczych.

– Lepiej ułóż się wygodnie i naciągnij kołdrę na głowę – powiedziała, sięgając do kontaktu, żeby zapalić światło.

Dominick wydał z siebie nieartykułowany pomruk i wetknął głowę pod poduszkę.

Kiedy wybierała numer, zapytał:

– Jaki masz dyżur? Tylko wydziałowy?

– W tym tygodniu oba – odparła, podnosząc słuchawkę do ucha. – Spróbuj jeszcze zasnąć. Pewnie i tak będę musiała jechać na miejsce zbrodni.

Na linii coś głośno pstryknęło i odezwał się męski głos:

– Słucham, Nicholsby.

Od razu rozpoznała detektywa z Wydziału Zabójstw w Miami Beach.

– Prokurator C.J. Townsend. Właśnie odebrałam wezwanie...

– Ach, tak, panno Townsend. Dowiedziałem się od dyspozytora, że pełni pani dzisiaj dyżur. Jest pani z Wydziału Zabójstw, zgadza się?

W głosie detektywa można było wyczuć szczególną nerwowość, mimo że dla niego odkrycie na mieście zwłok w środku nocy nie powinno być niczym nadzwyczajnym. C.J.

zdążyła się już przekonać, jak mało potrafi wyprowadzić śledczych z równowagi. Prawdę powiedziawszy, nawet lubili dowcipkować na temat prowadzonych spraw, kiedy omawiali makabryczne szczegóły w biurze prokuratora czy w barze podczas lunchu.

– Tak, zgadza się, detektywie – odparła. – Pełnię dyżur w sprawach zabójstw i przypadków użycia broni przez policję. Co tam się zdarzyło? Morderstwo czy strzelanina?

– Morderstwo – rzekł z ociąganiem. – Ale to sprawa wykraczająca poza zwykłe ramy.

– Wielokrotne zabójstwo?

– Nie. Jest tylko jedna ofiara, za to... no cóż, w okropnym stanie. – W tle rozległo się przybierające na sile wycie syren nadjeżdżających wozów patrolowych. Wyglądało na to, że na miejsce zjechało się mnóstwo policji. Usłyszała też, jak Nicholsby zaciąga się głęboko papierosem. Po chwili wyjaśnił: – Mamy tu zabitego policjanta, panno Townsend. W dodatku zmasakrowanego.

– Cholera – syknęła, palcami lewej ręki rozmasowując sobie skroń, jakby przed czasem chciała się uwolnić od bólu głowy, który musiał ją wkrótce dopaść. Położyła dłoń na ramieniu Dominicka i szepnęła: – Muszę jechać, kochanie.

Po tonie jej głosu Falconetti natychmiast się zorientował, że odebrała złe wieści.

Ściągnął poduszkę z głowy i zapytał:

– O co chodzi? Co się stało?

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Lekko przetykane siwizną ciemnoblonde włosy miał zmierzwiłone i zabawnie mrużył swoje piwne oczy od jaskrawego światła.

Pokręciła głową i odparła cicho:

– To gliniarz.

– Była strzelanina? Gdzie? W którym rewirze?

– Nie było strzelaniny. – Westchnęła ciężko. Dobrze wiedziała, jak podziała na niego ta wiadomość. Wszyscy policjanci bardzo źle znosili śmierć kogoś ze swoich szeregów.

Reagowali tak, jakby stracili bliską osobę, nawet jeśli zabity był dla nich kimś zupełnie obcym. – Doszło do zabójstwa, Dom. Na służbie. Przykro mi. Na razie wiem tylko tyle. Nie znam nawet nazwiska zabitego.

Dominick usiadł w łóżku.

– Jasna cholera. Zginął gliniarz? Jak? Gdzie?

– Dzwonił Nicholsby z Miami Beach – wyjaśniła, podchodząc do szafy. – Nic więcej nie powiedział, tylko tyle, że znaleźli trupa. – Pospiesznie narzuciła jedwabną kremową bluzkę i zapinając ją jedną ręką, ściągnęła z wieszaka beżowe spodnie.

Dominick potarł zaspane oczy i przeciągnął dłońmi po włosach.

– Pojadę z tobą. Tylko się ubiorę – rzucił.

Jeszcze przez chwilę patrzył na nią, ale zaraz wyskoczył spod kołdry, wciągnął

spodnie i usiadł na ławeczce, żeby włożyć buty.

– Po co miałbyś ze mną jechać? Przecież na miejscu są detektywi z Miami Beach.

Zajmą się wszystkim.

– Sprawa zabitego gliniarza i tak pewnie trafi do nas. Poza tym dochodzi czwarta nad ranem i nie puszcze cię samej w jakiś odludny zakątek przy plaży. – Urwał na krótko, po czym dodał: – Po prostu nie chcę, żebyś jechała sama w środku nocy.

Przerwała zapinanie butów, podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

– Dzięki za troskę, ale nie potrzebuję obstawy, mój ty obrońco. Dam sobie radę. W

końcu na tym odludnym zakątku przy plaży kręci się zapewne ze stu mundurowych gotowych w każdej chwili sięgnąć po broń. Sądząc po odgłosach, zjechały się tam wszystkie patrole z okolicy. Lepiej wracaj do łóżka. Może ta sprawa wcale do was nie trafi i będziesz mógł

zakończyć dziś służbę jak zwykle po ośmiu godzinach.

Poszła do łazienki, żeby wymyć zęby.

Dobrze wiedział, że nie ma się co z nią spierać. C.J. była kobietą niezależną i upartą. I choć przeszła w życiu wystarczająco dużo, by stronić od samotności o czwartej nad ranem, poczucie obowiązku brało w niej górę nad wszelkimi obawami. Byli ze sobą już od trzech lat i stwierdzał ze zdumieniem, że sprawiała wrażenie o wiele silniejszej psychicznie niż wtedy, gdy się poznali. W swojej policyjnej karierze widział mnóstwo ofiar, które nie potrafiły się uwolnić od brzemienia traumatycznych przeżyć i żyły w ciągłym strachu, niepozwalającym im nawet otworzyć drzwi domu, stroniły od ludzi i padały na podłogę, nawet jeśli za oknem strzelił tylko uruchamiany silnik starego gruchota. C.J. nie zaliczała się do nich. Można by odnieść wrażenie, że każdego dnia od nowa próbowała zwalczyć strach, gdyż nie tylko wychodziła na ulicę, ale jeszcze podejmowała się zadań, w których musiała mieć kontakt z najgorszymi wyrzutkami społeczeństwa, jakby specjalnie pragnęła mieć do czynienia z ludzkimi tragediami. Była jak spadochroniarz, który przeżył tragiczny wypadek i cudem uszedł z życiem, gdy nie otworzył mu się spadochron, lecz zamiast porzucić ryzykowny sport, zaczął skakać z coraz większych wysokości.

– Zabity gliniarz? Matko Boska. Tam musi być istny cyrk. I Nicholsby nie powiedział

nawet, kto zginął i w jaki sposób?

– Nie. W ogóle nie ujawnił żadnych szczegółów. Sprawiał jednak wrażenie bardzo podenerwowanego, więc chyba powinnam się pośpieszyć.

Kiedy wyszła z łazienki, leżał już z powrotem w łóżku. Pochyliła się nad nim i pocałowała go delikatnie, ledwie musnąwszy wargami jego usta. Były zimne i pachniały miętą. Pospiesznie zarzucił jej rękę na szyję, zanurzył palce w bujnych ciemnoblonde włosach i przyciągnął głowę C.J. Drugą dłonią musnął jej twarz i przeciągnął kciukiem po brodzie.

Wciąż bardzo za nią tęsknił, ilekroć się rozstawali, i bardzo się o nią martwił, gdy wychodziła z domu.

– Przepraszam – szepnęła. – Zadzwońię, jak dowiem się czegoś więcej. –

Wyprostowała się. – Dzisiaj sobota. W drodze powrotnej kupię świeże bagietki.

– Uważaj na siebie, proszę. Zadzwoń, gdy tylko dotrzesz na miejsce. I trzymaj się dziewięćdziesiątki – rzekł, mając na myśli autostradę międzystanową I-95 łączącą Fort Lauderdale z Miami. Jej dom od centrum dzieliło prawie pięćdziesiąt kilometrów. Wiele złych rzeczy przytrafiało się na tej trasie podróżnym, którzy w środku nocy skręcili na niewłaściwy zjazd bądź pomylili drogę.

– Dobrze, tatusiu – mruknęła z uśmiechem, ruszając do wyjścia z sypialni. – Pośpij jeszcze. Przy śniadaniu opowiesz mi, co ci się przyśniło. I nie zapomnij wypuścić Lucy. –

Popatrzyła na niemal kompletnie głuchą bassetkę, która leżała zwinięta w ciasny kłębuszek obok Dominicka, w tym miejscu, które ona zajmowała jeszcze pięć minut temu. Poglaskała ją po łbie. – Nigdy nie przepuścisz takiej okazji, prawda, staruszko? Byłoby kiepsko, gdyby miejsce pod kołdrą zdążyło wystygnąć.

– Dokąd cię konkretnie wezwali?

– Do jakiegoś zaułka przy Siedemdziesiątej Dziewiątej. – Posłała mu na odległość pocałunek i szepnęła: – Kocham cię. Na razie.

Zgasiła światło i cicho zamknęła za sobą drzwi sypialni.

Odsunął kołdrę i ostrożnie zepchnął pochrapującą Lucy na sam brzeg łóżka. Nie wiadomo skąd pojawił się Tibby, stary spasiony kocur C.J., skoczył z podłogi i błyskawicznie ułożył się na zwolnionym miejscu. Dominick z rezygnacją machnął ręką. Wciągnął

bawełnianą koszulkę i spodnie. Postanowił zaparzyć sobie kawy. Dobrze wiedział, że już nie zaśnie. Poza tym spodziewał się, że lada chwila i on odbierze telefon.

Zginął gliniarz. Matko Boska... Jeden z nich!

Poczuł przyływ złości. Oprócz smutku i żalu w takich chwilach zwykle ogarniała go bezpodstawna wściekłość. Przecież nie wiedział nawet, który policjant zginął i w jakich okolicznościach. Wiele wskazywało na to, że wcale go nie zna, wzięwszy pod uwagę, ilu jest gliniarzy w Miami. Mimo wszystko... jeden z nich przegrał bitwę. W jaskrawym blasku lampek nad kuchennym blatem aż pokręcił głową do swoich myśli, czekając, aż zagotuje się woda w zaparzacze do kawy.

Wszystkich stróżów prawa łączyła wyjątkowa więź braterstwa. Już w ciągu pierwszego tygodnia służby po ukończeniu akademii każdemu policjantowi starsi i doświadczeni sierżanci czy porucznicy, nastawieni skrajnie pesymistycznie do życia, wbijali do głowy sposób myślenia typu „my przeciwko nim”. Przez dziewięć miesięcy intensywnego i wyczerpującego stażu krąg ich przyjaciół zawęził się do oficerów nadzorujących szkolenie i kolegów kadetów, nadając treści poznanej w akademii maksymie: „Trzeba być zawsze gotowym na najgorsze”. Dotyczyło to każdego. W czasie szkoleń praktycznych, podczas codziennych strzelań do tarczy, wpajano żółtodziobom, by natychmiast wzywali wsparcie, jeśli tylko zwietrzą wrogie nastawienie otaczających ich ludzi. W trakcie symulowanych szturmów na kryjówki gangsterów, w których poza nimi mogło się znajdować kilku zakładników, ani jedna papierowa tarcza nie miała prawa pozostać w całości po intensywnym ostrzale. Dopiero po zużyciu codziennego przydziału amunicji i zebraniu porcji siniaków w czasie ćwiczeń walki wręcz można było pójść na piwo w towarzystwie garstki tak samo ciężko doświadczonych kolegów. Całe życie człowieka zaczynało się koncentrować wokół

służby: jadło się, spało, rozmawiało i żartowało w zamkniętym kręgu policjantów. Gliniarze, którzy pełnili na zmianę służbę przez całą dobę, dostrzegali wokół siebie samo zło, jakby niczego innego nie oczekiwali już od życia. Najbliższą policjantowi osobą szybko stawał się jego partner. Ponieważ ciągle groziła im śmierć z rąk całkiem obcej osoby, pojawiało się bezwarunkowe i bezgraniczne zaufanie do każdego funkcjonariusza w niebieskim mundurze.

Toteż gdy któryś ginął na służbie, wszyscy w głębi serca czuli się, jakby to oni dostali.

Jako gliniarz, który rozpoczynał karierę w najgorszych rejonach południowego Bronksu, Dominick znał to uczucie aż za dobrze. Co gorsza, śmierć wielu kolegów widział na własne oczy.

Już po roku służby awansował do sekcji śledczej, a pół roku później dostał przydział

do wydziału zabójstw, wciąż jednak nie mógł się przenieść z Bronksu, niezależnie od tego, komu i jak bardzo się podlizywał. Odnalazł się w pracy dochodzeniowej, był w tym dobry.

Może nawet za dobry. Niemniej, po kilku latach i w jego oczach wszyscy przestępcy zaczęli wyglądać tak samo, choć przecież się różnili. Uświadomił sobie wtedy, że pora zmienić otoczenie. Pewnego zimnego deszczowego dnia, wyjątkowo paskudnego nawet jak na Nowy Jork, rozłożył na stole mapę Stanów Zjednoczonych, zamknął oczy i dźgnął w nią palcem, kierując się bardziej na południe, gdzie nawet kryminaliści chodzą w koszulach z krótkimi rękawami. I tak wylądował w Miami – tak samo rojnej, tętniącej życiem metropolii, ale choć trochę bardziej egzotycznej i leżącej w cieplejszym klimacie. Od razu dostał kilka ofert z liczących się wydziałów: komendy okręgowej Miami-Dade, miejskich komend z Miami oraz Miami Beach oraz z biura szeryfa okręgu Broward. Ale wbił sobie do głowy, że jako agent specjalny Florydzkiego Wydziału do Zwalczania Przystępczości będzie miał okazję uczynić coś więcej poza zmianą dekoracji na tej samej scenie. Postanowił obrać sobie nieco inne cele.

A w każdym razie przyjął na wiarę obietnice komisarza tego wydziału, kiedy przed szesnastu laty podejmował decyzję o objęciu stanowiska agenta specjalnego.

Wydział, będący stanowym odpowiednikiem FBI, zajmował się głośnymi i złożonymi dochodzeniami, które wykraczały poza zakres kompetencji poszczególnych sekcji policyjnych i instytucji okręgowych, pełnił też funkcję doradczą w bardziej skomplikowanych sprawach prowadzonych zarówno przez władze okręgowe, jak i federalne. W każdym z podległych mu pięciu rejonów Florydy miał do dyspozycji nowoczesne laboratoria kryminalistyczne, porównywalne nawet z centralnym laboratorium FBI w Quantico. W

dotąd nie był to wydział „natychmiastowego reagowania”, lecz bardziej agencja dochodzeniowa, co uwalniało od wielu przykrych obowiązków, chociażby starania się w środku nocy o nakaz rewizji, co brzmiało bardzo obiecująco, w każdym razie na początku.

Ale gdy tylko kierownik działu kadr Regionalnego Centrum Operacyjnego z Miami zapoznał

się z dotychczasową karierą Dominicka, natychmiast przydzielił go do Wydziału Zabójstw zajmującego się ściganiem morderców. Co prawda, nie oznaczało to jeszcze wampirzej służby po nocach, ale nie dało się też porównać z pracą w Wydziale Defraudacji i kończeniem roboty z wybiciem godziny siedemnastej.

Woda w zaparzacze zabulgotała i po kuchni rozszedł się ponętny aromat kawy. Lucy wyłoniła się z sypialni i zaczęła intensywnie węszyć. Dominick nalał sobie kawy do kubeczka i rzucił suczce sztuczną kość. Lucy aż pisnęła z radości, wyciągnęła się na podłodze i zaczęła gryźć niespodziewaną zdobycz.

Ale i ta robota wiązała się z pewnym niebezpieczeństwem, o którym świetnie wiedział

i które musiał zaakceptować każdy gliniarz. Każda służba zaczynała się od mozolnego wkładania kamizelki kuloodpornej, będącej posępnym przypomnieniem o czyhających zagrożeniach. Problem polegał na tym, że żaden policjant nie podejrzewał, iż to właśnie jego numer służbowy znajdzie się jako następny w nagłówkach raportów. Dla każdego najważniejszym numerem był kod „dziesięć siedem” oznaczający zakończenie służby, tym bardziej że gdy zgłaszało się go przez radio, najczęściej można było usłyszeć głośną muzykę rozbrzmiewającą w dyspozytorni. Toteż, zdaniem

Dominicka, nawet dla gliniarza kula wystrzelona w jego kierunku była całkowitym zaskoczeniem.

Lucy wyszła za nim na balkon i zwinęła się w kłębek u jego stóp, gdy oparty o balustradkę zapatrzył się w dal, sącząc powoli gorącą kawę. W dole ciemne wody zatoki bez ustanku snuły swe opowieści, z rytmicznym szmerem rozbijając się o falochrony. Lekka bryza poruszała zawieszonymi na balkonie dzwoneczkami. Stopniowo zaczynało się ochładzać, w powietrzu czuć było nadciągającą zimę. Zaczynała się pora zatłoczonych plaż, korków na ulicach i dwugodzinnych kolejek przed znanymi restauracjami. Łatwo było sobie wyobrazić, jak na północy pisk opon ruszających aut wzbija w powietrze stada wędrownych ptaków, gdy wszyscy naraz ruszają w kierunku Słonecznego Stanu.

Po drugiej stronie zatoki, za ciągiem pensjonatów i tanich hotelików stojących na szczytach nadmorskich wydm na całej długości Pompano Beach i Fort Lauderdale, nad mroczną linią horyzontu wyłaniały się już różowe i pomarańczowe pasma rozświetlonego wschodem nieba. Powoli wstawał kolejny cudowny dzień na słonecznej Florydzie.

Popijając w zamyśleniu kawę, Dominick obejrzał się na telefon, jakby miał nadzieję, że lada chwila zadzwoni.

O czwartej nad ranem prawie pięćdziesięciokilometrowa trasa do Miami Beach zajmowała niewiele ponad kwadrans, chociaż w porach szczytu pokonywało się ją godzinami.

C.J. skręciła z autostrady 95 na ulicę Siedemdziesiątą Dziewiątą i pojechała przez obrzeża Liberty City, gdzie wiele nowoczesnych domów i biurowców miało zakratowane okna i drzwi. Nawet o tak wczesnej porze niektóre sklepy były już otwarte i jasno oświetlone, a od czasu do czasu w którejś ciemnej uliczce można było dostrzec sylwetkę samotnego człowieka. Parę kilometrów dalej skręciła z Siedemdziesiątej Dziewiątej w aleję Johna F.

Kennedy'ego i wjechała do cichego North Bay Village, aż wreszcie dotarła nad czarne wody zatoki Biscayne, nad którą mostem przedostała się do centrum Miami Beach.

Będąc jeszcze na moście, z daleka dostrzegła skupisko wozów patrolowych z włączonymi niebiesko-czerwonymi migaczami, które blokowały obszar w promieniu co najmniej dwóch kwartałów na tyłach nieczynnej stacji Chevron. Chyba rzeczywiście musi to wyglądać kiepsko, pomyślała. W czasie jej dwunastoletniej kariery w prokuraturze stanowej w Miami zginęło na służbie dwudziestu policjantów. Za każdym razem reakcja była tak samo gwałtowna, jak gdyby w myśl hasła: „Nie spoczniemy, dopóki ktoś za to nie zapłaci”.

Obejmowało to absolutnie wszystkich, zarówno mundurowych, jak też śledczych i prokuratorów, z każdego wydziału i każdej instytucji stojącej na straży prawa. Nawet oficjalne rozkazy stawały się nacechowane osobistą zemstą.

Znalazła wolne miejsce za radiowozem stojącym na parkingu stacji benzynowej i ruszyła w kierunku tłumu gliniarzy na skrzyżowaniu. Przeważali wśród nich funkcjonariusze z patroli miejskich Miami Beach oraz okręgu Metro Dade, ale zauważyła także parę wozów ze stanowej drogówki. Za stacją rozciągał się rozległy pusty plac, ogrodzony dwumetrowym płotem z drucianej siatki. Za nim żółta policyjna taśma przegradzała wylot wąskiej uliczki prowadzącej między budynki opuszczonych fabryk.

W powietrzu niosły się trzaski i niewyraźne meldunki dolatujące z policyjnych krótkofalówek. Skręciła w stronę gromadki mundurowych z Miami Beach, którzy przy płocie zawzięcie o czymś dyskutowali. Pomyślała, że od nich najszybciej czegoś się dowie.

Wyciągnęła swoją odznakę i zapytała:

– Czy ktoś wie, gdzie znajdę Nicholsby'ego z waszego Wydziału Zabójstw? Jestem z prokuratury stanowej.

Policjanci rozstąpili się w milczeniu, robiąc jej przejście do odgrodzonego zaułka.

Wąska uliczka nie miała nawet nazwy, a odchodząca od niej prostopadle alejka zagłębiała się między ceglane mury zabudowań. Z daleka dostrzegła stojący w głębi wóz patrolowy z włączonymi migaczami na dachu, które rzucały rytmiczne rozbłyski na drewniany płot przegradzający ciasną

przestrzeń między ścianą dawnej wytwórni klimatyzatorów a budynkiem należącym do Atlantic Cable Company. Po drugiej stronie uliczki, za siatkowym parkanem zwieńczonym ciągami drutu kolczastego, wyróżniały się trzy olbrzymie talerze anten satelitarnych i wieżyczka przekaźnikowa należąca do przedsiębiorstwa produkującego kable.

Jeden z młodych funkcjonariuszy skinął głową i mruknął ponuro:

– Nicholsby to ten przy samochodzie, co rozmawia z technikami z dochodzeniówki.

– Dzięki.

U wylotu alejki na terenie odgrodzonym żółtą taśmą stało dwóch techników w granatowych wiatrówkach z dużymi, fosforyzującymi na żółto napisami na plecach: LABORATORIUM KRYMINALISTYCZNE. Obok nich detektyw w średnim wieku, ubrany w koszulkę polo i beżowe spodnie, nerwowo palił papierosa. Po pięćdziesiątce, z mocno podkrążonymi oczyma i przygarbionymi ramionami, sprawiał takie wrażenie, jakby marzył

tylko o paru głębszych.

C.J. wyciągnęła do niego rękę.

– Detektyw Nicholsby? C.J. Townsend z Biura Prokuratora Stanowego.

– Townsend... Szybko pani tu przyjechała.

– Co się dzieje? – zapytała, zerkając podejrzliwie na wóz patrolowy.

– Koło czwartej nad ranem ktoś zadzwonił z informacją, że policjant na służbie prawdopodobnie śpi w swoim radiowozie. Dyspozytor wysłał na miejsce drugi patrol, tego żółtodzioba, Schradera. Ten otworzył drzwi, żeby obudzić kolegę, i... – Nicholsby urwał

nagle. – Technicy obfotografowali już całą okolicę. Nadal czekamy na dyżurnego z medycyny sądowej. Podobno mieszka gdzieś aż pod Coral Springs.

Wóz patrolowy stał dokładnie na wprost wylotu mrocznego zaułka. Przednie drzwi od strony kierowcy były lekko uchylone i wystawał spod nich róg białego prześcieradła. Szyby auta wyglądały na dziwnie nieprzezroczyste. Nawet przednia była matowa.

– Co się stało z szybami? – zapytała. – Są przyciemnione?

– Zostały zamalowane.

– Zamalowane? Czym?

– Krwią – burknął technik. – Jakiś rąbnięty pojebus wysmarował całe wnętrze auta krwią tego biedaka. Pewnie dlatego nikt od razu nie zgłosił zabójstwa. Z zewnątrz trudno dojrzeć cokolwiek w środku. Ludzie pewnie myśleli, że gliniarz specjalnie ukrył się w tej uliczce, by uciąć sobie drzemkę,

i dla niepoznaki zostawił włączanego koguta.

– Proszę posłuchać – rzekł Nicholsby z zachmurzonym czołem, biorąc ją delikatnie pod rękę, jakby chciał odwrócić jej uwagę od samochodu. Wyglądał wręcz na przestraszonego. – To naprawdę makabryczny widok, panno Townsend.

– Widziałam już zmasakrowane zwłoki, detektywie – odparła, uwalniając się z jego uścisku.

– Ale to co innego – powtórzył z uporem. – Naprawdę nie powinna pani tam zaglądać.

Jeszcze nigdy się z czymś takim nie spotkałem, a przecież widziałem już w życiu niejedno.

Kilku moich chłopców wciąż nie może dojść do siebie. – Obejrzał się i skinął głową w kierunku drugiej strony uliczki. Pod parkanem okalającym pusty plac klęczał młody policjant w mundurze i wymiotował w krzaki za płotem. – Pewnie po powrocie na komendę będę musiał ich skierować na rozmowę z naszym psychologiem.

C.J. odsunęła się na krok i śmiało popatrzyła mu w oczy.

– Dziękuję za ostrzeżenie, detektywie, ale jakoś sobie poradzę.

– Jak pani chce – mruknął i wzruszył ramionami. – Droga wolna. Lekarz z sądówki powinien tu być lada chwila.

– Kim był zabity? Zidentyfikowaliście go już?

– Nie. Zrobił się straszny bałagan z przydziałem wozów dla poszczególnych patroli. W tym, numer osiemdziesiąt trzy pięćdziesiąt cztery, powinien jeździć Gilroy, Vincent Gilroy.

Ale to na pewno nie on.

– Nie znaleźliście przy nim odznaki?

– Zniknęła. Podobnie jak plakietka z kieszonki munduru. Morderca po prostu odciął całą klapkę znad kieszonki.

– I nikt nie mógł rozpoznać zwłok?

– W komendzie miejskiej w Miami Beach służy prawie czterystu ludzi. Pani zna ich wszystkich? Poza tym nie wiem, czy nawet rodzona matka teraz rozpoznałaby tego biedaka.

Mamy tylko pewność, że to nie Gilroy, bo jest blondynem.

C.J. ruszyła w kierunku radiowozu. Rzeczywiście z zewnątrz nie dało się dojrzeć niczego w środku. Tylko ten róg białego prześcieradła wystający spod uchylonych drzwi świadczył o makabrycznym

widoku, jakiego należało oczekiwać. Wciągnęła lateksowe rękawiczki, które dał jej Nicholsby, i ostrożnie sięgnęła do klamki pokrytej czarnym proszkiem.

– Zdjęliście już odciski palców? – zapytała przez ramię.

– Tak, ale tylko z zewnątrz. W środku proszę na razie niczego nie dotykać.

Powoli otworzyła drzwi, spod których pod jej stopy niczym dywan wysunęła się większa część prześcieradła pokrytego krwawymi plamami.

Zawahała się przez chwilę, po czym ostrożnie odchyliła jego drugi koniec zakrywający postać na przednim siedzeniu. Mimo woli gwałtownie nabrała powietrza i odruchowo zasłoniła dłonią usta, po czym błyskawicznie odwróciła się od przerażającej krwawej miazgi przykutej kajdankami do kierownicy.

– Matko Boska! – jęknęła przez palce szczelnie zakrywające usta, z trudem łapiąc oddech.

– Ostrzegałem, że to makabryczny widok – rzekł Nicholsby.

– Nie o to chodzi... – wymamrotała prawie szeptem, bardziej do samej siebie niż do niego.

Ktoś głośno zawołał od strony parkingu. Obejrzała się na policjanta biegnącego w ich kierunku i wymachującego trzymaną w ręku kartką papieru.

– Detektywie! Jest identyfikacja. Odebraliśmy faks od zarządcy parkingu, który przydzielał wozy na nocną służbę. Dopiero wrócił do domu po jakiejś popijawie. Wygląda na to, że dyspozytor się pomylił w przepisywaniu numerów radiowozów. Gilroy miał jeździć wozem osiemdziesiąt trzy pięćdziesiąt cztery, ale dostał osiemdziesiąt pięć trzydzieści cztery.

– Więc kto jeździł tym wozem?

Zanim policjant zdążył odpowiedzieć, C.J. odezwała się cicho roztrzęsionym i pełnym niedowierzania głosem:

– Chavez. Znałam go. To Victor Chavez.

Wysiłkiem woli próbowała jakoś uporządkować oszalałe myśli i wypływające z pamięci oderwane obrazy. W ogóle nie była przygotowana na widok trupa gliniarza, zwłaszcza w takim stanie, brutalnie zaszlachtowanego. Jeszcze bardziej ją zaskoczyło, że z tym człowiekiem nie tak dawno blisko współpracowała. Wtedy z braku doświadczenia wykazał się nadgorliwością i...

Victor Chavez siedział w przesiąkniętym krwią fotelu radiowozu z głową opartą o kierownicę. Po wyłączeniu silnika przestała również działać klimatyzacja, toteż w rosnącym upale zwłoki szybko zaczynały się zmieniać w bezkształtną maź. W pozycji siedzącej utrzymywało je tylko stężenie pośmiertne. Przykute kajdankami ręce tak silnie zaciskały się na kierownicy, że jeszcze teraz widać było pobielające knykcie. To, co zostało z jego twarzy, było odwrócone na bok, zapewne przez Schradera – gliniarza, który pierwszy zajrzał do środka – więc wybałuszone z przerażenia piwne oczy kierowały się w stronę prawego bocznego okna. Właśnie po tych oczach C.J. od razu rozpoznała zabitego. Sama nazwała je kiedyś „kłamiwymi oczami”, gdyż wiecznie wytrzeszczone i powilgotniałe mówiły o wiele więcej niż słowa policjanta.

Teraz spoglądały gdzieś w pustkę, na zawsze wypełnione przerażeniem, jakim napiętnowane były ostatnie chwile krótkiego życia tego człowieka. Nietrudno się domyślić, dlaczego inni nie zdołali od razu rozpoznać kolegi. Jego twarz od nosa w dół była rozcięta. Z

umocowanej na ramieniu krótkofalówki wciąż dobiegały polecenia dyspozytora, który, jak na ironię, wysyłał kolejne wozy patrolowe na miejsce śmierci Victora.

C.J. odsunęła się od samochodu i stanęła przy żółtej taśmie przegradzającej uliczkę. Po chwili usiadła na tylnym zderzaku nieoznakowanego forda taurusa Nicholsby'ego i zaczęła szlochać. Nie zauważyła nawet, kto podał jej butelkę wody mineralnej, ale łapczywie pociągnęła parę łyków, mając nadzieję, że zdoła opanować nasilające się nudności. Czyjaś dłoń spoczęła na jej ramieniu. Podniosła głowę i spojrzała na Marlona Dorsetta, drugiego śledczego z Wydziału Zabójstw komendy w Miami Beach. W minionych latach współpracowała z nim nad kilkoma zabójstwami i wiedziała, że jest jednym z najlepszych detektywów. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

– C.J.? Dowiedziałem się od porucznika, że masz dyżur. Ciekaw byłem, kiedy się tu zjawisz.

– Ja? – wybąkała niepewnie. – Siedzę tu prawie od początku zabawy. Zdążyłam już sobie nawet ugadać kapelę. – Ruchem głowy wskazała radiowóz. Lekarz z sądówki, który w końcu dojechał na miejsce, jaskrawopomarańczową taśmą mierzył właśnie długość rozcięcia na gardle Chaveza, podczas gdy obaj technicy z dochodzeniówki ciekawie zaglądali mu przez ramię. Po zakończeniu przez niego podstawowych czynności chcieli zapewne rzucić się na radiowóz niczym wygłodniałe sępy i przystąpić do jego rozbierania na czynniki pierwsze. –

Co słysząc, Marlon?

– U mnie? Może być. Z żoną wszystko w porządku, dzieciaki jak zwykle nie dają żyć, a robota do dupy. Zresztą to samo usłyszałaś od każdego przeciętnego faceta. – Urwał i z posępną miną pokręcił głową. – Cholerne szambo. Dałabyś wiarę, że w ogóle można tak skończyć? – Spojrzał na

butelkę wody mineralnej w jej dłoniach i dodał zatroskanym tonem:

– Kiepsko wyglądasz, C.J. Na pewno dasz radę?

– Tak, jasne. Wszystko przez to, że go znałam. Współpracowałam niedawno z Chavezem przy pewnej sprawie. Pewnie dlatego aż tak mnie wzięło. Przeżyłam szok.

Marlon wyrozumiale pokiwał głową i spojrzał w bok.

– To taki sam szok dla nas wszystkich. Jak się miewa Dom? Nie ma go tu?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Nicholsby skończył zaciętą dyskusję, jaką prowadził

przez swojego nextela, połączenie telefonu z policyjną krótkofalówką, odwrócił się w ich stronę i z wściekłością warknął do Dorsetta:

– To jakaś bzdura! Dyspozytor odebrał wezwanie na trzydzieści osiem i skierował tu Chaveza o wpół do drugiej. Ten sprawdził zaułek i zgłosił dwunastkę. Potem już nie było z nim łączności. I nikt nie raczył nas o tym zawiadomić, gdy przez cholerne pół godziny próbowaliśmy ustalić tożsamość zabitego?! – Obejrzał się na szeroko otwarte drzwi radiowozu. – Mamy już trupa ze stężeniem pośmiertnym, zatem zginął ładnych parę godzin temu. Możemy zapomnieć o blokadzie dróg i zabezpieczeniu terenu...

– Chyba że ten świr ciągle kręci się gdzieś w pobliżu, żeby nas obserwować – wtrącił

Marlon.

Nicholsby obejrzał się na gromadę umundurowanych policjantów.

– To mało prawdopodobne. O tej porze trudno liczyć na tłum gapiów, w którym można by się ukryć.

– Są jacyś świadkowie? – zapytała C.J.

– Nie – warknął Nicholsby.

– Co oznacza kod trzydzieści osiem, który stał się przyczyną wezwania?

– Bezdomnego włóczęgę. Brak opisu. Podobno wymachiwał nożem. To wszystko.

Zażądałem kopii nagrania z dyspozytorni. – Nicholsby przypalił papierosa i wypuścił kłęb dymu z ciężkim westchnieniem.

– Kto dzwonił? – zapytała.

– Nie wiadomo. Nie przedstawił się.

– Jak zwykle. Nikt nie chce się mieszać w takie sprawy – rzekł Marlon. Zamyślił się na chwilę, po

czym dodał ciszej: – Chyba że to była podpucha.

– Co? – zaciekała się C.J.

Nicholsby pokiwał głową.

– Trzeba to będzie dokładnie sprawdzić. Z tego, co słyszałem, ten chłopak, Chavez, miał sporo wrogów. Płyta zabezpieczająca w jego wozie została odcięta i wygląda na to, że zrobił to ktoś siedzący z tyłu. Dlatego będziemy musieli brać pod uwagę wszelkie okoliczności. Na razie jeszcze łudzę się nadzieją, że ten pieprzony rzeźnik coś przeoczył i zostawił w samochodzie swoją wizytówkę. Odcisk palca, włos, spermę... Cokolwiek. To by nam bardzo ułatwiło życie. Już teraz chłopcy z całego miasta zasypują mnie pytaniami.

– Na pewno włączą się w dochodzenie władze okręgowe i metropolitarne – odparł

Marlon, mając na myśli kolegów z komendy okręgowej Miami-Dade i miejskiej z Miami. –

Komendant Jordan pewnie już dzwonił do szefa wydziału policji, bo Dees obiecał, że oddeleguje do tej sprawy cały Wydział Zabójstw, jeśli zajdzie potrzeba.

– Wszyscy teraz dzwonią do siebie nawzajem – przyznał Nicholsby. – Nie dalej jak pięć minut temu miałem telefon z Tallahassee. Pytali, czy mogą jakoś pomóc. Pewnie nawet gubernator już wie o sprawie. Wszyscy wyskakują z łóżek i tylko patrzeć, jak drzewa zaczną się trząść jeszcze przed wschodem słońca. Kazałem Costidasowi zrobić pełną listę bandziorów, którzy zostali przyskrzynieni w Miami Beach, wszystkich ćpunów, alfonsów, handlarzy narkotyków i gangsterów, bez wyjątku. Zaczniemy od ich sprawdzenia.

– Ktoś musi zacząć gadać. To tylko kwestia czasu. – Marlon głośno westchnął. –

Dorwiemy go.

– Albo ich – skorygował Nicholsby, po czym ze złością rozgniół obcasem na asfalcie niedopałek papierosa.

Przez jakiś czas we trójkę w milczeniu obserwowali poczynania lekarza z sądówki, który obracał zeszytniałe zwłoki Victora Chaveza na przednim siedzeniu radiowozu.

Stężenie pośmiertne osiągnęło maksimum, bo ciało jak gdyby skamieniało w takiej pozycji, w jakiej się znajdowało w chwili śmierci. Musi jeszcze minąć od dwunastu do dwudziestu czterech godzin, zanim ustąpi, mięśnie na powrót zwiotczeją i kończyny da się choć trochę zgąć. Teraz zaś, nawet ukryte pod białym prześcieradłem, zwłoki przedstawiały makabryczny widok, gdy sanitariusze z Zakładu Medycyny Sądowej próbowali je jakoś ułożyć na przygotowanych noszach.

C.J. przyglądała się, jak ładują je do karetki. Jej wzrok przykuła wystająca spod prześcieradła i kołysząca się na boki jaskrawozielona plakietka, którą lekarz przytwierdził do dużego palca u nogi zabitego. Oderwała od niej wzrok dopiero wtedy, gdy sanitariusze zdołali umieścić ciało w czarnym plastikowym worku i zapięli suwak biegnący przez całą jego długość.

– Widziałam, co zabójca uczynił z jego twarzą – powiedziała cicho, bo choć nie chciała przytaczać irracjonalnych podejrzeń cisnących jej się do głowy, to jednak nie mogła powstrzymać pytania, które miała na końcu języka. – Jak sądzicie, dlaczego to zrobił?

– No cóż... – mruknął Marlon. – Poderżnął mu gardło tak głęboko, że omal nie odciął głowy. O to ci chodzi? W ten sposób go zabił. Ale nie pytaj, dlaczego wyciął mu język.

Pewnie chciał w ten sposób dać nam coś do zrozumienia.

– Albo po prostu go uciszył – dodał Nicholsby, wysupłując ostatniego papierosa z pomiętej paczki newportów.

Kiedy tylne drzwi karetki Zakładu Medycyny Sądowej zatrzęsnęły się z hukiem, wśród policjantów zapadła grobowa cisza. Dopiero po jakimś czasie niektórzy z nich ruszyli do wozów patrolowych, by je przestawić i umożliwić karetkce wyjazd z uliczki.

Odrażający fetor śmierci wnika głęboko w większość tkanin, nie zdoła go usunąć żaden proszek, zapachowy płyn zmiękczający ani nawet pranie chemiczne. Tak samo nic nie może usunąć tego fetoru z ludzkiej pamięci. Pewnie jest to reakcja czysto psychosomatyczna, smród na zawsze zostaje powiązany w umyśle z głęboko utrwalonymi obrazami z miejsca zbrodni. C.J. świetnie o tym wiedziała, toteż nawet nie próbowała się go pozbyć, tylko bez wahania spakowała beżowe spodnie i kremową jedwabną bluzkę do plastikowego worka na śmieci i wrzuciła go do otworu zsypu na jedenastym piętrze bloku, po czym podreptała bosą korytarzem do swojego mieszkania.

Na szczęście mydło, gorąca woda i solidna porcja potu, jak mawiał jej ojciec, wystarczająco skutecznie spełniały swoje zadanie. Oczywiście doskonale wiedziała, że ojciec miał zupełnie co innego na myśli, kiedy przed laty powtarzał jej tę maksymę, stojąc na ganku, podczas gdy ona z zapalem szorowała okna w ramach wiosennych porządków, na które zwykle musiała poświęcać aż trzy majowe weekendy. To wspomnienie przypomniało jej, że zapomniała wczoraj zadzwonić do matki, zanotowała więc w myślach, żeby koniecznie zrobić to dzisiaj. Zamierzała powiedzieć ojcu, że wspomina jego szumne akcje wiosennych porządków, musiała tylko pominąć milczeniem przyczynę, która skłoniła ją do wspomnień.

Na kuchennym blacie leżała kartka z wiadomością od Dominicka. Zapatrzyła się na nią. Zadzwonił dyrektor Wydziału do Zwalczenia Przeszłości i zgodnie z przewidywaniami Dominicka skierował cały zespół sekcji zabójstw do tej jednej sprawy.

Koniecznie musieli ująć zabójcę policjanta. Przyszło jej do głowy, że zapewne minęli się na autostradzie I-95. On zmierzał na południe, prosto na linię frontu, a ona wracała do domu z leżącymi na siedzeniu świeżymi bagietkami w długich papierowych torbach. Żałowała, że się minęli.

Na kontuarze w jadalni leżał dzisiejszy egzemplarz „Sun Sentinel”. W czołówce nie było jeszcze krzykliwego nagłówka, gdyż materiał dołączono w ostatniej chwili, ale na pierwszej stronie znajdował się już artykuł omawiający zbrodnię, która lada chwila miała stać się tematem numer jeden. C.J. naląła sobie do kubeczka świeżo zaparzonej kawy i usiadła z nią przy stole. Wizyta na miejscu zbrodni zawsze szargała jej nerwy, ale tym razem była poruszona do głębi. Nie chodziło nawet o to, że ofiarą padł policjant, ani o to, że go znała i kilka razy rozmawiała z nim w trakcie przygotowywania niedawnej sprawy, jak powiedziała Marlonowi.

Pozostawiona sam na sam ze swoimi myślami odnosiła wrażenie, że cisza panująca w mieszkaniu jest nie do wytrzymania. Szybko podniosła słuchawkę, żeby zadzwonić do rodziców, ale jeszcze szybciej odłożyła ją z powrotem. W Kalifornii przecież nie było jeszcze siódmej. Musiała z tym poczekać co najmniej godzinę.

Victor Chavez. Żółtodziób, który aresztował jednego z najbardziej odrażających seryjnych zabójców w historii Ameryki. Mordercę tak okrutnego, że zyskał makabryczne przezwisko Kupidyn. Przez osiemnaście miesięcy, począwszy od wiosny 1999 roku, polował

na piękne dziewczęta w modnych nocnych klubach i barach SoBe. Bez wyjątku młode i uderzająco ładne. Bez wyjątku blondynki. Bestialski szaleniec mordował je, wycinając im serca z piersi.

Zwykła kontrola drogowa, którą postanowił przeprowadzić Victor Chavez, przypadkowo położyła kres temu horrorowi i ostatecznie pozwoliła zidentyfikować mordercę.

Okazał się nim William Rupert Bantling. Żyjący w dostatku biznesmen o niebieskich oczach i wytwornych manierach, bardzo przystojny, pod żadnym względem niewyglądający na szaleńca. Ale zimne zwłoki dziewczyny, które znaleziono w bagażniku jego samochodu, świadczyły o czymś innym. Anna Prado, dwudziestodwuletnia początkująca modelka, również była wyjątkowo ładną blondynką. Leżała już martwa, pozbawiona serca w rozplątanej klatce piersiowej, kiedy Chavez i jego koledzy wyważyli łomem zamek bagażnika w czarnym jaguarze.

Niemalże oczywista sprawa przypadła w udziale C.J., która wówczas była zastępcą kierownika Wydziału Zabójstw i od ponad roku współpracowała ze specjalnym zespołem dochodzeniowym powołanym w celu ujęcia Kupidyna. Przeprowadzone później przeszukania oraz szczegółowe analizy materiału dowodowego przyczyniły się do kolejnego sukcesu wymiaru sprawiedliwości, udowodnienia podejrzanemu winy i odizolowania go od społeczeństwa. Ale C.J. zdążyła już poznać kilka gorzkich prawd życiowych, a jedna z nich mówiła, że nic nigdy nie idzie tak, jak powinno.

Zamknęła oczy, przywołując z pamięci widok Williama Ruperta Bantlinga w dusznej, zatłoczonej sali sądowej pełnej dziennikarzy i ekip reporterskich, a wśród nich całego kierownictwa jej biura. Próbowwała odtworzyć swoje pierwsze wrażenia, zanim jeszcze uzmysłowiła sobie, że Bantling nie jest dla niej zwyczajnym oskarżonym. Z jego ust padły wtedy ostre wzburzone słowa pod adresem sędziego Katza, a na widowni zapanował

nieopisany bałagan. Tyle że ona nie mogła już choćby się poruszyć, kiedy donośny terkot słyszalnych tylko dla niej dzwonek alarmowych rozszedł się wibracjami po całym jej ciele, a oszalałe myśli wróciły do zdarzeń z pewnej burzowej nocy z czerwca 1988 roku. Nocy, podczas której anonimowy potwór niemal bez końca brutalnie gwałcił ją i torturował w jej sypialni, zanim w końcu zostawił na wpół żywą, by wyzionęła ducha w przesiąkniętej krwią pościeli. Ten potwór ukrywał wówczas twarz za gumową maską klauna, ale nie był w stanie zmienić swojego głosu. Zresztą padające szeptem słowa traktował jak dodatkowe narzędzie tortur.

Wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszała ten głos, nazywała się jeszcze Chloe Larson.

Była młodą, ładną i beztruską studentką prawa, stojącą u progu świetnie zapowiadającej się kariery adwokackiej, wyspecjalizowanej w sprawach błędów lekarskich, zaręczoną z bogatym i przystojnym mężczyzną, marzącą o rozpoczęciu cudownie normalnego życia. Jednakże wszystkie jej plany legły w gruzach, ona zaś mogła się już tylko bezradnie przyglądać, jak cały świat wokół niej nadal tętni życiem, jakby nie stało się nic złego, przerażającego i bezmyślnego. Dla niej czas zatrzymał się w miejscu, niczym skazaniec poczuła się uwięziona w tej jednej mrocznej chwili, gdy w jej żyłach krążył śmiertelny strach, a szalenie w masce o jaskrawo-czerwonych ustach, wygiętych w szerokim uśmiechu, przy wtórze deszczu bębniącego o parapet za oknem kroił jej ciało nożem na pasy. Sprawcy napadu nigdy nie złapano, toteż po paru latach trwożliwego oglądania się przez ramię na każdym nowojorskim skrzyżowaniu przeniosła się do Miami i całkowicie odcięła od przeszłości Chloe Larson. Lecz choć zmieniła nazwisko na Townsend i zamieszkała w zdecydowanie bardziej słonecznej i zielonej okolicy, przekonała się szybko, że nie łatwo jej będzie uwolnić się od traumatycznych wspomnień.

Właśnie wtedy, w sali sądowej, prawie trzy lata temu, przeszłość nagle zawładnęła teraźniejszością C.J. Townsend. Historia zatoczyła koło i ukazała jej się w pełnej okazałości.

W takich okolicznościach musiała występować o sprawiedliwość nie tylko w swoim imieniu, ale także tych jedenastu młodych i pięknych dziewcząt, które bezgłośnie się o nią dopominały ze swych mogił. Niemal oczywista sprawa karna spoczywała tylko w jej rękach.

Zapomniała wówczas, że wieloletnie doświadczenie na stanowisku prokuratora powinno ją nauczyć, iż nawet sprawy z pozoru oczywiste nigdy takie nie są. Jeśli nawet były tysiące naocznych świadków, których zeznania liczyły po kilkadziesiąt stron, a wiarygodne wyniki badań DNA nie zostawiały żadnych wątpliwości, werdykt ławy przysięgłych nadal pozostawał sprawą otwartą, a przecież po nim musiały nieuchronnie nastąpić długie lata odwołań i apelacji. Toteż szybko się przekonała, że jej oczywista sprawa wcale nie jest tak bardzo oczywista. Pojawiło się ryzyko, że winowajca uniknie sprawiedliwej kary.

W każdej typowej sprawie karnej, czy to o handel narkotykami, napad rabunkowy czy włamanie, nawet najdrobniejszy błąd policji w świetle prawa może mieć poważne konsekwencje. Sąd może odrzucić część materiału dowodowego, unieważnić zeznania, nakazać przysięgłym nie brać pod uwagę pewnych faktów. Czwarta poprawka do konstytucji zabezpiecza prawa oskarżonych, lecz jednocześnie sprawia, że niekiedy winni wychodzą na wolność. Jednakże w typowej sprawie karnej konsekwencją odrzucenia części dowodów bądź

unieważnienia zeznań, a co za tym idzie przegranej prokuratury i uniewinnienia oskarżonego, nie jest bezpośrednie zagrożenie niczyjego życia. Natomiast w tym wypadku każdy błąd mógł

przynieść tragiczny skutek, ponieważ groźny szaleniiec na zawsze odzyskałby wolność.

Właśnie do czegoś takiego C.J. Townsend, zastępca kierownika Wydziału Zabójstw w Biurze Prokuratora Stanowego, nieugięta obrończyni prawa i ofiara w jednej osobie, za żadną cenę nie mogła dopuścić.

Teraz, siedząc przy kuchennym stole, odnosiła wrażenie, że jej wspomnienia wykazują efekt domina. Każde z nich pociągało za sobą następne i następne, dopóki nie wyłoniła się pełnia obrazu.

Może faktycznie młody Victor Chavez miał wielu wrogów, ale przecież skrywał też tajemnice. To dlatego słowa wypowiedziane przez Nicholsby'ego wczesnym rankiem powracały echem w jej głowie, jakby odtwarzane ze sklejonej w pętlę taśmy magnetofonowej.

Albo po prostu go uciszył.

– Mam kłopoty – rzekł Dominick, kiedy zadzwonił na jej komórkę.

Było poniedziałkowe przedpołudnie i C.J. wracała właśnie z sądu. Przez dwie godziny usiłowała wytłumaczyć opryskliwemu i przemęczonemu sędziemu Goldsteinowi, żeby nie udzielał całodzienniej przepustki mordercy, który w pracy zastrzelił trzech swoich kolegów z karabinu AK-47, a teraz chciał odwiedzić matkę umierającą w domu opieki. Było to już trzecie identyczne wystąpienie obrony w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, a konająca mamusia za każdym razem jakoś wymykała się śmierci, gdy jej ukochany synek nie dostawał

przepustki i nie mógł jej odwiedzić. Wyszła z gmachu imienia Richarda E. Gersteina, gdzie mieścił się sąd karny, i schodziła właśnie ostrożnie po rampie, ciągnąc za sobą wózek wyładowany aktami.

– To nie jest najlepsza wiadomość, jaką chciałoby się usłyszeć w poniedziałek rano –

odparła, z trudem łapiąc równowagę, gdyż w jednej ręce trzymała wypchaną teczkę, w drugiej wyładowany wózek, a telefon komórkowy przyciskała ramieniem do ucha. – Skąd dzwonicz?

Czyżby wreszcie udało ci się wrócić do domu?

– Nie, jeszcze nie. Wciąż jestem w Miami Beach. Razem z Blackiem i Fultonem braliśmy udział w odprawie operacyjnej dotyczącej zabójstwa Chaveza. Na razie nasz wydział odgrywa tylko rolę pomocniczą w śledztwie... A raczej powinienem powiedzieć, że to ja odgrywam taką rolę. Ale tutejszy komendant nosi się z zamiarem powołania zespołu specjalnego, jeśli w najbliższym czasie nie trafią na jakiś wyraźny trop. Będę mógł pojechać do domu dopiero za jakąś godzinę. Muszę przyznać, że padam z nóg.

– Co to za kłopoty? – spytała, ruszając przejściem przez ulicę Trzynastą w stronę gmachu Grahama, gdzie znajdowało się Biuro Prokuratora Stanowego na okręg Miami-Dade.

– Nadeszły właśnie wyniki badań laboratoryjnych zwłok Chaveza. Zarówno we krwi, jak i w moczu wykryto kokainę. Poza tym miał dość zaawansowaną arteriosklerozę, czyli przedwczesne stwardnienie naczyń krwionośnych, co nie byłoby niczym niezwykłym u siedemdziesięciolatka. Ale u dwudziestodwuletniego chłopaka stanowi jedynie dowód długotrwałego zażywania kokainy bądź heroiny.

– Cholera – syknęła. – Zatem był ćpunem. Ma to jakiś związek z jego śmiercią?

Poniewczasie skojarzyła, że przecież stan, w jakim znajdowały się zwłoki w wymazanym krwią radiowozie, jednoznacznie wyklucza możliwość tego typu powiązań.

– Raczej nie. Na swoje nieszczęście nie dostał zawału serca, zanim morderca prawie całkiem odciął mu głowę. To jeszcze nie wszystko. Neilson znalazł zastanawiający szczegół.

Otóż płuca Chaveza były poobijane i wypełnione krwią, co by wskazywało, że chłopak po prostu się

w niej utopił.

Joe Neilson, specjalista medycyny sądowej, współpracował z nią przy wielu sprawach.

Nieco ekscentryczny, może nawet zdziwaczały, był jednak nadzwyczaj sumienny i ostrożny w wyciąganiu wniosków. Wielokrotnie się zdarzało, że podczas sekcji zwłok dokonywał interesujących odkryć.

– Jak się domyślam, nie jest to normalna przyczyna śmierci człowieka, któremu poderżnięto gardło?

– No cóż, jak tylko Neilson zobaczył płuca, zaczął dokładniej badać rozcięcie na gardle. Początkowo sądził, że zabójca jednym ruchem przeciął tchawicę oraz tętnicę i żyłę szyjną. Ale wtedy bezpośrednią przyczyną śmierci byłaby nadmierna utrata krwi, nie zaś utonięcie, a w płucach mogłyby zostać najwyżej niewielkie ilości krwi. Tak więc, przyglądając się uważniej ranie od noża, Neilson rozróżnił ślady dwóch cięć. Pierwsze przecięło tylko tchawicę i żyłę szyjną, którą krew płynie z mózgu z powrotem do serca, w dodatku znacznie wolniej niż tętnicą. Kiedy dochodzi do jej uszkodzenia, następuje tylko łagodny wysięk krwi, a nie fontanna pod ciśnieniem jak z tętnicy. Tak więc krew wypływająca z żyły szyjnej wlewała się do rozciętej tchawicy i dlatego Chavez w niej utonął.

Pod tym względem też miał pecha. Utonięcie trwa o wiele dłużej i jest znacznie boleśniejsze od wykrwawienia się z rozciętej tętnicy.

– Czy to możliwe, żeby morderca za pierwszym razem się pomylił i musiał zrobić drugie cięcie, by ostatecznie zrobić mu dodatkowy uśmiech na szyi? – Było to żargonowe określenie podcięcia gardła ciągnącego się niemal od ucha do ucha.

– Trudno to wykluczyć, ale Neilson jest innego zdania. Biorąc pod uwagę głębokość, szerokość i przebieg pierwszego cięcia, zostało specjalnie tak zrobione, by nie uszkodzić tętnicy.

C.J. wysiadła z windy na pierwszym piętrze i miała już przeciągnąć paskiem magnetycznym swojego identyfikatora w szczelinie zamka przy drzwiach prowadzących do Wydziału Zabójstw, lecz zastygła z uniesioną ręką i zapytała:

– A co z jego językiem? Rany powstały przed śmiercią czy później?

– Według Neilsona język został rozcięty na samym początku. Chavez prawdopodobnie próbował się uwolnić i kręcił głową na boki, kiedy to się stało, o czym mogłyby świadczyć inne obrażenia, zadrapania i siniaki w okolicy ust, jak również ślady łez na policzkach.

Dopiero potem morderca rozciął mu tchawicę i żyłę szyjną, a na samym końcu tętnicę, kończąc uśmiech.

– Matko Boska... – Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. – Technikom z dochodzeniówki udało się znaleźć jakieś ślady w samochodzie?

– W środku były setki odcisków palców, wszystkie należały jednak do zatrzymanych, którzy później na komendzie musieli je dodatkowo zostawić w aktach. To samo z włosami i włóknami tkanin. Radiowóz był wykorzystywany od trzech lat i często przewożono nim ludzi do aresztu. Musimy więc przesłuchać setki osób, wątpię jednak, by któraś z nich miała coś do powiedzenia w tej sprawie. A ze względu na wyniki badań laboratoryjnych trzeba będzie dokładnie prześwietlić policyjną karierę Chavez'a i przeprowadzić drobiazgową rewizję w jego mieszkaniu.

– Wy? Więc przejęliście już oficjalnie dochodzenie z komendy w Miami Beach?

– Jeszcze nie, ale tu wszyscy podejrzewają, że istnieje jakiś konflikt, w którym nasz wydział chciałby zachować neutralność. Black przyjaźni się z Jordanem z Miami Beach, dlatego to mnie przypada rola hydraulika mającego załatać dziurę w tej rurze ściekowej. –

Black był kierownikiem Regionalnego Wydziału do Zwalczenia Przemocności, a więc bezpośrednim przełożonym Dominicka, natomiast Jordan zajmował stanowisko komendanta policji w Miami Beach. – Chavez mieszkał w Hialeah ze swoim bratem, który może się nie zgodzić na przeszukanie, więc pewnie będzie mi potrzebny nakaz rewizji.

– Nie ma sprawy. To ja pełniłam wtedy dyżur, więc gdyby nie udało ci się nic wskórać po dobroci, daj mi znać.

Wciąż stała przed drzwiami z aparatem przy uchu, gdy tuż za nią rozległo się głośne nerwowe cmokanie. Nie musiała się nawet oglądać, żeby mieć pewność, że zobaczy swoją sekretarkę, Marisol, z rękoma opartymi na biodrach jakby specjalnie do prezentacji długich, pomalowanych błyszczącym różowym lakierem paznokci. Odsunęła się szybko przed drzwi, przepuszczając nerwową cmokalską. Rzeczywiście była to Marisol, tyle że w jeszcze gorszym wydaniu, niż się spodziewała, bo w plastikowej fluorescencyjnej minispódniczce w wielkie kwiaty.

– Dzień dobry, Marisol.

Sekretarka zignorowała ją i z dumnie zadartą głową pomaszerowała w głąb wydziału, niosąc w jednym ręku torbę z pączkami i puszkę dietetycznej coca-coli.

Wracając do przerwanej rozmowy, C.J. zapytała:

– Wpadli na jakiś trop?

– Owszem. I to niejeden. Ale jak dotąd żaden nie przedstawia się obiecująco. Wygląda na to, że Chavez figurował na wielu listach do likwidacji, zwłaszcza u kobiet, z którymi się umawiał, by potem je zwodzić, oszukiwać i zdradzać. Takich jest sporo. Poza tym trzeba brać pod uwagę gromadkę dawnych przyjaciół, od których pożyczył pieniądze i nigdy nie oddał, jak również paru kumpli ze szkoły średniej będących zaprzysiężonymi członkami Latin Kings. Ktokolwiek to zrobił, musiał mieć z tym chłopakiem na pieńku, a lista takich coraz bardziej się wydłuża.

C.J. poczuła, że trochę jej lżej na sercu. Najwyraźniej Victor miał wiele tajemnic. I raczej z nikim się nimi nie dzielił. Do tego obracał się w złym towarzystwie. Istniała szansa, że ta tajemnica, której ona

obawiała się najbardziej, wcale nie była przyczyną jego śmierci.

– Jak się na to wszystko zapatrujesz? – spytał Dominick zupełnie innym tonem, miękko i łagodnie. – Domyślam się, że ta sprawa przysporzy ci sporo kłopotów.

Aż nie mogła uwierzyć, jak bardzo na nią działała. Wystarczyła sama jego obecność w pokoju, a już czuła się bezpieczna, jak pod ochroną. Brzmienie jego głosu, nawet przez telefon, od razu koło jej nerwy. Już z powodu samego Dominicka warto było pozostać przy zdrowych zmysłach, był niczym światełko w ciemnym tunelu szaleństwa, które omal nie ogarnęło jej bez reszty. To dla niego zaczęła zdejmować maskę obojętności, za którą ukrywała się przed całym światem – choćby na krótko, byle tylko znów być sobą, zanim na powrót będzie musiała się za nią skryć. Początkiem ich romansu stała się zażyła przyjaźń, która obudziła w niej głęboką miłość. Jeszcze do niedawna nigdy by nie uwierzyła, że w ogóle można aż tak bardzo kochać jakiegoś mężczyznę. Niekiedy odnosiła wrażenie, że miłość aż zatyka jej dech w piersi.

Nie podjęli decyzji o zamieszkaniu razem. Po prostu na pewnym etapie trzyletniej znajomości on zaczął stopniowo coraz rzadziej wracać na noc do swojego mieszkania, a ona zwołała pół szafy na jego rzeczy. Popatrzyła teraz na pierścionek z brylantem, który nosiła na lewej dłoni, i uśmiechnęła się od siebie. Cieszyła się z niego jak dziecko. Niemal mimowolnie wsunęła kciuk między palce, żeby musnąć nim drogocenny kamień. Robiła to często, jakby stale musiała się utwierdzać w przekonaniu, że to nie sen. I wciąż nie mogła zapomnieć chwili, kiedy Dominick wsunął jej ten pierścionek na palec i zapytał, czy zechce dzielić z nim resztę życia. Jak również tej, kiedy zdobyła się wreszcie na odwagę, żeby powiedzieć „tak”.

– Pierwsze zaskoczenie już minęło – odparła. – Nikt nie uważał Chaveza za giganta intelektu, ale kto mógłby przypuszczać... – Urwała, kiedy makabryczne obrazy z pamięci wyparły myśli o osobistym szczęściu. Dominick, jako kierujący specjalnym zespołem dochodzeniowym w sprawie Kupidyna, dość dobrze znał arogancję i wysoki Victora. W

każdym razie większość. C.J. szybko odsunęła od siebie te posępne myśli i powiedziała ciszej: – Tęsknię za tobą. Jest jakaś szansa, że wrócisz dzisiaj o normalnej porze?

– Jeszcze nie wiem, co Black dla mnie szykuje. Ale i ja za tobą tęsknię. Czy to nie dziś po południu masz się spotkać z szefem firmy obsługującej przyjęcia weselne?

W natłoku zdarzeń ostatnich dni całkiem zapomniała o tym spotkaniu z szefem firmy cateringowej z Turnberry Isles. Może nawet nie tyle zapomniała, ile – jak powiedziałby Freud

– celowo je wyparła. Od wyznaczonej daty ślubu dzieliło ich jeszcze ponad sześć miesięcy, jednakże w trakcie ostatniej rozmowy ten człowiek wykrzyknął z oburzeniem: „Najwyższa pora!”. Bardzo chciała mieć to już za sobą. W końcu dużo ważniejsze było to, że zostaną małżeństwem, niż ugoszczenie owych stu pięćdziesięciu gości weselnych. Męczyło ją to całe zamieszanie, wielkie halo robione z faktu, że jako państwo młodzi staną przed sędzią pokoju.

W szczególności odczuwała dreszcz grozy na myśl, że wszystkie światła reflektorów zostaną skierowane na nią. Woląла skromne, a przez to bardziej pamiętne uroczystości, choćby takie jak

zareczyny, ale w tym wypadku sprawy w swoje ręce mieli wziąć najbliżsi krewni i przyjaciele, oczywiście działający w dobrej wierze, ale z jej punktu widzenia nazbyt skłonni do przesady i wyolbrzymiania. Niestety, niczego nie dało się już odkręcić. Pozostawało jej tylko zgodnie z ustaleniami wsiąść do samolotu, polecieć do Las Vegas, po czym wrócić stamtąd w euforii, z podpisanym aktem ślubu i świeżą opalenizną, nawet jeśli w skrytości ducha właśnie o tym marzyła.

– Zupełnie zapomniałam. Zadzwoń do niego i przesunę spotkanie, żebyśmy mogli uczestniczyć w nim razem. Będiesz miał okazję, żeby samemu wybrać taki odcień czerwonych serwetek, jaki ci się najbardziej podoba – zakończyła z uśmiechem.

Dominick zaśmiał się krótko.

– Mogę się uważać za szczęściarza. Ale skoro nieszczęścia idą w parze z miłością, zarezerwuj dla mnie ten taniec. Zadzwoń później. Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Przerwała połączenie, schowała telefon komórkowy i obejrzała się na hol przed windami, po którym kręcili się prokuratorzy, tak samo jak ona ciągnący za sobą wózki wyładowane dokumentami, wyłaniający się i znikający w istnym labiryncie korytarzy prowadzących do innych wydziałów Biura Prokuratora Stanowego. Niektórym towarzyszyli policjanci i adwokaci, ofiary przestępstw albo świadkowie. Dla nich był to normalny dzień wytężonej pracy, wypełniony setkami różnych obowiązków. Zaczepnęła głęboko powietrza, żeby uwolnić się od ciężaru spoczywającego na jej barkach, po czym przeciągnęła paskiem magnetycznym identyfikatora w szczelinie zamka.

Z wielką ulgą odebrała wiadomość, że Victor miał mnóstwo tajemnic ukrywanych przed całym światem. Z tym większą, że przecież i ona miała swoje sekrety.

Wystarczył jeden rzut oka na akta osobowe Chaveza znajdujące się w miejskiej komendzie policji w Miami Beach, by od razu lista osób, które Dominick miał przesłuchać, dwukrotnie się wydłużyła. Wyglądało na to, że Victor z nikim się nie przyjaźnił, jakby stronił

od wszystkich kolegów. Nie miał przyjaciół ani w swoim wydziale, ani poza nim. Sierżant opisywał go jako „opryskliwego i bezczelnego”, czego nie zaliczał jeszcze do jego największych wad. Kilkakrotnie skarżono się na niego za nadmierną gorliwość, jednakże żadna z tych skarg nie znalazła swego finału w komisji dyscyplinarnej, gdyż składali je albo bezdomni, albo włóczędzy, których świadkowie okazywali się mało wiarygodni, albo turyści, których po prostu nie można było odnaleźć, gdy po sześciu tygodniach przystępowano wreszcie do rozpatrzenia skargi.

Przez kilka tygodni po śmierci Chaveza Dominick setki razy sięgał do tych akt, podejrzanie grubych jak na cztery lata służby policyjnego żółtodzioba. Nie ulegało wątpliwości, że Victor dostawał najgorsze przydziały tylko dlatego, że miał wyjątkowe zdolności działania przełożonym na nerwy, i gdyby jeszcze żył, zapewne jeździłby w nocnych patrolach do czasu następnego złodowacenia na Florydzie albo przynajmniej do kompletnej wymiany kadry oficerskiej w komendzie, co stałoby się okazją do wybaczenia mu wszystkich grzeszków.

W miarę prowadzenia kolejnych rozmów stawało się też jasne, że Chaveza nie wyrzucano dotąd ze służby jedynie z tego powodu, że kiedyś przypadkiem udało mu się zatrzymać na moście McArthur seryjnego mordercę. A najbardziej zdumiało Dominicka to, że – według zeznań brata zabitego, Ernesta – Victor w najbliższym czasie planował się przenieść do służby w Hialeah. Nie potrafił ocenić, czy miał to być jedynie przejaw litości wobec niewygodnego gliniarza, czy też kryło się za tym coś groźniejszego. Czyżby groźba głośnego procesu z powodztwa cywilnego przeciwko władzom miejskim stała na przeszkodzie zwolnieniu ze służby nieudolnego funkcjonariusza?

W przeddzień pogrzebu Victora Ernesto Chavez przedstawił mu historyjkę równie gładką i czystą jak jego starannie wysprzątane mieszkanie. *Oczywiście, że mógł się w nim rozejrzeć, chociaż należało uznać za skandal, że mieszkanie zabitego policjanta, ni mniej, ni więcej, tylko pieprzonego bohatera, było przeczesywane jak nora pieprzonego kryminalisty.*

Wydział do Zwalczenia Przystępczości, podobnie jak te żalosalne męty z Miami Beach, które zmieniły życie Victora w piekło, nie miał za grosz szacunku dla zmarłego bohatera! Było jasne, że jedno drzewo urodziło dwa tak samo zgniłe jabłka. Brat ofiary zasypywał ich tego rodzaju uwagami przez całą godzinę, bo tylko tyle potrzebował Dominick, by w towarzystwie Marlona Dorsetta oraz trzech mundurowych z komendy miejskiej w Miami sprawdzić mały zagracony trzypokojowy lokal przy Palmetto Expressway. Nie znaleźli żadnych narkotyków.

Jeszcze przez parę dni po pogrzebie Ernesto zaprzeczał, jakoby wiedział cokolwiek na temat kokainowego nałogu swojego brata. Ale całkowicie zmienił śpiewkę, kiedy i w jego krwi – na podstawie niespodziewanych badań zarządzonych przez jego dowódcę, a zasugerowanych przez Dominicka – wykryto kokainę. Szybko wpisał się na listę uczestników Policyjnego Programu Interwencyjnego Walki z Uzależnieniami od Alkoholu i Narkotyków, bo tylko to mogło go uchronić

przed ustawieniem się w kolejce do urzędu zatrudnienia, i w końcu przyznał, że Victor lubił organizować w Miami Beach przyjęcia, podczas których serwował wszystkim działki towaru od swojego dostawcy. Tymże dostawcą miał być niejaki Mały J albo LBJ, czyli Jerome Sylvester Lightner, kolega Victora ze szkoły średniej.

Jak można się było spodziewać, Chavezowi brakowało na ten cel nawet forsy wyludzanej od kolejnych podrywanych dziewcząt, skontaktował się więc z innym swoim kumplem, Ricardem Brueto, przywódcą Latin Kings. Dostał od niego pięć tysięcy dolarów, żeby ostatecznie rozliczył się z LBJ i uwolnił od natarczywego „przyjaciela”. Przynajmniej na jakiś czas. Ale rozliczenia w gangsterskim półświatku wcale nie są rzeczą prostą, a rachunki mogą rosnąć astronomicznie z godziny na godzinę.

Kiedy zwłoki Victora spoczęły już w mogile, umilkły salwy z dwudziestu jeden karabinów i pompa dobiegła końca, dla paru wtajemniczonych osób obraz był dosyć klarowny. Dominick podejrzewał, że gdy tylko uda im się odnaleźć LBJ, który dosłownie zapadł się pod ziemię zaraz po zabójstwie, dodatkowo wyjdzie na jaw, że w ramach spłaty długu Victor musiał też oddać życie albo, chwytając się ostatniej deski ratunku, wypaplał

wszystko swojemu kumplowi z Latin Kings i plotki błyskawicznie rozeszły się po mieście.

Tak czy inaczej, domniemanych przyczyn śmierci policjanta rysowało się sporo, a co jedna, to mniej przyjemna. No cóż, jak chodzi się spać z kundlami, trudno nie budzić się rano zapchlonym. Jeśli w ogóle się człowiek obudzi.

Ricardo już na samym początku zdecydował, że najlepiej dla niego będzie zachować całkowite milczenie, a wziąwszy pod uwagę jego zabazgraną kartotekę, trudno się było dziwić takiemu podejściu. Skoro nic nie mogło go skłonić do złożenia zeznań, pozostawało tylko czekać i obserwować. LBJ musiał w końcu gdzieś się pojawić. Jego zeznania powinny okazać się kluczowe, gdyż jeśli zabił policjanta, groziło mu krzesło elektryczne.

Tak więc śmierć Chaveza wyglądała na efekt gangsterskich porachunków, co było o wiele bardziej prawdopodobne od przypadkowej zbrodni awanturującego się włóczęgi czy aktu zemsty jednej z oszukanych kochanek, a ta świadomość pozwoliła nieco odetchnąć śledczym prowadzącym dochodzenie. Priorytetem pozostawało wciąż odnalezienie zabójcy, lecz skoro sprawa okazała się związana z handlem narkotykami, od razu spadła o kilka pozycji na liście najpilniejszych zadań. W przeciwieństwie do innych chłopców w niebieskich mundurach, którzy zginęli na służbie, Victor w pełni sobie zasłużył na ten bilet w jedną stronę do świętego Piotra.

Plotki o powiązaniu zabójstwa z narkotykami przedostały się do prasy i nawet najbardziej żądni sensacji dziennikarze szybko znudzili się brakiem postępów w śledztwie.

Codziennie reportaże pod tytułem *Na tropie zabójcy policjanta!* najpierw zostały przeniesione z czołówek gazet do sekcji wiadomości lokalnych, a po następnym tygodniu całkiem zniknęły z prasy, podobnie jak wirujący emblemat wydziału policji w Miami Beach, przedstawiający kordzik na tle błyszczącej odznaki, który dotąd towarzyszył elektryzującym wieściom przedstawianym w dzienniku telewizyjnego Kanału Siódmego.

Biedny Victor. Dane mu było bardzo krótko chodzić po tym świecie i przez ten czas niewiele skorzystał z życia. Co prawda, na pogrzebie pojawiło się wielu mundurowych, Dominick nie miał jednak złudzeń, że przyszli bardziej z obowiązku niż z żalu po zmarłym.

Większość z pięciuset gliniarzy uczestniczących w uroczystości nawet nie znała Chaveza, a ci, którzy go znali, taktownie woleli zachować dla siebie jakiegokolwiek komentarze dotyczące jego gwałtownej i przedwczesnej śmierci. Niby-chór męskich głosów szedł w zawody z dźwiękami organów podczas żałobnych psalmów, ale dla Dominicka, który już nieraz reprezentował Wydział do Zwalczenia Przestępczości podczas ceremonii pogrzebowych, wewnątrz katedry niemal świeciło pustkami. Co smutniejsze, łzy szlochającej matki Victora miały być tego dnia jedynymi przejawami żałoby po zabitym.

Kiedy ukończył wreszcie najświeższy raport i zostawił go w stojącym na biurku sekretarki koszyku z nalepką „Dochodzenia bieżące”, zamknął się w pustym pokoju obok wyjścia z biura i ciężko usiadł na krzesło, próbując uwolnić myśli od grubej warstwy pajęczyny przemęczenia. Odruchowo przeciągnął dłońmi po włosach, ożywiając w sobie nadzieję, że uda mu się zachować na tyle przytomności, żeby bezpiecznie dojechać do domu.

Pocieszał się świadomością, że przesiadywanie wieczorami w biurze powinno się wkrótce definitywnie skończyć. Skoro cała policja szukała teraz Małego Jerome'a, wyglądało na to, że jest tylko kwestią czasu, kiedy sprawa morderstwa Victora Chaveza zostanie ostatecznie wyjaśniona i znajdzie swój finał w sądzie.

Mężczyzna ukryty w niewielkiej kępie palm uważnie obserwował policjanta siedzącego za kierownicą wozu patrolowego. Bruce Angelillo, funkcjonariusz z komendy miejskiej Miami-Dade, sprawiał wrażenie zmęczonego i sennego. Po krótkich rześzystych deszczach, jakie wcześniej przechodziły kilkakrotnie, na dachu i przedniej szybie auta wciąż połyskiwały pojedyncze grube krople wody. Nad niezbyt odległymi bagnami Everglades niebo raz za razem rozjaśniały postrzępione zygzaki błyskawic.

Mężczyzna głęboko wciągał w nozdrza powietrze przesycone wilgocią i zapachem mokrego betonu dolatującym od strony najnowszego centrum handlowego na obrzeżach Miami. Na zachód od gigantycznej hali, gdzie zygzaki błyskawic stykały się z ziemią, znajdowała się ciągle rozbudowywana autostrada Turnpike. Zaraz za nią w niebo wznosiły się strzeliste sosny, wśród których wciąż można było napotkać sarny. Przynajmniej na razie, dopóki inwestorzy nie wycięli całej trawy i nie wytepiłi aligatorów pod nową zabudowę. Ale i ta miała się wkrótce rozpocząć, musiały wyrosnąć tam nowe domy, rezydencje i bloki, bez wyjątku zwane „posiadłościami” w gigantycznych kampaniach reklamowych. Miały stanąć w szeregach czy też na planie szachownicy, otoczone wysokimi murami ze strzeżonymi bramami wjazdowymi, gdyż takie były współczesne wymogi z powodu nasilającej się na Florydzie przestępczości.

Właściciel centrum handlowego porozmieszczał dokoła gazony z bujną tropikalną roślinnością, żeby choć trochę zatrzeć pustynne wrażenie asfaltowego bezkresu z czterema tysiącami miejsc parkingowych. Dwieście metrów dalej znajdowały się jasno oświetlone, przyciągające klientów salony – Burdine’a, Bloomingdale’a, Dillarda – ale tu, w odległym kącie parkingu, zalegały nieprzeniknione ciemności, rozjaśniane tylko od czasu do czasu wyglądającym zza deszczowych chmur księżycem, w którego blasku wyniosłe palmy rzucały na asfalt długie cienie. Ze swojej kryjówki za grubym pniem kalifornijskiego daktyłowca otoczonego przez rozrośnięte kępy begonii mężczyzna przyglądał się z uwagą, jak policjant w mętym świetle podsufitowej lampki wystukuje coś na klawiaturze służbowego laptopa, co chwila zasłaniając wierzchem dłoni usta, by zasłonić ziewnięcie.

Zbliżała się wyznaczona pora. Gliniarz działał niemalże z punktualnością szwajcarskiego zegarka.

Nagły poryw wiatru poniósł przez plac zeschnięty i nadgniły liść palmowy. Jego szuranie o asfalt złało się ze szmerem, zdawać by się mogło, towarzyszącym przedziwnemu tańcowi gibkich palm na wietrze. Było pewne, że wkrótce deszcz znowu nadciągnie ze zdwojoną siłą.

Minęły już trzy tygodnie od czasu, kiedy mężczyzna zetknął się ze śmiercią, czuł pod palcami jej szybki i kuszący rytm. Niemal całe jego ciało skąpało się wówczas we krwi innego człowieka. Nie mógł zapomnieć wrażeń, gdy jego dłoń zaciskała się na mięsistym gardle Chaveza, kiedy sycił oczyma głęboką purpurą wypływającego zeń życia, ściekającego na tandetne winylowe obicia foteli policyjnego wozu. Wciąż miał przed oczyma wytrzeszczone ze strachu piwne źrenice Victora, który bezgłośnie błagał o litość, gdyż z jego gardła dobywało się już tylko nieartykułowane rżenie i charkot. Teraz miał przed sobą innego gliniarza, Bruce’a, który tak samo skrywał za policyjną odznaką uśmiech całkowicie zdemoralizowanego człowieka. I on przynosił jawny wstyd noszonemu

mundurowi. Jego brak w policyjnych szeregach z pewnością musiał zostać zauważony, chociaż mało kto powinien przyjąć to z żalem. Zwłaszcza gdy wyjdzie na jaw prawda o jego poczynaniach.

Jak w zegarku Angelillo otworzył drzwi radiowozu, wysiadł i przeciągnął się szeroko.

Wyciągnął z kieszeni paczkę złotych marlboro i przypalił papierosa. Palenie w samochodzie w ogóle nie wchodziło w grę. Dowódca sekcji patrolowej, który kiedyś też palił, a obecnie walczył z rakiem, powtarzał na każdej odprawie: „Jeśli ta robota was nie wykończy, zrobią to na pewno papierochy”.

Mężczyzna wyprostował się, wyszedł zza palmy i ruszył w kierunku otoczonego obłokiem dymu policjanta. Bardzo śmieszny był wyraz bezgranicznego zaskoczenia na jego twarzy, kiedy po jakimś czasie wolno reagujący umysł podpowiedział mu, że odgłos kroków rozlegający się za jego plecami może zwiastować kłopoty. Było to tym bardziej zabawne, że jako policjant na służbie Bruce powinien być dużo lepiej przygotowany na różne niespodzianki. Ale podobnie jak Chavez miał o wiele za mało doświadczenia w takich sprawach.

– Można skorzystać z ognia, panie władzo? – zagadnął.

Pytanie było trochę nie na czasie, jako że gliniarz na sam widok nieznanego natychmiast rzucił papierosa na asfalt i zaczął się nerwowo rozglądać po pustym parkingu.

Jednakże zamiast odpowiedzi z jego gardła wydobyło się coś przypominającego bardziej kwik przestraszonej świni, podczas gdy ręka niemal odruchowo sięgnęła do zapiętego w kaburze glocka.

Ale było już za późno. Długie piłkowane ostrze noża wbiło się w jego pierś, funkcjonariusz upadł, a mężczyzna od razu zaczął go wciągać z powrotem do radiowozu.

Przez głowę Bruce’a Angelilla przemknęła trochę dziwna w tej sytuacji myśl, że sierżant jednak miał rację: zgubny nałóg i jemu przyniósł śmierć.

Wiatr potoczył wciąż palącego się papierosa w głąb placu, rozsypując na boki drobniutkie pomarańczowe iskierki niczym łyż, zanim ostatecznie wepchnął go w kałużę, w której ognek natychmiast zgasł.

O piątej nad ranem aparat Nextela leżący na bielizniarce zaczął popiskiwać.

– Odbierz, Dom. To na pewno Fulton.

Jimmy Fulton był agentem specjalnym nadzorującym pracę Wydziału Zabójstw, w którym pracował Falconetti. Jego chrapliwy głos mówiący z charakterystycznym zaśpiewem południowca rozszedł się po tonącej w ciemności sypialni. W tle wyraźnie było słychać zawodzenie syren policyjnych.

Dominick błyskawicznie oprzytomniał. C.J. usiadła obok niego w łóżku. Na zewnątrz padało, deszcz z uporem bębnił w okienny parapet.

Włączył aparat i rzucił do mikrofonu:

– Fulton? To ja, Dom. – Jednocześnie wstał i zaczął jedną ręką wciągać spodnie. Po tonie głosu agenta od razu się domyślił, że będzie musiał wyjść z domu. – Co się dzieje?

– Mamy następnego trupa – oznajmił Fulton lekko roztrzęsionym głosem, pełnym wściekłości i obrzydzenia. Jak również nieskrywanego strachu. Współpracował z Wydziałem do Zwalczenia Przestępczości od dwudziestu ośmiu lat, z czego dziewiętnaście na stanowisku doradcy różnych wydziałów, między innymi Walki z Narkotykami, Korupcji czy Przestępczości Zorganizowanej, a od dwóch lat Wydziału Zabójstw. Należał do weteranów, którzy niejedno widzieli i z niejednego pieca chleb jedli. Od kiedy Dominick go znał, to znaczy od piętnastu lat, nigdy jeszcze nie słyszał w jego głosie tak wyraźnej nuty strachu. –

Następnego cholernego zabitego gliniarza. I to tutaj, w samym mieście, tuż pod naszym nosem.

Dominick zastygł na chwilę z lewą ręką uwięzioną w rękawie koszuli. Poczuł tak silne ściskanie w dołku, jakby nabawił się poważnej niestrawności.

– Co takiego?

– Wygląda to na robotę tego samego świra, który zarzął chłopaka z Miami Beach.

Tyle że ten jeździł w patrolu Miami-Dade. Został niemalże poćwiartowany, Dom. Bardzo źle to wygląda. Przez wszystkie lata służby nie widziałem jeszcze takiej jatki. A już na pewno nie w wozie patrolowym!... – Głos agenta przycichł nagle, jakby odsunął aparat od twarzy.

Doleciało jeszcze stłumione: – Jezu...

Kolejny zamordowany policjant. Znow trzeba było pucować buty i odznaki oraz prasować mundury galowe.

– Chryste... – mruknął Dominick, siadając mimowolnie na brzegu łóżka. – Kto to jest, Jimmy? Kto zginął?

– Dom, twarz tego chłopaka przypomina mięso mielone na hamburgery. Według wstępnej identyfikacji to Bruce Angelillo. Znałeś go?

Falconetti pokręcił głową, pogrążony w zadumie. Usiłował w myślach dopasować znaną z widzenia twarz do tego nazwiska. Wreszcie wstał i ruszył w drugi koniec pokoju.

– Nie. Jakoś nie mogę sobie przypomnieć. – Odsunął w bok żaluzję o drewnianych listewkach i wyjrzał na dwór. Strugi deszczu chlastały o szybę, na wodach zatoki szybko przesuwały się spienione fale. Światła leżącego po drugiej stronie Pompano Beach rozmywały się w niewyraźną plamę. Tylko zegarek wskazywał, że słońce niedługo wzejdzie, gdyż były marne szanse, żeby je dzisiaj zobaczyć. Ze skłębionej masy chmur wiszących nad południową Florydą od trzech dni waliły się na ziemię tony wody, powodując na śliskich autostradach jedną stłuczkę za drugą. – W każdym razie zaraz wychodzę. Gdzie to się stało, Jimmy?

– Jedź do biura – odparł Fulton. – Tylko się nie pomył i na Turnpike skreć na zjazd prowadzący na ulicę Dwunastą.

– To nie jesteś na miejscu zbrodni? – spytał zdziwiony, bo w tle wciąż było słychać syreny policyjne, nawet z każdą chwilą głośniejsze, jakby przybywały kolejne wozy patrolowe.

– Owszem, jestem. Stoję na parkingu za centrum handlowym Dolphin Mall. Po drugiej stronie ulicy widzę nasz cholerny gmach Regionalnego Centrum Operacyjnego i siedzibę drogówki stanowej. Jak powiedziałem, do zabójstwa doszło tuż pod naszym nosem. –

Westchnął głośno, po czym dodał z rezygnacją: – Jezu, gdyby ściąć parę sosen, mógłbym ci powiedzieć, czy nie zostawiłeś zapalonego światła w swoim gabinecie, Dom.

Falconetti znów poczuł silne ściskanie w dołku. Przed kilku laty władze stanowe wykupiły skrawek ziemi na zachodnim krańcu Miami i postawiły na nim rozległy nowoczesny kompleks budynków przeznaczony dla rozmaitych stanowych służb ochrony porządku publicznego, między innymi dla Wydziału do Zwalczania Przystępności, Florydzkiej Komendy Ruchu Drogowego czy też Biura Prokuratora Stanowego. Rok później wyrosło obok centrum łączności z dwudziestometrową wieżą antenową dużej mocy i rozbudowanym systemem satelitarnym, obsługujące całą urzędową komunikację radiową od Palm Beach aż po Florida Keys. W sumie była to istna policyjna forteca, w której funkcjonariusze i prawnicy wykonywali swoje obowiązki przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Aż pokręcił głową, próbując opanować narastające mdłości. Regionalne Centrum Operacyjne było ze wszystkich stron otoczone sosnowymi zagajnikami, ale kilkadziesiąt metrów na północ od niego rozciągał się już gigantyczny parking nowo wybudowanego centrum Dolphin Mall, który tej nocy stał się miejscem zbrodni.

C.J. wciąż siedziała w łóżku ze spuszczoną głową, pobladła, w zamyśleniu pocierając palcami skronie. Jakikolwiek słowa były zbędne, dzięki dużej mocy aparatu Nextela dokładnie słyszała całą relację Fulтона. I podobnie jak Dominick za wszelką cenę starała się pojąć, co się dzieje.

– Rozumiem. Zaraz tam będę.

Dominick wyłączył aparat i w sypialni zaległa wręcz ogłuszająca cisza, przerywana jedynie monotonnym bębnieniem deszczu o szyby.

Tym razem ich role się odmieniły.

– Chcesz, żebym z tobą pojechała? – odezwała się po chwili.

– Nie. Sprawę przejmie dyżurny prokurator. Dość okropności widziałas w ubiegłym miesiącu.

– I tak mogą mnie wezwać, skoro prowadzę sprawę Chaveza.

– Zobaczymy. Na razie zostań w domu. Zadzwoń, gdy tylko dowiem się czegoś więcej.

– Dobrze – powiedziała cicho.

Dominick ruszył do wyjścia z sypialni, ale zatrzymał się jeszcze przed drzwiami.

Ogarnęła go fala tak silnych emocji, że zawrócił szybko, przysiadł na skraju łóżka, objął ją i przytulił mocno, aż poczuł na policzku ciepło oddechu C.J. Zanurzył twarz w jej włosach i pocałował ją delikatnie w kark, wciągając głęboko w nozdrza delikatny zapach liliowego balsamu do ciała.

Po chwili odsunął się bez słowa, wstał i wyszedł na korytarz, przestępując nad Lucy rozciągniętą u progu sypialni.

Wystarczył mu jeden rzut oka na zmasakrowane zwłoki Bruce'a Angelilla, spoczywające za kierownicą biało-zielonego radiowozu patrolowego z komendy miejskiej Miami-Dade, by dojść do wniosku, że mordu dokonał ten sam sprawca bądź też jego naśladowca, tyle że wtedy mógł nim być wyłącznie inny policjant z komendy w Miami Beach, gdyż większość drastycznych szczegółów dotyczących brutalnego zabójstwa Chaveza ukryto przed opinią publiczną. Wszystkie szyby od środka były usmarowane zakrzepłą krwią.

Przez szyję zabitego ciągnęła się długa, szeroko rozwarta rana od noża, jakby makabryczny

„drugi uśmiech” miał być znakiem rozpoznawczym mordercy. Skute kajdankami ręce zaciskały się kurczowo na kierownicy, a plakietka identyfikacyjna z nazwiskiem została odcięta wraz z całą klapką kieszonki munduru i zniknęła, podobnie jak służbowa odznaka Angelilla. Zgadzały się wszystkie szczegóły poza jednym – zabity miał cały język, tyle że dziwnie ułożony.

Reporterzy rzucili się na miejsce zbrodni jak stado wygłodzonych wilków, zmuszając policję do zamknięcia wszystkich zjazdów z Turnpike na autostradę Dolphin, na dodatek w samym środku poniedziałkowego porannego szczytu. Nad parkingiem krążyły reporterskie helikoptery, z których fotoreporterzy pod wszelkimi możliwymi kątami robili ujęcia tłumu policjantów w pelerynach i porozstawianych na każdym skrawku wolnej przestrzeni furgonetek z wielkimi talerzami anten satelitarnych na dachu. Wszyscy chcieli zdobyć jak najlepsze zdjęcia do relacji przekazywanych na żywo od Nowego Jorku po Los Angeles. W

rezultacie szczęśliwcy zdążający do pracy w śródmieściu zaliczali co najmniej dwugodzinne spóźnienia, a pechowcy stawali się ofiarami niezliczonych stłuczek powodowanych przez nieuważnych gapiów na śliskiej od deszczu nawierzchni.

Deszcz zniweczył wszelkie nadzieje na odnalezienie jakichkolwiek śladów na asfaltowym parkingu i w jego sąsiedztwie. Zmył ewentualne ślady opon, butów czy też plamy krwi. Włosy i włókna tkanin, niedopałki papierosów bądź guma do żucia, z których można by zyskać DNA zabójcy, na zawsze przepadły wskutek ulewy.

Gdy o wpół do dziewiątej karetka Zakładu Medycyny Sądowej zabrała do kostnicy zwłoki Angelilla, podążyło za nią kilka reporterskich furgonetek. Ale jeszcze przez cały dzień gliniarze kręcili się po parkingu zastawionym wozami patrolowymi. Pasy żółtej policyjnej taśmy przypominały papierowe dekoracje po hucznej zabawie, zabłocone, mokre od deszczu, poszarpane przez wiatr i stratowane butami.

Zwłoki zostały odnalezione o 4.45 rano przez krążący po autostradzie patrol drogówki, który zwrócił uwagę na wciąż stojący w odległym końcu parkingu wóz patrolu miejskiego.

Podjeżdżając, że policjant uciął sobie drzemkę, podczas gdy oni muszą w ulewnym deszczu ścigać na Turnpike piratów drogowych, postanowili przywołać do porządku rozleniwionego kolegę i gwałtownie otworzyli drzwi auta. Ale widok, jaki w środku ujrzeli, według podejrzeń Dominicka mógł sprawić, że nawet dowódca patrolu, mający za sobą dwadzieścia lat służby, jeszcze tego

samego dnia złoży wnioski o przeniesienie na wcześniejszą emeryturę.

O dziesiątej rozpoczęła się konferencja prasowa, w której uczestniczyli przedstawiciele różnorodnych sekcji policyjnych – a więc nie tylko Wydziału do Zwalczania Przystępności czy drogówki, komend miejskich z Miami oraz Miami Beach, lecz nawet skupiającego dwudziestu czterech ludzi posterunku Straży Wód Przybrzeżnych – ponieważ wszyscy byli bardzo zaniepokojeni reakcjami mieszkańców w rejonach swoich jurysdykcji, a także tym, że funkcjonariuszom polecono błyskawicznie podjąć wzmożone środki ostrożności. W plotkach wyolbrzymiano fakty, a co gorsza, podawano wstrząsające szczegóły zbrodni. Powstał więc rozgardiasz. W komendach dosłownie urywały się telefony. Ludzie pytali: „Czy to robota terrorystów? Gangsterskie porachunki? Kolejny seryjny zabójca?”.

Błyskawicznie mnożyły się raporty z rozmaitych doniesień i zeznań podejrzanych, jakby wszyscy nagle poczuli potrzebę zameldowania o szczekającym po całych nocach psie sąsiada bądź koledze z pracy, który tego dnia zjawił się rano z podkrążonymi oczami, a wcześniej po otrzymaniu mandatu za przekroczenie szybkości głośno pomstował na bezduszość policji.

Koło południa wybuchło coś w rodzaju międzywydziałowej wojny, pojawiły się wzajemne oskarżenia o kunszacty z dziennikarzami i łamanie niepisanego kodeksu honorowego służb mundurowych, którego motto brzmiało: „Zjednoczeni wytrwamy, podzieleni przegramy”. Rozprzestrzenił się chaos. Dwa wydziały prowadziły teraz sprawy odrębnych, lecz najwyraźniej powiązanych ze sobą zabójstw, a żaden nie chciał się podzielić z drugim zdobytymi informacjami. Jak można się było spodziewać, cały ten bałagan tylko niepotrzebnie przyciągał uwagę przyczajonego groźnego drapieżnika, który zawsze liczył na łakomy kąsek, gdy inni padlinożercy skoczą sobie nawzajem do gardeł.

Odebrali telefon parę minut po trzynastej, w trakcie narady w nowocześnie urządzonej sali konferencyjnej Wydziału do Zwalczania Przystępności. Konkretnie odebrał go Black, który usłyszał, że ma nie odkładać słuchawki, bo chce z nim rozmawiać szef rejonowego biura FBI, agent specjalny Mark Gracker. Zanim jeszcze doszło do tej rozmowy, Fulton odebrał przez krótkofalówkę wiadomość, że na miejscu zbrodni zjawiła się cała chmara agentów FBI gotowych pomóc w dochodzeniu.

Równocześnie w dzienniku telewizyjnym pokazano młodą podekscytowaną reporterkę chroniącą się przed deszczem pod okapem pobliskiego centrum handlowego. Kurczowo ściskając w ręku mikrofon, z posępną miną i wytrzeszczonymi oczami, przedstawiła pokrótce szczegóły ostatniego dokonania zabójcy, który ewidentnie wziął na cel funkcjonariuszy policji, po czym zapytała:

– Czy te dokonane z zimną krwią egzekucje są wynikiem brutalnych gangsterskich porachunków, jak wnioskowano po morderstwie w Miami Beach? Czy też mamy do czynienia z czymś znacznie gorszym, ewentualnym dowodem powiązań między kartelami narkotykowymi a skorumpowanymi policjantami? A może to tylko wyczyn przewrotnego szaleńca, który postanowił skupić uwagę policji, ustawowo powołanej do ochrony społeczeństwa, na ochronie własnych funkcjonariuszy? Kimkolwiek jest zabójca, na pewno zmusił policjantów z południowej Florydy, by po raz kolejny zamienili niebieskie mundury na czarne żałobne marynarki, gdyż czeka ich wkrótce następna ceremonia pogrzebowa kolegi, który stracił życie podczas wykonywania obowiązków służbowych. –

Zgodnie z obowiązującym kanonem zawiesiła głos na dwie sekundy, po czym ze zmarszczonymi brwiami zakończyła śpiewnie: – Mówiła Kathy Cocuy dla dziennika CNN News.

Tak oto Miami znów znalazło się w blasku jupiterów. Zanosiło się na to, że wszyscy znów będą musieli siedzieć po nocach, próbując zidentyfikować mordercę, który właśnie zyskał chwytliwy makabryczny pseudonim: Czarna marynarka.

C.J. siedziała przy swoim biurku i wyglądała przez okno na olbrzymie kałuże na ulicy Trzynastej. Ulewny deszcz tak samo psuł humory obrońcom z prywatnych kancelarii, noszącym bardzo drogie i szyte na miarę garnitury, jak znacznie skromniej ubranym prawnikom na państwowych posadach, pełniącym funkcje obrońców z urzędu.

Po drugiej stronie, naprzeciwko gmachu sądu, mieściło się więzienie okręgowe powszechnie określane skrótem DCJ – koszmarna budowla z szarego piaskowca z oknami zabezpieczonymi drucianą siatką. Pod niewielkim okapem od frontu kryło się tam sporo ludzi: jedni czekali na małżonki, kochanki bądź współpracowników, inni na adwokatów mających wpłacić za nich kaucję. Strażnicy więzienni w zielonych mundurach co jakiś czas odganiaли ich sprzed wejścia, lecz ludzie zaraz wracali, chroniąc się przed deszczem.

Skoncentrowała się na tym, co ją czeka w najbliższym czasie. O dziewiątej miało się rozpocząć w sądzie posiedzenie dotyczące wyboru składu przysięgłych w sprawie o zabójstwo z premedytacją. Przewodniczył sędzia Sy Penney. Teraz była już 8.42. W kącie jej gabinetu stał metalowy wózek wyładowany czterema kartonowymi pudłami pełnymi akt, które jakimś sposobem trzeba było przetransportować przez ulicę w suchym stanie.

Z przenośnego telewizora stojącego na blaszanej szafce na dokumenty dolatywały niekończące się relacje z zabójstw policjantów, które już drugą dobę były tematem numer jeden. Matt i Katie, Diane i Charlie, nawet Kelly i Regis nie szczędzili własnych komentarzy w tej sprawie, zanim w końcu przedstawiali swojego słynnego gościa i zaczynali omawianie jego najnowszego filmu. Rzecz jasna przy każdym nawiązaniu do wydarzeń w Miami pojawiały się zdjęcia z miejsca zbrodni. W migawkach przelatywały po ekranie tłumy gapiów, migające światła radiowozów, wykrzywione złością twarze policjantów, no i przede wszystkim widoki czarnego plastikowego worka na tle wyłożonej klinkierem fasady Zakładu Medycyny Sądowej. Najczęściej przypomniano też poprzednią okazję, przy której dziennikarze zmuszeni byli do obozowania na schodach przed gmachem sądu w Miami, toteż w przebitkach pojawiały się zdjęcia z dochodzenia w sprawie Kupidyna i późniejszego procesu Bantlinga.

Zanim do reszty opanował ją smutek przemieszany ze złością, ulżyło jej odrobinę, gdy zadzwonił Dominick. Potwierdził, że zginął Bruce Angelillo, niczym niewyróżniający się gliniarz znany z brutalności i skłonności do rozrób, który od sześciu lat służył w policji miejskiej Miami-Dade, a konkretnie na posterunku w Kendall, i nie miał nic wspólnego ze sprawą Kupidyna. C.J. go nie znała, nigdy się z nim nie zetknęła. Dominick przytoczył

jeszcze garść szczegółów dotyczących zabitego, ale dla niej były one już dużo mniej interesujące, skoro mogła się wreszcie uwolnić od prześladowającego ją lęku.

W swoim burzliwym, acz krótkim dwudziestoosmioletnim życiu Angelillo zdążył się dwa razy rozwieść i miał dwójkę małych dzieci, z czego jedno nieślubne. W jego aktach osobowych, podobnie jak Chaveza, więcej było skarg niż pochwał, toteż zbieżność lekceważącego stosunku do etyki zawodowej obu zamordowanych skupiła już uwagę śledczych. Jutro miały nadejść wyniki badań

laboratoryjnych próbek krwi i dopiero one wykażą, jak daleko sięgają zauważone podobieństwa.

Ale już teraz wszystko wskazywało na to, że oba morderstwa przypadną w udziale właśnie C.J. Mimo że tym razem na miejsce zbrodni pod Dolphin Mali został wezwany inny prokurator z Wydziału Zabójstw – nie kto inny, jak były szef Wydziału Przystępczości Zorganizowanej – to jednak w poniedziałek właśnie z nią rozmawiał osobiście prokurator stanowy.

Głównie ze względu na wielkie zainteresowanie mediów spory międzywydziałowe szybko przycichły, jeszcze w poniedziałek wieczorem. Bo choć żaden z wydziałów nie chciał

się dzielić dochodzeniem z innymi, to przede wszystkim nikt nie zamierzał oddać śledztwa w ręce FBI. Oczywiście wcale nie dlatego, że służby federalne działały mało efektywnie. Biuro dysponowało świetnymi fachowcami i najnowszymi technikami analitycznymi, więc w takiej sprawie jak ta, o której zrobiło się głośno w całym kraju, mogło powołać odpowiedni zespół

dochodzeniowy i szybko zakończyć śledztwo. Ale przez lata wśród instytucji lokalnych zyskało złą sławę firma, która tylko wykłada zasługi, a umywa ręce od niepowodzeń, dlatego wszyscy wodzowie szybko postanowili utworzyć wspólny front i uzgodnili podział ludzi oraz funduszy. Jeszcze w poniedziałek o jedenastej wieczorem odbyła się konferencja prasowa zorganizowana wspólnie przez komendantów policji z Miami i Miami Beach oraz szefa Wydziału do Zwalczenia Przystępczości. Na podwyższeniu w sali konferencyjnej zasiadło oprócz nich kilku przedstawicieli innych instytucji ochrony porządku publicznego z całego okręgu. I wszyscy jak jeden mąż ponuro kiwali głowami, gdy szef Wydziału do Zwalczenia Przystępczości oświadczył, iż na żądanie gubernatora powołuje specjalny międzywydziałowy zespół dochodzeniowy, który będzie działał w Regionalnym Centrum Operacyjnym. Przy samym końcu stołu prezydialnego siedział Jerry Tigler, prokurator stanowy i przełożony C.J.

Kiedy wreszcie udzielono mu głosu, powiedział tylko, że zespół dochodzeniowy może liczyć na pełne wsparcie ze strony jego biura.

A dziesięć minut później zadzwonił do niej.

Zaliczał ją do swoich najzdolniejszych podwładnych. Ponadto miała doświadczenie we współpracy ze specjalnym zespołem powołanym do sprawy Kupidyna, w którym pełniła funkcję doradcy prawnego już rok przed ujęciem mordercy. A co ważniejsze, odznaczała się olbrzymim szacunkiem dla funkcjonariuszy służb ochrony porządku publicznego, a w szczególności śledczych z Wydziału Zabójstw. Ponadto miała też spore doświadczenie w ściganiu seryjnych zabójców i gangsterskich egzekutorów, co mogło jej się teraz przydać.

Dlatego Tigler zamierzał oddelegować ją do pracy w zespole dochodzeniowym. Doskonale pamiętał, jakie piekło przeszła, pracując nad sprawą Kupidyna, toteż wyjątkowo zwracał się do niej bardzo łagodnym tonem, nie wydając jak zwykle kategorycznego służbowego polecenia. Odparła, że z samego rana rozpoczyna nowy proces, ale po wstępnym posiedzeniu w sądzie udzieli mu odpowiedzi.

Posiedzenie się jeszcze nie zaczęło, ale ona już podjęła decyzję. Na razie zakryła pudła na wózku

arkuszem grubej folii zostawionej w gabinecie przez malarzy, chwyciła ze stojaka parasol i ruszyła do wyjścia.

Rzeczywiście czuła się bardzo silnie związana ze środowiskiem policjantów, i to nie tylko ze względu na Dominicka, ale głównie z powodu swoich codziennych obowiązków. To przecież oni musieli się stykać z tymi wszystkimi okropnościami, które ona częstokroć widywała jedynie na zdjęciach z miejsc zbrodni czy z sali sekcyjnej w prosektorium. To oni zawsze ryzykowali podczas interwencji, gdy ratowali bitą żonę czy maltretowane dziecko. To oni musieli oglądać makabryczne sceny, gdy ludzka psychika nie wytrzymywała napięcia i pogrążony w depresji ojciec stawał się katem albo wściekły robotnik brał odwet na kolegach z pracy. Miała naprawdę olbrzymi szacunek dla policjantów, którzy dzień po dniu zdobywali się na niezwykłą odwagę i byli nawet gotowi zasłonić własnym ciałem zupełnie obcego człowieka, gdyby zaszła taka konieczność.

W dodatku prokuratorzy i policjanci ściśle ze sobą współdziałali na drodze do osiągnięcia wspólnego celu – wymierzenia sprawiedliwości. W swojej karierze C.J.

współpracowała głównie z najbardziej doświadczonymi detektywami z Miami, którym rzadko zdarzały się nawet drobne błędy. Przez lata oficerowie śledczy z Wydziału Zabójstw stali się jej bliskimi przyjaciółmi. Znała ich domowe kłopoty i imiona dzieci, wiedziała o zbliżających się rocznicach bądź rodzinnych tragediach. I doskonale zdawała sobie sprawę z brzemienia odpowiedzialności, jaka ciągle na nich spoczywa. Nie dość, że ustawicznie stykali się ze śmiercią, to musieli jeszcze szybko rozwiązywać sprawy, bo już czekały kolejne. Pracując w takim zakętym kręgu, często po prostu zapominali, że są jeszcze na świecie porządni, uczciwi ludzie.

– Wszyscy nosimy okulary – powiedział jej kiedyś jeden z detektywów – ale z nefrytowymi płytkami zamiast szkieł.

Właśnie ze względu na to przywiązanie do środowiska pragnęła w miarę możliwości dopomóc w prowadzonym śledztwie. Jak mogłaby odmówić? Co prawda w ogóle nie znała Bruce’a Angelilla, lecz Victor Chavez... Nawet jeśli nie był najbystrzejszym gliniarzem czy najlepszym świadkiem w czasie rozprawy, to przecież zdążyła go poznać, spotykała się z nim i rozmawiała w swoim gabinecie, kierowała jego wystąpieniem przed sądem. W

przeciwieństwie do innych ofiar zabójstw, których sprawami się zajmowała, ta jedna budziła w niej osobiste wspomnienia, kojarzyła się z zapamiętaną twarzą czy zapachem, skłaniała ku chwili refleksji. Tym bardziej C.J. nie miała wątpliwości, że powinna wspomóc zespół

dochodzeniowy mający na celu schwytanie mordercy. Była to winna Chavezowi.

Ale w głębi serca odczuwała lęk. Wiedziała, jak pokrętnymi drogami mogą wędrować myśli seryjnego mordercy, sadysty czerpiącego rozkosz z zadawania bólu swoim ofiarom.

Toteż idąc w kierunku windy, zaczęła się modlić w duchu, by zabójstwa policjantów okazały się efektem mafijnych porachunków, jak wcześniej sugerował Dominick i nad czym wczoraj wieczorem długo deliberowała komentatorka CNN. Pozostawało jej tylko mieć nadzieję, że brutalne morderstwa nie są dziełem człowieka, który zupełnie przypadkowo dobiera sobie ofiary.

– Dlaczego pieprzeni psychopaci tak się uaktywniają jesienią? – rozległo się za plecami Dominicka pytanie zadane dobrze mu znanym chrapliwym basem. – Dolphins przegrali jeden mecz, a wszystkim od razu szajba odbija?

Stojąc pośrodku sali, która jeszcze trzy godziny temu mieściła ośmioosobowy Wydział

Defraudacji, a obecnie była siedzibą dwudziestoosobowego specjalnego zespołu dochodzeniowego, odwrócił się szybko i popatrzył na swego starego przyjaciela, detektywa Manny'ego Alvareza. W pierwszej chwili ujrzał tylko czubek brody, bo właśnie on znajdował

się na wysokości jego oczu. Odsunął się o krok i jednym spojrzeniem ogarnął całą zwalistą sylwetkę mającego prawie dwa metru wzrostu kolegi.

– Jak się masz, Miśku? – odrzekł z uśmiechem. – Zgłosiłeś się na ochotnika czy wzięli cię z łapanki?

– Ja na ochotnika? Nigdy w życiu! – Manny skubnął koniuszek grubego czarnego wąsa, w którym zaczynały się już pojawiać pierwsze srebrzyste włoski. Mimo że minęła dopiero dziesiąta rano, na jego policzkach było już widać gęsty czarny zarost. Wyglądało na to, że jedynym miejscem na jego ciele, gdzie przez noc nie pojawia się wyraźna szczecina, jest pokryty śniadą, gładką i błyszczącą skórą czubek głowy, spoczywającej na byczym karku.

– W ubiegłym miesiącu musiałem wkurzyć porucznika, gdy go zapytałem, czy jego córka ma kogoś. Była wystrojona w elegancką garsoneczkę, w życiu byś nie powiedział, że ma dopiero piętnaście lat. – Zachichotał. – No i stary musiał dojść do wniosku, że lepiej mnie oddelegować do was, gdzie będę miał co najmniej dziewięćdziesięciogodzinny tydzień pracy.

Ale zaśmieję mu się w nos, gdy dostanę czek za nadgodziny i sam go zaniosę do banku.

– To też ważny powód – przyznał Dominick.

– Tylko nie myśl, że nie chciałbym zacisnąć palców na jajach tego pieprzonego zabójcy gliniarzy. Popatrzyłbym z olbrzymią satysfakcją na błyski strachu w jego oczach. Nie obraż się jednak, ale praca w drugim specjalnym zespole dochodzeniowym ani trochę nie była moim marzeniem.

– Nie obrażam się.

Manny z zaciekawieniem rozejrzał się po tętniącej życiem sali. Wszyscy oficerowie śledczy z rozmaitych instytucji i agencji wydziału chodzili w cywilnych ubraniach, dlatego można było w nich rozpoznać policjantów tylko wtedy, gdy któregoś znało się osobiście. W

końcu po nim też nie było widać, że został oddelegowany z komendy miejskiej w Miami.

– Mam dwa pytania. Kogo jeszcze zesłano do tego czyścica i czy znowu ty dowodzisz tą zbieraniną?

– Pewnie znasz Marlona Dorsetta i Teda Nicholsby’ego z Miami Beach. Ma się też zjawić Steve Yanni z komendy okręgowej Miami-Dade. Poza tym, oczywiście, jestem ja z Fultonem. Całej reszty nie jestem jeszcze pewien. Komendanci wciąż się kłócą o skład osobowy zespołu, więc formalnie na razie jestem raczej mediatorem. Mam zadbać o to, żeby nikt nie czuł się pokrzywdzony ani nie próbował spychać innych w cień.

– A to znaczy, że jesteś szefem – podsumował ze śmiechem Manny, kładąc potężną łapę na ramieniu Dominicka. – Według mnie oznacza to także, że federalni nie mają co liczyć na ten łakomy kęs. Słyszałem, że wczoraj wieczorem próbowali siłą opanować miejsce zbrodni. Bóg jeden wie, jak bardzo brzydzą się prognozą pogody, jeśli nie mogą sobie przypisać zasług za bezchmurne niebo.

– Jeszcze nie licz kurczaków w kurniku – rzekł ostrożnie Dominick. – Szef biura federalnego z Miami od samego rana szuka wsparcia po całym mieście.

– Gracker to zwykła spasiona gnida – mruknął Manny, krzywiąc się pogardliwie. – Co do tego chyba nikt nie ma wątpliwości.

– Witaj w zgodnym chórze, Miśku. Wszyscy nagle zapomnieli o sporach i zaczęli jednym głosem pokrzykiwać, że nie jest im potrzebna pomoc federalnych. Ci jednak łatwo się nie poddadzą. Jak karaluchy zawsze znajdują jakąś szparę, żeby dostać się do środka. Mogę się założyć, że Gracker i jego świta popijają teraz drinki z gryzpiórkami w Biurze Prokuratora Krajowego, prosząc ich o pomoc w podciągnięciu pod jurysdykcję federalną zbrodni, które nie podpadają pod jurysdykcję federalną. Podejrzewam, że w najbliższym czasie będziemy mogli podziwiać efekty tej burzy mózgów.

Dominick od dawna miał na pieńku z Markiem Grackerem, gdyż ten w dużej mierze przyczynił się do niesławnej reputacji FBI, oskarżanego o nadstawianie piersi do medali za rozwiązanie spraw, nad którymi w ogóle nie pracowało. Zresztą właśnie za tę działalność centrala FBI mianowała Grackera szefem oddziału w Miami. Dlatego teraz, mając w perspektywie rozmowę z agentem specjalnym, zastanawiał się, czy zawczasu nie wykąpać się w wodzie święconej i nie rozwiesić nad wejściem sznura główek czosnku.

– Przy poprzedniej okazji całkiem nieźle się ubawiłem – odparł Manny, z aprobatą kiwając głową. – Poza tym ta sala jest dużo ładniejsza niż tamta nora.

Wydział do Zwalczania Przystępności postanowił tym razem oddać do dyspozycji specjalnego zespołu dochodzeniowego całe skrzydło w nowym budynku. Z sali zniknęły już biurka agentów zajmujących się defraudacjami, którzy musieli korzystać z gościnności pracowników Wydziału Operacji Prewencyjnych, a ich miejsce zajął nowiutki wiśniowy stół

konferencyjny oraz trzy odrębne stanowiska komputerowe w rogach pokoju, nie licząc dwóch kserokopiarek i dwóch telefaksów. W powietrzu unosiła się intensywna woń nowej syntetycznej wykładziny podłogowej.

– Masz przynajmniej okazję przekonać się naocznie, na co idą pieniądze podatników.

Tym razem nie mam powodów do narzekań, dostałem całkiem nowe biurko. I widok na świat.

Dominick ruchem głowy wskazał okno, przed którym stali. Wóz patrolowy Bruce'a Angelilla już dawno zniknął z parkingu po drugiej stronie autostrady, ale przez sosnowy zagajnik wciąż można było dostrzec resztki żółtej policyjnej taśmy. Pewna liczba mundurowych wciąż jeszcze kręciła się po rozległym placu w poszukiwaniu nieistniejących dowodów rzeczowych, na których odnalezienie dawno już stracono nadzieję.

– Chyba nie mówisz o tym widoku?

Falconetti smutno pokręcił głową.

– Nie, chociaż podobnym, z głębi korytarza.

Manny obejrzał się na przeciwległą ścianę.

– No i masz także tę pieprzoną panoramę do towarzystwa. Dziwnym sposobem wydaje mi się znajoma.

Była tam zawieszona wielka korkowa tablica ciągnąca się przez całą długość ściany, ozdobiona już z jednego brzegu makabrycznymi zdjęciami obu zamordowanych policjantów.

Na samym środku widniał przypięty półmetrowej wielkości list gończy, ukazujący starą, ziarnistą fotografię najbardziej poszukiwanego obecnie człowieka w Miami, Jerome'a Sylvestra Lightnera, znanego też jako Mały J lub LBJ. Na zdjęciu miał lekko zdziwioną minę niezbyt rozgarniętego nastolatka, chociaż pochodziło ono z akt policyjnych i zostało zrobione już podczas dziesiątego aresztowania Jerome'a, gdy miał dwadzieścia jeden lat. Krótkie zaniedbane dredy sterczały na wszystkie strony jak kępka paproci, a rozchylone wargi ukazywały liczne złote koronki na zębach. Po krągłej pucołowatej twarzy o dziecięcych rysach trudno było odgadnąć jego wiek, lecz zdradzało go zimne, lodowate spojrzenie szklistych, jak gdyby martwych, piwnych oczu. Miał pokaźną kartotekę policyjną jeszcze przed osiągnięciem pełnoletniości, nic więc dziwnego, że ostatnimi czasy znacznie ją powiększył. Najczęściej bywał aresztowany za posiadanie narkotyków, miał też na koncie wiele drobnych napadów rabunkowych oraz jedną poważną, czynną napaść z użyciem niebezpiecznego narzędzia, mimo że nie został oskarżony, ponieważ ofiara ze zmasakrowaną twarzą nagle zapomniała, kto i dlaczego napadł ją i pobił mosiężnym kastetem. Poza tym Jerome'a dwukrotnie aresztowano za bezprawne posiadanie broni palnej. Przeciętnym zjadaczom chleba trudno było zrozumieć pewne metody działania służb ochrony porządku publicznego, toteż niepojęte powinno im się wydawać, że człowiek z tak obszerną kartoteką wciąż chodzi wolno po ulicach, bezkarnie zażywając ecstasy, zamiast wyłaczać tablice rejestracyjne w Zakładach Pracy Przymusowej Południowej Florydy.

– Zanim usłyszałem, że mam w podskokach wypieprzać z gabinetu, porucznik w paru zdaniach wprowadził mnie w sprawę. Więc to jest ten *hi jo de puta*?

– Owszem. Typiek spod ciemnej gwiazdy, którego kocha tylko rodzona matka.

Wszyscy go teraz szukają, podobnie jak... jego przyjaciół.

Nieco z boku wisały fotografie pięciu najbliższych kumpli Jerome'a, czyli samej śmietanki gangu BB

Posse, także poszukiwanych w związku ze sprawą Czarnej Marynarki.

Ze zdjęć spoglądały bandyckie gęby. Cała piątka, która także zapadła się pod ziemię po zabójstwie Chaveza, była przedstawiana jako „potencjalnie uzbrojona i nadzwyczaj niebezpieczna”. Po drugiej stronie listu gończego wisiały fotografie Ricardo Brueto i jego kumpli z Latin Kings. Ricardo nie został jeszcze oficjalnie wciągnięty do grona podejrzanych, przynajmniej do czasu odnalezienia Jerome’a, niemniej, znajdował się pod stałą obserwacją.

Musiał zdawać sobie z tego sprawę, gdyż chwilowo zachowywał się bez zarzutu.

– No cóż, braciszku, warto byłoby go jak najszybciej odnaleźć, bo coś mi mówi, że sporo osób chciałoby go dostać w swoje ręce przed nami – mruknął Misiek, zerkając podejrzliwie na ziarniste zdjęcie Jerome’a z listu gończego. Ruszył wzdłuż ściany i zatrzymał

się przed fotografią przedstawiającą Victora Chaveza z rozciętym gardłem na tle usmarowanej krwią szyby radiowozu. – Chyba że... – Zamilkł nagle, jakby się bał powiedzieć to głośno.

Dominick od razu domyślił się, o co mu chodzi.

– Już dziś rano dostałem telefon z Wydziału Spraw Wewnętrznych. Angelillo znajdował się na ich liście podejrzanych. Skarżono się, że pracując wieczorami jako wykidajło w różnych lokalach, z wyjątkową brutalnością traktuje handlarzy narkotyków.

Zrodziły się podejrzenia, że poza pracą na dwóch etatach dodatkowo dorabia sobie na boku, sprzedając prochy.

Manny smutno pokiwał głową, gdyż dobrze wiedział, jak wielkie jest zapotrzebowanie na gliniarzy do pracy w ochronie rozmaitych klubów nocnych, barów i dyskotek w Miami Beach.

– I z tak ważną informacją dzwoniли z wewnętrznego dopiero dziś rano? Trzy dni po tym, jak faceta zarżnięto na służbie w jego wozie patrolowym?

– Już ci mówiłem, że dopiero wczoraj koło jedenastej wieczorem wygasły spory i wszyscy postanowili przenieść się ze swoimi zabawkami do jednej piaskownicy.

Alvarez głośno westchnął.

– Zatem mamy dwóch brudnych gliniarzy, obu powiązanych z narkotykami. Bomba.

Przez nich wyjdzie na to, że wszyscy robimy na boku pieprzone kokosy. A moje byłe żony będą miały z czym lecieć do sędziego, jeśli czek z alimentami spóźni się choćby o jeden dzień. – Odwrócił się z powrotem do tablicy. – Jasna sprawa. Ktoś załatwia porachunki. I do tego jest wystarczająco wkurzony, żeby wysłać jawne ostrzeżenie całej reszcie. – Zerknął z ukosa na przyjaciela. – Jakoś nie widzę po twojej minie uznania dla tej hipotezy.

– Nikt się jeszcze nie przyznał do porachunków – mruknął z ociąganiem Dominick.

– Bo nikogo jeszcze nie przycisnęliśmy.

– Ta prawda, ale...

Ugryzł się w język i wraz z Mannym zapatrzył się na olbrzymią korkową tablicę, wyrażając w myślach nadzieję, że nie będą musieli zapełniać na niej wolnego miejsca kolejnymi fotografiami.

Ricardo Brueto popatrzył przez okno swojego domu w Małej Hawanie na dwóch tajniaków siedzących w czarnym pontiacu grand prix. Na drugim końcu kwartału dwóch innych czatowało w zielonym fordzie expedition. Jeśli sądzą, że mnie wykiwają, zamieniając się samochodami, to się grubo mylą, pomyślał Rico. Potrafił na kilometr wyczuć tajniaka, nawet gdyby ten siedział w cholernym porsche.

Już od czterech tygodni ten sam cyrk rozgrywał się każdego dnia. Nie mógł się nawet wysikać w barze, żeby zaraz za nim nie laźł do kibla jakiś gliniarz. Na każdym kroku niemal słyszał za sobą pożądlive dyszenie, jakby wszyscy nagle się uparli, żeby go przyłapać na handlu prochami i wpakować z powrotem za kratki za naruszenie zasad zwolnienia warunkowego. Łazili za nim wszędzie, nawet na spotkania rodzinne, tak samo za chłopakami.

Zrobiło się tak gorąco, że nikt nie chciał się w nic pakować, dopóki gliny nie przestaną im siedzieć na karku. To zaś oznaczało, że nagle przestała spływać forsa. A bez forsy Rico miał

dużo poważniejsze problemy niż przejmowanie się jakimś spasionym *cochino* w granatowym garniturze, zażerającym się w samochodzie pączkami. Brak forsy oznaczał kłopoty z górą, skąd już zaczynały docierać pierwsze odgłosy niezadowolenia. Bo przecież nikogo nie obchodziło, skąd on ma wziąć forszę. Przesłanie było jasne: musi zapłacić w terminie. Tyle że ulice w Miami wciąż były niebezpieczne i nikt się nie kwapił do wychylania nosa, dopóki nie przycichnie cała ta pieprzona afera z zabitymi gliniarzami, dopóki ktoś nie wrzuci miecha na ruszt, żeby zapchać gęby nadgorliwym tajniakom i zmusić ich do powrotu do domu.

Cholerny Chavez. Zastrany kretyn. Dawał się wodzić za nos jak ostatni ćpun i kupował

rzeczy, na które nie było go stać. Za to w stronę najgorszych zakątków tego miasta ciągnął go wcale nie nos, tylko kutas, którego wtykał nawet najtańszej i najbardziej parszywej dziwce.

Szastał forszą na lewo i prawo, jakby był Rockefellerem, a potem przyłaził tu jak do banku, żeby pożyczyć forszę na spłatę długów. I to nie raz, nie dwa, ale tak często, że Rico stracił już rachubę. Victor zawsze zjawiał się u niego z wyciągniętą ręką, podkrążonymi i zażawionymi oczami oraz dotkliwym poczuciem winy z tego powodu, że obaj są *hermanos*. To jasne, że nie mógł spłacić od razu wszystkich z gołej policyjnej pensyjki. Ale przecież każdy problem da się rozwiązać. Rico sądził, że łączy ich czysty układ, dopóki...

Poznali się bliżej w szkole średniej, ale później ich drogi się rozeszły. Victor, który zawsze zachowywał się jak na szkolnej wycieczce, postanowił prężyć mięśnie w niebieskim policyjnym mundurze, gdyż sądził, że w ten sposób łatwiej mu będzie uchodzić za twardziela.

Rico wiedział swoje. W końcu to nie mundur świadczy o charakterze człowieka. Jak ktoś chce, zawsze może zajrzeć pod koszulę. On miał przecież mięśnie dużo lepiej rozwinięte niż Chavez, tylko nie musiał się nimi chwalić na lewo i prawo. Wszyscy to wiedzieli. A jak ktoś był jeszcze bardziej dociekliwy, mógł także zajrzeć za pasek spodni na plecach i obejrzeć sobie magnum zdolne przebić na wylot kamizelkę kuloodporną Victora, przestrzelić jego srebrzystą policyjną odznakę. *No i kto tu*

był prawdziwym twardzielem? Dlatego początkowo bawił go widok gliniarza w świeżo odprasowanym mundurku, który stawał na jego progu w środku nocy, przerażony tym, co go czeka, jeśli nie znajdzie żadnej ochrony przed złymi braciszkami z Liberty City. Błagał Kingsów o pomoc, powołując się na łączące ich braterstwo krwi. Gówno prawda! W końcu Rico prowadził własny interes i odpowiadał przed innymi ludźmi. Każdy, kto coś chciał od niego, musiał zapłacić. W taki czy inny sposób.

Spoglądał w posępnym nastroju, jak przy pontiacu zatrzymuje się inny wóz, zapewne pochodzący z wypożyczalni nowiutki nissan altima. Siedzący w nim mężczyzna podał przez okno pasażerom pontiaca dużą brązową torbę papierową, po czym ruszył dalej, by tak samo zatrzymać się przy fordzie expedition. W kabinie grand prix zapaliło się światło, wyławiając z mroku kierowcę ciekawie zaglądnącego do torby, podczas gdy jego partner rozmawiał przez telefon komórkowy. Mężczyzna wyciągnął z paczki kanapkę, rozpakował ją i odgryzł duży kęs, po czym zastygł na chwilę, wyciągnął ją w kierunku okna domu Rico, uśmiechnął się od ucha do ucha i powiedział coś, na co jego partner wybuchnął gromkim śmiechem.

Brueto puścił trzymaną zasłonę i z całej siły huknął pięścią w ścianę, aż tynk popękał i w cienkiej gipsowej płycie powstało wyraźne zagłębienie. Ból przeszył mu rękę aż do ramienia, ze stłuczonych knyki prawie natychmiast zaczęła się sączyć krew. On jednak mało się tym przejmował. Zza ściany doleciał najpierw płacz dziecka, a później głos rozżłoszczonej Angeliny:

– *Rico? Que paso? Todo esta bien?*

– Nic takiego. Wracaj do łóżka.

Cholerni gliniarze. W pełni sobie zasłużyli na to, co ich teraz spotykało. Nikt nie ronił łez na ich pogrzebie.

Polizał rozciętą skórę i zaczął się rozglądać za czymś, czym mógłby zatamować krew.

W tej samej chwili zadzwonił telefon komórkowy, który nosił przy pasku spodni. Żołądek podszedł mu nagle do gardła. Wystarczył jeden rzut oka na numer, jaki pojawił się na wyświetlaczu, by Rico uświadomił sobie, że ma większe zmartwienia od gliniarzy obżerających się kanapkami na ulicy przed jego domem.

O wiele większe.

Wydział Spraw Wewnętrznych w żadnej instytucji ochrony porządku publicznego nie cieszy się sympatią, jest bowiem postrzegany jako samodzielna jednostka pełniąca funkcję policji wewnątrz policji i mająca za zadanie usuwać zawczasu wszelkie chwasty. Każdy śledczy dostający przydział do takiego wydziału świetnie wiedział, że to ostatni etap jego kariery, gdyż cała reszta policyjnej braci będzie go odtąd uważała za wyrzutka. Nawet sami komendanci różnego szczebla, którzy oficjalnie uważali te wydziały za istotne narzędzie do walki z korupcją, po cichu traktowali je jak zło konieczne. Właśnie ze względu na tę atmosferę nieufności dochodzenia w sprawie postępujących nieetycznie funkcjonariuszy prowadzone były w najściślejszej tajemnicy. Dlatego kiedy dochodziło do aresztowania policjanta, wszyscy byli zaszokowani, od dowódców po kolegów zatrzymanego z tego samego wydziału.

Dominick więc wcale nie był zaskoczony, że Wydział Spraw Wewnętrznych komendy okręgowej Miami-Dade potrzebował aż dwóch dni na przygotowanie materiałów zgromadzonych przeciwko Bruce'owi Angelillo. Nie zmieniało to faktu, że przyjmował

zwłokę z rosnącą frustracją. Oczy całego świata znów były zwrócone na Miami, a konkretnie na jego dochodzenie, tymczasem musiał postępować z Wydziałem Spraw Wewnętrznych jak z tygrysem, któremu miałby wyczyścić zęby. Dobrze wiedział, że szczęki niespodziewanie mogą się zacisnąć na jego rękę i żadnym sposobem ich nie rozewrze.

W komendzie okręgowej Miami-Dade wystarczyła jedna poważniejsza skarga, by Sekcja Szybkiego Reagowania nazywana powszechnie Ekipą Klątw i Zatrzymań podejmowała śledztwo wyjaśniające. Druga skarga bądź potwierdzenie zarzutów stawianych w pierwszej oznaczały natychmiastowe przeniesienie sprawy do Sekcji Porozumień Przestępczych, gdzie tworzono tak zwane profile osobowe wszystkich policjantów, przeciwko którym toczyły się dochodzenia. W wielu instytucjach takie akta, zwane po prostu Listą Brudów, tworzyły kartoteki osób podejrzanych z takiego czy innego powodu. Jednym zarzucano branie łapówek, innym seksualne wykorzystywanie zatrzymanych bądź nadużycie władzy. Policjanci bali się śledczych z wydziału wewnętrznego głównie z tego powodu, że bardzo łatwo było trafić na taką listę, nie istniał jednak sposób, żeby z niej zniknąć. Każde nazwisko, które choćby raz trafiło do tej sekcji, pozostawało na zawsze w dokumentach, nawet jeśli ludzie odpowiedzialni za dochodzenia twierdzili, że to nieprawda.

Dominick bardzo chciał uzyskać wgląd w tę listę.

Nie było wątpliwości, że oba morderstwa Czarnej Marynarki łączą powiązania ofiar z narkotykami. Lecz o ile wydział wewnętrzny był gotów, a i to niechętnie, podzielić się zebranymi informacjami na temat zabitych policjantów, o tyle za nic nie chciał ryzykować zdemaskowania innych toczących się dochodzeń. Dominick musiał zagrozić oficjalnym wystąpieniem do sądu o nakaz ujawnienia akt oraz anonimowym przeciekami do prasy na temat przepychanek wśród dowództwa, nim wreszcie dostał to, na czym mu zależało. A i tak był przeświadczony, że owa dwudniowa zwłoka została wykorzystana na dokładne prześwietlenie i rozwodnienie listy podejrzanych.

Pękatą szarą kopertę dostarczył mu o wpół do dziesiątej wieczorem posłaniec będący zapewne

tajnym agentem wydziału wewnętrznego. Wolał go jednak o to nie pytać. O tak późnej porze w Regionalnym Centrum Operacyjnym prawie nikogo już nie było. Otworzył

przesyłkę i mrużąc zmęczone oczy w jaskrawym blasku świetlówek, zaczął powoli wyciągać z koperty gruby plik papierów w kartonowej teczce z wypisanym wielkimi literami ostrzeżeniem:

UWAGA!

NINIEJSZA DOKUMENTACJA KOMENDY

OKRĘGOWEJ POLICJI MIAMI-DADE JEST

ŚCIŚLE TAJNA I ŻADNA JEJ CZĘŚĆ NIE MOŻE

BYĆ UJAWNIONA DO WIADOMOŚCI PUBLICZNEJ,

GDYŻ W ŚWIETLE PRAWA STANU FLORYDA

ZAWIERA INFORMACJE I STANOWI MATERIAL

DOWODOWY OTWARTYCH DOCHODZEŃ W

SPRAWACH O CHARAKTERZE KRYMINALNYM,

F.S. 119.07(6) (B)I. WYŁĄCZNIE DO UŻYTKU

SŁUŻBOWEGO. UDOSTĘPNIANIE OSOBOM

NIEPOWOŁANYM ZABRONIONE.

Wewnątrz znajdowały się profile osobowe wszystkich funkcjonariuszy wciągniętych na Listę Brudów.

Nawet mając świadomość, że nie jest to pełen materiał, bo wydział wewnętrzny udostępnił mu wgląd tylko do tych akt, których nie bał się udostępnić, Dominick przeżył

szok, kiedy otworzył teczkę i spojrzął na pierwszą kartkę.

Zaszokowała go liczba nazwisk na liście.

C.J. przysnęła na kanapie wśród porzucanych notatek dotyczących czekającego ją z samego rana przesłuchania świadka przed sądem. Zwinięty w kłębek Tibby spał na podłodze tuż obok. Na stoliku stała niedopita lampka wina. Zmieniło się tylko to, że zamiast nudnego bloku reklamowego w telewizji powtarzano program Conana O'Briana. Usiadła szybko i rozejrzała się dokoła półprzetytnym wzrokiem.

Na cały tydzień utknęła na sali rozpraw sędziego Penneya i jego dziwaczego woźnego. Dwunastu przysięgłych zaczynało się coraz bardziej złościć, że rozprawa trwa już dużo dłużej niż trzy dni, które optymistycznie obiecywał im na początku sędzia Penney. Przez cały ten tydzień i ona, i Dominick wpadali do domu głównie po to, żeby wziąć prysznic, ich kontakty ograniczały się do zdawkowych rozmów telefonicznych bądź kartek z czułymi słówkami zostawianych na lodówce. Tego wieczoru postanowiła twardo, że zaczeka na jego powrót...

Minęło dobre kilka sekund, zanim otrząsnęła się ze snu na tyle, żeby jej umysł

skojarzył dźwięk, który ją z niego wyrwał. Błyskawicznie chwyciła pilota i wyłączyła głos w telewizorze. W mieszkaniu panowała jednak kompletna cisza. Czyżby mi się tylko przyśniło?

– pomyślała.

Ale w tej samej chwili sygnał się powtórzył. Dzwonił telefon w kuchni.

Spojrzała na ścienny zegar, była 4.12. Ledwie wstała z kanapy, żeby odebrać, z sypialni doleciało ją świergotanie przywoływacza. Widocznie od dłuższego czasu nie reagowała na wezwania kierowane na przywoływacz, dlatego ktoś zdecydował się zadzwonić pod jej numer domowy.

Chwiejnie przeszła do kuchni, odgarniając włosy z twarzy i przecierając oczy.

Podniosła słuchawkę.

– Halo?

Nie od razu rozpoznała głos rozmówcy, choć przecież powinna. Rozległ się jednak bardzo cicho, silnie stłumiony, a zarazem dziwnie napięty. W tle rozlegało się dobrze jej znane wycie syren policyjnych, dolatywały trzaski i niezrozumiałe meldunki z policyjnych krótkofalówek.

– C.J.? – zapytał Dominick z wyraźnym ociąganiem, jak gdyby bał się powiedzieć to, do czego jest zmuszony. – To ja. Obawiam się, że mam złe wieści...

Pognała gazem autostradą I-95, nie bacząc na ograniczenia prędkości, po czym skręciła na most McArthura zapewniający najszybsze połączenie z centrum Miami Beach.

Była nad zatoką Biscayne, gdy nieco na prawo od autostrady horyzont zabarwił się jaskrawożółto, wyławiając z mroku rozległy port w Miami, dający schronienie dziesiątkom statków pasażerskich i

wycieczkowych, od małych po gigantyczne pływające hotele.

Nie musiała nawet pytać o drogę, wystarczyło się kierować w stronę źródła wycia wielu syren. Już z daleka dostrzegła stłoczoną masę radiowozów z włączonymi migaczami, stojących u podnóża zjazdu na Wyspę Watsona. Ten niewielki skrawek stałego lądu, położony dokładnie na wprost terminalu pasażerskiego i zwieńczonych potężnymi kominami zabudowań portowych Miami, wciąż należał do władz okręgowych. Lokalizacja sprawiała, że stanowił potencjalne źródło wielomilionowych zysków jako teren pod zabudowę, lecz o jego sprzedaży nie było nawet mowy. Poza niewielkim parkiem rozrywki otaczającym założone tu niedawno Muzeum Dziecięce i gromadką chat należących do wędkarzy większa część wyspy pozostawała niezagospodarowana. Rozsypane się drewniane domki wraz z porytym koleinami placem parkingowym i zabytkową stacją tankowania motorówek – z jednym dystrybutorem obwieszonym tablicami w krzykliwych kolorach, oferującymi żywą przynętę –

były otoczone ponad dwumetrowym ogrodzeniem z drucianej siatki.

C.J. dość dobrze znała tę wyspę. Dawny park Watsona, który obecnie zarastał

chwastami w cieniu estakad i wiaduktów autostrady McArthura, stwarzał łatwy dostęp do otwartych wód zatoki, stał się więc ulubionym miejscem odbioru kontrabandy i porzucania zwłok. W ostatnich latach dość regularnie odnajdowano tutaj ciała, które leniwe fale przyływu wyrzucały na brzeg.

Nagle poczuła dotkliwe ssanie w żołądku od wypitego wieczorem wina, toteż kilka razy przełknęła ślinę, wysiadając z samochodu. Na poboczu zjazdu stały już furgonetki reporterskie chyba wszystkich istniejących kanałów telewizyjnych z talerzami anten satelitarnych wycelowanymi w niebo. Wyciągnęła swoją służbową odznakę w kierunku policjantów blokujących dalszą drogę w głąb wyspy i wtedy wokół niej zaszumiały włączone kamery i rozległy się głośno szepty: „To Townsend! Z Biura Prokuratora Stanowego! Z

Wydziału Zabójstw! Ta sama, która oskarżała w sprawie Kupidyna!” Wskoczyła z powrotem za kierownicę i ustawiła swojego czarnego jeepa cherokee przy największym skupisku wozów patrolowych, pochodzących chyba z każdego wydziału ochrony porządku publicznego południowej Florydy. Zwróciła przy tym uwagę, że przeważają wśród nich radiowozy z komendy miejskiej w Miami, co mogło oznaczać, że zginął któryś z tamtejszych policjantów. Zatrzasnęła drzwi auta i zaczęła się przeciskać w stronę zgromadzonych dalej funkcjonariuszy.

Z lekka licząc, zebrało się tu co najmniej stu gliniarzy. Ze wszystkich stron dolatywały trzaski krótkofalówek, dziesiątki głosów usiłowało się nawzajem przekrzyczeć. Zrobiło się jeszcze większe zbiegowisko niż na miejscu zabójstwa Chaveza. Chyba nigdy wcześniej nie widziała tylu policjantów w jednym miejscu. Próbowwała wypatrzeć w tłumie Dominicka, ale jej wzrok przyciągnął kordon młodych funkcjonariuszy, blokujących półkolem wjazd na wyspany żwirem plac przed stacją tankowania łodzi wędkarskich. Ruszyła energicznym krokiem w tamtą stronę, wabiona ciekawością i zarazem hamowana odrazą, jaką wzbudzała w niej sama myśl o tym, co może tam zobaczyć. Po raz kolejny wyciągnęła swoją odznakę.

– Gdzie znajdę agenta specjalnego Falconettiego? – zapytała, a gdy żółtodziób zrobił

zdziwioną minę, dodała: – Z Wydziału do Zwalczania Przystępności? Specjalnego zespołu dochodzeniowego?

Chłopak ruchem głowy wskazał na lewo. Dopiero teraz zauważyła stojący tam samotny wóz patrolowy z komendy miejskiej w Miami, z włączonym kogutem, zwrócony przodem ku stacji paliwowej. Policjant powiedział coś, czego nie dosłyszała, ale przytaknęła ruchem głowy i rzuciła:

– Dzięki.

Przecisnęła się obok niego i skręciła w stronę radiowozu, wciąż trzymając w ręku odznakę. Technicy z dochodzeniówki przystąpili już do pracy, przetrząsali rupiecie w bagażniku, fotografowali najbliższe otoczenie auta pod wszelkimi możliwymi kątami, żeby później w sądzie można było dokładnie odtworzyć tę właśnie chwilę. W błyskach fleszy kątem oka dostrzegła stojącą na uboczu karetkę z Zakładu Medycyny Sądowej. Nosze były już wyciągnięte i rozstawione, wszystko naszykowane do zabrania zwłok.

Drzwi wozu patrolowego były otwarte, wystawał skraj białego prześcieradła unoszącego się lekko na wietrze wiejącym znad zatoki. Już z odległości dziesięciu metrów dostrzegła, że szyby auta są od środka wysmarowane zakrzepłą krwią. Jak we śnie podeszła do radiowozu, niczym tarczą zasłaniając się odznaką przed wszystkimi, którzy chcieliby ją powstrzymać.

Zarys ciała spoczywającego nieruchomo pod prześcieradłem wskazywał na takie samo jego ułożenie, jak w poprzednich dwóch wypadkach. Wyróżniała się nisko pochylona głowa, przygarbione ramiona, dłonie z pobielającymi knykiami kurczowo zaciśnięte na kierownicy.

Spojrzała na detektywa stojącego przy drzwiach radiowozu, którego przelotnie знаła, chociaż w tym momencie nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska. Najwyraźniej czekał tylko na znak sanitariuszy, że są gotowi zabrać zwłoki.

– Podnieś prześcieradło – powiedziała chrapliwie. Uzmysłowała sobie, że zabrzmiało to jak rozkaz, więc dodała szybko: – Proszę.

Wykonał polecenie bez słowa. Wiatr wdarł się pod uniesiony brzeg prześcieradła i poderwał je ku górze, co C.J. skojarzyło się z łopoczącymi białymi żaglami, które tyle razy obserwowała z własnego balkonu wychodzącego na zatokę. Zazwyczaj widok żaglówek działał na nią uspokajająco, pozwalał oderwać się od codziennych zmartwień.

Ale nie tej nocy. I chyba już nigdy więcej...

Nagle za jej plecami rozległ się głos Dominicka, który jak gdyby pobudził do życia inne głosy:

– C.J.! Zaczekaj!

Rozległ się chrzęst żwiru pod butami nadbiegających ludzi. Pewnie chcieli ją powstrzymać. Ale było już za późno.

Prześcieradło zsunęło się do końca i jej oczom w całej okazałości ukazał się koszmarny widok.

Aż nie potrafiła uwierzyć, że to w ogóle możliwe...

Zabójca pozostawił swój znak rozpoznawczy. Zabity policjant siedział w fotelu z rękoma zaciśniętymi na kierownicy, w przegubach skutymi kajdankami, mając pod brodą wycięty złowieszczy „drugi uśmiech”. Podobnie jak Angelillo nie miał wyciętego języka, ale sprawca przeciągnął go i wydobył na zewnątrz przez rozcięcie na szyi. Było jeszcze coś dodatkowego, co sprawiło, że C.J. przeszył dreszcz grozy.

– Chciałem najpierw z tobą porozmawiać – odezwał się łagodnie Dominick, delikatnie kładąc jej rękę na ramieniu. – Zanim...

– To gliniarz z patrolu miejskiego z Miami? – przerwała mu, strącając jego dłoń z ramienia, niezdolna do oderwania oczu od przerażającego widoku.

– Słucham? – zapytał, wyraźnie zaskoczony. – Tak, z Miami. Przecież to widać po jego mundurze, barwach radiowozu...

– Wiecie już, jak się nazywał? – spytała nieco ostrzej, roztrzęsionym głosem. – Kto to jest? Znacnie jego nazwisko?

Popatrzyła na kieszonkę na piersi zabitego, ale i jemu zabójca odciął całą klapkę od munduru, pozostała po niej tylko nieregularna dziura w tkaninie.

Te oczy... Skądś znała ich nieobecny, jakby martwy wyraz. Nie, to niemożliwe...

– Owszem, zidentyfikowaliśmy go – odparł powoli Dominick. – To Lindeman. Sonny Lindeman. Służył w komendzie miejskiej dopiero od roku. Przeniósł się z innego wydziału.

Żołądek podszedł jej do gardła, jakby dostała silny cios w brzuch.

– Zaraz wrócę – mruknęła przez ramię.

– Dokąd idziesz?

– Muszę na chwilę... – Ruszyła biegiem przed siebie.

Zanim zdążył zareagować, do radiowozu podszedł Alvarez w towarzystwie innego agenta specjalnego z Wydziału do Zwalczania Przystępności, Chrisa Mastersona.

– Zobacz, kogo tu przyniosło – odezwał się Manny. – Co więcej, zastałem go przy pracy. Aż się wierzyć nie chce, że w tym małym mózdzku mogą się kryć jakieś cenne spostrzeżenia.

Masterson przez ponad rok pracował z nimi w specjalnym zespole dochodzeniowym nad sprawą Kupidyna, później jednak przeniósł się z sekcji zabójstw do narkotyków. Był

jednym z najmłodszych agentów w wydziale i dzięki swoim młodzieńczym rysom mógł teraz pełnić funkcję wabika w akcjach wymierzonych przeciwko handlarzom prochów.

– Cześć, Chris – bąknął Dominick, wciąż jeszcze zaskoczony dziwnym zachowaniem C.J. – Fulton cię tu wezwał?

– Tak. Wygląda na to, że ściągnął wszystkich, których tylko zdołał namierzyć, nawet z urlopu.

– Witaj w starej paczce.

– Dzięki. Za dnia może się wam na coś przydam, ale nie wiem, czy wieczorami będę miał czas. Wszystko zależy od Blacka. Formalnie mogę pracować w waszym zespole tylko w nadgodzinach.

– Spokojnie, chłopcze, nikt nie zamierza ci spuszczać powietrza z opon – rzekł Manny.

– Oho, wygląda na to, że mamy też innych gości.

Idąc za ruchem jego głowy, Dominick obejrzał się i popatrzył na Marka Grackera stojącego w towarzystwie dwóch ubranych po cywilnemu agentów federalnych. Ze swoimi stu sześćdziesięcioma ośmioma centymetrami wzrostu i okazałym brzuszkiem wyglądał

między nimi jak pękata zawartość źle dobranej kanapki. Nawet z daleka można było dostrzec, jak szeptem wydaje swoim ludziom rozkazy.

– W twoich rękach nasze zbawienie – dodał półgłosem Misiek, na tyle jednak głośno, by tamci go słyszeli.

Jak na zawołanie Gracker utkwił spojrzenie w Dominicku i na jego wargi wypełzło coś, co można było określić jedynie wyrazem pogardy. Szybko wskazał ich palcem, co sprawiło, że nie tylko stojący po jego bokach agenci popatrzyli w tym kierunku, lecz także zwróciły się ku nim obiektywy reporterskich kamer i aparatów fotograficznych.

– Coś mi podpowiada, że tym razem łatwo się go nie pozbędziemy – mruknął

Dominick.

– A mnie się zdawało, że mówiłeś, iż zabójstw policjantów żadną miarą nie da się podciągnąć pod jurysdykcję federalną – odrzekł Misiek.

– Ale dodałem przy tym, że federalni potrafią być bardzo kreatywni. – Dominick spojrzał na Mastersona. – Widziałeś już zdjęcia z dwóch poprzednich miejsc zbrodni Czarnej Marynarki?

– Nie. Ale byłem na pogrzebie tego gliny z komendy okręgowej. Mam tam dobrego kumpla.

– Ale teraz masz wyjątkową okazję. Śmiało.

Dominick odsunął się o krok, umożliwiając Chrisowi zajrzenie w głąb wozu patrolowego. Kątem oka

dostrzegł C.J., która stała przy furgonetce z Zakładu Medycyny Sądowej. Była sama, z nikim nie rozmawiała i wyglądała bardzo źle.

– Przepraszam na chwilę, chłopaki. Zaraz wrócę – rzekł, ruszając w jej kierunku i zostawiając za plecami najwyraźniej niepokieszonego Marka Grackera.

– Cholera! Krawat! – syknął Chris z podnieceniem w głosie.

Dominick przystanął i odwrócił się do niego.

– Słucham? Co powiedziałeś?

– To jest właśnie typowy kolumbijski krawat.

– Jaki znowu krawat, do cholery, juniorze?! – warknął Manny.

– Tak się mówi, kiedy zabity ma poderżnięte gardło, a cały język jest wyciągnięty przez to rozcięcie na zewnątrz, żeby zwisał pod brodą jak...

– No tak, krawat – wtrącił Alvarez. – A skąd ty się znasz na takich rzeczach, co?

– Zanim przyszedłem do wydziału, przez sześć lat pracowałem w Agencji do Walki z Narkotykami, uczestniczyłem w tajnych operacjach w Bogocie i Cali. Sporo się napatrzyłem.

Ale coś takiego... – w zamyśleniu wskazał zwłoki Lindemana – ...to bardziej legenda niż co innego. Nawet w Cali, siedzibie najpotężniejszego kartelu narkotykowego, skąd prawdopodobnie pochodzi ten pomysł, bardzo rzadko spotyka się takie krawaty. Prawdę mówiąc, widziałem je tylko u dwóch zabitych, i to jeszcze pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy na przedmieściach Bogoty znaleźliśmy zabitych dwóch naszych informatorów, ubranych we fraki, właśnie z takimi krawatami pod brodą.

– Czemu zrobiono to samo jemu? – zapytał Dominick, przyglądając się uważnie zwłokom Lindemana.

– To coś znaczy?

– Krawaty zakładano ludziom, którzy za dużo gadali, a mafijnym bossom się to nie podobało.

– Ten też był za bardzo gadatliwy? Jak to rozumieć?

– Być może po prostu ktoś coś usłyszał, co nie było przeznaczone dla jego uszu.

– Więc zabójstwo na pewno ma związek z narkotykami?

– Nigdy nie słyszałem, by coś podobnego zdarzyło się poza środowiskiem handlarzy narkotyków, toteż śmiało można założyć, że mamy do czynienia z porachunkami mafijnych bossów. I to najwyraźniej rozwścieczonych jak diabli.

– Przepraszam – odezwał się za ich plecami lekarz z Zakładu Medycyny Sądowej.

Rozstąpili się szybko. Patrzyli w milczeniu, jak sanitariusze wyciągają zwłoki z auta, układają je w czarnym plastikowym worku na noszach i zapinają suwak.

– Wiesz co, Chris? – odezwał się Dominick. – Niedługo zaczyna się poranna zmiana.

Spędzisz z nami trochę więcej niż tylko jedną noc. Lepiej zacznij się od razu pakować.

Masterson pokręcił głową.

– No i po co się wygadałem?

– Ponadto zatrzymaj na razie dla siebie wszystkie swoje wnioski. Zobaczmy, co federalni z tego wyglówkują, nim zaczną nam podkradać kredę z tablicy.

Gracker wciąż zerkał niecierpliwie w ich stronę, najwyraźniej z nadzieją, że Dominick do niego podejdzie. Może się wreszcie odpieprzysz? – pomyślał Falconetti, ruszając w jego kierunku, zaraz jednak odwrócił się i poszedł w drugą stronę. *Chrzah się. Mam ważniejsze sprawy.*

C.J. nadal stała sama przy karetce.

– Hej. Wszystko w porządku? – zapytał.

Sprawiała wrażenie całkowicie pochłoniętej własnymi myślami. Miał wielką ochotę objąć ją i przytulić, ale pamiętając dobrze jej niedawną reakcję, wolał nawet nie próbować.

Wydawało mu się to dziwne. Byli ze sobą już od dłuższego czasu, a niekiedy reagowała tak, jakby znali się tylko przelotnie z pracy.

– Chyba tak. A u ciebie? – odparła cicho, jakby od niechcienia.

– Coraz gorzej. Przecież to już trzeci. Ale być może mamy wreszcie jakiś trop.

Właśnie pojawił się Chris Masterson. A tuż za nim federalni.

C.J. pokiwała głową.

– Chris pracował kiedyś w Agencji do Walki z Narkotykami. Tylko rzucił okiem na zwłoki i orzekł, że to bez wątpienia skutek porachunków handlarzy narkotyków.

– Na jakiej podstawie?

– Ciekaw jestem, co powie, jak obejrzy zdjęcia z dwóch poprzednich miejsc zbrodni, ale na razie wygląda na to, że wszystkim ofiarom zrobiono coś, co się nazywa kolumbijskim krawatem.

– Jaki znowu krawat? O czym ty mówisz, do diabła?

– To wskazówka, odrażający znak charakterystyczny kolumbijskich karteli. Chris twierdzi, że nie

słyszał, by zdarzyło się to do tej pory u nas, a i w Bogocie widział coś takiego jedynie dwa razy.

– Co to za wskazówka?

Dominick odprowadził wzrokiem odjeżdżającą karetkę, którą przy policyjnej blokadzie powitały dziesiątki błyskających fleszy.

– Ktoś coś wypaplał, więc ktoś inny postanowił zatamować przecieki. Obcięte uszy mają oznaczać, że usłyszał coś, czego nie powinien nigdy usłyszeć.

C.J. nagle pobladła. Na szczęście Dominick przyglądał się ciągle, jak tłum reporterów podąża za sunącą powoli karetką.

– Mogę się założyć, że gdy dokładnie sprawdzimy przeszłość zabitego gliniarza –

ciągnął w zamyśleniu – wyjdzie na jaw, że też zadawał się z niewłaściwym towarzystwem, podobnie jak Angelillo i Chavez. I coraz bardziej skłaniam się ku tezie, że nie chodzi tu o porachunki lokalnych gangów narkotykowych. Podejrzewam, że ktoś usytuowany bardzo wysoko pociąga za sznurki takich drani jak LBJ.

C.J. jeszcze mocniej ścisnęło w dołku. Pół roku temu rzuciła palenie, lecz teraz nie miała już złudzeń, że zaraz po powrocie do miasta w pierwszym lepszym sklepie kupi paczkę marlboro.

– Znałaś tego Lindemana? – zapytał niespodziewanie Dominick.

– Nie – skłamała. – Czemu pytasz?

Wzruszył ramionami.

– Z czystej ciekawości.

– Falconetti. To miło, że w końcu postanowiłeś się przywitać – powiedział Gracker, który wreszcie porzucił swój punkt obserwacyjny i podszedł do Dominicka, gdy ten razem z Mannym przyglądał się pracy techników z dochodzeniówki.

– Cześć, Mark. Przepraszam, ale nie zauważyłem cię wcześniej – odparł z uśmiechem.

Może i było to niepoważne, ale świetnie wiedział, jak bardzo Gracker nie lubi, gdy ktoś zwraca się do niego po imieniu, toteż od czasu gdy ten został szefem rejonowego biura FBI, wykorzystywał to z dużą satysfakcją przy każdej nadarzającej się okazji.

Agent specjalny poczerwieniał.

– No właśnie, Dom. Wygląda jednak na to, że znów będziemy pracowali nad jedną sprawą. *Deja vu*.

– Naprawdę? O której sprawie mówisz? – Dominick rozejrzał się na boki. – Nie wydaje mi się, żeby tutaj doszło do jakiegoś przestępstwa federalnego.

Tym razem Gracker uśmiechnął się ironicznie.

– Czyżbyś znów dowiadywał się o wszystkim na końcu? Jesteśmy tu w związku z dochodzeniem w sprawie naruszenia przepisów federalnych. Moi ludzie byliby bardzo wdzięczni, gdybyście spakowali dla nich wszelkie znalezione dowody rzeczowe.

– O czym ty mówisz, do cholery? Jakie naruszenie przepisów federalnych?

– Wasza ofiara pracowała po niewłaściwej stronie. Biuro wszczęło śledztwo dotyczące działalności kryminalnej funkcjonariuszy służb państwowych podejrzanych o naruszenie przepisów rozdziału osiemnastego.

Rozdział osiemnasty federalnego kodeksu karnego Stanów Zjednoczonych dotyczył przestępstw związanych z handlem narkotykami.

– Raczysz chyba żartować, Mark. Przecież ten człowiek nie żyje.

– W świetle prawa to nie ma żadnego znaczenia.

– Ale jesteśmy na miejscu zabójstwa, a nie handlu narkotykami – wtrącił Manny.

– Nie rozumiem, dlaczego nigdy nie potrafimy dojść do porozumienia. – Gracker pokręcił głową. – Zrozumcie, że ktoś morduje kolejne obiekty naszego dochodzenia. Usuwa potencjalnych świadków. A to oznacza, że osoba bądź osoby odpowiedzialne za to zabójstwo naruszyły federalny przepis mówiący o manipulowaniu świadkami, ofiarami bądź

informatoremami związanymi z prowadzoną sprawą, a więc paragraf tysiąc pięćset dwanaście z

rozdziału siedemdziesiątego trzeciego federalnego kodeksu karnego. Dlatego... – zawiesił

znacząco głos, rozglądając się dookoła – ...należy to traktować jak miejsce przestępstwa federalnego.

Dominick spodziewał się, że Gracker wykaże się pomysłowością, nie spodziewał się jednak aż takiej. Teraz musiał gryźć się w język, żeby nie powiedzieć otwarcie, co myśli o tego rodzaju działalności.

– Wiesz co, Mark? Mogę się założyć, że uzgodniłeś tę żalną teorię ze swoim przepracowanym działem prawnym, zanim postanowiłeś się tu przywlec, żeby zadrećcać mnie tym bełkotem. Bóg jeden wie, ile to już razy próbowałeś wepchnąć nogę między drzwi, a jakoś nigdy nie udało ci się ich otworzyć. Muszę więc na razie zakładać, że naprawdę wszcząłeś legalne dochodzenie w sprawie haniebnego naruszenia przepisów federalnych oraz manipulowania świadkami. Ale przede wszystkim mam na głowie trzy zabójstwa, z których żadne nie stanie się przedmiotem zainteresowania twojego biura ani prokuratury krajowej, niezależnie od wydumanych teorii, jakimi zechcesz nas uraczyć. Dlatego będziecie mogli pozbierać własne dowody rzeczowe, jak my skończymy. Bo z całym szacunkiem, Mark, jeśli nie dysponujesz poważniejszymi argumentami oprócz tych bredni, będziesz potrzebował

nakazu sądowego, zanim ci przekazemy choćby jeden pieprzony włos z tyłka znaleziony na miejscu zbrodni.

Dominick zawrócił na pięcie i odszedł, zostawiając Alvareza na pastwę Grackera.

Oddaliwszy się ledwie parę kroków, sięgnął po krótkofalówkę i kazał się połączyć z szefem swojego wydziału, Blackiem, żeby przygotować go na zbliżającą się burzę, która miała nadejść drogą telefoniczną najdalej za dwie minuty.

Pomyślał, że drogi rozumowania polityków bywają zabawne i nigdy nie wiadomo, na czyjej jest się łasce, dopóki karty nie zostaną wyłożone na stół. Bo chociaż świetnie wiedział, że jego szef tak samo z całej duszy nienawidzi Grackera i jego agentów federalnych, doskonale zdawał sobie sprawę, że nigdy nie powinien zajmować otwarcie wrogiego stanowiska wobec FBI. Z punktu widzenia opinii publicznej cała społeczność ochrony porządku publicznego musiała nadal być zgodną szczęśliwą rodziną strzegącą bezpieczeństwa obywateli. Toteż wcale nie był pewien, co Black powie, kiedy Gracker poskarży mu się na funkcjonariuszy Wydziału do Zwalczania Przestępczości, którzy utrudniają prowadzenie dochodzenia federalnego. Nie wątpił jedynie, że wysłucha jego dzikich wrzasków, nieparlamentarnych i świdrujących uszy.

Mógł tylko mieć nadzieję, że wynik tej wojny na górze wypadnie na jego korzyść.

C.J. pospiesznie zerwała celofan z pudełka, odchyliła wieczko i wciągnęła w nozdrza zapach tytoniu, który wypełnił całe wnętrze auta. Kiedy zaciągnęła się głęboko dymem, odniosła wrażenie, jakby witała dawno niewidzianego przyjaciela, a gdy wydmuchnęła go prosto w kierownicę, poczuła, jak jej zdenerwowanie szybko ustępuje.

Stała na pustym parkingu przed barem 7-Eleven. Słońce dopiero wschodziło, nad horyzontem niebo jaśniało odcieniami czerwieni i purpury. Jeszcze raz zaciągnęła się głęboko, odchyliła na oparcie i zamknęła oczy, próbując zebrać myśli. Przede wszystkim musiała zapanować nad rosnącą paniką. Przed oczyma wciąż miała widok młodego Victora Chaveza siedzącego w obitym skajem fotelu na wprost niej w Biurze Prokuratora Stanowego

– w świeżo odprasowanym niebieskim mundurze i wypucowanych do połysku butach, barczystego, atletycznie zbudowanego, z wystającą spod nogawki spodni kaburą dodatkowej broni, zapiętą nad kostką.

We wrześniu 2000 roku wezwała go na próbne przesłuchanie, szykując się do wstępnego posiedzenia sądu, na którym musiała przedstawić zeznania zaprzysiężonego świadka, by móc ocenić, jakie uzasadnione zarzuty będzie mogła postawić zatrzymanemu przed komisją sędziowską zwaną wielką ławą przysięgłych – gdyż wobec braku niezbitych dowodów przestępstwa nie mogła wykorzystać innej legalnej drogi sformułowania oskarżenia.

Na tym etapie procesu pełniła funkcję zaworu bezpieczeństwa, racjonalnej i rozważnej przeciwwagi wobec działających zwykle zbyt pochopnie i nadgorliwych policjantów, a zarazem ostatniego wnikliwego inspektora w zawałonych sprawami i mającym tendencję do pospiesznego ferowania wyroków wymiarze sprawiedliwości. Wówczas – siedząc w swoim fotelu i spoglądając przez okno na stojący po drugiej stronie ulicy żelazno-betonowy gmach więzienia okręgowego, gdzie William Rupert Bantling siedział w areszcie bez możliwości zwolnienia za kaucją, oskarżony wstępnie o popełnienie morderstwa – słuchała opowieści policyjnego żółtodzioba – aż rojącej się od słabo zawoalowanych kłamstw – na temat odnalezienia w bagażniku auta Bantlinga zwłok pięknej modelki. Wystarczyło kilka podchwytliwych pytań, żeby się przekonać, że Chavez nie umie kłamać. Już po paru minutach rozmowy arogancki uśmiezek zniknął z jego ust, a jego miejsce zajął wyraz lęku i zatroskania.

Zatrzymanie okazało się niezgodne z prawem, przeprowadzone na podstawie anonimowego, mało wiarygodnego doniesienia. Victor za późno się w tym zorientował, bo dopiero po wyważeniu zamka bagażnika, kiedy jaskrawe światła na moście McArthura wyłowiły z mroku jego budzącą grozę zawartość. Przeszukanie jaguara, które doprowadziło do przerażającego odkrycia, było tak samo niezgodne z prawem, gdyż stanowiło konsekwencję nielegalnego zatrzymania. Tak przynajmniej stanowiły przepisy. Dlatego idąc za radą swojego sierżanta, Chavez próbował w pośpiechu naprawić błąd i upozorować zatrzymanie kierowcy z powodu stłuczonej osłony tylnych świateł, którą sam rozwaliał

kopniakiem już na moście. Odkrywszy prawdę, C.J. nie mogła się uwolnić od świadomości, że

Bantling lada moment wyjdzie na wolność, gdy krążąc nerwowo po swoim gabinecie, usiłowała gorączkowo wymyślić, co z tym fantem począć.

Jeszcze tego samego dnia podjęła decyzję. Chcąc przekształcić kiepskie kłamstwo w wiarygodną wymówkę, aby w ten sposób sprawiedliwości stało się zadość, musiała zrezygnować z wierności zasadom etyki zawodowej. Niemal od podstaw stworzyła nową historyjkę, taką, która miała szansę przetrwać prawniczą weryfikację i stać się dobrym uzasadnieniem zatrzymania jaguara i późniejszego otwarcia bagażnika. Po naprawieniu tego błędu przestały być także zagrożone wydane nakazy rewizji oraz legalne podstawy przeszukania domu i samochodów Bantlinga, dzięki którym zebrano materiał dowodowy.

Stopniowo można było dalej budować domek z kart.

Zaciągając się łakomie dymem z papierosa i skubiąc w zamyśleniu paznokciec kciuka, popatrzyła przez szybę auta na spalonego słońcem żebraka, który zasiadał przy stoliku pod parasolem do śniadania złożonego z paczki chipsów i przyniesionej ze sobą piersiówki Jacka Daniela.

Jak to zwykle bywa, szybko ujawnił się oczywisty problem: im więcej osób uczestniczy w konspiracji, tym trudniej zachować wszystko w tajemnicy. Wciąż mając przed oczami policyjnego żółtodzioba siedzącego w głębokim skajowym fotelu, niemalże usłyszała własny głos żądający stanowczo wyjaśnień:

– *Więc całą prawdę oprócz ciebie zna tylko sierżant Ribero?*

Victor Chavez odezwał się roztrzęsionym głosem:

– *Nie. Jeszcze Lindeman wie o tym anonimowym zgłoszeniu.*

Miała wrażenie, że to nazwisko, wypowiedziane głosem Chavez, odbija się jej pod czaszką z wielokrotnionym echem. Tylko trzech policjanci znali całą prawdę o wydarzeniach tamtej nocy na moście McArthur, przez co stali się uczestnikami spisku, swoistego sabatu czarownic. Dwaj z nich zostali teraz brutalnie zamordowani. Równocześnie morderca zostawiał wyraźną wiadomość: *Ktoś zaczął niepotrzebnie gadać i trzeba to ukrócić.*

Czy ulega paranoi, czy to zwykły zbieg okoliczności?

C.J. uruchomiła wóz, wyjechała z parkingu i ruszyła do domu. Zostały jej niespełna trzy godziny do kolejnego posiedzenia z kłótliwym sędzią i rozdrażnioną ławą przysięgłych, musiała wziąć prysznic i przebrać się, a przede wszystkim skończyć przygotowania do przesłuchania świadków.

Miała coraz większy mętlik w głowie. Nie mogła wyzbyć się obaw, że morderstwa Czarnej Marynarki nie są wynikiem gangsterskich porachunków czy zemsty narkotykowych karteli, a nawet działalności jakiegoś samozwańczego obrońcy prawa walczącego z korupcją w policji. Jej przerażenie budziła myśl, że ktoś systematycznie eliminuje osoby znające mroczną tajemnicę. Tylko kto i dlaczego mógł je kolejno uciszać?

Mimowolnie wracała myślami do sierżanta Lou Ribero, jedyne pozostałego już przy życiu z tej

kłamliwej trójki, zachodząc w głowę, co będzie, jeśli i on zginie. Ale gdy tylko próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie „dlaczego”, wracała do punktu wyjścia. W dodatku jej wątpliwości budził Angelillo, gliniarz z komendy okręgowej zabity przed Dolphin Mall. Z

tego, co wiedziała, w żaden sposób nie był powiązany z tamtą sprawą. Nigdy nie spotkał

Bantlinga, w ogóle nie miał z nim do czynienia. Więc jak należało traktować jego śmierć?

Wprowadzając jeepa na zarezerwowane dla niej miejsce na parkingu przed budynkiem, doszła ostatecznie do wniosku, że chyba naprawdę ulega paranoi. Aż odetchnęła z ulgą i na chwilę zacisnęła powieki. Gdyby jeszcze nie musiała zmagać się z tym wszystkim w samotności...

Jej ojciec zwykł mawiać, że mamy skłonności do wyolbrzymiania problemów, jeśli próbujemy się sami z nimi borykać, co wychodzi na jaw dopiero wtedy, gdy z kimś się nimi podzielimy.

Spojrzała na zegarek i aż gwizdnęła cicho. Chwyciła z prawego fotela swoją torebkę, notes oraz paczkę marlboro i pognała schodami na górę do mieszkania. Nie miała już czasu na roztrząsanie pytań pozostających na razie bez odpowiedzi. Powinna się szykować do wystąpienia przed sądem.

– Musimy porozmawiać – zaczął Dominick.

Była siódma wieczorem i C.J. siedziała już sama w biurze prokuratora, wciąż walcząc z natłokiem myśli, które nie pozwalały jej się skupić na wypełnianiu formularzy widniejących na ekranie monitora.

Pojawił się w drzwiach jej gabinetu tak niespodziewanie, że przestraszona podskoczyła w fotelu, kiedy się odezwał. Zaniepokoiło ją, że w ogóle nie słyszała, kiedy wszedł do biura, że dała się tak łatwo zaskoczyć. Ale pominęła tę sprawę milczeniem.

– Cześć – rzuciła, siląc się na swobodny ton. – Co cię tu sprowadza?

– Ty. Lepiej wyjaśnij, co cię zatrzymało do tak późna i dlaczego nie odbierasz telefonu.

Wyglądał na zmartwionego, chyba nawet rozzłoszczonego. Odkleił się od futryny i wszedł do gabinetu, ale nie usiadł.

– Zapomniałaś, że w tym tygodniu miałam rozprawę? Czekałam na werdykt – odparła w dużym stopniu zgodnie z prawdą. – Dzwoniłam do ciebie i zostawiłam wiadomość...

– Tak, odebrałem. Gratuluję wyroku skazującego – rzekł nieco łagodniejszym tonem.

– Ale ostatnio dziwnie się zachowujesz. Jakby coś się psuło między nami. Coraz rzadziej się widzimy, od trzech dni nawet ze sobą nie rozmawialiśmy. Możesz mi wyjaśnić, o co chodzi?

– Jesteś bardzo zajęty, ja również, Dominicku. Coraz rzadziej możemy znaleźć dla siebie czas. To wszystko.

Kiedy on wracał do domu, ona już spała. A rano wychodziła po cichu, żeby go nie zbudzić.

– Nie, nic z tego – rzucił, kręcąc głową. – To żadna odpowiedź. Trwa to już od jakiegoś czasu. Bezskutecznie próbuję utrzymać z tobą kontakt. Bezskutecznie próbuję się porozumieć. Dlatego tu jestem.

Kiedy zamilkł, w pokoju zapanowała wręcz ogłuszająca cisza.

– Przepraszam – odezwała się w końcu.

Pod żadnym pozorem nie mogła się z nim podzielić obawami, jakie wzbudziło w niej poniedziałkowe odkrycie zwłok Sonny'ego Lindemana. Tłumaczyła sobie, że nawet kochankowie mają przed sobą pewne tajemnice. Odpowiedzialność za ten jeden sekret bardzo jej ciążyła, wołała jednak nie narażać Dominicka i jego kariery tylko po to, by zrzucić z barków nieznośny ciężar. Poza tym wcale nie była pewna, czy on podzieliłby w pełni jej stanowisko, czy nie poczułby się zobligowany do ujawnienia swoim przełożonym faktów, które przecież nie mogły ujrzeć światła

dziennego.

– O co chodzi? Co się z tobą dzieje? – Oparł się dłońmi o kant biurka i pochylił w jej stronę, utkwivszy świdrujące spojrzenie w jej twarzy. – To z powodu trwającego procesu?

Czy może chodzi o sprawę Czarnej Marynarki? Muszę to wiedzieć, C.J. Błądzisz gdzieś daleko myślami i w żaden sposób nie mogę się do ciebie przebić, niezależnie od tego, jak bardzo się staram.

– Od czasu pierwszego zabójstwa pracujesz po szesnaście godzin dziennie, Dominicku. Więc gdzie i kiedy chciałbyś się do mnie przebić? – Zamilkła na chwilę. – A i ja od miesiąca jestem bez reszty zaprzątnięta tą rozprawą. Dlatego powiedziałam, że oboje jesteśmy bardzo zajęci. I chyba oboje będziemy musieli się bardziej postarać.

Śmiało popatrzyła mu w oczy, którymi nadal ją świdrował. Poczła się jak zatrzymana w trakcie przesłuchania. Sprawiał takie wrażenie, jakby nic nie mogło się przed nim ukryć.

Wyprostował się, obszedł biurko i stanął przy jej fotelu, który obrócił tak, by znalazła się twarzą do niego. Wziął ją za rękę i pociągnął do siebie. Bez słowa objął ją czule i pocałował. Gdy tylko poczuła na brodzie jego krótki zarost, ogarnęło ją znajome poczucie bliskości. Ale z drugiej strony to niespodziewane zbliżenie, zarówno pod względem fizycznym, jak i emocjonalnym, wywołało w niej bliżej niesprecyzowane poczucie strachu.

– Ja też przepraszam – rzekł po chwili, tuląc ją do siebie. – Te zabójstwa działają mi na nerwy. To nie są zwykłe sprawy. – Stopniowo zniżył głos aż do ledwie słyszalnego szeptu, jakby mówił sam do siebie. – Czuję się tak, jakbym zaciągał dług wobec zabitych kolegów, jakbym był im winien dużo więcej niż ktokolwiek inny. Muszę zidentyfikować mordercę, a jak dotąd nie zrobiłem żadnych postępów. Bo niezależnie od tego, w czym zawinili, na pewno nie zasłużyli sobie na taką śmierć. Na Boga, pełnili swoje służbowe obowiązki...

– Na pewno go znajdziesz – powiedziała cicho.

Doskonale wiedziała, że służba w policji nie jest szczytem jego marzeń. W rodzinie Dominicka aż roiło się od policjantów, chociaż rzadko rozmawiali na ten temat. Jego wujowie i dalsi kuzyni nadal służyli w Nowym Jorku, szwagier był detektywem w wydziale rabunków w komendzie okręgu Nassau na Long Island. Dziadek przez trzydzieści lat pełnił na Bronksie służbę patrolową, a ojciec po dwudziestu musiał przejść na rentę. Powinna była wcześniej się domyślić, jak bardzo Dominick weźmie sobie te zabójstwa do serca, ale była zbyt zaabsorbowana próbami zdystansowania się od tej sprawy, toteż teraz poczuła się w dwójnasób winna.

– Powiniennem być otwarcie powiedzieć ci o swoich oczekiwaniach – rzekł. – Ta sprawa zanadto załazała mi za skórę. Miałem nadzieję, że przy tobie znajdę odskocznnię od niej, ale... ostatnio rzadko się widywaliśmy...

Głos mu uwiązł w gardle. C.J. zdała sobie nagle sprawę, jak wiele razy mogła na niego liczyć, jak bardzo pomagał jej uwolnić się od wszelkiego rodzaju obciążeń psychicznych.

Tymczasem teraz to on jej potrzebował, a ona go zawiodła. Nie potrafiła wyczuć jego narastającej desperacji, ponieważ cały czas trzymała go na dystans. W odróżnieniu od niego nie mogła sobie pozwolić na całkowitą szczerłość.

– Masz rację – przyznała cicho. – Sędzia Penney jest bardzo wymagający i poświęciłam mu całą swoją uwagę. A przecież w poniedziałek... – urwała i spuściła głowę. –

Przepraszam, kochany. Powinnam była wcześniej wrócić do domu. Moglibyśmy...

Szybko uniósł jej głowę i uciszył ją kolejnym pocałunkiem, tym razem delikatniejszym i bardziej czułym. Poczła na karku jego dłoń przesuwającą się powoli wzdłuż krawędzi jedwabnej kamizelki. Kiedy przyciągnął ją nieco mocniej, aż ciarki przeszły jej po plecach. Jego przyspieszony oddech muskał jej policzek, a po chwili czubek języka wsunął się w głąb jej ust. Miała wrażenie, że wyczuwa lekki smak piwa, ale całkiem słodkiego, zupełnie pozbawionego goryczy. Zarzuciła mu ręce na szyję i przeciągnęła dłońmi po naprężonych mięśniach karku, przyciągając jego głowę. Mimo czterdziestu dwóch lat wciąż miał wspaniałe ciało.

– Czy teraz możemy już wracać do domu? – zapytał.

Bez słowa stanął tuż za nią, kiedy się odwróciła, żeby zamknąć drzwi mieszkania, i przywarł do niej całym ciałem. Objął ją wpół, przyciągając do siebie, i zanurzył twarz w jej włosach, a ona przycisnęła jego ręce do swego brzucha, pogrążając się w czułym objęciu.

Przez kilka minut stali tak przytuleni w ciemności zalegającej przedpokój. C.J. zamknęła oczy, żeby skupić się na doznaniach, jakie budził w niej jego ciepły oddech na policzku czy drapanie krótkiej bródki o skórę na karku. W zamyśleniu zaczęła wodzić palcami po jego przedramionach, jakby chciała dokładnie poznać kształt napiętych bicepsów.

Wyobraziła sobie, że oprócz ich dwojga na świecie nie ma nikogo, ani zdziwaczałych sędziów, ani natrętnych dziennikarzy, ani też brutalnych zabójców; że w pracy nie muszą się bez przerwy stykać ze śmiercią, a uczestniczenie w pogrzebach nie wchodzi w zakres ich obowiązków służbowych. W jej marzeniach oboje mogli wieść zupełnie inne życie, proste i szczęśliwe, pozbawione balastu przeszłości oraz tajemnic, które tworzą między nimi pogłębiającą się ciągle przepaść milczenia.

Dominick nie wypuszczał jej z objęć, zresztą nawet by mu na to nie pozwoliła. Z

rękoma splecionymi na jej brzuchu tulił ją do siebie tak mocno, że coraz wyraźniej czuła na pośladku jego erekcję. Ciepły oddech, który muskał jej policzek, stawał się coraz szybszy i płytszy, czubek języka podniecająco przesuwiał się za uchem, a wargi muskały krzywiznę jej karku. Jego lewa dłoń przesunęła się w górę, na jej pierś, a chwilę później jeszcze wyżej, do zapięcia bluzki. Minęło zaledwie parę sekund, jak wszystkie guziki zostały rozpięte, ciepłe palce wsunęły się pod miseczkę jej stanika i zepchnęły ją w bok, a cała pierś znalazła się w objęciu jego dłoni.

Wytworzyła się między nimi bardzo silna więź, niemal chemiczna, której nic nie mogło zerwać. C.J. doskonale zdawała sobie sprawę, że kiedy są ze sobą blisko, gdy się kochają, mimowolnie część jej psychiki otwiera się jak okno na oścież, przez które nie tylko łatwo zajrzeć do środka, ale też sięgnąć i dotknąć jej jaźni. W takich chwilach, gdy stykały się ich nagie ciała, jej skóra stawała się cudowną, aczkolwiek mało znaczącą barierą rozdzielającą obie dusze. Ich oddechy zlewały się wówczas w jeden wspólny i na krótko, w jakiś niewypowiedziany sposób, Dominick zyskiwał okazję posiąść ją absolutnie całą, dowiedzieć się o niej nawet tego, czego sama sobie nie uświadamiała. Prawdopodobnie właśnie to uczucie całkowitego uzależnienia niekiedy tak bardzo ją przerażało. Bo gdy tak bardzo zbliżali się do siebie emocjonalnie, łatwo było rozpoznać jakieś skazy na jej charakterze.

Ona także przesunęła ręce ku górze i wsunęła palce między króciutkie włoski na jego karku, żeby pociągnąć mu głowę w dół, do swojej szyi. Jednocześnie wygięła się do tyłu, by nasilić doznania, mocniej poczuć jego dotyk, pogrążyć się w rozkoszy, nawet już tu, w przedpokoju. Chciała wyprężyć piersi ku jego palcom, podsunąć kark wargom i poczuć, jak i jej oddech zamiera w gardle, gdy jego dłoń przesuwana się w dół po jej brzuchu, szybko odnajduje guzik oraz suwak spodni i rozpina je.

Od czasu nawiązania romansu kochali się już setki razy, lecz wciąż przechodziły ją ciarki, ilekroć jej dotykał. Tak silnych wrażeń nie doznawała w kontaktach z żadnym innym mężczyzną. Słyszała własne mimowolne jęki rozkoszy, gdy rozpięte spodnie zsuwały się na podłogę, a jego dłoń zaczynała

wędrować dalej w dół.

– Boże... Kocham cię... – wyrzuciła z siebie, z trudem łapiąc oddech, coraz mocniej wbijając paznokcie w jego skórę na karku i przyciągając mu głowę do swojej szyi.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo cię pragnę – wysapał jej do ucha. – I to już, teraz.

Choćby tutaj...

– Tak, weź mnie... – wyszeptała, zaciskając powieki.

Jakimś sposobem wyswobodził się z koszuli, nie przestając wodzić dłońmi po jej brzuchu i biodrach, a potem zrzucił spodnie, które osunęły się na podłogę obok jej spodni.

Delikatnie obrócił ją twarzą do siebie. Poczuła bijące od niego ciepło na odsłoniętych częściach swojego ciała, drapanie włosków na jego piersi ocierających się o jej sutki, a otaczające ją niczym szczelny i ciepły płaszcz, silne ramiona, napełniły ją poczuciem bezpieczeństwa. Kiedy jego dłoń przesunęła się między jej piersiami, uniosła brodę i posłusznie otworzyła oczy. Blask ulicznych latarni wlewał się przez oszklone drzwi balkonowe do saloniku i wpadał przez szczeliny między listwami żaluzji.

– Przepraszam – powiedziała cicho, czując łzy ciskające się do oczu. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło. – I za dzisiejszy wieczór, i za wszystko... Za to, że nie było mnie przy tobie...

– Ciii... – syknął. – Kocham cię. Możesz być tego pewna bardziej niż czegokolwiek innego.

Pocałował ją delikatnie, a następnie przeniósł i ułożył na dywanie w saloniku, gdzie kochali się w mętym blasku wpadających przez okno światła miasta.

Pogrzeb Sonny'ego Lindemana odbył się w wietrzne piątkowe popołudnie w kościele Małego Kwiatuszka w samym centrum Coral Gables. Już z odległości kilkuset metrów C.J.

zauważyła, że nie ma sensu szukać nawet odrobiny wolnego miejsca przed frontonem majestatycznej katedry w stylu hiszpańskim. Przy krawężnikach samochody stały zderzak przy zderzaku, a zasmuceni ludzie w czarnych strojach wędrowali noga za nogą po chodnikach, nie bacząc na światła. Ulicznym ruchem próbowali kierować policjanci z miejscowej drogówki, lecz Dominick zignorował ich wskazówki i skręcił na ostatnie wolne miejsce w zatoczce, przed którą stał zakaz parkowania, a gdy tylko najbliższy gliniarz ruszył

truchtem w ich kierunku, ustawił za przednią szybą służbową plaketkę Wydziału do Zwalczenia Przeszłości, wysiadł i odszedł maskę, żeby otworzyć drzwi od strony C.J.

Policjant tylko rzucił okiem na identyfikator, po czym zawrócił i odszedł.

Trzymając się za ręce, poszli dalej w stronę kościoła, zasłuchani w stukanie obcasów o płyty chodnika, które zdawało się jedynym odgłosem mącą przytłaczającą ciszę. Dopiero przed samym kościołem doleciały ich stłumione głosy ludzi.

C.J. nie chciała przyjeżdżać na ten pogrzeb, zrobiła to wyłącznie z szacunku dla zabitego – jak też dla Dominicka, któremu bardzo zależało na jej obecności, oraz z szacunku dla jego środowiska, które musiało się pogodzić z kolejnym druzgoczącym ciosem w ciągu zaledwie trzech dni. Dominick miał rację. Niemal natychmiast po zabójstwie Sonny'ego Lindemana poufne informacje z Wydziału Spraw Wewnętrznych komendy miejskiej zaczęły wyciekać jak pomyje z dziurawej rury ściekowej. Sonny dopiero niedawno trafił na Listę Brudów za sprawą podejrzanego informatora, który doniósł na niego, by według umowy z prokuratorem zostać uwolnionym od zarzutu handlu narkotykami. Nazywał się Elijah Jackson i sypanął nazwiskami jak z rękawa, zanim wyszedł z aresztu, nie musząc płacić ani centa kaucji.

Dwa dni później jakiś wędkarz dostrzegł jego zwłoki dryfujące z nurtem rzeki Miami.

Patolog prowadzący sekcję miał niemal stuprocentową pewność, że bezpośrednią przyczyną śmierci było przecięcie tętnicy szyjnej, ale ponieważ jama brzuszna Elijaha także została rozcięta – zapewne po to, żeby przywabić drapieżne ryby i przyspieszyć rozkład ciała – nie mógł wydać jednoznacznego orzeczenia.

Co ciekawe, od nazwisk skorumpowanych policjantów dużo bardziej interesujące okazały się inne nazwiska, które Jackson, będący członkiem gangu BB Posse, zdążył

wymienić, zanim spłynął z prądem rzeki. Zwłaszcza jedno, Valle, niemal w magiczny sposób otworzyło drzwi jego celi. Roberto Valle, głowa jednego z najbogatszych rodów w Miami, był właścicielem połowy majątków ziemskich w okręgu i połowy nocnych klubów w SoBe.

Dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie w tych klubach po nocach dorabiały ofiary Czarnej

Marynarki. Jako szanowany członek społeczeństwa Valle był wielokrotnie obsypywany zaszczytami za działalność charytatywną i liczne datki na rzecz potrzebujących, lecz nie miało to większego znaczenia. Działalność nocnych klubów cieszyła się szczególnym zainteresowaniem stróżów prawa, którzy od dawna podejrzewali Vallego o pranie w nich brudnych pieniędzy. Elijah Jackson dostarczył im tylko klucz do tego, do czego od lat chcieli się dostać.

Jak okiem sięgnąć, chyba na całej długości Sevilla Street, stały wozy patrolowe i nieoznakowane auta policyjne bodaj ze wszystkich wydziałów. Wyróżniały się radiowozy z Melbourne, Lakeland czy Orlando, były nawet z Tallahassee i Jacksonville. Ze wszystkich stron Florydy brać w niebieskich mundurach przybyła, by pożegnać nieznanego kolegę. I nie miało znaczenia, że sprzeniewierzył się etyce zawodowej.

Przed olbrzymimi drzwiami kościoła, wykonanymi ze szkła i kutego żelaza, tłoczyli się umundurowani gliniarze i detektywi w ciemnych garniturach, nerwowo palili papierosy i rozmawiali. Zamierzali wejść do środka dopiero w ostatniej chwili. Dominick odszukał

Manny'ego, który stał w towarzystwie Marlona Dorsetta, Chrisa Mastersona i paru innych.

– Cześć, chłopaki – rzekł, rozglądając się ciekawie dookoła. – Nie widzieliście Fultona?

– Owszem – odparł Chris. – Wszedł do środka razem z Blackiem i Jordanem z komendy w Miami Beach. Powiedzieli, że zajmą miejsce dla ciebie.

– *Hola*, pani mecenas – Misiek powitał C.J. z szerokim uśmiechem. Miał na sobie tweedową marynarkę z zamshowym kołnierzem i wyłogami, z rękawami za krótkimi na niego o dobre pięć centymetrów. Albo pochodziła sprzed wielu lat, albo, co bardziej prawdopodobne, pożyczył ją od kogoś. Do tego miał czarny krawat upstrzony maleńkimi, niebiesko-białymi symbolami Florydy przedstawiającymi wyskakującego z wody marlina. –

Jakoś nie mieliśmy ostatnio okazji, żeby porozmawiać. Jak tam przygotowania do ślubu?

– Dziękuję, w porządku, Manny. Dominick właśnie zarezerwował salę w barze salsa z jazz-bandem.

– Rewelacja. – Alvarez poklepał się po wydatnym brzuszku wypływającym mu znad paska spodni. – To będzie wyzerka... – Obrócił się w stronę Dominicka. – Hej, chłoptasiu.

Czyżbyś chciał stawać ze mną w zawody na parkiecie z tym swoim marnym włoskim zadkiem?

– Może i się pokuszę, Miśku – odparł z uśmiechem Falconetti. – Wolę jednak oszczędzać ten mój marny włoski zadek na miesiąc poślubny.

C.J. poczuła, jak pieszczotliwie przeciągnął palcami po zewnętrznej stronie jej dłoni.

Alvarez zwrócił się do niej.

– To mi przypomniało, pani mecenas, że powinienem chyba zaprosić pani przyjaciółkę na wesele.

– Marisol? Wydawało mi się, że już to przerabialiśmy, Manny. Do dzisiaj ze mną nie rozmawia po tym, jak złamałeś jej serce na ostatniej randce. – Wolała nie dodawać, że milczenie sekretarki raczej odbiera z wdzięcznością. – Od paru miesięcy nie zostawiła mi tak porządnie zapisanej notatki jak kiedyś.

– Pewnie za mną tęskni, co nie? Spryciuła... – Umilkł na chwilę, skubiąc w zamyśleniu wąsa, jakby pogrążył się we wspomnieniach. – Może faktycznie do niej zadzwonię?

C.J. mimowolnie skrzywiła się na myśl, że będzie musiała pracować z Marisol dwukrotnie wystawioną do wiatru.

– C.J. – odezwał się Masterson. – Dawno się nie widzieliśmy. Co u ciebie?

– W porządku, Chris – odparła z uśmiechem, rozglądając się ciekawie. Pracowali razem nad dochodzeniem w sprawie Kupidyna i ich stosunki układały się bardzo dobrze.

Masterson zawsze trzymał się na uboczu i był milczący, stanowił całkowite przeciwieństwo gadatliwego Alvareza. – Chociaż, co prawda, miewałam lepsze dni.

– Jak my wszyscy. Słyszałem, że jesteś w specjalnym zespole zajmującym się sprawą Czarnej Marynarki. I mnie znów w to wrobili.

Z trudem przełknęła ślinę.

– To prawda, chociaż ciągle się waham, czy dam radę. Jestem zawałona robotą. Bez przerwy rozprawy, wystąpienia przed sądem... – Umilkła na krótko. – Liczę na to, że tym razem Maus mnie zastąpi. Ma doświadczenie w sprawach przeciwko gangom.

Nie zdobyła się jeszcze na odwagę, by podsunąć prokuratorowi stanowemu ten pomysł, który rozważała już od kilku dni, a mianowicie by zrezygnować z udziału w specjalnym zespole dochodzeniowym i zaproponować na swoje miejsce Andy’ego Mause, do niedawna szefa Wydziału Przestępczości Zorganizowanej. To właśnie on, pełniąc dyżur w Wydziale Zabójstw, był na miejscu śmierci Angelilla. Z nim zresztą również o tym jeszcze nie rozmawiała, ale podobno był łasy na wszelkie zaszczyty, więc raczej powinien z radością przyjąć tę propozycję.

– Naprawdę? Ale mam nadzieję, że przed odejściem podzielisz się z nami swoją opinią

– rzekł Chris.

– Dominick opowiadał mi o twojej teorii na temat okaleczenia zwłok, o kolumbijskim krawacie.

– Paskudna sprawa, prawda? Ale za to skuteczny sposób na przekazanie wszystkim wymownej wiadomości.

C.J. uznała, że nie wytrzyma dłużej bez papierosa.

– To prawda. Przepraszam na chwilę.

Przecisnęła się przez tłum policjantów i dała nura za róg kościoła. Chciała zniknąć z oczu wszystkim członkom specjalnego zespołu, a zwłaszcza Dominickowi, który jeszcze nie wiedział, że znów zaczęła palić.

Pod rozłożystą koroną chyba stuletniego eukaliptusa stało tutaj kilku funkcjonariuszy w brązowych mundurach policji okręgowej Miami-Dade pogrążonych w rozmowie z paroma ubranymi na granatowo chłopcami z patrolu z Miami Beach, z których żadnego nie znała.

Odwrócona do nich tyłem, pospiesznie przypaliła marlboro, starając się nie myśleć o tym, co mówił Chris.

Nagle za jej plecami któryś z gliniarzy zapytał półgłosem:

– Czy to nie ta prokurator, co oskarżała w sprawie Kupidyna?

Po chwili odpowiedział mu inny głos:

– Masz rację, to chyba ona. Townsend. Podobno zajmuje się też tą sprawą. Tak przynajmniej słyszałem.

Poczuła ciarki na plecach, świadczące, że cała grupa jej się przygląda.

Chwilę później głęboki bas z silnym nowojorskim akcentem zagadnął:

– Hej, Carl. Znałeś tego pierwszego zabitego, Chaveza? To on wyciągnął z jaguara tego porąbanego świra, prawda?

– Nie za bardzo. Straszny był z niego dupek. Nie zasłużył na taką śmierć, ale nikt go nie lubił. – Na moment zapadła cisza. – Sonny’ego też znałem. Zanim przeniósł się do komendy miejskiej, jeździł u nas w patrolach, w Miami Beach. Raz nawet miałem z nim służbę.

– Poważnie?

– Pewnie. Zdaje się, że on też miał coś wspólnego ze sprawą Kupidyna.

C.J. serce podeszło do gardła.

Inny głos dodał:

– Wszyscy pracowaliśmy nad tą sprawą.

– Święta racja – odezwał się znów nowojorczyk. – Wrobiłem przy niej tyle nadgodzin, że mogłem sobie kupić nowy jacht.

Rozległy się tłumione śmiechy.

– Nawet ja grzebałem się w tym gównie, sprawdzałem karty chorobowe z kartoteki tego doktora –

wtrącił jeszcze inny głos.

– Ale ty, Carl, miałeś z tą sprawą do czynienia chyba więcej niż ktokolwiek z nas.

– Siedziałem nad nią dzień i noc. W naszym wydziale wszyscy zajmowali się wyłącznie sprawą Kupidyna. Nic dziwnego, że i Sonny został w to wciągnięty.

– Jak długo służył u was, w Miami Beach?

– Blisko rok. Jeśli się nie mylę, poszło o jakieś kwestie administracyjne, to z ich powodu przeniósł się do Miami. I gdzie wylądował? Na nocnej zmianie.

– Ja też jeżdżę na nocnej zmianie – rzekł któryś gliniarz z wyraźnym kubańskim akcentem. – Pytali mnie teraz, czy nie chciałbym jeździć z partnerem. Powiedziałem, że niepotrzebna mi niańka. Za rączkę to ja mogę prowadzić mojego pięcioletniego synka. Niech tylko ta pieprzona Czarna Marynarka spróbuje mnie podejść. Dostanie kulkę w łeb szybciej, nim zdąży się uśmiechnąć.

Odpowiedziały mu pomruki aprobaty.

C.J. zdusiła obcasem niedopałek i wyszła z powrotem przed fronton kościoła.

Z głębi ulicy doleciało przybierające na sile wycie syren policyjnych i wkrótce ukazała się kawalkada co najmniej trzydziestu motocyklistów w dwóch rzędach, którzy jechali na sygnale i z włączonymi migaczami, eskortując czarny karawan i podążające za nim trzy limuzyny. Cała kolumna zatrzymała się przy krawężniku na wprost kościoła. Wśród zgromadzonych zapadło milczenie. Część policjantów pospieszyła do środka, pozostali rozstąpili się i zapatrzyli na jasną, sosnową trumnę wyciąganą z karawanu. Jednocześnie nad ich głowami rozległ się terkot śmigłowców. Reporterzy, niemający szacunku tak samo dla żywych, jak dla zmarłych, przybyli na miejsce aż pięcioma helikopterami, na żywo transmitując z powietrza drogę uroczystej kawalkady z domu pogrzebowego do kościoła.

C.J. odszukała w tłumie Falconettiego i Alvareza. Reszta zespołu najwyraźniej weszła już do kościoła. Dominick popatrzył na nią z ciekawością, po czym uśmiechnął się pobłażliwie i skinął głową, jakby zrozumiał nagle przyczynę jej zniknięcia. Ogarnęło ją poczucie winy. Miętówki i odświeżacz do ust nie spełniły swojej funkcji. On znał prawdę.

Otworzyły się drzwi trzech limuzyn. Z pierwszej wysiadła młoda, trzydziestoletnia kobieta, najwyraźniej żona zabitego. Nawet duże ciemne okulary nie mogły ukryć stanu, w jakim się znajduje. Członkowie dalszej rodziny, którzy wysypali się z pozostałych aut, szybko wzięli ją pod rękę i pociągnęli w stronę kościoła, ale ruszyła niechętnie, wciąż się oglądając, jakby jeszcze miała nadzieję usłyszeć głos męża dolatujący z trumny wyciąganej z karawanu.

W drzwiach kościoła przeprowadzili ją tak blisko C.J., że ta bez trudu dostrzegła na jej policzkach ślady naprędcy wytartych smug rozmazanego tuszu do rzęs.

Za nią do środka weszła druga młoda kobieta z małym dzieckiem na ręku, a następnie grupka mężczyzn. Wszyscy mieli tak samo zatroskane i zrozpaczone miny. Na końcu szła jakaś starsza

kobieta trzymająca za rączkę kilkuletnią dziewczynkę.

– Cholera. Zostawił żonę z dwójką dzieci. Wierzyć się nie chce... – mruknął półgłosem Manny, kręcąc głową.

C.J. ścisnęło w dołku. Utkwiła wzrok w dziewczynce kurczowo ściskającej dłoń swojej babci. Kiedy przechodziły obok niej, mała zapytała niepewnym, roztrzęsionym głosem:

– Babciu, czy tata został w tamtym samochodzie?

Starsza kobieta odparła z namysłem:

– Tak, Liso, ale tam zostało tylko jego ciało. Bo tata jest już w niebie.

Dziewczynka spuściła główkę i szepnęła:

– Nienawidzę nieba.

Kiedy cała najbliższa rodzina zabitego znalazła się w środku, masywne kute drzwi katedry zamknęły się z hukiem.

Niestety, nie był to jeszcze koniec smutnej uroczystości. Po wzruszającej mowie pożegnalnej i wyczerpującym dwugodzinnym nabożeństwie długa na parę kilometrów kolumna policyjnych aut przejechała na cmentarz, gdzie gwardia honorowa w galowych mundurach na pożegnanie przykrytej sztandarem trumny oddała dwadzieścia jeden salw.

Później przed mikrofonem przewinał się jeszcze szereg wysokich rangą oficerów, którzy w ponurym nastroju wspominali nie tylko Sonny'ego, ale i innych zabitych policjantów.

C.J., zmęczona już palącym słońcem, stała na trawniku z całą grupą śledczych ze specjalnego zespołu dochodzeniowego, kiedy nagle poczuła czyjaś dłoń na ramieniu i usłyszała tuż za plecami:

– Panno Townsend?

Obejrzała się szybko na Lou Ribero, sierżanta służby patrolowej z Miami Beach, o którym Dominick powiedział kiedyś, że jest „skwaszony jak szczyzny z octem”. Teraz sprawiał wrażenie zagubionego i niepewnego siebie. Nie ulegało wątpliwości, że tak samo jak ona nie potrafi uznać zabójstw Chaveza i Lindemana za zbieg okoliczności. Poza nią już tylko on znał mroczny sekret kłamstwa, które zrodziło się w zaciszu jej gabinetu jakieś trzy lata temu. Przynajmniej do takiego wniosku skłonił ją widok jego poblądłej i ściągniętej twarzy oraz milczenie, z jakim przez dłuższy czas wpatrywał jej się prosto w oczy.

Ilekoć spotykali się przypadkiem w ciągu tych trzech minionych lat, czy to w Biurze Prokuratora Stanowego, czy też w sądzie, unikali rozmów. Żadne nie czuło potrzeby, żeby wracać do tamtej sprawy, która połączyła ich wspólną tajemnicą – bo to, że podopieczny sierżanta sknocił zwykłą procedurę zatrzymania podejrzanego, nie zmieniało przecież faktu, że człowiek, który zawinił, musi ponieść karę.

C.J. spodziewała się, że tym razem Ribero coś powie, będzie szukał wyjaśnienia w kwestii paranoi, którą musiał odczuwać tak samo jak ona. Ale kiedy w przedłużającym się milczeniu tylko patrzył na nią ze smutkiem, doszła do wniosku, że musiał wyczytać z jej spojrzenia, iż ona nie potrafi niczego wyjaśnić.

– Przykro mi – odezwała się w końcu, gdyż nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Wyglądał na rozczarowanego tym, że nie znajdzie u niej żadnego pocieszenia. Smutno skinął głową i rzekł nieswoim głosem:

– Mnie również.

Zawrócił na pięcie i oddalił się w zamyśleniu.

Zgodnie z kodem liczbowym wykorzystywanym przez większość służb ochrony porządku publicznego „dziesięć siedem” oznacza zejście ze służby. Jeśli policjant z patrolu przekazuje ten kod przez radio do centrali, znaczy to, że kończy służbę. Komendant policji miejskiej z Miami, Bobby Dees, rzucił krótki rozkaz, a gdy funkcjonariusze w mundurach zsalutowali, podszedł do systemu nagłaśniającego ustawionego na żelaznym stoliku przy grobie i wcisnął klawisz odtwarzania. Po cmentarzu rozszedł się nieco zniekształcony przez głośniki nagrany ostatni meldunek Sonny’ego Lindemana, który w tej samej chwili był

transmitowany przez wszystkie policyjne centrale łączności radiowej w całym kraju.

– *Komenda Miami, zgłasza się siedemnaście dwadzieścia.*

– *Słucham, siedemnaście dwadzieścia* – odezwał się znudzonym głosem dyspozytor.

– *Jadę do domu, zgłaszam dziesięć siedem.*

– *Przyjąłem, siedemnaście dwadzieścia. Zapisuję cię na dziesięć siedem o... siódmej zero zero.*

– *Miłego dnia, komenda Miami.*

Rozległ się głośny trzask, który zdawał się akcentować fakt, że numer służbowy Sonny’ego Lindemana został na zawsze skreślony z rejestrów patroli.

– Był przeciek z komendy miejskiej. Dziś rano Gracker i jego chłopcy najechali rezydencję Roberta Vallego – powiedział Dominick, gdy Manny stanął w drzwiach sali konferencyjnej.

Była dopiero dziesiąta rano, a siedzący wokół stołu członkowie specjalnego zespołu dochodzeniowego mieli już zasepione miny. Sprawa seryjnego zabójcy stawała się coraz głośniejsza.

– A dla nas nic nie przyniosłeś? – zapytał Jimmy Fulton, wymownie spoglądając na plastikowy kubek z napisem Cafe-Cubano, który Alvarez trzymał w ręku.

Wystarczyły mu dwa dni pracy w zespole, żeby nawiązać bliższą znajomość z niezbyt ładną i wstydliwą sekretarką z wydziału korupcji, która teraz każdego ranka zaparzała dla niego kubek swojej specjalnej mieszanki.

– Szlag by to trafił – mruknął Manny, zaskoczony niezwykłą nowiną. – A jeśli o to chodzi... – Pociągnął z kubka duży łyk, ostentacyjnie jęknął z zachwyty i dokończył: – Sam się możesz postarać. Nikt ci nie bronił powiedzieć parę komplementów na temat nowej fryzury Marty. Może wtedy i dla ciebie zaparzyłaby tę cudowną kawę. – Przeszedł przez całą salę i wysunął pod ścianę krzesło sąsiadujące z miejscem Fultona, który siedział u szczytu stołu konferencyjnego. Otworzył okno, usiadł pod tabliczką z napisem PALENIE

WZBRONIONE i przypalił papierosa. – Kiedy do tego doszło?

– Do czego? Do przecieku czy nalotu FBI? – zapytał Marlon Dorsett.

– Jednego i drugiego.

– Wiadomości z komendy miejskiej wyciekały jak z rzeszota, zanim jeszcze ciało Lindemana całkiem wystygło – rzekł Dominick. – Już dwa dni po zabójstwie dziennikarze wiedzieli, że był na Liście Brudów. Ale nazwisko Vallego utrzymywano w ścisłej tajemnicy.

Tylko po parę osób w zainteresowanych wydziałach wiedziało, że pojawił się w zeznaniach, a i te zostały zobowiązane do zachowania milczenia. To bardzo drażliwy temat.

– No pewnie. Nikt nie chciał przed czasem być skreślony z listy do świątecznych prezentów, przynajmniej do czasu, aż zostaną postawione oficjalne zarzuty – wtrącił

pogardliwie Manny.

Roberto Valle od lat był podejrzewany o pranie brudnych pieniędzy w swojej sieci nocnych klubów i hoteli, lecz natychmiast zapominano o tych podejrzeniach, gdy w którymś szpitalu zachodziła potrzeba wybudowania nowego skrzydła onkologicznego. Ponadto lista potrzeb nie ograniczała się do szpitali. Stowarzyszenie Braci Policyjnej także korzystało z tego źródła finansowania przy tworzeniu funduszu edukacyjnego dla dzieci funkcjonariuszy.

– Ktoś nie posłuchał – mruknął posepnie Ted Nicholsby, który zyskał już przydomek Ponurak.

– Mam wrażenie, że najwięcej plotek rozeszło się w czasie pogrzebu – ciągnął

Falconetti. – Chyba przez cały ubiegły rok oskarżyciel Elijaha Jacksona próbował się dogadać z federalnymi, żeby otworzyć sobie drogę do stanowiska zastępcy prokuratora krajowego.

Niemal wszystkich prawników kusiała ta posada, ponieważ była dużo lepiej płatna od etatów w instytucjach stanowych, a na dodatek nie wymagała tyle pracy i zapewniała liczne przywileje.

– A Valle jest kluczem do tej sprawy – dodał Fulton.

– Na to wygląda – przyznał Dominick. – Coś mi się zdaje, że najpóźniej za tydzień na drzwiach gabinetu oskarżyciela Jacksona w prokuraturze stanowej zawisnie tabliczka z napisem „Do wynajęcia”, a on sam dodrukuje sobie parę skrótów przed nazwiskiem na wizytówce.

– „Enquirer” zawsze znajdzie swojego informatora, zanim ktokolwiek władny zdecyduje się pisać choć słówko, zwłaszcza mięczak pokroju Tiglera, który musiałby najpierw doszukać się swoich jaj. Jak można być prokuratorem stanowym, kiedy jest się eunuchem? – burknął Manny. – Jakie są straty do tej pory?

– Z tego, co słyszałem, Valle wyzwał Grackera od spasionych gówniarzy i kazał mu dalej przekopywać piaskownicę, dopóki nie będzie miał nakazu podpisanego przez jednego z sędziów federalnych, których przecież to on wydzwignął na stanowisko, ewentualnie przez jednego z sędziów stanowych, których kampanie wyborcze również finansował nie kto inny jak on, po czym kazał mu wypieprzać razem ze swoimi pieskami i nie zasmradzać jego luksusowego apartamentu w SoBe.

– Rety... – Alvarez zachichotał. – Szkoda, że mnie przy tym nie było. Mogę się założyć, że Gracker był czerwony jak burak aż po sam czubek swojej pieprzonej łysin.

Wszyscy obrzucili go podejrzliwymi spojrzeniami.

– No co? – syknął Manny. – Różnica polega na tym, chłopcy, że mnie włosy nie wypadają. Sam sobie golę łepetynę. – Przeciągnął palcami po gładkim i błyszczącym czubku głowy.

– Niemniej temu idiotcie wystarczyło pięć minut, żeby pogrzebać wszelkie nasze nadzieje na wyciągnięcie z Roberta Vallego jakichkolwiek informacji – podsumował

Dominick.

– Więc co teraz, Dom? – zapytał Alvarez.

– Elijah Jackson był szefem sali w „Maniaku”, należącym do Vallego klubie przy Collins Street, w którym Lindeman co najmniej kilka razy w ubiegłym roku brał fuchę ochroniarza. Nie miał przy tym żadnego doświadczenia w tej robocie. Wystarczyło, że poznał

właściwych ludzi, zaglądając tam po służbie na kielicha. Konkretnie mam na myśli Grubego Macka,

szychę z dawnej drużyny skautów Jacksona, czyli z gangu BB Posse, którego członkowie w ciągu ostatnich trzech lat zostali oskarżeni przez różne instytucje o wprowadzenie na rynek kokainy w łącznej ilości ponad dwustu kilogramów. Sam Jackson był

trzykrotnie aresztowany za posiadanie narkotyków i raz za handel nimi. Jedno oskarżenie wycofano, od trzech pozostałych wykręcił się kaucją. Zanim wyruszył na spotkanie ze Stwórcą, zdążył puścić farbę, że „Maniak” dorzuca do wspólnego kotła ponad trzy miliony dolarów rocznego dochodu. Może to zabrzmie cynicznie, ale jestem zdania, że Jackson zasłużył sobie na swój los bardziej za to, czego dokonał na boku, poza rejestrem, niż za to, co zrobił oficjalnie.

– Raczej za to, czego dokonał dla ich rejestru – sprostował Manny. – Naprawdę nie ma jeszcze przepisu, który by mówił, że jeśli chce się zachować licencję na sprzedaż alkoholu, nie wolno zatrudniać przestępców? Według mnie już dawno powinno się go wprowadzić.

– Jackson nie był przestępcą. Ani razu nie został skazany – wyjaśnił Marlon.

– I dlatego mógł bezkarnie szmuglować prochy? – zdziwił się Alvarez.

– Trzy miliony to kupa forsy – wtrącił Dominick. – Ale wcześniej należało te pieniądze wyprać.

Nie było żadną tajemnicą, że pranie brudnych pieniędzy szło w parze z handlem narkotykami. I też przynosiło duże zyski.

– Już wiem, dlaczego płacą ci lepiej niż mnie, Dommy. Rozumujesz jak gangster. I jeśli się nie mylisz, Valle musiał nieźle wchodzić w tyłek Kolumbijczykom odwiedzającym to miasto.

– Ma sześć nocnych klubów i trzy hotele przy samej plaży, które w ubiegłym roku przyniosły zysk ponad osiemdziesięciu milionów dolarów.

Manny cicho gwizdnął.

– A ty skąd znasz takie dane?

– Nie tylko w komendzie miejskiej są przecieki, federalni też mają długie języki.

Możesz mi wierzyć albo nie, ale mój przyjaciel z Biura ma wobec mnie dług wdzięczności.

Wystarczył mi jeden rzut oka na zeznanie podatkowe Vallego za rok dwa tysiące pierwszy, żeby uświadomić sobie, jak nędznie jesteśmy opłacani. Bez obaw, przez labirynt urzędów federalnych już się przeciska oficjalny nakaz, dzięki któremu na moje biurko trafią kopie formularzy skarbowych dziesięć czterdzieści i jedenaście dwadzieścia.

– Co zrobili w komendzie miejskiej z całą tą plugawą wiedzą w ciągu dwunastu dni od chwili, kiedy Elijah podał im na tacy nazwisko Vallego? – zapytał Fulton.

– Urządzili naradę. Potem zwołali jedno zebranie i drugie, żeby przedyskutować sprawę z Mausem, burmistrzem oraz prokuratorem okręgowym i spróbować ustalić najwłaściwszy sposób

postępowania.

– Innymi słowy, nie zrobili nic – dokończył Chris Masterson.

– Zgadza się – przyznał Dominick.

– Więc nie podjęto nawet obserwacji ani Lindemana, ani Vallego? – zapytał Matt Lobelsky, detektyw z komendy okręgowej Miami-Dade.

– Przymierzali się do tego. Nikt nawet nie szukał związku między zabójstwami Czarnej Marynarki, bo nikt nie chciał wyłożyć swoich kart w tej pokerowej rozgrywce, póki nie dojdzie do najgłośniejszego aresztowania w tym stuleciu. Co za tym idzie, nikomu w komendzie miejskiej nawet nie przyszło do głowy, żeby nas powiadomić o kolejnym gliniarzu z Listy Brudów, który pracował po godzinach jako wykidajło w nocnym klubie Vallego. W

każdym razie teraz tak twierdzą – rzekł Falconetti.

– Osiemdziesiąt milionów to kupa *dinero* – powiedział Manny. – Skoro Valle prowadzi aż kilka dużych pralni, to zapewne ma dużą, wdzięczną klientelę. Chyba że sam zajmuje się sprowadzaniem prochów, które zostawia na małych łódkach w tutejszym porcie Grubemu Maćkowi i jego przyjaciołom, by zajęli się ich dystrybucją wśród potrzebujących.

– To niewykluczone – odparł Dominick – ale posługując się hasłem zapożyczonym od mojej ulubionej sieci budek z hot-dogami, powiem, że moim zdaniem Valle odpowiada przed znacznie wyżej postawionymi ludźmi. Nocne kluby to doskonałe pralnie, a jest na tym świecie wystarczająco dużo wpływowych osób, które mają mnóstwo brudnej forsy do wyprania.

– Jasne. Lecz jeśli założymy, że Chavez, Angelillo i Lindeman byli mięśniakami od czarnej roboty i dobrze wiedzieli, co jest grane, to dlaczego Valle miałby kazać ich zlikwidować, niepotrzebnie ściągając na siebie powszechną uwagę? Czemu miałyby to służyć? – zapytał Marlon.

– Każdy z trzech zabitych gliniarzy pracował w różnych przybytkach Vallego.

„Maniaka” i „Dziuplę” trzymali w garści Elijah Jackson i jego dawni kumple z BB Posse. Za to „Kanał” był ulubionym klubem Ricarda Brueto, przynajmniej do czasu, gdy zaprzyjaźniony z nim Victor Chavez przestał się pokazywać w robocie – rzekł Dominick.

– Chyba już wiem, do czego zmierzasz – odezwał się Manny. – Co jest mantrą wydajnej gospodarki kapitalistycznej? „Eliminacja konkurencji”?

– Osiemdziesiąt milionów to rzeczywiście kupa forsy. Może Jackson i Brueto po prostu nie chcieli się nią z nikim dzielić? – podsunął Chris.

– Więc LBJ miałby wydać wyrok na Chaveza tylko z tego powodu, że jest mściwym kutasem pragnącym odzyskać pożyczone pieniądze, a nie dlatego, że BB Posse postanowiło zająć także „Kanał” i wyrugować stamtąd Kingsów? – zdziwił się Alvarez.

– W ubiegłym roku „Kanał” przyniósł prawie pięć milionów zysku. Sama premia za wypranie tak dużych pieniędzy stanowi liczbę siedmiocyfrową, więc działka BB Posse musiała być sześciocyfrowa. Dla takiej forsy już warto zabijać. A przecież mówimy tylko o jednym klubie. Brueto trzyma w garści trzy inne należące do Vallego, w tym co najmniej jeden cieszący się wielką sławą – wyjaśnił Dominick.

– Czyżbyśmy wracali do teorii, że zabójstwa są wynikiem gangsterskich porachunków? – zapytał Manny.

– Finansowanych przez grubą rybę – dodał Chris.

– W dodatku coś mi podpowiada, że ta nasza gruba ryba siedzi w brzuchu olbrzymiego wieloryba – powiedział Dominick.

– A konkretnie?

– Chris i Jimmy mają doświadczenie w walce z gangami narkotykowymi. Jeśli im wierzyć, w grę wchodziłoby zaledwie kilku mafijnych bossów.

– Czyżbyś miał na myśli kartele z Cali i Medellin, które miałyby finansować tutejszą wojnę? Niech to szlag... – Marlon urwał i gwizdnął pod nosem.

Pracował w Wydziale Zabójstw w Miami Beach od dziesięciu lat i mimo że wiele prowadzonych przez niego spraw miało związek z narkotykami – bo albo oskarżeni, albo też ofiary sprzedawały, kupowały czy też je zażywały – to jednak kartele narkotykowe nie były przez niego brane pod uwagę. Ani trochę. Należały do zupełnie innego świata, w którym dochodzenia prowadzili agenci federalni z FBI, CIA, DEA, Służb Celnych albo Ochrony Granic. W dodatku uważał to za wielką zaletę, gdyż jego zdaniem wojny narkotykowe mogły się przerodzić w bardzo paskudne rozgrywki osobiste.

– Od czasu śmierci Pablo Escobara kartel z Medellin utracił wiele wpływów –

powiedział Chris. – A mafia z Cali stopniowo zanika wraz z malejącą liczebnością rodu Ochoa. Od dłuższego czasu obserwuje się zmianę sposobów działania karteli. Pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy władze Kolumbii zdecydowały się wreszcie podpisać z nimi traktat o ekstradycji, na mafijnych bossów padł strach, że mogą teraz odpowiadać przed amerykańskimi sądami, zaczęli więc zlecać innym transport i pranie brudnych pieniędzy, żeby do minimum ograniczyć własne ryzyko.

– Skoro utracili kontrolę, to może ktoś się właśnie zdecydował, że najwyższa pora włączyć się do gry i zająć dla siebie tyle, ile tylko się da – mruknął Fulton.

– Obecnie kartel North Valley i Dominga Montoi walczą ostro o przejęcie schedy po Escobarze. Cali też ma się całkiem nieźle, bo podpisało ostatnio ugodę z FARC, ugrupowaniem kolumbijskich partyzantów, na ochronę upraw i transportów kokainy – dodał

Chris.

– Można się było tego spodziewać. – Marlon westchnął głośno.

– Kolumbijskie krawaty u zabitych nie są dziełem przypadku – ciągnął Masterson. –

Gangsterzy nie uczą się takich rzeczy na ulicach.

– Zatem z którym kartelem mamy do czynienia? Kto jest dostawcą Vallego? – zapytał

Manny.

– A to, mój przyjacielu, jest pytanie za tysiąc punktów – odparł Dominick, po czym pchnął po stole kilka grubych opracowań z napisem na okładce: „IMPACT, południowa Floryda. Do użytku służbowego”.

Pod tą nazwą krył się międzywydziałowy specjalny zespół dochodzeniowy, który od dziesięciu lat zajmował się procederem prania brudnych pieniędzy i przemytu narkotyków na południu Florydy. Był ściśle tajny, nikt nawet nie znał jego lokalizacji. W pewnym sensie ich grupa stanowiła integralną część zespołu IMPACT, co umożliwiło rozciągnięcie obszaru ich jurysdykcji na cały stan.

Falconetti powiódł wzrokiem po twarzach kolegów i dodał:

– Życzę miłej lektury, panowie.

– Po prostu w tej chwili nie mam na to czasu, Jeny – powiedziała C.J., spoglądając z uwagą na Tiglera niemal na wpół leżącego w głębokim fotelu obitym bordowym skajem. –

Starsze sprawy pochłaniają mnie bez reszty, a takie dochodzenie wymagałoby poświęcenia mu całej uwagi.

Setki razy poprawiała w myślach to wystąpienie i była przekonana, że znalazła sensowne argumenty, żeby na każdą możliwą prośbę prokuratora stanowego odpowiedzieć

„nie”.

– Wygospodarujemy ci trochę czasu, C.J. Zmniejszymy obciążenie. Co byś powiedziała, na przykład, żeby przekazać sprawę Frisona Berniemu? On nie jest przeciążony robotą. Zauważyłem, że w ubiegłym miesiącu regularnie kończył pracę o wpół do piątej.

– Przecież oskarżamy Frisona o potrójne zabójstwo, Jerry, rozprawa została zaplanowana na cztery tygodnie. Nie da się tej sprawy tak po prostu przekazać komuś innemu. – W myślach dodała: A zwłaszcza Bernardowi Hobbsowi, który, prawdę powiedziawszy, wychodzi regularnie z biura o wpół do piątej trochę dłużej niż od miesiąca.

Nie miała złudzeń, że Tigler zwrócił uwagę na jej młodszego kolegę z Wydziału Zabójstw tylko dlatego, iż ktoś mu podszeptał, by wyrzucił przez okno na wyjeżdżającą z parkingu czerwoną hondę accord Hobbsa, podczas gdy w biurze trwa jeszcze zgiełk szykujących się do wyjścia sekretarek, które kończą pracę punktualnie o wpół do piątej.

– Do tej sprawy potrzebny mi jest ktoś z twoim doświadczeniem, C.J. Wyzaczyłem też Andy’ego Mause, ale chciałbym, żebyś ściśle z nim współpracowała. Podzielcie się jakoś robotą. Zadbam o to, żeby przez jakiś czas Guillermo brał na siebie wszystkie nowe sprawy.

– Jerry, dotąd nigdy ci nie odmawiałam, ale teraz nie mam innego wyjścia –

powiedziała z naciskiem, chyba nawet trochę za ostro.

Dokładnie wszystko sobie przemyślała, włącznie z możliwymi konsekwencjami tej jawnej niesubordynacji. Była gotowa je ponieść, byle tylko pozbyć się tej koszmarnej sprawy, nie musieć dłużej czekać na sygnał przywoływacza czy dzwonek telefonu, który będzie oznaczał kolejną krwawą jatkę. Mimo że śledczy z zespołu dochodzeniowego byli przekonani, że zabójstwa nieuczciwych policjantów wiążą się z działalnością Roberta Vallego i karteli narkotykowych, ona wciąż nie mogła się uwolnić od paranoicznego strachu, że zdążając na miejsce kolejnej zbrodni, będzie się zastanawiać, czy nie rozpozna w zabitym kogoś znajomego. Na przykład Lou Ribero.

W napiętą ciszę, jaka zapadła w gabinecie prokuratora, wdarły się stłumione dźwięki kolędy puszczanej na biurowym przyjęciu świątecznym, które odbywało się piętro niżej. Po chwili Tigler zamrugał szybko i poruszył się niespokojnie w fotelu.

– Niech i tak będzie – mruknął, po czym westchnął głośno. – Zdaję sobie sprawę, jak wiele przeszedł, C.J., i domyślam się, że prowadzenie sprawy następnego seryjnego zabójcy mogłoby być ponad twoje siły...

To był tani chwyt. Poczula nagły przyływ wściekłości i gdy tylko szef zawiesił głos, wyprostowała się sztywno na krześle.

– Co nie zmienia faktu, że jesteś najlepsza – dodał pospiesznie. – A ponieważ szanuję mojego najlepszego pracownika, muszę z całym szacunkiem przyjąć tę decyzję, która przecież jest skutkiem nadmiernego obciążenia pracą. Chcę cię jednak prosić, byś służyła Andy’emu pomocą, jeśli będzie jej potrzebował. Wiem, że potrafi się zbytnio zasugerować jakąś poszlaką, a wolałbym, żeby nie wywierał nacisków na chłopców z zespołu dochodzeniowego tylko z tego powodu, że ma własną wizję motywów zbrodni. Opinia publiczna coraz bardziej się niecierpliwi, że nikogo dotąd nie aresztowano, toteż byłoby niedobrze, gdybyśmy rzucili jej jakieś ochłapy, żeby uciszyć szczekanie. Niepotrzebne mi żadne prokuratorskie pomyłki w naszym biurze, szczególnie w tym roku.

Jasne. Tigler pozostał drugą kadencję na stanowisku, ale wygrał wybory tylko sześciuset głosami. Nic więc dziwnego, że miał obawy, iż w roku 2004 już mu się to nie uda.

– Dzięki za zrozumienie, Jerry. Pod względem emocjonalnym nic mi nie dolega –

oznajmiła spokojnie. – Naprawdę brak mi tylko czasu. Oczywiście gdyby Andy potrzebował

mojej pomocy, świetnie wie, że zawsze może na mnie liczyć.

Nikłe były szanse, by kiedykolwiek zwrócił się do niej o pomoc, wzięwszy pod uwagę, jakie miał o sobie wysokie mniemanie.

– No cóż, w takim razie zostaje mi tylko życzyć ci wesołych świąt, C.J. Wybierasz się na świąteczne przyjęcie?

– Wpadnę na krótko, dopóki nie zostanie stłuczona pierwsza szklanka.

– Więc zobaczymy się na dole.

Po wyjściu z gabinetu szefa poszła na drugie piętro. Wciąż miała głęboką nadzieję, że wreszcie odetchnie z ulgą, kiedy raz na zawsze zrzuci ze swych barków tę sprawę.

Przyjęcie niczym zaraza rozniosło się stopniowo z Wydziału Zabójstw na główny hol i około wpół do piątej po południu był nim zarażony już cały budynek. Pudełka z kiełbaskami koktajlowymi i herbatnikami wędrowały dosyć swobodnie od działu prawnego na piątym piętrze aż po sekcję kuratorów na parterze, a co bardziej wtajemniczeni znikali od czasu do czasu w wybranych pokojach, gdzie w biurkach i regałach były pochowane trunki mające służyć wzmocnieniu oficjalnie dozwolonego świątecznego ponczu.

C.J. natknęła się na Marisol przy wózku na akta przekształconym w prowizoryczny stolik deserowy, który blokował przejście do jej gabinetu. Sekretarka, ubrana w jednoczęściowy elastyczny różowy

kombinezon, mająca dodatkowo na głowie wysoką czerwoną czapkę Świętego Mikołaja, a między dużymi piersiami połyskującą od brokatu wielką broszkę w kształcie choinki, wyróżniałaby się w każdym tłumie.

– Wesołych świąt, Marisol – powitała ją C.J., przeciskając się w kierunku drzwi.

Na widok trzymanego przez nią naręcza kartonowych teczek sekretarka aż rozdziawiła usta ze zdumienia.

– Nie martw się, to nie dla ciebie – wyjaśniła szybko C.J. – Prawdę mówiąc, pozbywamy się ich wreszcie. Andy Maus zajmie się sprawą Czarnej Marynarki i przejmie współpracę z zespołem dochodzeniowym. A więc ta robota spadnie na Alysę.

– Aha – mruknęła z ulgą Marisol, wydymając swoje puciołowate policzki w szerokim uśmiechu.

– Więc możemy bez przeszkód odpoczywać w święta. Zostawiłam coś dla ciebie...

– Tak, znalazłam. Bardzo dziękuję – wydusiła z siebie sekretarka, a przyszło jej to z wyraźnym trudem. Kilka razy nerwowo przeżuła gumę, po czym dodała z tajemniczym uśmieszkiem: – I ja też coś zostawiłam dla pani. Na biurku.

C.J. wyraziła w myślach nadzieję, że nie jest to bomba. Stosunki między nimi jeszcze bardziej się popsuły parę tygodni wcześniej, kiedy Marisol popadła w kłopoty ze swoją przełożoną z działu kadr za oszustwa przy wpisywaniu godzin przyścia na liście obecności.

Od razu nabrała podejrzeń, że to właśnie C.J. ją wydała, choć ta nie miała z całą sprawą nic wspólnego.

– Bardzo dziękuję. Zatem... *Noche Buena*, gdybyśmy się już nie zobaczyły –

powiedziała, odsuwając wózek sprzed drzwi swojego gabinetu.

Noche Buena, latynoski odpowiednik wigilii Bożego Narodzenia, dla Kubańczyków mieszkających w Miami oznaczał huczne zabawy i tańce na ulicach co najmniej do drugiej w nocy.

– A, tak. Wesołych świąt – odpowiedziała Marisol, kołysząc obciążniętymi różowym syntetykiem biodrami w rytm muzyki. Wetknęła długi, polakierowany w błyszczące gwiazdki paznokieć do swojej szklanki, zamieszała nim poncz i jak dziecko oblizwała palec. Kiedy C.J.

zamykała już za sobą drzwi gabinetu, zapytała głośno: – Nie wie pani, czy Manny Alvarez wybiera się na przyjęcie do Biura Obrońców z Urzędu?

W przeciwieństwie do spokojnych i konserwatywnych przyjęć w Biurze Prokuratora Stanowego świąteczne bankiety w Biurze Obrońców z Urzędu cieszyły się złą sławą.

Zniweczyły już parę karier i doprowadziły do rozbicia kilku małżeństw. Nie było żadną tajemnicą, że wiele osób świętujących na razie w tym budynku, gliniarzy oraz obrońców, a także prokuratorów czy

sędziów, nie będzie rano pamiętało swojego nazwiska. A część nawet nie będzie chciała go pamiętać, jeśli chodzi o ścisłość. Nawet najwięksi wrogowie z sal sądowych przynajmniej w ciągu tego jednego wieczoru co roku stawali się najlepszymi kumplami do wypitki.

C.J. odpowiedziała wzruszeniem ramion, chociaż знаła odpowiedź. Manny za żadne skarby nie przepuściłby takiej okazji. Właśnie świąteczne przyjęcie w Biurze obrońców z Urzędu było główną przyczyną rozpadu jego pierwszego małżeństwa.

– I tak pójdę. Może go tam spotkam – powiedziała z namysłem Marisol.

C.J. skinęła głową, weszła do gabinetu i zamknęła drzwi, odnotowując w pamięci, żeby zadzwonić do Alvareza i uprzedzić go o planach sekretarki. Zaraz jednak pomyślała, że niepotrzebne mu żadne ostrzeżenia. Kobiety sprowadzające same kłopoty przyciągały Manny'ego tak samo jak wrzodowca kolejki do barów dla bezdomnych.

Zapaliła światło i szybko poukładała teczki z dokumentami w kartonowym pudle.

Zakleiła je szeroką taśmą samoprzylepną, na wierzchu wypisała nazwisko Andy'ego Mausego oraz nazwę sprawy, „Czarna Marynarka”, po czym ustawiła je jak najdalej od biurka.

Nadeszło typowe trzydniowe ochłodzenie grudniowe, temperatury z przyjemnego poziomu około 23 stopni spadły mniej więcej do 12, a w nocy nawet poniżej 10. We wszystkich telewizyjnych serwisach informacyjnych dominowały zdjęcia gajów pomarańczowych i rabat kwiatowych przygotowanych na nocne chłody, a ponure perspektywy obniżenia plonów i redukcji miejsc pracy dawały komentatorom pole do popisu na dobre pięć minut.

C.J. zdjęła z wieszaka swoje czarne palto, które wyciągała z szafy najwyżej dwa razy do roku, po czym ustawiła na ręcznym wózku dwa pudła z papierami, opisane jako „Stan Floryda kontra Joey Frison”. Mężczyzna, który otrzymał zakaz sądowy zbliżania się do dawnej narzeczonej, Denise Kopp, w przypływie wściekłości postanowił ją zabić. Zakradł się z obrzynem do jej domu, a zastawszy ją na werandzie w towarzystwie siostry oraz przyjaciółki, które świadczyły przeciwko niemu podczas rozprawy, zastrzelił wszystkie trzy.

Teraz groziła mu kara śmierci, C.J. zaś chciała poświęcić świąteczną przerwę na przygotowania do procesu, żeby mieć pewność, że morderca nie uniknie tej kary.

Była jednak zmęczona. Z niewyjaśnionych powodów przygnębiająca praca prokuratora napawała ją strachem. Bo w końcu nie była żadnym prawniczym geniuszem, starała się tylko zawsze jak najlepiej wykonywać swoje obowiązki, ukazywać przysięgłym fakty w takim świetle, w jakim powinni je zobaczyć, i uwiarygodnić je kolejno, przedstawiając zeznania świadków i dowody rzeczowe. Została prokuratorem, żeby stać się głosem tych, którzy już nie mogą występować publicznie, głosem słyszalnym w systemie uznającym wyłącznie głosy prawników, do tego tak skonstruowanym, żeby chronić konstytucyjne prawa oskarżonych często kosztem ich ofiar. Uczyniła z tego swoje codzienne zajęcie, z którym nie rozstawiała się nawet w domu przez weekendy i w czasie urlopu. Zawsze myślała o prowadzonych przez siebie sprawach, choćby przelotnie, gdy na skrzyżowaniu czekała na zielone światło, brała prysznic czy układała się na plaży. Czuła się jak generał

nieustannie układający plany natarcia, rozbicia linii obronnych przeciwnika i zepchnięcia go do defensywy. A w myśl przepisów kodeksu karnego, dopóki wyrok nie został wykonany, w każdej chwili mógł zadzwonić telefon z Departamentu Sprawiedliwości czy Biura Prokuratora Generalnego z nakazem ponownego rozpatrzenia sprawy. Niektóre wracały na wokandę nawet po wielu latach. Na dobrą sprawę żadna nie szła w zapomnienie, zostawały na zawsze gdzieś w zakamarkach pamięci jak w magazynie, złożone obok wielu innych. Dlatego C.J. odnosiła teraz wrażenie, że jej magazyn pęka w szwach. Równocześnie coraz słabiej odczuwała potrzebę wymierzania sprawiedliwości w imieniu społeczeństwa. Kiedyś miała nadzieję, że choć trochę odmieni w ten sposób świat, ale teraz ogarniało ją przekonanie, że to wszystko za mało.

Podniosła z biurka prezent, jaki zostawiła dla niej Marisol – czarny porcelanowy kubek pełen owocowych karmelków, z dużym napisem: ZA TAKIM UCHEM MUSI STAĆ

LEPSZA SEKRETARKA. Był to ewidentny znak rozejmu. C.J. po krótkim namyśle postawiła go na górnej półce w regale.

Ruszyła do wyjścia z dokumentacją dotyczącą Joeya Frisona i jego obrzyna – lekturą, jaką przygotowała sobie na wieczór wigilijny. Jej narzeczony był zbyt zajęty ściganiem następnego krwiożerczego potwora, aby mogła liczyć na to, że usiądzie przy niej i pomoże opracować strategię udowodnienia winy temu poprzedniemu. Musiała przecież z czystym sumieniem odłożyć kolejną sprawę do magazynu swej pamięci, gdzie zapewne miała pozostać już na zawsze, niezapomniana.

Narkotyki. Wszystko sprowadzało się właśnie do narkotyków i pieniędzy, które doprowadziły już trzech policjantów do śmierci. Dominick potarł palcami skronie. Ile trzeba było forsy, żeby nakłonić tych stróżów prawa, by odwrócili głowy? Albo żeby dołożyli paru natrętnym osobom? Wystarczyło od czasu do czasu kilka setek? A może potrzebny był jakiś skromny udział w obrotach? Zastanawiał się, ile brali tacy jak Angelillo, Chavez czy Lindeman. Jaka była aktualna stawka zdrady policyjnych reguł.

Wszyscy sądzili zapewne, że nie robią nic złego. Chcieli jedynie trochę dorobić do pensji. *Przecież nikogo nie krzywdzą. Wykorzystują tylko mundur, żeby przekazać niektórym jawne przesłanie. W rzeczywistości jedynie stoją na wyznaczonym miejscu i udają, że jestem po ich stronie. A dla równowagi jutro na służbie przyskrzynię paru chłystków z tej bandy. Na przykład zgarną faceta, który bije żonę, albo łobuziaka palącego skręty w szkolnym autobusie. Przecież nie jestem jednym z nich.*

Siedział w swoim samochodzie i jedną ręką wciąż masował skroń, palcami drugiej nerwowo bębniąc o kierownicę. Ze ściszonego radia płynęła muzyka, z którą przeplatały się trzaski i meldunki dolatujące z włączonej krótkofalówki. Przeważnie były to komunikaty stanowej drogówki, z którą zespół dochodzeniowy dzielił pasmo łączności. O tej porze, to znaczy o wpół do drugiej w nocy, rozlegały się jednak rzadko i znacznie częściej dotyczyły zatrzymanych nietrzeźwych kierowców niż jakiejś stłuczki na szosie. Na sąsiednim kanale agenci Wydziału do Zwalczenia Przemocności obserwujący dom we Florida City od czasu do czasu zamieniali po parę słów z ochroniarzami gubernatora bądź innymi agentami, którzy przypadkiem włączyli się na tę częstotliwość. Za to na następnym trwała dość gorączkowa wymiana zdań funkcjonariuszy z Wydziału Tytoniu i Napojów Alkoholowych, którzy urządzili właśnie zasadzkę w barze na przedmieściach Pembroke Pines, słynącym z podawania alkoholu nieletnim. W miarę jak gasło światło dnia i większość uczciwych obywateli odstawiała samochody do garaży, zjadała z najbliższą rodziną kolację i szła spać, budził się do życia zupełnie inny świat, którego interesy załatwiane były tylko po ciemku.

Tropiący je policjanci też musieli budzić się do życia, żeby obserwować, nasłuchiwać i wyczekiwać w swoich kryjówkach śmierdzących kanapkami z Burger Kinga i zatęchłą kawą.

Starali umilić sobie obserwację prowadzoną przez noktowizory skierowane na wybrane cele, prowadząc luźne rozmowy i żartując. Oni bowiem zawsze byli na nasłuchu, albo czekali na czyjś telefon, albo na rozmowę, która dotrze do nich za pośrednictwem urządzeń podsłuchowych, natychmiast pompując im w żyły porcję adrenaliny. Obawiali się choćby kichnąć czy wyjść do ubikacji, żeby nie ominęło ich to, na co czekają – na przykład ucieczka przez okno, wymiana towarów, rozmowa – coś, co przyniesie dowód, że podejrzany jest winny. Każda noc skrywała mnóstwo tajemnic, lecz wiele z nich dawało się wyciągnąć na światło dzienne.

Dominick stał na Washington Avenue i wodził wzrokiem po rozciągających się przed nim gwarnych nocnych klubach dzielnicy SoBe. Przyglądał się gwiazdom nocnego życia, które wysiadały z limuzyn, ubrane w cętkowane kocie zakieoty od Versacego albo obcisłe elastyczne kombinezony z salonów Roberta Cavallego, i znikwały w lokalach, żeby zostawiać tam sute napiwki. Zwrócił uwagę na kilku

mundurowych po służbie kręcących się przy wejściach, wiedział jednak, że w środku jest ich znacznie więcej. Na prawym siedzeniu jego auta leżała aktualna lista zezwoleń na dodatkową pracę po godzinach, podpisana przez tutejszego komendanta policji. Tego typu listy znalazły się teraz w centrum zainteresowania wszystkich komendantów. I choć wewnątrz jego samochodu także śmierdziało zatęchłą kawą i starym olejem z frytek, Dominick nie wykonywał żadnego zadania obserwacyjnego. Nie doszli jeszcze do tego etapu. Na razie mogli mieć tylko nadzieję, że gdy ich dział prawny upora się w końcu ze sformułowaniem oficjalnych zarzutów stawianych Robertowi Vallemu, a prokuratura i sędzia je zaakceptują, podjęte działania obserwacyjne pozwolą ujawnić dalsze szczegóły narkotykowego procederu oraz nazwiska zaangażowanych w niego osób.

Przyjechał tu dzisiaj tylko dlatego, że wciąż myślał o tej sprawie, nie potrafił rzucić śledztwa i wrócić do normalnego życia, mimo że godziny pracy dobiegły końca. Nawet nie zdawał sobie sprawy, co go ciągnie do SoBe, dopóki nie znalazł wolnego miejsca przy krawężniku i nie zaparkował samochodu, by móc pociągnąć łyk zimnej kawy z kubeczka.

W końcu gdzieś tutaj znajdowały się odpowiedzi na nurtujące go pytania. Jak zawsze.

Trzeba było tylko wiedzieć, gdzie ich szukać. Pod tym względem ta sprawa niczym się nie różniła od innych. Tyle że była dużo gorsza. Zabójca gliniarzy – Czarna Marynarka – spędzał

mu sen z powiek. Nie potrafił o nim zapomnieć, szukał odpowiedzi choćby i w środku nocy.

Teraz wrócił myślami do swego ojca. *Jaka była twoja cena, tato? Ile tobie było trzeba, żeby w odpowiedniej chwili odwrócić spojrzenie? Oplacało się? Zamknął na chwilę oczy, odchylił głowę do tyłu i oparł o zagłówek. Z ciemności pod powiekami wyłonił mu się widok ojca w granatowym policyjnym mundurze, który wracał bardzo późno do domu, z rewolwerem w kaburze przy boku i błyszczącymi kajdankami kołyszącymi się u pasa obok czarnej, odrażającej pałki. Dominick leżał już wtedy w łóżku i przyglądając się cieniom, jakie migające światła prywatki u sąsiadów rzucały na sufit jego pokoju, czekał na odgłos ciężkich kroków na ganku, zgrzyt klucza w zamku, ciche skrzypnięcie drzwi frontowych i stuk zamykanej zasuwki – zawsze tę samą sekwencję dźwięków, oznaczających powrót ojca z rewiru, jak mawiała matka. Do dziś pamiętał, jak zimne było stare spękane linoleum pod bosymi stopami, gdy przemykał na palcach pod drzwiami sypialni rodziców, kierując się do kuchni, gdzie ojciec jak zawsze siedział przy butelce schłodzonego piwa, paląc marlboro.*

Rachunki drukowane na cienkim błyszczącym papierze szeleściły w palcach ojca niczym zeschnięte liście, gdy mamrocząc pod nosem, sumował widniejące na nich kwoty i układał je w równiutki stosik na stole. Widując takie sceny o północy, Dominick mógł tylko przeczuwać, że dzieje się coś niedobrego, bo przecież nie miał pojęcia, o co chodzi. Dla niego po prostu coś wisiało w powietrzu, odmieniając jego zapach. Przysłuchiwał się, jak ojciec kilkakrotnie, raz za razem przelicza banknoty, układając je w drugim stosiku przed sobą, jakby wiecznie coś mu się nie zgadzało. Pociągał przy tym piwo prosto z butelki i palił

papierosy jednego za drugim. Po kilku takich obserwacjach Dominick przestał czekać na jego powrót ze służby.

Zmusił się do otwarcia oczu, żeby z mroku zalegającego w kabinie auta popatrzeć na jaskrawo oświetlone lokale SoBe. Nie chciał dłużej przywoływać z pamięci wspomnień o człowieku, który przez lata był dla niego niedoścignionym wzorem do naśladowania, a którym niekiedy jednocześnie gardził. Powiódł wzrokiem po ludziach przechodzących przez Washington Avenue, tłoczących się przed wejściem do najbliższego klubu, próbujących czy to zjednać sobie przychylność ochroniarza, czy też przekupić go łapówką, żeby uzyskać wstęp do „Dworu”. Dziwnym sposobem odniósł wrażenie, że w aucie nastąpiła nagle martwa cisza, zamilkło radio, urwały się policyjne meldunki. Ciszę tę wypełnił rozlegający się w jego umyśle dobrze znany głos, stanowczo domagający się jasnej, lecz chyba nieistniejącej odpowiedzi na pytanie, które nurtowało go bez przerwy.

– Cafecito – rzucił Rico w kierunku niskiego i krągłego mężczyzny za barem.

Zewsząd dobiegał gwar rozmów prowadzonych po angielsku i hiszpańsku, mieszał się z intensywnym słodkim zapachem cygar w powietrzu, zdecydowanie zbyt ciepłym i parnym jak na styczeń. Smakowite zapachy ziołowej *paelli* i smażonych steków wydobywały się aż na zewnątrz, na Eighth Street. Po drugiej stronie ulicy grupa staruszków w swoich najlepszych koszulach *guayavera* siedziała na małym patio przed piekarnią, pogrążona w rozmowie nad kawą. O tej porze dnia prawie każda kawiarnia w Małej Hawanie wyglądała podobnie, ale z jakiegoś powodu jego bossowie wybrali właśnie „Versailles”.

Niespodziewanie tuż nad jego lewym ramieniem rozległ się męski głos, ale Rico zachował tyle zimnej krwi, żeby nawet nie zerknąć w tamtym kierunku.

– Teraz wszędzie ciągniesz za sobą ten ogon?

Oczywiście rozmówca miał na myśli policjantów śledzących każdy jego krok.

– Skurwysyny nie chcą mi odpuścić. Nie mogę się nawet wysrać w spokoju – warknął w odpowiedzi.

Bał się choćby poruszyć głową, żeby dwaj *cochinos* siedzący w fordzie taurusie na ulicy i zapewne filmujący jego pobyt w kafejce nie zdołali niczego odczytać z ruchu warg. W

takiej sytuacji musiał się szczególnie pilnować, ryzyko było zbyt duże.

– Twoje kłopoty nas nie interesują – rzekł mężczyzna obojętnym tonem. – Sami musieliśmy przyjmować nieproszonych gości.

– Słyszałem – odparł Rico i z trudem przełknął ślinę.

– Ostatnie wydarzenia... – Mężczyzna urwał nagle, jakby uświadomił sobie, że mikrofony podsłuchowe mogą być rozmieszczone niemal wszędzie. Gliniarze potrafili być bardzo pomysłowi, nawet jeśli nie mieli stosownych zezwoleń na inwigilację, toteż należało bardzo uważnie dobierać każde słowo. – ...niepotrzebnie ściągnęły na nas uwagę. Ludzie zaczynają się przejmować, gadać, co im ślina na język przyniesie...

– Tym już się przecież zajęto – odparł szybko Rico, który doskonale wiedział, że Elijah Jackson niczego i nikomu już nigdy nie powie. To ułatwiało mu tylko zadanie. Nie miał nic przeciwko temu, żeby wszyscy z BB Posse pozabijali się nawzajem, oszczędzając mu czasu i zmartwień.

– Ale każdy chciałby zostać bohaterem – odparł rozmówca. – Zwłaszcza gdy zostanie odpowiednio zmotywowany.

Na setkach billboardów w całej południowej Florydzie wisiały plakaty, na których organizacja „Stop Zbrodniom” obiecywała sto tysięcy dolarów za informacje o sprawcy zabójstw, Czarnej Marynarce. Taka suma *dinero* rzeczywiście mogła wiele osób sprowokować do gadania.

– Na pewno nie z mojej strony – odparł nerwowo Rico i jednym haustem opróżnił

swoją szklaneczkę. Wydłubał z paczki papierosa i przypalił go szybko. Nadal wolał nie oglądać się za siebie. – Nawet dużo większa forsa nie otworzy gęby nikomu z tej strony. Już moja w tym głowa.

– No cóż, wcale nie jesteśmy tego pewni. Pokusa jest za duża. – Rozmówca znów zamilkł na krótko. – Poza tym wpływy całkiem się urwały, Rico. Studnia wysycha i nikomu się to nie podoba. Wszyscy zdrowo dostali po tyłku od czasu, jak wybuchła ta historia Czarnej Marynarki. Dlatego wszyscy pragną jak najszybszego zawarcia pokoju. Niechże to krnąbrne dziecko wreszcie uśnie, raz na zawsze.

Rico zagryzł wargi, dobrze wiedząc, co oznacza propozycja rozmówcy.

– Na pewno niedługo uśnie, jeszcze tylko chwila. A skoro już o tym mowa... –

Obejrzał się na prawo. – Cholera. To... wcale nie będzie takie łatwe...

– Ale nie powinno też być trudne. Musisz odnaleźć dla nas tego gościa, Rico, i przekazać mu nasze wyrazy szacunku oraz serdeczne podziękowania. Jeśli to zrobisz, opłaci ci się to podwójnie w porównaniu z tym, co zapłaciłyby psy.

Rzecz jasna, ta propozycja odnosiła się bezpośrednio do plakatu organizacji „Stop Zbrodniom” ukazującego detektywa McGruffa z jego psem. Zatem wprost oferowano mu dwieście tysięcy za głowę zaginionego LBJ.

– W porządku. Rozumiem. Zajmę się tym – odparł po krótkim namyśle. – Tyle że nie wiem, gdzie on jest. Nikt nie wie. Zaszły się w jakiejś norze jak przerażony królik, a jego bracia na pewno go nie wydadzą.

– Nie ma ludzi nietykalnych. Nie zapominaj o tym, Rico. Czekał na telefon. Tylko ty możesz to zrobić. Jasne?

– Nie ucieknie wcześniej?

– O to niech cię głowa nie boli. Na razie po prostu czekaj na telefon. Możesz go odebrać jutro albo za rok. Ale zrobisz to, co ci każemy.

– Jasne – odparł bez wahania.

– I jeszcze jedno, Rico. Kiedy nadejdzie pora, postaraj się nie ciągnąć za sobą swoich... przyjaciół – dodał mężczyzna, bez wątplenia mając na myśli tajniaków siedzących w fordzie taurusie.

Kiedy odważył się wreszcie spojrzeć w lewo, nikogo już tam nie było, siedział sam przy barze.

Mężczyzna czekał ukryty w cieniu klatki schodowej, starając się nawet nie oddychać powietrzem przesiąkniętym smrodem moczu, wymiocin i skwaśniałego piwa. Cztery piętra niżej rozciągał się przed nim jaskrawy krzykliwy neon „South Beach”. Było już późno i wolno stojący piętrowy garaż przy ulicy Trzynastej od wielu godzin świecił pustkami, gdyż korzystali z niego głównie turyści i mieszkańcy robiący w ciągu dnia zakupy na Washington Avenue. Wcześniej dokładnie sprawdził wszystkie poziomy, wypatrując w mrocznych zakamarkach pijaczków odsypiających hulankę czy też robotników zaliczających szybki numer przed powrotem do żony i dzieci. Nie natknął się jednak na nikogo. Tylko na najwyższym, czwartym poziomie stał jeden samotny wóz z włączonym silnikiem. Woda skapująca z wylotu klimatyzatora zdążyła już utworzyć na betonowej posadzce między kołami sporą kałużę połyskliwej, jakby oleistej cieczy. Samochód stał zwrócony przodem na wschód, w kierunku Ocean Drive i wybrzeży Miami Beach. Pozamykane okna uniemożliwiały kierowcy spostrzeżenie w porę niebezpieczeństwa, które czaiło się w mrocznym wylocie klatki schodowej.

Jak na ironię, to samo nadmierne wybujałe ego, które pozwoliło gliniarzowi zdobyć złoty medal za odwagę, teraz miało stać się gwoździem do jego trumny. To ono kazało mu wstąpić do brygady antyterrorystycznej, gdzie mógł kopniakami wywazać drzwi podczas akcji uwalniania zakładników, ale wpoilo mu także złudne przeświadczenie, że jest niepokonany, że nie grożą mu kule ani ciosy nożem, mimo że ostatnio uczestniczył w pogrzebach paru kolegów. *Mnie ten skurwysyn nie dostanie* – głosiła powszechna maksyma, która pozwalała każdemu dotrwać końca zmiany, jak również emerytury po dwudziestu latach służby. To samo wybujałe ego kazało piąć się po szczeblach kariery, awansować na sierżantów i detektywów, jak też zjawić się samotnie w opustoszałym piętrowym garażu, w sobotnią noc, żeby jak zwykle w ustronnym miejscu załatwić odpychającą papierkową robotę, jawnie lekceważąc zarówno przepisy wydziałowe, jak i własne obawy. *Żaden bandzior nie nakłoni mnie do zmiany przyzwyczajzeń, nie zmusi do rezygnacji z dotychczasowego trybu życia. Nie dam się wytropić i zaszlachtować żadnemu sukinsynowi. Niech no tylko spróbuje.*

Będę przygotowany i...

Mężczyzna wyłonił się z mroku klatki schodowej i z ulgą wciągnął w płuca chłodne nocne powietrze, przesiąknięte słoną oceaniczną bryzą i zapachami olejków do opalania, które nawet o tak późnej porze wciąż można było wyczuć w wietrze od plaży. Podeszedł

pewnym krokiem do samochodu, śmiało podejmując wyzwanie, jakim był dla niego człowiek siedzący za kierownicą.

Mam cię, sierzancie, pomyślał, zaciskając palce na trzonku noża ukrytego pod połą kurtki. Lewą ręką delikatnie zastukał w szybę auta i z szerokim uśmiechem pochylił się do niej.

Jeszcze tylko osiem lat, tylko osiem, i będzie można się uwolnić od tego gówna, pomyślał. Uwielbiał je i nienawidził zarazem. Teraz jednak przestawało się dla niego liczyć i chyba po raz pierwszy w swojej karierze sierżant Lou Ribero zaczął odliczać czas –

najpierw do zakończenia służby, potem do ponownego przyjazdu na komendę, wreszcie do odsłużenia swojego i rzucenia całej tej pieprzonej roboty. Wcześniej oswajał się z myślą, że będzie to robił wiecznie, może nawet zdecyduje się zdawać egzamin na stopień porucznika, żeby gdzieś przed samą emeryturą awansować na kapitana. Wcale nie było to nierealne. Jego żona pragnęła jak najszybciej przeprowadzić się do Mount Dora i siedzieć w swoim sklepie z antykami do późnej starości. Powoli zaczynał się więc skłaniać ku myśli, że może to wcale nie taka zła perspektywa. Gdyby zakończył służbę w Miami Beach po dwudziestu latach i dostał awans na kapitana, miałby szansę zostać komendantem sześciuosobowego posterunku policji w Mount Dora, gdzie jego największym zmartwieniem byłiby pijani kierowcy usiłujący parkować na mokradłach oraz klienci żony usiłujący płacić jej za antyki nieważnymi kartami kredytowymi. Nadal byłby policjantem w czynnej służbie, chociaż zarabiającym już znacznie mniej i zajmującym się błahostkami. Ale wciąż byłby integralną częścią tego systemu.

Tyle że teraz... No cóż, sporo się zmieniło. Właściwie wszystko się zmieniło. Przełknął

kęs kanapki z pieczoną wołowiną, popił łykiem coca-coli, po czym przesunął kursor na ekranie laptopa w prawy górny róg, otworzył okno edytora i w półmroku panującym we wnętrzu auta zaczął wystukiwać na klawiaturze kolejny szczegółowy raport. Stale powiększający się wrzód żołądka stwarzał już zagrożenie, że któregoś dnia wypali mu wielką czarną dziurę we wnętrzościach; na samo wspomnienie o nim pogładził się po brzuchu, chcąc nieco rozmasować ustawiczny ból. Nie pomagały mu już żadne leki. Na dodatek przez ostatnie miesiące w komendzie panowało tak silne napięcie związane z morderstwami Czarnej Marynarki, że niekiedy aż trudno było tam oddychać. Tymczasem raporty musiały być bardzo szczegółowe, gdyż każda sekunda służby mogła mieć znaczenie. Przełożeni za wszelką cenę chcieli ująć zabójcę, poznać jego motyw, a jednocześnie wykluczyć ze służby ludzi niepewnych, pozbyć się potencjalnych kolejnych ofiar, jakby tylko na tym polegał

problem. Ale przecież tamci zginęli nie bez powodu. I nagle zaczęto krzywym okiem patrzeć na dodatkowe zlecenia po godzinach, będące ewidentnym źródłem korupcji.

Jego jednak najbardziej wściekało dowolne manipulowanie faktami przez dziennikarzy, ich hipokryzja mająca na celu wywołanie oburzenia opinii publicznej. Przecież, prawdę mówiąc, zwykli ludzie nawet nie chcieli wiedzieć, co jest potrzebne do tego, żeby złapać bandytę. Dla nich liczył się tylko efekt końcowy. „Zidentyfikujcie mordercę, wyciśnijcie z niego zeznania, a potem oczyśćcie ulice z handlarzy narkotyków i nic nie mówcie o swoich metodach działania, bo te mogą nam się nie spodobać”. Więc choć na komendzie wygłaszano frazesy na temat surowego przestrzegania zasad, wszyscy i tak wiedzieli, co trzeba zrobić, kiedy odprawa dobiegnie końca. On jako sierżant sam musiał

prawić kazania dotyczące regulaminu.

Miał za sobą dwanaście lat służby i nigdy dotąd nie przejmował się ani pismakami, ani hałaśliwymi obrońcami swobód obywatelskich, ani tym bardziej zidiociałymi hipokrytami pisującymi krytyczne wstępniaki do gazet. Zawsze przesypiał w spokoju całe noce.

Oczywiście nie pochwalał chłopaków, którzy ćpali. Ale to była zupełnie inna sprawa. Do tego mało ważna. Gdyby wcześniej się okazało, że Chavez i Lindeman są naprawdę ubabrani i kręcą na boku ciemne interesy – choć i tak nie zasłużyli, by ich karać dla przykładu – wtedy nie miałby nic przeciwko temu, żeby ujawnić prawdę. Bo cały problem polegał na tym, że zdaniem Lou Ribero tamci zginęli wcale nie z powodu narkotyków.

Wystarczyło, że tylko się przywitał z tą młodą prokurator na pogrzebie Sonny'ego, by zyskać pewność, że i ona ma takie same podejrzenia, chociaż nic nie powiedziała. Chyba nie była w stanie wydusić z siebie niczego innego poza głupim „przykro mi”. *Co naprawdę miała na myśli? Jej było przykro?* Podobnie jak on musiała pojąć prawdę, ponieważ bez dwóch zdań była przerażona. Tylko czego się bała? Samej siebie? Jego? A może tego, że zostanie zdemaskowana? Że ich wspólny sekret wyjdzie na jaw i ona wyleci z roboty? Czy też przerażała ją myśl, że ten rąbnięty Kupidyn wyjdzie z paki, jeśli ktoś odkryje prawdziwą przyczynę śmierci Chaveza i Lindemana?

Przypomniawszy sobie teraz nagłówki gazet z czasu tamtego procesu. Wciąż miał przed oczyma, jak ten świr się szarpał, strażnicy sądowi musieli go zakuwać i kneblować; jak wrzeszczał, że ją zabije, bo podobno kiedyś ją zgwałcił, a ona teraz się mści, uknuła spisek przeciwko niemu, wciągnęła w niego nawet policję. Stek bzdur. Facet po prostu bał się odpowiadać za morderstwo. Ribero tak samo nie mógł zapomnieć widoku zwłok Anny Prado, wciśniętej jak worek kartofli do bagażnika jaguara, z oczyma szeroko rozwartymi z przerażenia i rozciętą klatką piersiową, w której brakowało serca. Takich widoków nigdy się nie zapomina. A przecież ludzkie zwłoki same z siebie nie wślizgują się do bagażników samochodów. Ktoś musi je tam włożyć. Może i zatrzymanie auta nie było do końca zgodne z przepisami, lecz trzeba było zapomnieć o tej zwykłej technicznej wymówce, skoro w bagażniku znajdowały się prawdziwe zwłoki, a facet był winny zabójstwa jak cholera. Zresztą wszelkie wątpliwości rozwiązała kolekcja serc wyciętych zabitym dziewczynom, którą detektywi ze specjalnego zespołu dochodzeniowego znaleźli w domu zmarłej ciotki Bantlinga tuż przed zakończeniem rozprawy. To nie mógł być zbieg okoliczności. Zatem niezależnie od wszystkiego złapali mordercę.

Przez trzy lata Lou Ribero nigdy nie wracał myślami do tamtej sprawy. Zaliczył

sprawę Kupidyna do tych, które udało się rozwiązać, chociaż trzeba było sobie w tym sprytnie pomóc. Teraz jednak... ktoś go zmuszał, żeby odgrzebał dawne wspomnienia i znów nabral wątpliwości, żeby po całych dniach nie dawało mu spokoju to jedno nurtujące pytanie: dlaczego?

Lekkie pukanie w szybę wozu tak go zaskoczyło, że omal nie podskoczył na miejscu, w jednej chwili wyrwany z ponurych rozważań. Odruchowo sięgnął do sig-sauera w kaburze przy pasie, lecz zaraz rozpoznał uśmiechniętą znajomą twarz za szybą, toteż odetchnął z ulgą i otworzył prawe drzwi.

Dominick z taką prędkością pognał na sygnale szosą numer 395 w kierunku mostu McArthur, że światła olbrzymich statków wycieczkowych stojących w porcie i śródmiejskie neony Miami niemalże rozmywały się w niewyraźne smugi za oknem auta. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że przeżywa nadzwyczaj wyraźne *deja vu*.

Wzdłuż Washington Avenue stała już kolumna wozów policyjnych. Co znaczniejsi goście pobliskich nocnych klubów w towarzystwie ochroniarzy wybiegali do swoich limuzyn i w pośpiechu oddalali się od miejsca niezwyklego nagromadzenia policji, wokół którego zbierał się coraz liczniejszy tłum gapiów. Oczy wszystkich kierowały się w górę, w stronę czwartego poziomu piętrowego garażu, gdzie jaśniała feeria migających światel, niebieskich, czerwonych oraz jaskrawobiałych. Dominick zdążył naliczyć co najmniej pięć helikopterów próbujących się zbliżyć do budynku i przeczesujących szperaczami ulice w dole, jakby odbywało się tu otwarcie pięciogwiazdkowego kasyna, podczas gdy śmigłowiec policyjny krążył nad garażem, odpędzając maszyny reporterskie.

Technicy z dochodzeniówki opylali pyłem klatkę windy w poszukiwaniu odcisków palców, Dominick ruszył więc po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz i przeciskając się obok innych techników, którzy na każdym poziomie fotografowali i filmowali wyjścia z klatki pod wszelkimi możliwymi kątami. Kiedy wyskoczył wreszcie na plac parkingowy czwartego poziomu, ujrzał co najmniej dwadzieścia wozów patrolowych porozstawianych byle jak na środku otwartej przestrzeni. Za nimi stała karetka i wóz strażacki, oba także z włączonymi migaczami, chociaż nie było ku temu potrzeby. Stojący nieco na uboczu samotny wóz policyjny miał szyby zamalowane od środka. Przez otwarte drzwi kierowcy spływał na brudny asfalt koniec wielkiego białego prześcieradła.

Zewsząd z krótkofalówek dolatywały gorączkowe meldunki policjantów, którzy czuwali na blokadach rozmieszczonych w promieniu wieluset metrów od miejsca zdarzenia w nadziei schwytania zabójcy na zamkniętym obszarze. Panował niemal chaotyczny zgiełk, gdy sierżanci i porucznicy z rozmaitych wydziałów usiłowali jednocześnie przekazać rozkazy swoim ludziom. Nawet Mark Gracker, który najwyraźniej także dopiero niedawno się tu pojawił, również z wściekłością wykrzykiwał polecenia do towarzyszących mu agentów FBI.

Manny wraz z Tedem Nicholsbym rozmawiał z trzema mundurowymi z komendy w Miami Beach, z których dwaj mieli jeszcze ślady łez na policzkach. Trzeci był boleśnie skrzywiony, a na jego czarnych butach widać było ślady wymiotów. Alvarez obejrzał się w stronę Grackera z taką miną, jakby chciał go na miejscu wykończyć, na przykład wrzucić przez betonową krawędź garażu na pastwę rozwścieczonych mundurowych wilków na ulicy, gotowych w takiej chwili rzucić się z zębami na każdego dupka, który im się nawinie.

Dominick ruszył prosto do stojącego samotnie wozu patrolowego. W jego najbliższym otoczeniu nikogo nie było, jakby wszyscy bali się zbliżyć. Zamazane szyby z bliska połyskiwały w blasku reflektorów, jakby pokrywająca je od środka substancja była jeszcze mokra. Chwycił ostrożnie za róg prześcieradła, odchylił je i aż wtulił głowę w ramiona.

– Matko Boska... – szepnął.

– Okropny widok – odezwał się za jego plecami Marlon, który też wyglądał na wstrząśniętego. – Rozmieściliśmy blokady w promieniu dziesięciu kwartałów, a drogówka rozstawiła...

– Co to ma znaczyć, do cholery?! – warknął Dominick roztrzęsionym głosem, nie mogąc oderwać oczu od przerażającego widoku. – Kurwa mać! Co to jest?!

– Jak w poprzednich wypadkach... – zaczął Marlon, lecz zaraz umilkł, gdy Falconetti przeszył go spojrzeniem.

– Gdzie jest Chris? Gdzie Masterson?! – zapytał ostro, wodząc wzrokiem po ludziach kręcących się po garażu.

– Gdzieś tu jest. Zaraz go przywołam – mruknął Marlon, odsuwając się na krok i sięgając po swoją krótkofalówkę.

Dominick ze zdumieniem spostrzegł C.J., która stała na uboczu blisko wylotu klatki schodowej. Mimo przesuwających się po jej twarzy czerwonych świateł migacza nawet z daleka łatwo było zauważyć, że jest śmiertelnie blada. Obejmowała się rękoma wpół i szklistym wzrokiem patrzyła w tym kierunku, jakby nie widziała niczego i nikogo oprócz wozu patrolowego z otwartymi drzwiami.

Co ona tu robi, do diabła?

Ruszył w jej stronę, rozglądając się tym razem w poszukiwaniu Andy'ego Mause, któremu przekazała sprawę, ale nigdzie go nie dostrzegł.

– Dom? Cześć. Marlon mówił, że mnie szukasz – rzekł pospiesznie Chris Masterson, który nagle wyrósł przed nim jak spod ziemi.

– Co tu się stało, do jasnej cholery?!

Chris obejrzał się na radiowóz.

– To sierżant z komendy w Miami Beach. Nazywał się Louis Ribero, miał trzydzieści sześć lat.

– I co się z nim stało?

– Wygląda to na robotę tego samego zabójcy – odparł wyraźnie zmieszany Masterson.

– Bez wątplenia znów mamy kolumbijski krawat. Sprawca poderznął mu gardło i przez szerokie rozcięcie wyciągnął język...

– Co, do cholery, stało się z jego oczami?! – ryknął Dominick prawie na cały głos. –

Co ten szaleniec chce nam przez to dać do zrozumienia?! W końcu jesteś podobno ekspertem!

Więc gadaj, co to ma oznaczać, do cholery?! Czego ten świr chce?!

– Wyłupił oczy swojej ofierze. Sądząc po ilości krwi, zrobił to, gdy jeszcze żyła. Nie potrafię z całą pewnością stwierdzić, co to oznacza, lecz wzięwszy pod uwagę krawat i prawdopodobne związki z kartelem narkotykowym, należałoby wnioskować, że sierżant coś widział, był świadkiem czegoś, czego nie powinien zobaczyć.

– I teraz nie będzie już mógł o tym powiedzieć – wtrąciła cicho, nieswoim głosem C.J., która niespodziewanie dołączyła do nich, wciąż jak urzeczona wpatrując się w samotny radiowóz na uboczu.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Dominick.

Błyskawicznie ściągnął nylonową wiatrówkę i zarzucił na jej ramiona. C.J. wyglądała bowiem na zziębniętą, chociaż wcale nie było bardzo zimno. Zakłopotany Chris obejrzał się, jakby nie chciał uchodzić za intruza w tej intymnej chwili, po czym odszedł parę kroków i odwrócił się do nich tyłem, jakby jego uwagę przykuł technik fotografujący wóz patrolowy zabitego.

– Co tutaj robisz? – zapytał cicho Dominick, kiedy Chris się oddalił. Z troską spoglądał na C.J., która wyglądała okropnie. Wiedział doskonale, że nie chciała mieć nic wspólnego ze sprawą Czarnej Marynarki, nie chciała o niej nawet rozmawiać od chwili, kiedy na własną prośbę została wyłączona ze specjalnego zespołu dochodzeniowego. – Przecież to już nie twoja sprawa. Gdzie jest Maus, do cholery? – Znow zaczął się rozglądać ponad jej ramieniem.

– Ktoś zadzwonił na mój przywoływacz – wyjaśniła cicho.

– Co takiego? Kto?

– Nie wiem. Kiedy oddzwoniłam pod wskazany numer, połączyłam się z Wydziałem Zabójstw komendy w Miami Beach. A gdy zapytałam, kto mnie wzywał, nikt nie miał

pojęcia, o co chodzi. Detektyw, który odebrał telefon, powiedział, że wszyscy pojechali na miejsce kolejnego zabójstwa Czarnej Marynarki. Ktoś anonimowo powiadomił o nim centralę dyżurną.

– Więc musiał cię wezwać któryś ze śledczych. Masz dzisiaj dyżur pod telefonem?

– Właśnie chodzi o to, że nie. Dyżur ma Gail Brill. Poza tym nie dzwonił

przywoływacz z prokuratury. Nawet go przy sobie nie miałam.

Spoglądał na nią z coraz bardziej zdziwioną miną.

– Najwyraźniej ktoś chciał, żebym i ja przyjechała na miejsce zbrodni – dodała przeciągle, przesuwając dłońmi po włosach.

Dopiero teraz oderwała wzrok od samochodu i popatrzyła na niego. To jedno spojrzenie wystarczyło, by uzmysłowił sobie nagle, że C.J. jest śmiertelnie przerażona.

– Dominicku – szepnęła. – Odebrałam wezwanie przez swoją komórkę.

– Rzecz bardzo ciekawa, tym razem do podejrzenia gardła użył innego noża, o ząbkowanym ostrzu, dość mocno zakrzywionego, z głębokim wycięciem przy trzonku. Moim zdaniem, panowie detektywi, narzędziem zbrodni był typowy duży nóż myśliwski – rzekł

doktor Joe Neilson.

Para wydobywająca się z jego ust przy każdym słowie osiadała rosą po wewnętrznej stronie plastikowej maseczki, która zakrywała dolną część jego twarzy. Jak zwykle kilka razy nerwowo zmarszczył nos, jakby zbierało mu się na kichnięcie, po czym zamrugał szybko i pochylił się z powrotem nad nagimi zwłokami leżącymi na żelaznym stoliku na kółkach, ustawionym przy błyszczącym stalą głębokim zlewie.

– W dodatku musiał być niezwykle ostry. No i mamy do czynienia z takim samym postępowaniem jak podczas zabójstwa funkcjonariusza Chaveza – dodał z uśmiechem, pochylając się tak nisko, że omal nie wsadził nosa razem z linijką w szerokie rozcięcie na szyi zabitego Lou Ribero. – Proszę spojrzeć – rzekł, zakrwawionymi palcami w gumowej rękawiczce przywołując ich do siebie. – Tutaj nakładają się dwa cięcia, z których pierwsze rozcięło tylko żyłę szyjną i tchawicę. Złogi krwi w płucach wskazują, że śmierć nastąpiła wskutek utonięcia we własnej krwi. Zatem to pierwsze cięcie musiało zostać dokonane bardzo ostrożnie, z wyczuciem. Drugie natomiast zrobiono jednym ruchem, bez żadnych obaw, niemal od ucha do ucha.

Dominick, Manny i C.J. stali pośrodku wyłożonej białymi kafelkami sali sekcyjnej Zakładu Medycyny Sądowej okręgu Miami-Dade. Gdzieś za ścianą z radia płynął najnowszy przebój Britney Spears. W powietrzu aromat świeżo parzonej kawy mieszał się z zapachami środków odkażających i śmierci. C.J., która dobrze знаła ten zlepek woni, wiedziała, że nigdy nie opuszcza on tych murów, zostaje na zawsze zamknięty w szufladach chłodni, w pojemniczkach z próbkami tkanek, w szczelnie zaklejonych woreczkach z wycinkami, dołączanych do dokumentacji razem z prześwietleniami i aktami zgonu.

Zwykle prokurator nadzorujący śledztwo nie musiał razem ze śledczymi uczestniczyć w sekcji zwłok, nawet w wypadkach zabójstwa, tyle że sprawa Czarnej Marynarki nie była zwykłym dochodzeniem. W dodatku tak się nieszczęśliwie złożyło, że Andy Maus przedłużył

sobie weekend i wyjechał na trzy dni na chrzciny swojego bratanka daleko na północ stanu, do Tamy, skąd miał wrócić dopiero za kilka godzin. Jerry Tigler nie zgodził się, by jej miejsce zajął Gail Brill, który miał akurat dyżur w prokuraturze i zapewne z wielką ulgą przyjął to, że ktoś z komendy w Miami Beach omyłkowo wezwał na miejsce zbrodni właśnie ją. Nie było się o co z nim wyklócać, zwłaszcza że nie odmówiła pomocy. Toteż natychmiast, gdy tylko odebrała telefon, pojechała na Washington Avenue i weszła na czwarty poziom piętrowego garażu, gdzie później długo stała z zapatrzoną z odległości kilkunastu metrów w wóz patrolowy z włączonymi migaczami na dachu, które dziwnie kontrastowały z widocznymi w tle jaskrawo oświetlonymi śródmiejskimi wieżowcami. Jak zwykle odpowiadała policjantom na pytania dotyczące zagadnień prawnych.

Pewnie dlatego z samego rana Tigler poinformował ją wprost, że powinna wziąć udział w autopsji.

Podejrzała nawet, że po odłożeniu słuchawki wrócił jeszcze do łóżka.

Tym sposobem ostatecznie znalazła się w sali sekcyjnej, gdzie stanęła możliwie najbliżej wyjścia z rękoma skrzyżowanymi na piersi, obserwując w zamyśleniu makabryczną scenerię.

Czuła się schwytna w pułapkę i zmuszona do obserwacji autopsji zwłok człowieka, za którego śmierć – jak coraz częściej podpowiadał jej oszalały ze strachu umysł –

prawdopodobnie była współodpowiedzialna.

„Kochanie, ktoś w Wydziale Zabójstw komendy z Miami Beach zapewne pamiętał, że wstępnie zostałaś przydzielona do zespołu prowadzącego sprawę Czarnej Marynarki –

tłumaczył jej Dominick. – Dostał numer twojej komórki albo od Nicholsby’ego, albo wziął go z kalendarzyka Dorsetta czy nawet z bazy danych Biura Prokuratora Stanowego. Ewentualnie dowiedział się od twojej sekretarki. Niewykluczone, że o trzeciej nad ranem gliniarze przede wszystkim nie chcieli zrywać z łóżka niewłaściwej osoby. W każdym razie, skarbie, naprawdę nie widzę powodu, żebyś doszukiwała się w tym czyjegoś celowego działania”.

Wcale się nie dziwiła, że uznawał jej obawy za paranoiczne. Nie chciała mu jednak niczego wyjaśniać. Dużo wcześniej podjęła decyzję, że zjawi się na tej sekcji zwłok, zanim jeszcze Dominick zyskał choćby szansę wcielenia się w rolę jej obrońcy, równocześnie wpatrując się w nią przenikliwie i zasypując pytaniami, na które nie mogła udzielić odpowiedzi. Zdawała sobie sprawę, że coraz bardziej jest na nią zły, bo wyraźnie jej unikał, kiedy się spotkali w recepcji Zakładu Medycyny Sądowej, i nawet teraz uciekał od niej wzrokiem. Ale prawdę mówiąc, zależało jej teraz na samotności – nie tyle z wyboru, ile z przymusu, gdyż sama sobie nie ufała w obawie, że chęć zachowania czystego sumienia nie ustrzeże jej przed pragnieniem ujawnienia przed nim tajemnicy.

Dominick pilnie notował wszelkie spostrzeżenia Neilsona dotyczące zwłok Ribera –

umiejscowienie i rozmiary poszczególnych ran czy też wagę narządów wewnętrznych – od czasu do czasu mruczając coś pod nosem. Blady jak ściana Alvarez starał się trzymać od stołu sekcyjnego jeszcze dalej niż ona i bez przerwy podtykał sobie pod nos chusteczkę nasyoną dezodorantem. Z kwaśną miną zerkał w jej kierunku i niepostrzeżenie kreślił palcem kółka na czole. Od wilgoci chusteczek orzeźwiających jego wąsy intensywnie błyszczały w świetle lamp jarzeniowych.

– A co z jego oczami? – zapytał Dominick.

– Na pewno zostały wylupione jeszcze za życia. Świadczy o tym intensywność krwawienia. Gdyby wydłubano je z oczodołów już po śmierci, krwawienie byłoby minimalne ze względu na niewielki rozmiar ran. Zatem wszystko wskazuje na to, że ten biedak znalazł

się w skrajnym szoku. – Neilson urwał i zamyślił się na chwilę, po czym ciągnął z podnieceniem: – W każdym razie byłoby to wielce wskazane.

Pochylił się nad pustym oczodołem Ribera, jednocześnie wskazując palcem sąsiedni, ale i tym razem nie znalazł się nikt, kto by chciał dokładniej przyjrzeć się ranie. Joe Neilson zawsze wykonywał

swoje zadania z wielkim entuzjazmem i trzeba było go dobrze znać, żeby wiedzieć, jak reagować. Manny i Dominick wystarczająco często mieli z nim do czynienia w ostatnim dziesięcioleciu, żeby umieć zachować zimną krew.

– Nóż, którego zabójca użył do wyważenia gałki ocznej, był tępo zakończony.

Świadczy o tym choćby nierówny przekrój odciętego nerwu ocznego. Moim zdaniem ostrze miało od dwóch do trzech centymetrów szerokości, chociaż jego długość pozostaje zagadką.

Mógł to być duży skalpel, ale mnie raczej wygląda na ostrze szwajcarskiego scyzoryka.

– Pozwoli pan, doktorze? – odezwał się laborant w zielonym fartuchu, który stał na szczycie drabiny rozstawionej nad zwłokami sierżanta Lou Ribera i trzymał w ręku aparat fotograficzny.

– Och, tak, proszę. – Neilson odsunął się nieco, ułożywszy błyszczącą stalową linijkę pod pustym poczerniałym oczodołem zabitego.

Błysnął flesz aparatu.

– Wyślemy te zdjęcia do laboratorium naszego wydziału w Tallahassee – wyjaśnił

Dominick. – Rieck jest prawdziwym ekspertem w dziedzinie ran zadanych nożem.

– W Quantico także są świetni specjaliści – odparł Neilson. – Wiem o tym, bo...

– To nie jest sprawa federalna, tylko nasza, stanowa – przerwał mu stanowczo Falconetti, dając do zrozumienia, że tego typu kwestie w ogóle nie podlegają dyskusji.

– Tak, oczywiście – mruknął Neilson, wzruszając ramionami. Ściągnął plastikową maseczkę z ust pod brodę, niecierpliwie przebierając palcami po brzegu stołu sekcyjnego, zaczekał, aż technik skończy robić zdjęcia, po czym obejrzał się na jego kolegę, który siedział

w odległym kącie sali, pogrążony w lekturze porannego wydania „El Nuevo Herald”. –

Caesar? Możesz dokończyć?

Mężczyzna skinął głową, odłożył gazetę i wyciągnął z szafki dużą blaszaną tacę, ścierkę oraz butelkę z mydłem w płynie. Neilson opłukał wodą z węża przygotowane wcześniej wycinki tkanek do badań i zsunął je z krawędzi stołu do plastikowego pojemnika.

Zamknął go szczelnie, ściągnął gumowe rękawice i cisnął je do kosza oznaczonego napisem MATERIAL BIOLOGICZNY.

– Doktorze, a co z narkotykami? – zapytał Manny, zerkając w bok, jakby się bał

spojrzeć Neilsonowi w oczy. – U niego też znaleźliście coś we krwi, jak u Chaveza i Angelilla?

– Wstępne badania nie wykazały obecności narkotyków we krwi zabitego, ale trzeba poczekać kilka dni na wyniki dokładniejszych analiz. Serce miał zdrowe, bez śladu długotrwałego stosowania środków odurzających. Pewnie mógłby spokojnie dożyć setki, gdyby ktoś nie miał wobec niego innych planów. – Sięgnął nad poszarzałymi nogami sierżanta Ribera po swój kubek z kawą stojący na blacie przy zlewie. Trącił przy tym łokciem tabliczkę identyfikacyjną zawieszoną na wielkim paluchu zabitego, która przez jakiś czas kołysała się na boki. – Napijcie się kawy? Zaparzę świeżej.

– Nie, dzięki – odparł za wszystkich Dominick, ruszając pospiesznie do wyjścia.

Nawet nie spojrzał na C.J.

– Ile kubków takiej smoły wypija pan każdego dnia? – spytał z zaciekawieniem Alvarez, kierując się powoli za Falconettim.

– I tak za mało. Na dzisiejsze przedpołudnie mam jeszcze cztery sekcje, detektywie –

rzucił Neilson przez ramię, nalewając wody do ekspresu. – Moją następną pacjentkę świt zastał w bardzo trudnym położeniu. – Ruchem głowy wskazał przeciwległy koniec sali, gdzie przy identycznym głębokim stalowym zlewie, na którym kran był zakończony gumowym węzem, na żelaznym stole leżały nagie zwłoki kobiety z mocno wydętymi i posiniałymi wargami oraz wywalonym na brodę zeszywniałym językiem. Doktor wyciągnął z pudełka świeżą parę lateksowych rękawiczek i naciągając je na dłonie, dodał z krzywym uśmiechem:

– Tak się jakoś składa, detektywie Alvarez, że wszystkie panie, które tu trafiają, po prostu konają z tęsknoty za mną. – Trudno było powiedzieć, czy szelmowsko puścił do nich oko, czy tylko po jego twarzy przebiegł mimowolny kurcz.

Dominick energicznie pchnął skrzydło wahadłowych drzwi, przepuścił przodem C.J., wyszedł za nią i bez słowa skierował się do windy.

Nie dało się już zaprzeczyć istnieniu powiązania. Zginęło czterech mężczyzn, z czego trzech dzieliło z nią tajemnicę. Wszystkim czterem zabójca pozakładał odrażające kolumbijskie krawaty, ale tych trzech, z którymi przed laty ustaliła fikcyjny przebieg zdarzeń, zostało ponadto wymownie okaleczonych w inny sposób.

Chavezowi morderca wyciął język.

Co miało zapewne uciszyć go na wieki.

Lindemanowi odciął uszy.

Zatem najwyraźniej Sonny usłyszał coś, czego nie powinien usłyszeć.

Sierżantowi Riberowi wylupił nożem oczy.

Ten z kolei musiał widzieć coś, czego nie powinien.

C.J. zdawała sobie sprawę, że nie tylko ona musiała zwrócić uwagę na tę symbolikę.

Zespół dochodzeniowy wciąż szukał powiązań między zabitymi a handlarzami narkotyków, ale Dominick już zarządził szczegółową kontrolę wszystkich spraw prowadzonych przez ofiary, analizę każdego wypisanego przez nich mandatu i każdej sporządzonej notatki w nadziei znalezienia elementów wspólnych. Mimo braku efektów nie odwołał jednak akcji inwigilacyjnych, choć zarówno Valle, jak i Brueto doskonale wiedzieli, że są śledzeni, głównie dzięki agentom federalnym. Ostatnie zlecenie po godzinach służby Ribero brał ponad pół roku temu i było to kierowanie ruchem na ulicy w miejscu wyjazdu ciężkiego sprzętu z prywatnego placu budowy. Rzadko brał na siebie obowiązki ochroniarza, jeśli już, to w najbardziej znanych lokalach Miami Beach w trakcie dorocznych festynów. Nic nie wskazywało na jakiegokolwiek jego związki z Vallem bądź gangami BB Posse czy Latin Kings, nie mówiąc już o kartelach narkotykowych.

Poza tym nie tylko detektywi z zespołu specjalnego zaczęli pieczołowicie przekopywać rumowisko. FBI wkroczyło na scenę z sądowym nakazem, którego domagał się Falconetti, a także z pełnym poparciem bezgranicznie rozwścieczonego prokuratora generalnego na Dystrykt Południowy oraz wielu wpływowych osób z Departamentu Sprawiedliwości. I choć wszyscy funkcjonariusze otrzymali wyraźny rozkaz pełnej współpracy z agentami federalnymi, nikt tego nie robił, co oznaczało tylko, że każdy kamień zostanie podniesiony i dokładnie obejrzany co najmniej dwukrotnie.

Skrócona lista ludzi do przesłuchania obejmowała wszystkich, którzy współpracowali z zabitymi policjantami albo mieli z nimi jakiegokolwiek związek, nie mówiąc już o tych, którzy byli przez nich aresztowani. Znajdowali się więc na niej członkowie rodzin, przyjaciele i znajomi, ale też obrońcy i radcy prawni, sędziowie oraz prokuratorzy. Pełna lista była kilkukrotnie dłuższa. C.J. nie miała wątpliwości, że znalazła się na tej pierwszej. Wydawało jej się, że nazwisko Lindemana zostało wymazane ze wszystkich akt, ale Ribero i Chavez na pewno występowali w dokumentach związanych ze sprawą Kupidyna.

Cały poniedziałek przesiedziała w domu, wyciągnawszy wtyczkę telefonu z gniazdka i wyłączywszy komórkę, zastaniając się koniecznością przygotowania wniosku formalnego w toczącej się rozprawie. W rzeczywistości jednak spędziła cały dzień na patio, paliła papierosy, piła wino i gapiła się bezmyślnie na marszczone wiatrem wody zatoki, próbując gorączkowo wymyślić jakiś plan działania. Ale nie potrafiła nawet ocenić, co mogłaby zrobić w tej sprawie. Podobnie minęły trzy dni, a ona wciąż nie miała żadnego planu, gdyż nie umiała odpowiedzieć sobie na zasadnicze pytanie: dlaczego? Nie знаła powodu, dla którego ktoś postanowił raz na zawsze uciszyć tych trzech policjantów. Nie miała także pojęcia, co mógł

mieć z nimi wspólnego Bruce Angelillo.

Jerry Tigler coraz bardziej się na nią wściekał, ponieważ z uporem odmawiała współpracy z zespołem dochodzeniowym zajmującym się sprawą Czarnej Marynarki. Tak samo wściekał się Andy Maus, głównie z tego powodu, że w sobotę nie mógł być na miejscu zbrodni i że szef wciąż nie chciał mu oficjalnie przekazać tej sprawy. Dominick również chodził zły, ciągle nadąsany, a co gorsza, traktował ją z nieufnością. Był jedynym człowiekiem, który znał ją na wylot i którego nie umiała okłamywać, nawet nie chciała tego robić. Dlatego teraz po prostu go unikała, stroniła nawet od rozmów telefonicznych. Sypiała bardzo kiepsko, oględnie rzecz ujmując, gdyż po pracy nieustannie nurtowały ją te same pytania bez odpowiedzi.

Trzy lata wcześniej pogodziła się ze świadomością możliwych konsekwencji swojej decyzji. Ale nie była przygotowana na taki rozwój wydarzeń.

Nie sądziła, że jej decyzję ktoś będzie musiał przypłacić życiem. Co gorsza, nadal nie mogła zrozumieć dlaczego. Miała wrażenie, że schroniła się w okopie wykopanym w mokrym piasku i teraz, kiedy wysychał, ściany wykopu zaczynały się osuwać, grożąc, że pogrzebią ją żywcem.

Nie mogła jednak w nieskończoność kryć się w zaciszu swojego mieszkania, łudząc się nadzieją, że wyjaśnienia same do niej przyjdą. Szafkę na dokumenty miała wyładowaną aktami innych spraw, którymi musiała się zająć. Czekwały na nią wnioski formalne, przesłuchania, spotkania, konferencje, akty oskarżenia, ustalenia przedprocesowe. Z każdym dniem wydłużała się lista zaległości.

Paczka czekała na jej biurku we wtorek rano, kiedy o siódmej zjawiała się w pracy.

Leżała na wierzchu niewielkiego stosiku korespondencji. Nie było na niej adresu zwrotnego, lecz C.J. zwróciła na to uwagę dopiero później, kiedy już ją otworzyła.

Rozcięła taśmę samoprzylepną i tak energicznie rozchyliła połówki wierzchu kartonowego pudełka, że garść styropianowych wytlóczyn posypała się na biurko. Wsunęła do środka rękę, sądząc, że w środku znajduje się kasetka audio bądź wideo, która zawiera jakiś materiał dowodowy dostarczony pocztą międzywydziałową albo przez kuriera sądowego.

Dlatego bardzo się zdziwiła, gdy poczuła pod palcami zimny, gładki przedmiot o nieregularnym kształcie. Kiedy zaś wyciągnęła go z pudełka, przerażenie chwyciło ją za gardło.

Była to niewielka statuetka, doskonale jej znana, choć widziała ją po raz ostatni przed piętnastu laty.

Przedstawiała trzy mądre małpki wyrzeźbione w zielonkawym jadeicie, siedzące obok siebie ramię przy ramieniu, z tak samo wytrzeszczonymi ślepkami i obnażonymi kłami. Pierwsza łapkami zasłaniała uszy, druga oczy, a trzecia pyszczek.

Nic nie słyszę. Nic nie widzę. Nic nie mówię.

To przesłanie było skierowane wyłącznie do niej, wysłane pocztą właśnie tu, do jej gabinetu, gdzie narodził się ich drobny spisek. Nie miała już żadnych wątpliwości, że to właśnie on przyczynił się do śmierci trzech policjantów. Ale gdy statuetka wysliznęła się jej z palców i potłukła na kawałki o kant biurka, uświadomiła sobie coś jeszcze.

Wiedziała także, kto przysłał jej tę paczuszkę.

W roku 1987 jej rodzice wybrali się na dwutygodniową wycieczkę po krajach Dalekiego Wschodu. Ojciec miał nadzieję, że uda mu się przejść choć drobny odcinek Muru Chińskiego, matka z kolei liczyła na to, że zrobi mu parę zdjęć w trakcie tej wędrówki. Po powrocie dali jej właśnie tę niewielką statuetkę, przedstawiającą trzy mądre małpki, którą kupili na straganie z pamiątkami w Pekinie. Matka powiedziała wtedy, że figurka wyrzeźbiona w zielonkawym jadeicie powinna przynieść jej szczęście.

Stała na regale w dużym pokoju przez cały okres jej pobytu w Bayside, kiedy jeszcze studiowała prawo, miała dwadzieścia cztery lata i była bardzo ładna, otoczona mnóstwem przyjaciół, miała narzeczonego, którego zazdrościły jej wszystkie koleżanki, a jedynym jej zmartwieniem był zbliżający się egzamin kwalifikacyjny do nowojorskiej palestry adwokackiej – a więc w jej poprzednim życiu, zanim na zawsze odmienił je William Bantling.

Wiedział o niej wszystko, począwszy od najchętniej oglądanych programów telewizyjnych, a skończywszy na ulubionej restauracji. Wiedział, gdzie mieszkają jej rodzice, kiedy do niej dzwonią i kiedy przyjeżdżają; wiedział nawet, że ojciec pieszczotliwie nazywał

ją Żelką z powodu wielkiego zamiłowania do owocowych żelek w dzieciństwie. Wiedział też wszystko na temat Michaela, jej ówczesnego narzeczonego; wiedział, że byli razem na wakacjach w Meksyku, opisywał jej nawet, jakie przyjmowali pozycje, kiedy się kochali poprzedniej nocy. Bez trudu dostał się do jej mieszkania, i to nie tylko tamtej nocy – jak uświadomiła sobie później, musiał tam bywać wielokrotnie, czytał jej listy, kartkował książki i albumy ze zdjęciami, dotykał ubrań, może nawet jadł coś z jej lodówki, popijał mleko z kartonika. Śledził ją, chodził za nią krok w krok, żeby potem wyszeptać chrapliwym śpiewnym głosem prosto do ucha nawet najgłębsze tajemnice, by miała świadomość, że zawładnął nią bez reszty i że od tej pory nie znajdzie przed nim ucieczki, nawet w sennych marzeniach.

Pozbyła się wszystkiego, co miało związek z tamtą nocą i mieszkaniem w Nowym Jorku, od szczoteczki do zębów po meble. Nie chciała dłużej mieć przed oczami rzeczy, których mógł dotykać czy na które patrzył. Nie oglądając się za siebie, zaczęła z mozołem przez lata budować od podstaw swoje życie, próbując z nadzieją patrzeć w przyszłość.

I budowała je aż do tej pory.

To Bantling przekazał jej wiadomość zza krat i murów zwieńczonych drutem kolczastym pod napięciem, ze swojej celi, w której czekał już tylko na polecenie wykonania wyroku śmierci. To on bywał w jej mieszkaniu i on widział statuetkę z jadeitu, nie było co do tego już żadnych wątpliwości. Nikt inny nie mógł wiedzieć o pamiątkowych małpkach, zdawać sobie sprawy, ile dla niej znaczą. Chyba że...

Komuś o tym powiedział!

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, gdy przeciągając rękoma po włosach, usiłowała odpędzić od siebie przerażające myśli, które znów mogły ją wciągnąć w obłęd. Na szczęście jej drugie ja zaczęło

w głowie stanowczym prokuratorskim tonem wykrzykiwać pytania, które dość szybko ją otrzeźwiły. *Spokojnie! Chwileczką... Jeśli to rzeczywiście Bantling przysłał tą statuetką, chcąc dać do zrozumienia, że wie o kłamstwach policjantów, które pomogły zamknąć go w celi śmierci, to dlaczego wcześniej kazał zamordować jedyne trzy osoby, które mogły przywrócić mu wolność, zaświadczając, że nie był Kupidynem?*

Czemu miałby eliminować swoich koronnych świadków?

Bo jest nienormalny, obłąkany! – sama odpowiedziała sobie w myślach, krzycząc jeszcze głośniejszym głosem niż drugie ja prokuratorskie. Bo nic nie mogłoby mu sprawić większej satysfakcji niż danie mi do zrozumienia, że wciąż mnie obserwuje, zna prawdę i dobrze wie, co zrobiłam, więc nie mogę się czuć bezpieczna, bo jestem następna w kolejności. Specjalnie tak zaplanował morderstwa, by rozgrywały się niemalże na moich oczach, doprowadzając mnie powoli do szaleństwa...

Nieprawda! Mylisz się!

C.J. aż pokręciła głową i wymamrotała te słowa pod nosem, próbując gorączkowo zebrać myśli.

Jeżeli nie powiedział o tym komuś...

Zaczekaj! Spokojnie. Przeanalizuj to na trzeźwo, jak każdą inną sprawę. A jeśli prawda wygląda dokładnie odwrotnie? Jeśli jest ktoś jeszcze, komu właśnie bardzo zależy, żeby Bantling nigdy nie wyszedł z więzienia? Kto za wszelką cenę chce mu uniemożliwić dowiedzenie, że nie był Kupidynem?

Tylko kto mógł tego pragnąć? Kto poza nią mógłby sobie życzyć, żeby Bantling nigdy nie opuścił celi śmierci? Żeby został najsurowiej ukarany za zbrodnie, których nie popełnił?

Odpowiedź przeraziła ją jeszcze bardziej niż samo pytanie.

Mógł tego pragnąć jedynie sprawca zbrodni.

Człowiek albo ludzie winni morderstw Kupidyna.

– Coś się stało i muszę wyjechać na jakiś czas.

– Ty chyba próbujesz mnie wyrolować, C.J. Co to ma być? Jakiś żart?

Dominick stał na środku pokoju i spoglądał podejrzliwie na otwartą, częściowo spakowaną walizkę na podłodze.

Krzątała się cały czas, jakby nie mogła przerwać ani na chwilę. Przeszawiała rzeczy na półkach, stoliku do kawy.

– Wcale nie żartuję, Dominicku. Przykro mi. Boże, nawet nie wiesz, jak bardzo. Nie mam na to najmniejszej ochoty, ale muszę. Po prostu muszę.

– Co się stało, do cholery?! – syknął, łapiąc ją za rękę, gdy próbowała go wyminąć. –

Co się z tobą dzieje, do diabła?!

Nie wyszarpnęła ręki z jego uścisku, ale nie odważyła się też spojrzeć mu w oczy.

– Coś się odmieniło – szepnęła.

– O czym ty mówisz? Zmieniło się między nami? Wiem, że oboje byliśmy ostatnio bardzo zajęci... Od kilku tygodni jestem związany tą przekłętą sprawą, ale... – Urwał na chwilę, jakby coś ścisnęło go za gardło. Złość? A może smutek? Chyba jedno i drugie.

Trudno jej było ocenić. – Co spowodowało, do diabła, że reagujesz aż tak gwałtownie?

Nadal nie podnosząc głowy, pokręciła nią energicznie, po czym raz i drugi pociągnęła nosem.

– Po prostu muszę odpocząć, biorę urlop. Wyjeżdżam na kilka tygodni, może miesiąc... Jeszcze nie wiem. W każdym razie muszę się wynieść z Miami, oderwać na jakiś czas od pracy. Czuję się wypalona...

Pozwolił, by jej słowa zawisły w powietrzu. Nadal trzymał ją pod rękę, ale zwoleń

nico uścisk. Wiedziała, że bacznie się jej przygląda, jednocześnie składając myśli i dobierając słowa, by złożyć je w podchwytliwe pytanie, jakby przesłuchiwał podejrzanego.

– Dlaczego okłamałaś mnie w sprawie Sonny'ego Lindemana? – odezwał się w końcu.

– Słucham?

– Dobrze słyszałaś. Czemu mnie okłamałaś, mówiąc, że nie znałaś Lindemana?

Przecież był jednym z twoich świadków w sprawie Kupidyna, jego nazwisko widnieje na wstępnym

zgłoszeniu świadków do rozprawy.

– Naprawdę nie pamiętam, Dominicku...

– Nieprawda. Masz niezawodną pamięć. Wystarczyło na ciebie spojrzeć w noc zabójstwa, żeby domyślić się po twojej minie, że go znałaś. Tak samo znałaś Chaveza i tego ostatniego, sierżanta Ribera. Pamiętam, że podszedł, żeby się z tobą przywitać, na pogrzebie Lindemana. Strach paraliżuje cię już od chwili, kiedy zobaczyłaś, że morderca obciął

Chavezowi język. I nie myśl, że tylko ja to zauważyłem. Jeśli nawet twój szef jest idiotą, to przecież doskonale widzi, że zachowujesz się dziwnie. Nie jesteś już tą samą C.J. Townsend, panią prokurator o stalowych nerwach, która widziała w swojej karierze więcej najgorszego gówna niż każdy pieprzony policyjny weteran szukający u ciebie wsparcia. Nigdy wcześniej nie rezygnowałaś z udziału w żadnym dochodzeniu, nie odmawiałaś przyjazdu na miejsce zbrodni i dyskusji na temat okoliczności zabójstwa. Więc co się stało, C.J.? Chcesz się odwrócić plecami do nas wszystkich, dlatego wolałbym wiedzieć, co się naprawdę zmieniło.

– Chciałabym ci to powiedzieć, Dominicku. Uwierz mi. Ale nie mogę. Tak samo jak ty nie możesz nic zrobić, żeby mi pomóc.

– A może jednak?

Milczała przez dłuższy czas, zasłuchana w rytmiczny szmer własnego oddechu i zapatrzona w błyszczącą odznakę z godłem stanu Floryda, którą nosił przypiętą do pasa.

– Dostałam wczoraj paczkę. Przyszła z ranną pocztą...

– Gdzie ona jest? Co w niej było?

– Statuetka. Nieduża figurka. Upuściłam ją i potłukła się, ale to nie ma żadnego znaczenia. Pudełko zapakowano w zwykły szary papier, nie było na nim adresu nadawcy.

Jestem przekonana, że nie znaleźlibyście żadnych odcisków palców. – Urwała, szukając odpowiednich słów, po czym dokończyła: – To była symboliczna wiadomość, osobiste przesłanie skierowane do mnie.

– Co przedstawiała ta statuetka?

– Trzy małpki. Pewnie widziałeś gdzieś podobną. Nic nie słyszę, nic nie widzę...

– Nic nie mówię – dokończył za nią, po czym zamyślił się ze zmarszczonymi brwiami.

Niewiele mu było trzeba, żeby powiązać ze sobą fakty. Szepnął: – Czarna Marynarka... Jezus, Maria... Oczy, uszy... Może to była wiadomość przeznaczona dla naszego zespołu dochodzeniowego? Może to my powinniśmy ją dostać, C.J.? – dodał z podnieceniem, mając wyraźnie na myśli tak wyczekiwany przez wszystkich przełom w śledztwie. – Byłaś na ostatnim miejscu zbrodni, początkowo zostałaś wyznaczona do nadzorowania śledztwa, twoje nazwisko wymieniano we

wszystkich gazetach. Może nadawca paczki myśli, że wciąż współpracujesz z zespołem dochodzeniowym, i dlatego postanowił przekazać nam wiadomość przez ciebie. W pudełku nie było niczego poza statuetką? Żadnego listu? I gdzie są resztki figurki?

– Nie było żadnego listu, a resztki wyrzuciłam. Nie łudź się, Dominicku, że paczkę nadał jakiś niezbyt rozgarnięty gangster, który nie czyta na bieżąco gazet i nie wie, że już nie zajmuję się waszym dochodzeniem. Posłuchaj. Miałam kiedyś tę samą statuetkę z zielonego jadeitu, kiedy mieszkałam jeszcze w Nowym Jorku. Po napadzie pozbyłam się jej razem ze wszystkimi rzeczami. Ale on musiał mnie nadal śledzić, odnalazł ją i... – Głos uwiązał jej w gardle i mimo woli łzy zaczęły spływać po policzkach. – To nie jest paranoja. Na pewno...

– Naprawdę uważasz, że to on ci ją przysłał? Że to była paczka od Bantlinga?

Ani razu nie przyznała, że to Bantling ją wtedy zgwałcił. Nie powiedziała tego nikomu. Wręcz przeciwnie, tuż po zakończeniu jego procesu, gdy już zapadł wyrok śmierci, w prywatnej rozmowie bez mrugnięcia okiem skłamała sędziemu Chaskelowi, że to nie Bantling ją zgwałcił w Nowym Jorku. A Dominick nigdy nie wracał do tego tematu, jakby w ogóle nie chciał o tym słyszeć.

– C.J. – odezwał się teraz łagodnym, acz stanowczym tonem, chcąc jej dać do zrozumienia, że to nie pora na dyskusje. – Wiem, że to Bantling cię zgwałcił. – A więc jednak. Nie zdołała tego przed nim ukryć. – Jestem pewien, że to był on, kochanie. Lecz jeśli to naprawdę on włamywał się do twojego nowojorskiego mieszkania i to on widział tę statuetkę, dlaczego miałby ci ją teraz przysyłać? Zresztą nie musimy się nawet posuwać aż tak daleko. Bo jak miałby ci cokolwiek przesłać, siedząc w celi śmierci?

Nie musiała odpowiadać, z pewnością sam dobrze wiedział, że dla chcącego nic trudnego. Jak się ma pieniądze, a tych przecież Bantlingowi nie brakowało, można znaleźć wielu chętnych, i to po obu stronach więziennych murów, gotowych oddać każdą przysługę.

– To wszystko nie jest takie proste, Dominicku. Nie zamierzałam komplikować nam obojgu życia, ale tak się stało. Myślałam, że...

Ugryzła się w język, nim zdążyła dokończyć na głos to zdanie: *Myślałam, że postępują właściwie, że moim celem jest ochrona społeczeństwa przed mordercą, ale gdzieś w trakcie dochodzenia i procesu przekroczyłam niewidzialną granicę i teraz jestem prawdopodobnie odpowiedzialna za śmierć trzech policjantów, za to, że dzieci straciły ojca.*

– Ale co Bantling mógłby mieć wspólnego z zabójstwami Czarnej Marynarki? –

zapytał Dominick. Rozmyślał gorączkowo, usiłując odnaleźć jakiekolwiek powiązania, które w końcu nie powinny ujść jego uwagi. – To cię tak przestraszyło? Wiemy, że wszyscy zabici policjanci zajmowali się dochodzeniem w sprawie Kupidyna. Nawet Angelillo był

zaangażowany w sprawdzanie pewnych poszlak. Tylko dlaczego Bantling miałby ci teraz przekazywać jakąś wiadomość? W co jeszcze zamieszani byli ci gliniarze?

Zmarszczył brwi, przypomniawszy sobie, jak na moście McArthura tamtej nocy, kiedy zatrzymano Kupidyna, pod jego butem zazgrzytał odłamek plastikowej osłony tylnych świateł

samochodu – tej samej osłony, która według zeznań Victora Chaveza była stłuczona dużo wcześniej i stała się bezpośrednią przyczyną zatrzymania jaguara Bantlinga. Uzmysłował

sobie nagle, że taki dureń jak Chavez nie mógł na własną rękę nagiąć pewnych faktów, żeby pasowały do całej reszty... Natomiast C.J.? Nie odpowiedziała na jego pytanie, a jej uparte milczenie mógł traktować tylko jako dowód, że posuwa się właściwym tropem. Po chwili zadał więc półgłosem to najważniejsze pytanie:

– To ty uknułaś ten spisek? Wrobiłaś Bantlinga?

Nie mogła go wciągać w tę historię, nie miała prawa robić z niego narzędzia własnego przestępstwa. Energicznie pokręciła głową i odparła stanowczo:

– Nie.

– W takim razie powiedz, o co chodzi. To już niczego nie zmieni.

– Owszem, zmieni.

– Do jasnej cholery, C.J.! Kocham cię. Wiesz o tym.

– To zmieni również twój stosunek do mnie, Dominicku. A ja tego nie zniosę, nie wytrzymam twoich podejrzliwych spojrzeń, nawet gdybyś przysięgał, że między nami nic się nie zmieniło. Już wolałabym rozstać się z tobą w tej chwili, wiedząc, że mnie kochasz, niż później zachodzić w głowę, czy mówisz prawdę, czy też kłamiesz.

– Gadasz jak gliniarz w trakcie przesłuchania. Jak pieprzony śledczy z podejrzanym.

Nie możesz dopuścić, bym sam ocenił, co do ciebie czuję?!

Przygryzła wargi i wbiła wzrok w podłogę.

– Więc o to chodzi? Mam odwołać ślub, prawda? To wszystko...

– Odłóżmy to na później, dobrze? – Nerwowo przeciągnęła ręką po włosach, nadal nie podnosząc głowy. – Sama już nie wiem, Dominicku. Muszę to sobie wszystko poukładać, a nie mam prawa cię w to wciągać. W tej chwili po prostu nie możesz mi pomóc.

Odsunął się od niej o krok i smutno pokiwał głową, zastanawiając się, co sprawiło, że tak nagle wszystko legło w gruzach, i dlaczego wcześniej nie zauważył oznak zbliżającego się kryzysu. Zawrócił na pięcie i ruszył do wyjścia.

– Wybacz mi – rzuciła za nim C.J., ocierając łzy z twarzy.

Wyszedł na korytarz, nie oglądając się nawet w głąb mieszkania. Skierował się do windy, walcząc z przemożną falą smutku, złości, oszołomienia, poczucia zdrady i zakłamania.

Zanim dotarł do samochodu stojącego na parkingu przed blokiem, doświadczył już wielu uczuć, o które nigdy dotąd nawet by siebie nie podejrzewał. Miał ochotę zakotwiczyć w najbliższym barze i spić się do nieprzytomności, ale natura policjanta ostro domagała się od niego odpowiedzi na setki pytań. Dopiero teraz docierało do niego, że powinien je zadać już dawno temu.

Bo na każde pytanie istnieje odpowiedź. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie jej szukać.

Otworzył drzwi, wszedł do auta, po czym wykręcił głowę i popatrzył na okno sypialni na dwunastym piętrze, gdzie C.J. zapewne kończyła pakować walizkę. Dopiero teraz zaczynał

się domyślać owych odpowiedzi, które powinien był poznać przed wieloma miesiącami, może nawet latami. Zwiesił głowę i przytknął czoło do zimnej kierownicy, nim mimowolnie wyszeptał pod nosem to jedno najważniejsze pytanie:

– Matko Boska... Coś ty narobiła, C.J.?

William Rupert Bantling, więzień stanu Floryda numer 578884526, leżał na cienkim syntetycznym materacu i gapił się na bąble odłazającej farby na suficie. Najwyraźniej jakiś geniusz z więziennej administracji, nie mając już na co wydać pieniędzy z budżetu, wpadł na świetny pomysł wykorzystania nadwyżek szarej przemysłowej farby do pomalowania betonowych sufitów, ścian i podłóg. Widocznie liczył na to, że poprawi humor czterdziestu czterem skazanym siedzącym w celach śmierci o wymiarach trzy na dwa metry i przez dwadzieścia dwie godziny na dobę niemającym nic innego do roboty, jak ćwiczenie swojego pożegnania z tym światem. Sądził, że w ten sposób ułatwi im zachowanie spokoju, kiedy wreszcie zadzwoni ich adwokat z wiadomością, by nie robili już żadnych planów na ten wieczór po godzinie osiemnastej czasu Wschodniego Wybrzeża. Wszechobecna wilgoć, która czyniła życie nieznośnym, spowodowała, że w źle położonej warstwie farby na suficie porobiły się bąble i niezależnie od tego, czy więzienny geniusz za swój pomysł dostał awans, czy wyleciał na bruk, każdego cholernego wieczoru szara farba sypała się Billowi Bantlingowi na głowę.

Zazwyczaj nienawidził tej pory dnia, choć zdążył już przywyknąć do niekończącej się nudy i beczynności. Nie znosił jej, bo mógł tylko leżeć i patrzeć na łuszczącą się farbę w oczekiwaniu, aż ten złośliwy gruby strażnik jak zwykle zgasi światło przed czasem, nie bacząc, czy ktoś jeszcze czyta, myje zęby albo siedzi na kiblu, i dopiero później krzyknie:

„Cisza nocna!”, zachichocze i wyciągnie z kieszeni kolejnego batonika. Był idiota bez trudu by pojął, że zbliża się ta pora, i piętnaście minut wcześniej odłożył szczoteczkę czy wstał z klozetu, ale tu nie siedzieli byle idioci, a chyba wyłącznie kretyni nad kretynami. Wrzaski i wycie rozwścieczonych zwierząt dobiegały zewsząd przez dobre dwadzieścia minut od zgaszenia światła. Tyle że dzisiaj ani trochę go to nie obchodziło. Było mu wszystko jedno, bo absolutnie nic nie mogło zetrzeć ironicznego uśmiešku z jego ust.

Zamknął oczy i od razu ujrzał tuż przed sobą jej twarz, która odznaczała się kiedyś niezwykłą urodą. Długie miodowoblond włosy delikatnie podwijały się na końcach, ocieniały policzki o idealnie gładkiej cerze i opadały na nagie, opalone na brąz ramiona. Zmysłowe czerwone wargi mimo upływu lat zawsze były po dziewczęcemu lekko wydęte. Już raz nią zawładnął, a ona mu uległa, i wtedy te piękne oczy nie patrzyły na niego wyzywająco, lecz z przerażeniem, a spływające z nich gorzkie łzy ściekały po idealnie gładkich policzkach na jedwabne majtki, które wepchnął w te nadzwyczaj zmysłowe usta.

Teraz miał ją ponownie, zalęknioną, przybitą i przerażoną. Dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa dni temu na sali sądowej znów mógł podziwiać ten sam wyraz jej oczu.

W spojrzeniu, na początku wyzywającym, kiedy jeszcze sądziła, że go pokonała – że wygra z nim każdą rozgrywkę, bo jest znanym prokuratorem na eksponowanym stanowisku i może prywatnie szepnąć coś sędziemu na ucho, podczas gdy on może się temu tylko biernie przyglądać, skuty łańcuchami i ubrany w czerwony więzienny kombinezon – szybko pojawił

się strach, kiedy wreszcie uświadomiła sobie, że nie wystarczy jej tytuł, by z nim zwyciężyć.

A przede wszystkim zrozumiała, że za żadne skarby nie uwolni się od niego w koszmarach sennych, w których odwiedzał ją pewnie co noc. I pod koniec tej farsy, którą trzy lata temu prasa nazywała procesem o morderstwo, miał już niezbitą pewność, że ona znów jest jego.

Świadczyły o tym jej powilgotniałe, podkrążone oczy, okolone dziesiątkami drobniutkich zmarszczek. Nie odważyła się na niego spojrzeć. Był pewien, że znów zwyciężył.

Teraz nadarzała się kolejna okazja. Właśnie ta świadomość budziła jego uśmiech.

Czule przyciskał do piersi list, z którego wynikało jednoznacznie, że znów musiał się stać głównym bohaterem jej koszmarów sennych.

Och, nie, to na pewno nie koniec. W gruncie rzeczy zabawa dopiero się zaczyna, pomyślał.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, gdy w tej samej chwili sprzed celi doleciał gromki okrzyk: „Cisza nocna!”. W zapadłej nagle ciemności jej powieki o pięknych, długich rzęsach zatrzepotały gwałtownie przed jego oczyma, lecz to, co wziął za łzy, okazało się kilkoma okruchami szarej farby odłóżącej od sufitu.

Kiedy samolot dotknął kołami pasa startowego, C.J. wyrzała na ciemne, ołowiane niebo za oknem, zastanawiając się, czy nie zacznie padać śnieg. Nie była to najciekawsza perspektywa. Od lat nie prowadziła samochodu po ośnieżonej autostradzie, a co dopiero po wąskiej i krętej górskiej szosie.

Wsiadła do lotniskowego autobusu razem z kilkunastoma osobami taszczącymi duże torby podróżne i narty w pokrowcach. Już na pokładzie samolotu miała wrażenie, że wszyscy myślą tylko o białym szaleństwie – młode małżeństwo, gromadka przyjaciół, zapatrzona w siebie para. Czuła się jak na planie zdjęciowym do broszury reklamowej biura podróży czy też artykułu do pisma w rodzaju „Conde Nast Traveler”. Nic pasowała jednak do reszty podróżnych. Nie miała nart ani puchowej kurtki, tylko skromny bagaż z ciepłym swetrem i zapasową parą dżinsów oraz szczoteczką i pastą do zębów, jakby wybrała się w jednodniową delegację.

Jeszcze przed kupnem biletu setki razy powtarzała w myślach swoje wyjaśnienia, które później miała okazję szlifować podczas pięciogodzinnego lotu. Tak samo skrupulatnie zamierzała w tym celu wykorzystać dwupółgodzinną podróż z lotniska do Breckenridge, małego narciarskiego kurortu. Ale i tak wydawało jej się, że nie brzmią one dobrze, jakby z definicji trąciły fałszem.

Ani razu nie rozmawiała z Lourdes Rubio przez trzy lata, to znaczy od zakończenia procesu Bantlinga. Po ogłoszeniu wyroku pożegnały się grzecznie, acz oziębło, krótko potem Lourdes zamknęła swoją kancelarię w Miami, spakowała rzeczy i wyjechała w nieznanym kierunku. Wcześniej kilkakrotnie pracowały razem w sprawach zabójstw i C.J. zdążyła poznać rywalkę jako prawdomównego i ściśle przestrzegającego etyki przeciwnika. Niemniej od tamtej pory musiała zmienić zdanie.

W ciągu tych minionych trzech lat niekiedy wracała myślami do Lourdes, zastanawiała się, co ją spotkało, czy dalej robi karierę, jeśli w ogóle nadal prowadzi praktykę adwokacką, ani razu jednak nie podjęła próby nawiązania kontaktu. Zdawała sobie sprawę, że nie ma co liczyć na serdeczność, ciepłe przyjęcie czy też luźną pogawędkę. Takie rzeczy w ogóle nie wchodziły w grę. Lourdes także świetnie o tym wiedziała. Mniej więcej powiedziała to wprost, kiedy po raz ostatni rozmawiały ze sobą na sali rozpraw krótko po tym, jak jej klient, szamoczący się i wrzeszczący mimo zakneblowanych ust, został wywleczony przez trzech strażników i odtransportowany do celi śmierci w Raiford, gdzie miał czekać na decyzję o terminie śmiertelnego zastrzyku.

C.J. pociągnęła jeszcze łyk kawy, chyba już dziesiątej tego dnia, po czym wyprowadziła blazera z lotniskowego parkingu w Alamo i skręciła w stronę autostrady I-70.

Wszystko wraca. Niezależnie od przyczyny trzeba odkurzyć starą dokumentacją, bo ta sprawa teraz wraca.

Tyle że tym razem C.J. знаła przyczynę.

Była jeszcze jedna osoba, która знаła prawdziwą przyczynę zatrzymania tamtej nocy jaguara Bantlinga na moście McArthura przez Victora Chaveza. Wciąż żyła i prowadziła skromną praktykę adwokacką w małym miasteczku, gdzie większość ludzi żyła z turystów i w sezonie łatwo było się zagubić wśród przyjezdnych.

C.J. nie mogła zapomnieć tej ostatniej rozmowy w opustoszałej sali rozpraw, kiedy wyszli już dziennikarze, sędzia zniknął w swoim gabinecie, a przysięgli rozeszli się do domów. Zostały wówczas tylko we dwie, rozdzielone trudniejszą do pokonania barierą niż owa drewniana barierka rozdzielająca stanowiska oskarżenia i obrony. Nawet przez chwilę nie zapomniała słów, które wtedy padły, tylko odłożyła je do magazynu swej pamięci i zamknęła pokrywę pojemnika, mając nadzieję, że już nigdy nie będzie musiała do niego sięgać.

Włączyła wycieraczki na pełną szybkość, gdyż grube mokre płatki padającego śniegu błyskawicznie oblepiały przednią szybę auta. Po licznych rozmowach telefonicznych i przeszukaniu paru baz danych odnalazła w końcu Lourdes, która najwyraźniej próbowała się ukryć przed całym światem właśnie w tym małym narciarskim miasteczku – trzy tysiące kilometrów od rodzinnych stron porośniętych palmami – gdzie otworzyła małą prywatną kancelarię, choć wcześniej mówiła, że brzydzi się prawem. Po pewnym czasie zdobyła się na odwagę, zadzwoniła i powiedziała, że muszą się zobaczyć. Zaskoczyła ją reakcja. Lourdes chyba nie była specjalnie zaskoczona ani zdumiona, usłyszawszy jej głos, no i zgodziła się bez wahania, kiedy C.J. poprosiła o rozmowę w bardzo ważnej sprawie. Nie zadawała żadnych zbędnych pytań. Podała jedynie termin i wyjaśniła, którędy jechać z lotniska międzynarodowego w Denver.

Połączenie trwało niespełna dwie minuty i ledwie C.J. odłożyła słuchawkę, ogarnęło ją nieodparte wrażenie, że reakcja Lourdes na jej telefon była niezwykła. A raczej niezwykły był

brak reakcji.

Nasuwał się wniosek, że adwokatka tylko czekała na jej telefon.

Kiedy pchnęła ciężkie drzwi z litego drewna zaopatrzone w małe okienko, rozległ się dźwięczny gong, jakby wchodziła do sklepu z odzieżą albo słodyczami. Na frontonie piętrowego budynku nie było żadnej tabliczki, tylko nad drzwiami znajdował się ułożony ze złotych liter napis: MEC. L. RUBIO. Nie tylko nie rzucał się w oczy, ale wręcz łatwo było go przeoczyć, toteż C.J. po raz kolejny naszły wątpliwości, czy Lourdes w ogóle chciała prowadzić tę kancelarię.

Powoli weszła do nowocześnie urządzonego biura, umeblowanego w typowo południowym stylu na turkusowo, granatowo oraz bordowo, i zaczęła się rozglądać ciekawie.

Na ścianie nad niezbyt dużym dębowym biurkiem wisiał ręcznie tkany indiański dywanik, pojedynczy regał zapełniały tomy kodeksu karnego stanu Kolorado oraz zestawień i komentarzy na temat rozpraw dotyczących uszkodzenia ciała. Obok dywanika wisiał

oprawiony dyplom wydziału prawa Uniwersytetu Miami oraz licencja adwokacka z palestry w Kolorado, nie było jednak niczego, co by nawiązywało do wieloletniego doświadczenia procesowego Lourdes z Florydy, co sugerowałyby chociaż, że w ogóle pracowała tam w swoim zawodzie. Nie było ani jednej plakietki czy dyplomu, których przecież Rubio otrzymała sporo. Nie było też wycinków prasowych czy zdjęć z prominentnymi osobistościami, na przykład z Jebem Bushem, które dawałyby świadectwo osiągnięć oraz koneksji właścicielki tej kancelarii. Jedyną ozdobę gabinetu stanowiła wyrzeźbiona w drewnie figurka łosia stojąca na regale obok kilku rodzinnych fotografii.

Lourdes stanęła w otwartych drzwiach z filiżanką kawy w ręku i popatrzyła na swojego gościa rozglądającego się ciekawie po pokoju.

– Witaj, C.J. – odezwała się w końcu.

Wzdrygnęła się gwałtownie, jakby została przyłapana na czymś niestosownym.

Odwróciła się od regału i po raz pierwszy od trzech lat śmiało popatrzyło Rubio prosto w oczy. Lourdes nie zrobiła ani jednego kroku w jej kierunku, stała w otwartych drzwiach pokoiku na zapleczu i bacznie jej się przyglądała. Ubrana w obszerny kremowy sweter wypuszczony na dzinsy zdawała się doskonale stapiać z kolorem ścian. Z wyglądu bardzo różniła się od tamtej adwokatkę sprzed trzech lat, chodzącej w szytych na miarę garsonkach oraz dziesięciocentymetrowych szpilkach i wynajmującej pomieszczenia biurowe w samym centrum Coral Gables po trzysta dolarów miesięcznie za metr kwadratowy.

– Cześć, Lourdes – odparła powoli C.J. – Ładna kancelaria – powiedziała, uzmysławiając sobie szybko, że to nie pora na tego typu uwagi. – Chyba już wiesz, dlaczego chciałam się z tobą zobaczyć?

– Domyślam się, że chodzi o Billa Bantlinga. Siadaj. – Odkleiła się wreszcie od futryny i obchodząc biurko, ruchem ręki wskazała jej pierwsze z dwóch stojących na wprost niego krzesel.

C.J. sztywno skinęła głową. Dziwnie się czuła, zajmując przeznaczone dla klientów miejsce przed

biurkiem do niedawna jednej z najlepszych i najszlachetniejszych adwokatów w Miami od spraw kryminalnych.

– Bo i o cóż innego? Spójrzmy prawdzie w oczy, C.J. Niewiele jest tematów, o których mogłybyśmy rozmawiać.

Mówiła dość ostrym, nieprzyjemnym tonem, jakby przez lata szykowała się na to spotkanie, ale ćwicząc przed lustrem swoje odpowiedzi, za każdym razem wpadała w złość.

Stąd nawet zwykłe „dzień dobry” brzmiało dziś wrogo w jej ustach.

– Coś się stało – zaczęła ostrożnie C.J.

– Czyżby wykonano wyrok śmierci na Billu? – zapytała ze zjadliwą ironią Lourdes.

– Pewne rzeczy między nami nie zostały dopowiedziane do końca.

– Istnieje wyraźna granica, C.J. – odparła Rubio. – I ty ją przekroczyłaś.

– Kto wyznaczył tę granicę, Lourdes? Kto? – Poczuli, że i w niej stopniowo narasta złość. – Wszyscy wykonywaliśmy tylko swoje obowiązki. Absolutnie wszyscy. Policja, prokuratura stanowa... A Bantling miał doskonałą obronę.

– Bzdura. Nawet nie miał szans na godziwą obronę. Bo zawałam sprawę.

Spieprzyłam ją dokumentnie. I teraz ta świadomość każdego dnia nie daje mi spokoju.

– Ale wymiar sprawiedliwości zatriumfował i winny musiał ponieść karę za swoje zbrodnie.

– Tyle że Bill zapłacił za nieswoje.

– Sądzisz, że jego zbrodnie są tak mało ważne, że nie kwalifikują go do ukarania?

Twierdzisz, że wyrzuty sumienia nie dają ci spokoju. Ale nad kim się tak uzalasz, Lourdes?

Nad człowiekiem, który na pewno brutalnie zgwałcił czternaście kobiet, a prawdopodobnie znacznie więcej? Nie tylko je zgwałcił, ale również torturował, kaleczył i doprowadził na skraj śmierci? Człowiekiem, który tak samo zgwałciłby swoją adwokatkę, gdyby tylko nadarzyła się okazja? Może lepiej zachowaj swoje wyrzuty sumienia dla kogoś, kto będzie na nie zasługiwał.

– Ale Bill dostał karę śmierci, C.J. Będzie musiał zapłacić własnym życiem. Umrze za coś, czego nie zrobił. Czy ta świadomość ci nie doskwiera?

C.J. zamyśliła się na krótko, po czym odparła cicho:

– Wywiązałam się ze swoich obowiązków, Lourdes. Gdyby wyszedł na wolność, do tej pory zgwałciłby następne trzy albo cztery kobiety. Może nawet więcej. I niewykluczone, że zakończyłoby

się to ich śmiercią. Podjęłam taką, a nie inną decyzję, ale w ramach służbowych obowiązków. Moim zdaniem wybrałam mniejsze zło. A ty pytasz, czy ta świadomość mi nie doskwiera? – Pochyliła się na krzesło, opierając się dłońmi o krawędź

biurka, i popatrzyła Rubio prosto w twarz, chcąc ją nakłonić, by dostrzegła w jej oczach głębokie rany, których żadne słowa nie były w stanie oddać. – Zastanów się tylko. Jak coś takiego mogło nie zrobić na mnie wrażenia?

– Próbujesz się usprawiedliwiać – odparła chłodno Lourdes.

– A ty obwiniać – rzuciła C.J., prostując się na krzesło. – W ostatnich dniach zginęło czterech gliniarzy. Powtarzam, czterech gliniarzy, na wypadek gdybyś nie czytała gazet, bezgranicznie zajęta ochranianiem społeczeństwa przed takimi ludźmi jak ja, którym zdarzyło się popełnić jakiś błąd. Dlatego chciałabym wiedzieć, czy masz z nim jakiś kontakt. Co on ci w ogóle mówił? Co ci powiedział o mnie?

Źle to wyszło. Poniewczasie zrozumiała, że udawana złość w jej głosie miała raczej charakter desperacji, co nie mogło ująć uwagi Lourdes.

– Chwileczkę – powiedziała Rubio, w obronnym geście unosząc obie ręce. – Nie tak szybko. Jeśli chodzi o zabójstwa policjantów w Miami, to owszem, słyszałam o nich. Nie uprawnia cię to jednak do tego, byś w moim gabinecie najpierw próbowała mnie obrazić, a chwilę później domagała się ujawnienia informacji objętych tajemnicą łączącą adwokata z jego klientem. Jeśli myślisz, że w ten sposób zdołasz zapanować nad strachem i zdusić własne poczucie winy, to nie mamy o czym rozmawiać.

– Wcale nie szukam sposobu zapanowania nad strachem i nie dopraszam się o pokutę.

Chcę tylko wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Próbuję ustalić, w jaki sposób te morderstwa są ze sobą powiązane, Lourdes. Przecież giną ludzie.

– I tak nagle zaczęłaś się tym przejmować?

– Mówię o niewinnych ludziach.

– Z tego, co czytałam, wcale nie byli tacy niewinni. Wygląda na to, że twoich stróżów prawa o nieposzlakowanej opinii należałoby raczej zaliczyć do zwykłych ćpunów. Tak przynajmniej opisują ich w prasie. Ci twoi święci pracowali dla karteli narkotykowych.

– Specjalny zespół dochodzeniowy jeszcze sprawdza ten trop. – C.J. zawiesiła głos, zrozumiałwszy, że nie ma sensu blefować. Musiała wyłożyć karty na stół, jeśli chciała się przekonać, jakie atuty Lourdes trzyma w zanadru. – Wiedziałaś o anonimowym zgłoszeniu telefonicznym.

Jak dotąd nikt się nie przyznał do autorstwa owego donosu, który przed trzema laty uruchomił całą lawinę zdarzeń na moście McArthur. Zamiast wszcząć śledztwo w tej sprawie, C.J. przemilczała fakt zgłoszenia, doszedłszy do wniosku, że jego mało istotnym powodem mogło być cokolwiek, od wściekłości na pirata drogowego w jaguarze do pomyłki w identyfikacji kierowcy. Później, już po

skazaniu Bantlinga, kiedy prawda o seryjnym zabójcy omal jej nie uśmierciła, wmówiła sobie, że autor owego zgłoszenia zapewne nie żyje.

Teraz jednak wcale nie była tego pewna.

Lourdes uśmiechnęła się kwaśno i obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem.

– Zgłoszeniu? Masz na myśli ten dowód rzeczowy, który został zatajony przed ławą przysięgłych? O którym nie dowiedział się nawet oskarżony? – Przez chwilę przyglądała się uważnie C.J. i szybko wyczytała prawdę w jej oczach. – Ach, już rozumiem. Sądysz więc, że prawdziwy zabójca może wciąż pozostawać na wolności, prawda? Nie tylko obleciał cię strach, czujesz się zdesperowana. Nie miałaś sobie nic do zarzucenia, kiedy sądziłaś, że sprawa Kupidyna została zakończona. Tyle że teraz pojawił się jeszcze jeden zabójca. Co gorsza, ten wziął się na gliniarzy, prawda? Na policjantów, a może... – zamilkła na chwilę –

...należałoby raczej powiedzieć na świadków?

– Będę z tobą całkiem szczerą, Lourdes. Dostałam pocztą pewną przesyłkę, małą statuetkę z jadeitu, dokładnie taką samą, jaką miałam przed laty w Nowym Jorku. Kiedy on...

– Głos uwiązał jej w gardle. – Sama dobrze wiesz, do czego jest zdolny! Muszę wiedzieć, przed kim się wygadał. Tę statuetkę musiał mi przysłać ktoś, komu on powiedział całą prawdę!

– Nie zamierzam udawać, że naprawdę wiem, do czego zdolni są inni ludzie, C.J. Nie zamierzam ci też ujawniać żadnych informacji objętych tajemnicą zawodową. Od trzech lat próbuję uciec przed tym, co zrobiłam, próbuję wmówić sobie, że cel rzeczywiście uświęca środki. Ale teraz już wiem na pewno, że nie w tym wypadku. Ty też powinnaś być o tym przekonana.

– To szaleniec, Lourdes. Nie zapominaj o tym.

– Jest mi bardzo przykro, C.J., z powodu tego, czego doświadczyłaś. Współczuję ci, że tyle musiałaś przejść. Naprawdę. Możesz mi wierzyć, że sama przeżywałam rozterki, próbując pogodzić własne sumienie z pracą zawodową, a głównie z przysięgą obligującą mnie do obrony klienta. I ja pozwoliłam, by uczucia wzięły we mnie górę. To przez nie skompromitowałam się w czasie rozprawy, sądziłam bowiem, że nawet jeśli utracę część zawodowej reputacji, to jednak stanę się lepszym człowiekiem. Od tamtej pory próbuję się pogodzić z własną decyzją, lecz możesz mi wierzyć, że z dnia na dzień przychodzi mi to z coraz większym trudem. Żał mi cię, że tak dużo wycierpiałaś, ale przecież żyjesz. Nie zabił

cię. Dlatego nie mogę ci pomóc w uśmierceniu go.

Zabrzmiało to definitywnie, ucinając jakąkolwiek dalszą dyskusję. C.J. wstała więc i zamrugała szybko, żeby pohamować cisnące się łzy. Sztywno skinęła głową Lourdes i wyszła z jej gabinetu prosto w szalejącą śnieżycę. Delikatny dźwięk gongu umilkł błyskawicznie, gdy wiatr z dzikim wyciem wyszarpnął jej klamkę z ręki i z donośnym hukiem zatrzaskał za nią drzwi kancelarii.

Lourdes jeszcze długo po wyjściu C.J. siedziała bez ruchu za swoim biurkiem z twarzą ukrytą w dłoniach, wsłuchując się w miarowe tykanie ściennego zegara oraz stłumiony bulgot i pomrukiwanie starego ekspresu do kawy w pokoiku na zapleczu.

Kto wyznaczył tę granicę, Lourdes?

Owo pytanie powracało echem w jej myślach. Nie odpowiedziała na nie, bo prawdę mówiąc, nie znała odpowiedzi. Sumienie kazało jej wyjechać z Miami, zapomnieć o dochodowej praktyce adwokackiej oraz przyjaciółach i rodzinie, zmusiło do ucieczki przed grzechami w góry, gdzie czas miał wyleczyć rany. Ale to tylko pogorszyło sytuację. Nie potrafiła już rozsądzić, w jakim stopniu jej sumienie jest spaczne przez charakter matki, która każdego dnia przed obiadem recytowała ustępy z Biblii, nawet jeśli nie było co postawić na stole. Zdawała sobie sprawę, że niektórzy ludzie w ogóle nie mają sumienia – nie zdołali go w sobie rozwinąć w wieku trzech czy czterech lat – choć osiągnęli już dorosłość, czy też po prostu ignorują je stale, inni zaś je mają, lecz nie do końca wykształcone. Nawiasem mówiąc, co właściwie sprawia, że to nasze sumienie, wierny przyjaciel, zawsze ma rację?

Kto wyznaczył tę granicę, Lourdes?

Bill Bantling też był jej przyjacielem, zanim został klientem. Ale nie widziała w jego urzekających błękitnych oczach socjopatycznych błysków, dopóki w trakcie szczerzej rozmowy sam jej nie zdradził, że jest gwałcicielem. Zresztą nawet wtedy nie pojmowała jeszcze wszystkich konsekwencji. Sądziła, że to jakaś pomyłka. Przejrzała na oczy kogoś wieczoru, kiedy atmosfera między nimi zrobiła się gorąca, a on całkowicie zignorował jej odmowę. Dopiero wtedy zapoznała się z raportami nowojorskiej policji, przeczytała o wstrząsających szczegółach brutalnych zabaw ostrym myśliwskim nożem, w których lubował

się Bill Bantling, z twarzą ukrytą pod gumową maską klauna. Nie tylko trudno jej było czytać te opisy, przyprawiały ją o prawdziwe męczarnie. Po prostu nie mogła zapomnieć o wszystkich niewyobrażalnych urazach... I świetnie wiedziała, że C.J. będzie się z nimi zmagać do końca życia, zarówno fizycznymi, jak i psychicznymi. Żadna kobieta by się z nich nie uleczyła.

Dlatego nie winała koleżanki za to, co czuła, lecz jej sumienie w żaden sposób nie pozwalało usprawiedliwić działań C.J. Dlaczego? Czemu tak trudno było jej przyjąć do wiadomości, iż rzeczywiście lepiej będzie na zawsze wpakować Bantlinga za kratki, nawet jeśli formalnie został skazany za nie swoje zbrodnie? Dlaczego jej kapryśne sumienie natychmiast zaczynało wrzeszczeć i wierzczać na samo wspomnienie takiego rozwiązania, milczało zaś uparcie, kiedy logika nasuwała nieodparty wniosek, że Bill znowu zacznie gwałcić, jeśli kiedykolwiek odzyska wolność?

Nie miała co do tego nawet cienia wątpliwości. C.J. miała absolutną rację. William Bantling był groźnym drapieznikiem. Kiedy już ujawnił przed nią swoją bulwersującą przeszłość, a ona pojęła w końcu jego prawdziwą naturę, w ogóle przestał się z nią liczyć.

Natychmiast zrozumiała, że tylko pozorował przyjaźń, bo zależało mu wyłącznie na jej fachowej

pomocy. Niemniej zgodziła się go reprezentować. Zgodziła się w pełni wykorzystać swoją wiedzę i doświadczenie, aby bronić go w sądzie. Teraz już wiedziała, że to był jej największy błąd. Tylko przez to sumienie nie dawało jej spokoju. I przez to musiała uciekać z Miami.

Wiedziała też, jak powinna postąpić. Nie było czasu do stracenia. Pod żadnym względem nie mogła dopuścić, żeby Bantling został uśmiercony przez jej brak kompetencji.

Nawet najwięksi zbrodniarze mieli prawo do uczciwej obrony, była to jedna z zasad leżących u podstaw wymiaru sprawiedliwości. Gdyby to ona któregoś dnia stanęła przed sądem, po swoim adwokacie oczekiwałaby pełnego zaangażowania. Istniał jednak powód, dla którego celowo zrezygnowała z rzetelnej obrony Bantlinga. W zamyśleniu zaczęła obracać w palcach kasetę magnetofonową, opisaną na pudełku: *911 – 19.09.2000, godz. 20.12*. Była to kopia nagrania, którą trzy lata temu dostała z Działu Nagrań Archiwalnych komendy w Miami Beach tuż przed zniszczeniem oryginalnej taśmy. Trzymała ją w górnej szufladzie swojego biurka, żeby stale przypominała jej o porażce. Wraz z przygotowanym pismem wsunęła ją do grubej żółtej koperty wyłożonej folią bąbelkową, zerwała taśmę ochronną i zakleiła kopertę, po czym odłożyła ją do koszyka na pocztę wychodzącą. Zanotowała w myślach, żeby wysłać list w drodze powrotnej z kancelarii do domu.

Rozległ się cichy dźwięk gongu. Zaskoczona podniosła głowę i spojrzała na zegar nad drzwiami. Wskazywał wpół do piątej. Kiedy ten czas minął? – przemknęło jej przez myśl. Za winylowymi paskami wertykalnych żaluzji w oknach widać było jedynie białą zasłonę padającego śniegu. We wczorajszej wieczornej prognozie pogody przestrzegano, żeby się przygotować na najgorsze, lecz ona to oczywiście zlekceważyła. Powinna była wyjść z biura dwie godziny temu, zaraz za C.J., gdyż teraz jazda po zasypanych śniegiem drogach musiała być koszmarem.

I oto o wpół do piątej zjawił się jeszcze potencjalny klient, o którym całkiem zapomniała. Nawet zamieć nie odstraszyła go przed tą wizytą, a ona nawet nie spojrzała wcześniej do terminarza. Szybko pozbierała myśli i z uśmiechem wyszła z biurka, żeby powitać mężczyznę.

– Dzień dobry, pani mecenas. Rety! Nie byłem pewien, czy jeszcze panią tu zastanę przy takiej pogodzie – rzekł z dość silnym południowym akcentem, otrzepując śnieg z ramion. – Ale pomyślałem, że skoro pani do mnie zadzwoniła...

Do diabła. Nie mogła sobie nawet przypomnieć, jak on się nazywa. Unger? Chyba jakoś tak.

– Rzeczywiście zapowiada się paskudna śnieżycza na wieczór, panie...

– Uustal, Al Uustal. Nie pamięta pani? Umawialiśmy się telefonicznie.

Ściągnął grube czarne palto i przewiesił je sobie przez rękę, nie zdjął jednak wełnianego beretu.

Lourdes pokiwała głową.

– Tak. Proszę wybaczyć, panie Uustal. Wszystko przez tę pogodę... – Wyjrzała jeszcze raz przez okno i dopiero teraz dostrzegła, że wiatr nawiał wysoką zaspę sięgającą niemal parapetu jej okna, a ulica

wygląda na wymarłą, nie ma nawet samochodów parkujących zwykle na wprost budynku. – Sama jestem zdziwiona, że zdołał się pan tu jakoś dostać.

– Och, przecież nie mogłem zlekceważyć tego spotkania.

Wskazała mu krzesło, obeszła biurko, usiadła z powrotem w fotelu i przysunęła sobie notatnik. Skoro już się zjawił, nie mogła go odesłać z kwitkiem.

– Załatwiałam dziś po południu bardzo ważne sprawy i straciłam poczucie czasu.

Proszę mi wybaczyć, że nie przygotowałam się należycie.

– Ależ rozumiem. Nic się nie stało.

– A zatem... – Odzyskawszy wreszcie pewność siebie, z szerszym uśmiechem popatrzyła na mężczyznę znad krawędzi okularów. – Porozmawiajmy o tym, co pana do mnie sprowadza.

– No cóż, to chyba oczywiste. Muszę skorzystać z pani usług, ponieważ...

Przepraszam, trudno mi jeszcze o tym mówić. – Rozejrzał się nerwowo po pokoju, po czym wychylił na krzesło w jej kierunku i zapytał z przejęciem: – Czy to, co pani powiem... może pani powiedzieć komuś innemu?

– Nie, panie Uustal. Wszystko, co zostanie powiedziane między nami, jest objęte tajemnicą zawodową, której nie mam prawa nikomu ujawnić. Obowiązkiem dochowania tajemnicy jest także objęty cały personel pomocniczy kancelarii. Ale w tej chwili jesteśmy sami i może pan mówić bez obaw.

Pokiwał głową i wyprostował się.

– Doszło do morderstwa. Ta dziewczyna...

– Och, proszę wybaczyć, że panu przerywam, ale nie zajmuję się sprawami kryminalnymi. Kiedyś się nimi zajmowałam, lecz... musiałam zrezygnować. Najpoważniejsze wykroczenia w tym zakresie, jakimi się jeszcze zajmuję, to prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu. – Zaczęła przesuwac notes po biurku, chcąc zająć czymś ręce. – Obecnie prowadzę niemal wyłącznie sprawy dotyczące uszkodzeń ciała. Mogę panu jednak polecić innego adwokata, doświadczonego w sprawach kryminalnych.

Zasepił się i zaczął gładzić palcami wąsy. Beret nasunięty głęboko na czoło i lustrzane szkła ciemnych okularów skutecznie maskowały wyraz jego oczu.

– Prawdę mówiąc, nawet nie jestem pewien, czy potrzebuję adwokata – rzekł z ociąganiem. – Bo... do tego morderstwa jeszcze nie doszło, ale...

Lourdes powstrzymała go, unosząc rękę.

– Przepęstwa, które jeszcze nie zostały popełnione, nie są objęte tajemnicą zawodową, panie Uustal. Zanim pan powie coś więcej, muszę ostrzec, że jeśli poinformuje mnie pan o jakiegokolwiek planowanej zbrodni, będę musiała przekazać te informacje odpowiednim władzom.

Nagle dopadło ją dziwne, niepokojące przeczucie. Zerkając ponad ramieniem klienta, spostrzegła, że szyba we frontowym oknie jest prawie cała oblepiona marznącym śniegiem niesionym przez coraz silniejszy wiatr. Zaczynało się dopiero ściemniać, ale przez śnieżycę można było odnieść wrażenie, że światło dnia całkiem już zgasło.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza i Rubio uzmysłowiła sobie wreszcie, kim jest ten mężczyzna i co go tutaj sprowadza.

Kiedy opuścił rękę i ujrzała jego usta wyginające się w coraz szerszym uśmiechu, mimo wąsów rozpoznała go natychmiast.

– O to ani trochę nie muszę się martwić – powiedział, wstając. Spod poły rozpiętej marynarki wyciągnął długi nóż o dziwacznym wyglądzie. – Nie sądzę, aby moja adwokatka mogła jeszcze komuś coś powiedzieć po tych zajęciach – dodał głośnym szeptem, obchodząc biurko.

Przez śnieżycę nie dało się spostrzec, że słońce skryło się właśnie za szczytami pobliskich gór.

Przyglądał się, jak bezskutecznie próbuje zaczerpnąć powietrza, zaciskając dłonie na krtani, jak wybałuszonymi oczami wpatruje się w niego, bezgłośnie go błagając – właśnie jego, człowieka, który poderznął jej gardło – o pomoc. Przyglądał się temu w spokoju.

Przekonał się już, że to najbardziej fascynująca część umierania. Uwielbiał

obserwować, jak nadchodzi śmierć. U każdego przebiegało to inaczej. Niektórzy byli spokojni, jakby oddało im się przysługę, kończąc ich życie nieco wcześniej, niż to sobie zaplanowali. Inni przyjmowali to spokojnie, jak gdyby jakakolwiek inna reakcja uwłaczała ich godności. Jeszcze inni po prostu wpadali w szal, wierzgali i młócili rękoma na oślep, zbierając w sobie resztki sił. Podejrzewał, iż ci świetnie wiedzieli, że mają już przesrane, ale nie mogli się z tym pogodzić, zostawiali jakieś niedokończone sprawy, nie byli gotowi rozstać się z doczesnym życiem i stanąć przed Stwórcą.

Nawet nie próbował nikogo z nich oszukiwać, że to jeszcze nie koniec, że stanie się jakiś cud i będą żyć dalej. Jego zdaniem byłoby to nie w porządku, gdyby zaszczepiał im złudne przeświadczenie, iż tylko na krótko zamkną oczy, a potem ockną się w szpitalu z pełną świadomością, jak bezcenne jest życie. Nie chciał nikomu zadawać śmierci pod fałszywym pretekstem. Dlatego przez te wszystkie lata otwarcie mówił swoim ofiarom, że wkrótce umrą.

Wierzącym chciał dać okazję do ostatniej modlitwy, a niewierzącym przynajmniej trochę czasu do refleksji i możliwość nawrócenia się na wiarę.

Niesamowite było to poczucie nieograniczonej władzy nad życiem. Podejrzewał, że jest ono przynależne każdemu człowiekowi, tylko niewielu ma odwagę je wykorzystywać.

Brał czyjeś życie w swoje ręce i był władny podjąć ostateczną decyzję. Pod każdym względem ostateczną. Tylko od niego zależało, czy ktoś wróci do domu, do swoich bliskich, czy już na zawsze zamknie oczy.

Odkrył tę moc, owo cudowne przeżycie zadawania śmierci, kiedy przydarzyło mu się to po raz pierwszy, niemalże przypadkiem. Jego pistolet wypalił i w piersi stojącego na wprost człowieka powstała dziurka wielkości dziesięciocentówki. Patrzył wtedy z niedowierzaniem, jak ten człowiek – a właściwie chłopak, mający zaledwie siedemnaście czy osiemnaście lat – z trudem utrzymuje równowagę po tym, jak siła uderzenia pocisku w pierś pchnęła go do tyłu. Widać było, że chłopak w pierwszej chwili nawet nie poczuł trafienia.

Zaskoczony, zmarszczył brwi w przyływie złości i zrobił parę kroków, jakby chciał się na niego rzucić. Ale ciało szybko odmówiło mu posłuszeństwa, przystanął i osunął się na kolana.

Dopiero wtedy, unosząc obie ręce do piersi, wrzasnął: „Kurwa mać!”. Zakasłał, potem chrapliwie zaczerpnął powietrza i dodał błagalnym tonem: „Coś ty zrobił, chłopie?! Wezwij kogoś!”. Dalsze słowa uwięzły mu w gardle.

Ale on tylko się przyglądał, niemal zahipnotyzowany, niczym nędzny łotrzyk w tandetnym dramacie, jak ten klęczący przed nim łajdak – który przecież zabiłby go bez mrugnięcia okiem, gdyby tylko miał ku temu okazję – błaga o pomoc. Dopiero po jakimś czasie rzekł: „Chyba zaraz umrzesz”. Wtedy też po raz pierwszy ujrzał na własne oczy tę bezsensowną szarpaninę, wierzganie nogami i młócenie rękoma, jakby umierający człowiek usiłował się bronić przed spotkaniem z Bogiem, który z pewnością będzie nim co najmniej rozczarowany.

Wtedy w myślach określił siebie mianem potwora. Był przerażony tym, co zrobił, a chyba jeszcze bardziej tym, czego nie zrobił. W zakłopotanie wprawiały go doznania, jakie obudził w nim widok konającego człowieka, zwłaszcza to niezwykle podniecenie mające wręcz erotyczny charakter. Ale zaraz zjawili się koledzy, zaczęli poklepywać go po plecach i gratulować, pakując zabitego do czarnego plastikowego worka. Z ich punktu widzenia chłopak był wrogiem, jemu przypadła więc w udziale rola bohatera, który zrobił to, co do niego należało, to znaczy unieszkodliwił chłopaka. W końcu szkolono ich, że nie ma niczego złego w zabijaniu niektórych ludzi, oczywiście tych złych. W rzeczywistości tego po nich oczekiwano.

Tamten dzień odmienił go na zawsze, poruszył w jego duszy coś, co zapewne od dzieciństwa tylko czekało na taką okazję. Niczym jakiś baśniowy wampir stał się uzależniony od śmierci, od tego podniecenia, świadomości władzy spoczywającej w jego rękach.

Zastanawiał się przez lata, czy nie jest to objaw szaleństwa, ale coś mu podpowiadało, że nie.

Przecież wystarczyło tylko zajrzeć do porannych gazet, żeby zyskać dowód, że są inni podobni do niego, zarówno w tym kraju, jak i na całym świecie. I jak wszystkim nałogowcom ta świadomość przynosiła mu ulgę. Aż w końcu postanowił wyruszyć na tę dziwną krucjatę, by odszukać sobie podobnych.

Skapująca krew wsiąkała w dywan jak w gąbkę, tworzyła coraz większą kałużę.

Obszedł ją ostrożnie, okrążył biurko i zajrzał do koszyka stojącego w przeciwległym rogu. Na wierzchu leżała pękata żółta koperta, już zaadresowana i z naklejonym znaczkiem, gotowa do wysłania do „Sz. P. Mec. Neila Manna” z Coral Gables na Florydzie.

Załatwiła to za mnie, pomyślał, wrzucając list do marynarskiego płóciennego worka.

Zgasił światło w kancelarii i zamknął żaluzje. Zarzucił worek na ramię i wyszedł w szalejącą śnieżycę, żeby dokończyć zadanie, które sam sobie wyznaczył.

– No i tak po prostu ta szurnięta dziwka zapragnęła, żebyśmy znów byli razem.

Jeszcze niedawno chciała sobie usmażyć moje jaja na śniadanie, kiedy mnie przyłapała na rozmowie z tamami z Walgreens. „Wszystko widziałam!” – wykrzyczała mi wtedy prosto w twarz. A teraz chce za mnie wyjść i mieć ze mną dzieci. Dasz wiarę w takie bzdety? – Manny ziewnął i zaciągnął się dymem z papierosa. – W ogóle nie powinienem zaglądać na to świąteczne przyjęcie w prokuraturze. Dałem się omamić, Dom, i coraz bardziej tracę głowę.

Wystarczyło parę drinków, trochę wspomnień z dawnych dobrych czasów i wspólna noc, żeby już zaczęła przeglądać oferty tanich mieszkań do wynajęcia.

– Odebrałeś lojalne ostrzeżenie, kolego – mruknął Dominick, który miał złudną nadzieję, że pięciogodzinna podróż do Raiford upłynie w ciszy i spokoju, gdyż chciał ją wykorzystać na przemyślenie tego, co usłyszał od C.J., a może jeszcze bardziej tego, czego nie powiedziała. Manny uparł się jednak, że pojedzie z nim, przez co musiał wysłuchiwać jego paplaniny na zmianę z głośnym chrapaniem. Ale teraz dochodził do wniosku, że wcale nie była to zła odmiana. Bał się, że zbyt wiele myślenia o tym, co zamierzał zrobić, tylko pogłębi rozterki. A przecież powinien zachować spokój.

– To prawda. Mecenasa mnie uprzedzała. Powinienem posłuchać, bo nikt inny nie zna tak dobrze jej szurniętej sekretarki.

Misiek umilkł na dłużej. Wszyscy w specjalnym zespole dochodzeniowym wiedzieli, że C.J. wzięła bezterminowy urlop i wyjechała z Miami. Nie potrzeba geniusza, żeby wysnuć wniosek, że skoro on nadal przychodzi codziennie do pracy, zostawiła również jego.

Większość kolegów nie poruszała tego tematu, zostawiając mu swobodę lizania własnych ran w samotności. Ale nie Manny, który poczuł się zobligowany do czegoś całkiem przeciwnego.

Miał wystarczająco duże doświadczenie w podobnych sytuacjach i świetnie wiedział, iż Dominickowi potrzeba teraz głównie dobrego przyjaciela, trochę rozrywki, no a przede wszystkim sporo drinków, żeby w ciągu paru tygodni wrócił do siebie i mógł znowu wsiąść na konia. Zupełnie nie w porę wybierali się teraz z wizytą do celi śmierci, by przesłuchać maniaka seryjnego mordercę, który zeznał podczas rozprawy, że przed laty brutalnie zgwałcił jego niedawną narzeczoną. Dlatego Manny błyskawicznie podjął decyzję, że będzie towarzyszył przyjacielowi w tej podróży, gdy tylko usłyszał, że Dom umawia się telefonicznie z naczelnikiem więzienia.

– Wszystko w porządku, Miśku – odezwał się Dominick, uznawszy, że napięta cisza przeciąga się wyraźnie za długo. – Mogę swobodnie o niej rozmawiać. Jestem już dużym chłopcem.

– Ach, te kobiety, Dommy. Każdy jest przy nich jak dziecko. Tylko pomyśl, poznałem wariatkę, która na siłę chce być panią Alvarez numer cztery, i wbrew wszystkiemu zaczynam się nad tym poważnie zastanawiać. Bo i co mógłbym jej powiedzieć? Jest taka urocza i kusząca... Wystarczy, że spojrzy na mnie tymi swoimi ślicznymi oczkami i zakręci tyłeczkiem, a już tracę głowę. Z każdą tak jest.

– Mówimy teraz o moich kłopotach czy o twoich?

– Chcę ci dać do zrozumienia, że nie jesteś sam. Każdy z nas kiedyś boleśnie przeżył rozstanie.

Dominick miał na koncie dopiero drugie. Spoglądając na sosnowe lasy, wśród których biegła autostrada, tworzące zwartą masę zieleni przerywaną tylko od czasu do czasu kolorową tablicą motelu, restauracji czy stacji benzynowej, wrócił myślami do Natalie, swojej pierwszej narzeczonej i pierwszej wielkiej miłości. Niewiele było mu trzeba, żeby przywołać z pamięci jej proste, matowe, bardzo długie ciemnoblonde włosy i prawie dokładnie tego samego koloru oczu, które zawsze zdawały się do niego uśmiechać, nawet jeśli wargi pozostawały zaciśnięte w wyrazie powagi. I wciąż miał w uszach jej głos. „Siedmioro idealnych kandydatów! Piszą w «Cosmo», że każdy człowiek ma na tym świecie siedmioro idealnych kandydatów na życiowego partnera, musi ich tylko odszukać”. Pocałowała go wtedy, zaśmiała się i dodała:

„Powinnam dziękować Bogu, że nie jesteś Chińczykiem!”.

Miał wrażenie, że od jej śmierci upłynęła już cała wieczność. Myślał wówczas, że absolutnie nic nie zdoła uwolnić go od cierpienia, od fizycznego bólu, jaki go ogarnął, gdy w jego ramionach wydała ostatnie tchnienie na szpitalnym łóżku. Modlił się jeszcze, by pocisk, który roztrzaskał jej czaszkę, pozostawił w mózgu przynajmniej jakąś część Natalie. Lecz już ani razu nie dojrzał uśmiechu w jej oczach, a po trzech dniach mógł ją tylko przytulić do siebie, gdy lekarze podjęli decyzję o odłączeniu aparatury podtrzymującej życie, ponieważ tylko to już pozostało do zrobienia. Przyglądał się bezradnie, jak jej pierś przestaje unosić się i opadać, a życie odpływa z ostatnim tchnieniem. Wytropił później te zwierzęta, które strzeliły jej w głowę na parkingu przed supermarketem, kiedy nie dość raźno zareagowała na ich żądanie oddania pieniędzy. Aż trzech kolegów musiało go trzymać, a czwarty wyjmował

mu pistolet z ręki, by nie doszło do podwójnego zabójstwa aresztowanych rabusiów na korytarzu przed dyżurką okręgowej komendy policji w Miami.

Siedem idealnych kandydatek. Z jego punktu widzenia pozostałych sześć równie dobrze mogło mieszkać w Chinach, ponieważ poprzysiągł sobie, że już nigdy nie będzie się rozglądał za inną kobietą i z żadną nie będzie tak blisko. Wszystko się zmieniło, gdy poznał

C.J. Townsend, zastępcę prokuratora stanowego – mądrą, zabawną i bardzo skuteczną w sądzie, do tego odznaczającą się nieprzeciętną urodą, którą najwyraźniej próbowała ukryć przed całym światem. Ale nawet włosy celowo ufarbowane na buro, ciemne okulary i tradycyjne czarne garsonki nie mogły tego ukryć.

Nie zależało mu na tej znajomości, odrzucał sam pomysł bliższego związku z jakąkolwiek kobietą, zanim jeszcze ją lepiej poznał. Ale C.J. interesowała go bardziej niż wszystkie napotkane dotąd kobiety i dlatego postanowił rozwikłać jej tajemnicę. Zapragnął

zdołać jej zaufanie, żeby naprawić ten problem, który rzutował na jej życie. Nie odczuwał

niczego podobnego od czasu śmierci Natalie. I zanim zdążył się pohamować, nawiązał się między nimi romans. Nawet gdy C.J. próbowała z nim zerwać, nie pozwalał jej na to, gdyż podświadomie przeczuwał, że obojgu im zależy na tym związku. I szybko zrozumiał, że się w niej zakochał.

Teraz zaś powróciło nieznośne cierpienie. Tym razem nieco innego rodzaju, bo C.J.

nie umarła. Rolę pocisku, który rozszarpał mózg Natalie, w tym wypadku zajął nóż myśliwski bandyty, ale jego właściciel tak samo skutecznie zniszczył część osobowości C.J.

Dziwnym zrzędzeniem losu dla niego historia powtarzała się niemal dokładnie. Po upływie dziewięciu lat znów rozpoczynał polowanie na zwierzę, które za to odpowiadało. Jak tym razem miało się to skończyć? Wyciągnął wnioski z tamtej nauki i gotów był pociągnąć za spust, nim strażnicy go obezwładnią i powalą na ziemię? Chyba faktycznie dobrze się złożyło, że Manny zechciał pojechać razem z nim. Dominick musiał bowiem szczerze przyznać, że nie ma pojęcia, co robi, kiedy stanie twarzą w twarz z człowiekiem, który przyznał, iż zgwałcił C.J. i pozostawił związaną, żeby wykrwawiła się na śmierć. Pragnął

uzyskać od niego parę wyjaśnień, ale poza tym niczego nie był pewien. Nawet tego, do czego jest zdolny.

– Dzięki, że wybrałeś się ze mną, Miśku – mruknął przez zaciśnięte gardło.

– Zawsze możesz na mnie liczyć, *hermano*. Zawsze. Sam chciałbym wiedzieć, co ten świr przed nami ukrywa. – Alvarez opuścił szybę i do auta wpadło powietrze przesycone intensywnym zapachem sosnowej żywicy, nim wypełnił je dym z przypalonego papierosa.

Zjechali z autostrady i ostatnie piętnaście kilometrów pokonali starą szosą numer 16 –

wąską, jednopasmową, biegnącą wśród ubogich wiejskich zabudowań, pastwisk, stajni i niewielkich poletek. Trudno było sobie wyobrazić, że na tym odludziu znajduje się ważne więzienie, a tym bardziej że jest ich aż sześć w promieniu dwudziestu kilometrów. To jedno, które było ich celem, Florydzkie Więzienie Stanowe, wyraźnie różniło się od pozostałych, i to nie tylko ze względu na zaostrome środki bezpieczeństwa. W całkowitym odosobnieniu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przetrzymywano tutaj tysiąc dwustu więźniów, najgorszych przestępców. Wszyscy cierpieli na zaburzenia psychiczne i byli tak agresywni, że nie mogli się nawet kontaktować między sobą. Jedli w samotności i spali w samotności. Na spacery wychodzili tylko co trzeci dzień i byli wypuszczani do indywidualnych zagród mających cztery na cztery metry i poodgradzanych drucianą siatką, zwanych powszechnie psimi wybiegami. Także pod prysznicę prowadzano ich w kajdankach, a do ambulatorium z rękami skutymi łańcuchem i z żelaznymi okowami na nogach.

Więzienie to jeszcze pod jednym względem różniło się od innych: dla czterdziestu czterech więźniów miał to być ostatni przystanek w tym życiu. W podziemiach skrzydła Q

znajdowała się sekcja straceń, z jedynym na Florydzie krzesłem elektrycznym oraz wydzieloną salą do zastrzyków z trucizny.

– Kto chciałby tu mieszkać, do cholery? – zapytał Manny, odprowadzając spojrzeniem świeżo wybudowany dom z czerwonej cegły.

– Strażnicy więzienni. Nie sądzisz chyba, że mają ochotę również nocować w tym ogrodzie zoologicznym, w którym pracują – odparł Dominick.

Wyjechali z sosnowego lasu na rozległą przestrzeń celowo pozbawioną wszelkiej roślinności. Droga skręciła w lewo, na szczyt płaskiego wzniesienia, zza którego wyłonił się rozległy trzypiętrowy budynek. Minęli trzy wielkie tablice ostrzegawcze i znaleźli się między wysokimi ogrodzeniami z połyskującej srebrzyście drucianej siatki zwieńczonej drutem kolczastym, który ciągnął się na długości ponad kilometra. Wzdłuż drogi stały piętnastometrowe wieże strażnicze z zamontowanymi u podstawy elektronicznymi czujnikami ruchu. Dotarli w końcu pod okazałą kamienną bramę, nad którą wpuszczone w mur zardzewiałe żelazne litery układały się w napis: FLORYDZKIE WIĘZIENIE

STANOWE.

Z głośniczków kilkunastu włączonych krótkofalówek padły chrapliwe komendy:

– Wejście do skrzydła Q! Otworzyć sekcję E!

Z odległości jakichś dwustu metrów do Dominicka i Manny'ego doleciał zgrzyt odsuwającej się kraty na drugim końcu ciasnego betonowego korytarza. Sekcja E była już ostatnią służą na drodze do podziemia skrzydła Q mieszczącego cele śmierci. Równocześnie za nimi zahuczała krata zamykająca wejście do sekcji D, a w radiach strażników zaskrzeczał

głos dyżurnego:

– Wejście do skrzydła Q! Zamknąć sekcję D!

Chwilę później uwagę Dominicka przykuły inne odgłosy: ciężkie stąpania strażnika po betonowej posadzce, brzęk kluczy, a następnie szuranie miękkiego obuwia i podzwanianie żelaznych oków prowadzonego więźnia. Rytmiczny grzechot, przypominający ostrzegawcze sygnały setek jadowitych węży wyposażonych w stalowe grzechotki, stopniowo przybierał na sile z każdym krokiem człowieka. Wreszcie ucichł w odległości nie większej niż trzy metry, po drugiej stronie masywnych żelaznych drzwi na końcu korytarza. Ponownie zabrzęczały klucze na drucianym kółku, zaterkotał dzwonek, szczęknął zamek elektryczny i drzwi zaczęły się odsuwać.

Dominick, który siedział u szczytu niewielkiego stołu konferencyjnego, szybko podniósł głowę. Kilkakrotnie był tu wcześniej i przesłuchiwał więźniów, ale za każdym razem odruchowo wstrzymywał oddech, kiedy drzwi tej sali się odsuwały. Za moment miał

się bowiem przekonać, ile człowieczeństwa te mury wyssały z człowieka i co on zechce teraz ujawnić. A zawsze obserwował przemianę na gorsze. Co więcej, najczęściej po prostu szokującą.

W pierwszej chwili dostrzegł tylko beżowo-brązowe mundury dyżurnego sierżanta i jego kolegów, którzy otaczali ubranego w pomarańczową bluzę skazańca z celi śmierci.

Drzwi zasunęły się i zatrzasnęły z hukiem, a sierżant warknął do mikrofonu krótkofalówki:

– Skrzydło Q, dziesięć dziewięćdziesiąt siedem, sala pułkownikowska. Teren czysty.

Agent Wydziału do Zwalczania Przystępczości nie mógł być w żaden sposób powiązany z ofiarą, oskarżonym bądź świadkiem prowadzonej sprawy. Podobne wypadki bywały przyczyną wewnętrznego śledztwa Biura Nadzoru Dochodzeniowego, odpowiednika policyjnego Wydziału Spraw Wewnętrznych. Toteż wzięwszy pod uwagę bliski związek z C.J., Dominick wiele ryzykował, narażając się na poważne konsekwencje dyscyplinarne. Nie myślał jednak o tym. Bardziej koncentrował się na przyspieszonym biciu swego serca i dławiącej go złości.

Brzęk łańcuchów powoli wlał się do sali, gdy któryś ze strażników pchnął więźnia i mruknął:

– Do środka! Ruszaj się!

Bantling był wyraźnie szczuplejszy niż wtedy, kiedy Dominick widział go po raz ostatni. Ale nawet mimo workowatego więziennego ubrania, pomarańczowej bluzy i granatowych drelichowych spodni, widać było, że dba o swoją kondycję. Mięśnie miał lepiej rozwinięte niż w czasie procesu sądowego. Szpakowate na skroniach blond włosy nosił

gładko zaczesane do tyłu i był starannie ogolony, ale trupio blada, pozbawiona kontaktu ze słońcem skóra twarzy nadawała mu wygląd upiora. Ze znudzoną miną rozejrzał się po sali, jakby nie mógł zrozumieć, z jakiego powodu wyciągnięto go z celi. Ale gdy tylko spostrzegł

Dominicka i Manny'ego, na jego wargach pojawił się ledwie dostrzegalny tajemniczy uśmiezek.

– Dajcie znać, jak skończycie – rzucił ostro dyżurny strażnik, którego plakietka nad kieszonką munduru przedstawiała jako sierżanta Dicka Plemmela. Przy pasie zsuniętym poniżej okazałego brzucha trzymał wielki pęk kluczy. Tłustym paluchem z czarną obwódką pod paznokciem wskazał telefon stojący na stole i dodał: – Będziemy tuż za drzwiami, gdyby sprawiał wam jakieś kłopoty. – Po czym zawrócił i wytoczył się z sali.

– Obrzydliwy spasiony palant. Prawda, agencie Falconetti? – rzekł cicho Bantling i zachichotał, kiedy drzwi zamknęły się za sierżantem. – Próbuje wszystkim wmówić, że naprawdę ma klucze od każdych drzwi w tym więzieniu, że lepiej z nim nie zadzierać, bo równie dobrze może je otwierać, jak zamykać. Według niego to rodzaj wojny psychologicznej. Pięćdziesiąt lat temu pewnie byłaby nawet interesująca, kiedy nie istniały jeszcze komputery i faktycznie trzeba było mieć klucze, żeby otworzyć drzwi, a więc mordercy mieli realne powody, żeby bać się innych więźniów. Ale teraz wszyscy się tylko śmieją z tego pobrzękiwania kluczami, bo doskonale wiedzą, że życie strażników za murami jest jeszcze gorsze niż ich tutaj, w celach.

– Zatem całkiem nieźle się tu żyje, co nie? – odezwał się Misiek, siadając przy stole.

Wyciągnął paczkę papierosów i pchnął ją po blacie w kierunku skazańca. – Może podczas wycieczki zapoznawczej udało ci się nawet zobaczyć swój nowy iskrzący tron?

Bantling całkowicie go zignorował.

– Cóż pana tu sprowadza, agencie Falconetti, w ten piękny... Jaki to dzień dzisiaj?

Aha, środa. Proszę wybaczyć, ale czasami gubię rachubę. Tyle ciekawego się tu dzieje.

– Miałem nadzieję, że sam mi to powiesz – odparł Dominick.

– Ależ nie ma się czego wstydzić. Z własnej woli nie powiedziałbym niczego nawet na torturach. Niemniej... – więzień zawiesił głos i przez chwilę spoglądał to na jednego, to na drugiego – ...sądząc po pańskiej minie, jak również minie pańskiego zwalistego przyjaciela, rzekłbym, że to raczej bardzo poważna sprawa. A biorąc pod uwagę wszystko, co nas łączy, zaryzykowałbym twierdzenie, że przyczyną tej wizyty, agencie Falconetti, jest pańska przyjaciółka.

Dominick pospiesznie odwrócił głowę, próbując za wszelką cenę trzymać nerwy na wodzy. *Nie daj mu się sprowokować. To ty prowadzisz przesłuchanie. Musisz kontrolować wymianę zdań.*

– Więc czym się tu zajmujecie po całych dniach? – zapytał.

– Myśleniem. Jest na to mnóstwo czasu – odparł Bantling. – A jak pan się czuje, znów będąc w centrum zainteresowania? Taki rozgłos... Nawet tu ostatnio nie mówi się o niczym innym.

– Widzę, że czytacie też gazety.

– Chłopcy z góry bardzo entuzjastycznie przyjmują wieści o śmierci kolejnych gliniarzy. A wie pan, co się mówi o dobrych nowinach: rozchodzą się lotem błyskawicy.

Więc ile wskazuje teraz licznik, agencie Falconetti? Nadal czterech? Wygląda na to, że komuś się znudziły wasze obrzydliwe mordy. Powinniście bardziej uważać...

– Lepiej licz się ze słowami – ostrzegł Manny.

– Bo co, detektywie Alvarez? Aresztujesz mnie? Oskarżysz o pogróżki pod adresem funkcjonariusza na służbie? Chyba to raczej mnie jest potrzebna ochrona. Jeśli się nie mylę, ci wszyscy kłamliwi naćpani gliniarze przed śmiercią mieli ze sobą coś wspólnego. To ja ich łączyłem.

– Czyżbyś wiedział coś więcej na temat tych morderstw? – zapytał Manny.

– Coś więcej? Wiem, że ten, który mnie bezprawnie aresztował, zginął pierwszy. I wiem, że sierżant, który próbował go kryć, umarł ostatni. Nie wykluczam, że ci dwaj między nimi byli tylko gratisowymi upominkami od firmy.

– Co wiesz o statuetce z jadeitu przedstawiającej trzy małpki? – wtrącił szybko Dominick.

– Chodzi o moją zawodową opinię dekoratora wnętrz?

– Nie udawaj spryciarza – warknął Manny.

– A na co mogę liczyć, jeśli zdecyduję się mówić? – zapytał Bantling, nie spuszczając wzroku z Dominicka.

– Na lepsze samopoczucie – odparł Misiek i prychnął pogardliwie. – Powiedz, co masz do powiedzenia, to szybciej wrócisz na zajęcia swojej terapii grupowej.

– Nic z tego. I tak się czuję wyśmienicie.

– Chciałbym jednak usłyszeć, co wiesz na temat tej statuetki – powtórzył z naciskiem Dominick. – Trzy małpki z zielonego jadeitu. Pierwsza zasłania łapkami oczy, druga uszy, trzecia pysk.

Przez chwilę trwała cisza, wreszcie na ustach skazańca wykwitł chytry uśmiech.

– Rozumiem więc, że przechodzimy od razu do sedna sprawy, agencie Falconetti.

Naprawdę chodzi o twoją przyjaciółkę, słodziutką Chloe Joannę. Bo chyba nadal jest tylko twoją przyjaciółką, prawda? Nie widzę na twoim palcu ślubnej obrączki.

– Dość tego – syknął Alvarez.

– Nadal podskubujesz jej małego kwiatuszka?

– Kto wysłał jej tę figurkę? – rzekł stanowczo Dominick.

– Coś mi się zdaje, że jednak nie. – Bantling cmoknął z dezaprobatą, odpowiadając na własne pytanie. – Ale mógłbym się założyć, że dalej bardzo ci na tym zależy. Czyżby znalazła sobie innego wielbiciela? Takiego, co przysyła jej prezenty? Pracowita dziewczynka.

– Komu kazałeś jej to wysłać?! – wrzasnął z wściekłością Dominick, zapierając się oburącz o kant stołu.

– Jedno muszę przyznać: jest wyjątkowa, prawda? – dodał półgłosem Bantling, bez mrugnięcia okiem wpatrując się w Dominicka. – Wystarczy raz na nią spojrzeć, na tę niegdyś prześliczną buźkę, żeby już nie móc przestać o niej myśleć. A kiedy się ją posiadzie... Och... –

Lubieżnie oblizał wargi. – To cudowne uczucie.

– Ostrzegałem, żebyś liczył się ze słowami – mruknął Manny.

Jednocześnie Dominick poczuł, że nie da rady zapanować nad rosnącą nienawiścią.

Gdyby nie musiał zostawić kabury z bronią przed wejściem do więzienia, teraz zastrzeliłby tego łajdaka jak psa. Poderwał się z miejsca i huknął skazańca pięścią w szczękę, pragnąc zamknąć mu usta.

– Dom! Nie! Na miłość boską!... Coś ty zrobił, do jasnej cholery?!

Manny także się poderwał, przewracając krzesło, chwycił przyjaciela od tyłu i odciągnął go od stołu.

Bantling jak kłoda zwałił się twarzą w dół na podłogę. Z nosa i rozciętej wargi pociekła mu krew. Podzwaniając łańcuchami, próbował się podnieść. W korytarzu rozległy się szybkie kroki, szczęknął elektryczny zamek drzwi. Nie ulegało wątpliwości, że strażnicy wszystko widzieli, obserwując na monitorze obraz z umieszczonej pod sufitem kamery wideo.

– Ty pieprzony świrze! – wrzasnął Dominick, szarpnąwszy się w stalowym uścisku Alvareza.

Bantling splunął krwią na posadzkę i zapytał:

– Naprawdę to cię tak martwi, agencie Falconetti?

Drzwi się otworzyły i stanął w nich sierżant.

– Co tu się stało, do diabła?! – zapytał ostro, po czym zwrócił się do skazańca: – Coś ty zrobił?!

– Mogę się założyć, że wiem, co ci nie daje spokoju – odezwał się Bantling, nie zwracając na niego uwagi. – To cholerne przeczucie, które dopada cię każdej nocy, prawda?

Myśl, że gdy się z nią pieprzysz, ona wciąż ma przed oczami moją twarz. Za każdym razem.

Właśnie tego tak strasznie nienawidzisz, prawda?

– Zabrać go z powrotem do celi! Natychmiast! – warknął Plemmel do swoich podwładnych stłoczonych za jego plecami.

Bantling otarł usta rękawem pomarańczowej bluzy, popatrzył na krwawe ślady na swojej dłoni oraz tkaninie, wreszcie podniósł wzrok na kamerę wideo w kącie sali i uśmiechnął się szeroko.

– Mam wrażenie, że niedługo znów się wszyscy zobaczymy – rzekł, gdy dwóch strażników zaczęło go ciągnąć do wyjścia. – Sierżancie, coś mi się zdaje, że mam złamany nos. Proszę zachować taśmę z nagraniem z tej kamery. To bardzo ważne.

– Jazda stąd, dupku! – warknął Plemmel, wychodząc za nim na korytarz.

– Powinienem był go zabić – syknął Dominick. – Jak mi Bóg miły...

– Uspokój się, Dom. Ochłoń wreszcie, człowieku – mruknął Manny, nie wypuszczając przyjaciela z niedźwiedziego uścisku. – Ten gnój nie jest wart dyscyplinarnego zwolnienia ze służby.

– Niech pan pozdrowi ode mnie Chloe, agencji Falconetti! – zawołał z korytarza Bantling, niemal wleczony przez strażników z powrotem do celi. – I proszę jej koniecznie przekazać, że niedługo się zobaczymy. Naprawdę niedługo!

Jego ironiczny śmiech zagłuszyły przekazywane przez krótkofalówkę komendy:

– Otwierać!

A chwilę później:

– Zamykać!

Zaterkotał dzwonek, masywne żelazne drzwi potoczyły się z hurgotem po szynie i zatrzasnęły z głuchym łoskotem.

Nie mógł opanować szerokiego uśmiechu. Po prostu promieniał z radości, choć miał rozkwaszony nos i ułamany jeden ząb. Nie przestał się uśmiechać nawet wtedy, gdy zdenerwowany student dentystyki wyrwał mu go do reszty, zanim jeszcze podzielał znieczulający zastrzyk z nowokainy.

Powinien być raczej wściekły, wzięwszy pod uwagę najnowsze odkrycia. Na jego nieszczęście perfidny scenariusz coraz bardziej nabierał cech realności. Przed trzema laty został wrobiony celowo i świadomie, od początku nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

W miarę upływu dni, potem miesięcy i lat w tym prawdziwym piekle nabierał przekonania, że wie już dokładnie wszystko. Teraz jednak uświadamiał sobie, że najwyraźniej przeoczył kilka fragmentów tej układanki.

Tamtego wieczoru ktoś musiał podrzucić te przeklęte zwłoki do bagażnika jego samochodu, zanim policja – czy to przez przypadek, czy w równie zbrodniczych zamiarach –

zatrzymała go na trasie. Od tego momentu sprawy wzięła w swoje ręce kobieta, którą powinien zabić piętnaście lat temu. Gdy tylko znalazł się w jej władaniu, zaczęła tak sterować całym systemem, a więc sędzią, przysięgłymi, oficerami śledczymi, a nawet jego całkiem bezużyteczną adwokatką, że udało jej się wysłać go do celi śmierci, gdzie mógł już tylko odliczać swe ostatnie dni.

Początkowo nie potrafił pojąć, jak zwłoki dziewczyny mogły się znaleźć w bagażniku jaguara. Lecz gdy tylko ogolono mu głowę do gołej skóry i dopasowano więzienny strój, uczynny strażnik podsunął mu gazetę z poprzedniego dnia z jej wielkim zdjęciem na pierwszej stronie. Ta sama C.J. Townsend była wyprowadzana przez gromadę policjantów z gabinetu jego psychoanalityka do karetki. W napięciu przeczytał artykuł mówiący o tym, jak sławna oskarżycielka w sprawie Kupidyna samaomal nie padła ofiarą brutalnego naśladowcy seryjnego zabójcy. I to tutaj, w Miami. W gabinecie swojego psychoanalityka. Dzięki Bogu zdołała zabić bezwzględnego łotra, zanim stała się pierwszą z całego szeregu jego przyszlých ofiar.

Przynajmniej tak opisywali to dziennikarze. Ale tak samo oceniła sprawę policja i wymiar sprawiedliwości. Doktora Gregory'ego Chambersa powszechnie uznano za szaleńca ogarniętego obsesją na punkcie swojej koleżanki i pacjentki, C.J. Townsend, podczas gdy prawdziwy Kupidyn, czyli William Rupert Bantling, już od pewnego czasu przebywał w więzieniu i czekał w celi śmierci na swoją kolej. *Hura, bogobojni obywatele! O włos uniknęliśmy właśnie kolejnego wstrząsu!*

Wtedy domyślił się prawdy, podobnie jak ta cholerna suka. Próbował dowodzić swojej niewinności, kiedy ciągnano go jeszcze po sądach pod zarzutem zamordowania innych kobiet, o których nic przecież nie wiedział. Tyle że nikt nie chciał go słuchać, bo był już skazańcem.

Nikt nawet nie zamierzał słuchać, skoro ona o wszystko się zatroszczyła. Zabiła Cham bersa, a martwi przecież nie mogą zeznawać. Zresztą nic nie mogło już odmienić tego, że świeże zwłoki

odkryto w bagażniku jego auta, przypuszczalne narzędzia zbrodni w jego domu, a kolekcję serc wyciętych z ofiar Kupidyna w przyczepie mieszkalnej jego zmarłej krewnej, co przyczyniło się do skazania go za morderstwo ostatniej dziewczyny. Z jakichś popieprzonych przyczyn formalnych nie miało już żadnego znaczenia, że to poczciwy doktorek był

prawdziwym Kupidynem i to on, jak łatwo się domyślić, wybrał jednego ze swoich pacjentów, żeby odpowiedział za jego zbrodnie. Chambers specjalnie uknuł ten spisek, żeby z radością obserwować, jak ta suka rozprawia się ze swoim gwałcicielem, jak wysuwa szpony i szykuje się do ataku. Jej zwycięstwo na sali sądowej zostało wykorzystane przeciwko niemu w czasie następnej rozprawy, a więc stało się przysłowiowym gwoździem do trumny.

Teraz jednak – dzięki temu, że najbardziej bezużyteczna adwokatka świata w końcu zmieniła zdanie, deklarując otwarcie swoją sympatię w dwustronicowym liście, który dostarczono mu do celi – miał już niezbitą pewność, że to nie przypadek zrządził, iż nadgorliwy policyjny żółtodziób tamtej nocy zatrzymał właśnie jego. A dzięki wizycie Falconettiego wiedział też, że jest jeszcze ktoś poza zmarłym poczciwym doktorkiem, komu bardzo zależy, by właśnie ta informacja nie ujrzała światła dziennego. Jest jeszcze ktoś poza słodką Chloe Joanną, kogo bardzo uradowałaby jego śmierć za zbrodnie, których nie popełnił.

W dodatku wiedział też dlaczego.

Wszystko układało się w logiczną całość. I prawdę powiedziawszy, było dość proste.

„Nic nie słyszę, nic nie widzę, nic nie mówię”. Musiał przyznać, że to bardzo sprytne przesłanie. Jak gdyby zwiędły, lakoniczny telegram przesłany jej do rąk własnych. Jawne ostrzeżenie. Oto co czeka chętnych do zeznawania świadków oraz kłamców.

Wiedział wreszcie, kto jest tym nowym tajemniczym wielbicielem C.J. Townsend.

Jeśli się nie mylił, pani adwokat miała bardzo istotne powody, żeby się bać. Prawdę mówiąc, powinna być śmiertelnie przerażona.

Już od chwili wyjazdu z Miami doskonale zdawała sobie sprawę, że nie ma dokąd uciec. Mimo to postanowiła spróbować i skierowała się ku tej części Kalifornii, gdzie się wychowywała – pięć tysięcy kilometrów i dwie strefy czasowe od Florydy, gdzie roiło się od obcych ludzi, którzy jak w każdy weekend zapełniali plażę w Santa Monica. Nie chciała wracać do domowych pieleszy, do rodziców i dawnych znajomych z cichych przedmieść Sacramento, gdyż bardziej zależało jej na anonimowości. Potrzebowała otwartej przestrzeni i czasu, żeby pomyśleć, oderwać się od ciągłego napięcia, w jakim upływało jej życie w Miami.

Po raz kolejny sprawy wymykały jej się spod kontroli. Ani trochę nie była już pewna, czy do tego stopnia utraciła zdolność trzeźwej oceny sytuacji, że dostrzega upiory nawet tam, gdzie ich nie ma. Bardzo jej ciążyła świadomość tego, co wiedziała i co zrobiła, toteż poczucie winy, przynajmniej do pewnego stopnia, odbierało jej jasność spojrzenia. Za to innych ludzi, którzy nie mieli pojęcia o jej kłamstwach, fakty skłaniały do całkowicie odmiennych wniosków. W końcu łatwo było o dogodne i wiarygodne wyjaśnienia, które nie obejmowały ani jej, ani Williama Bantlinga. Dlatego uważała, że potrzebny jej dystans, wytchnienie od środowiska stróżów prawa, które nie miało dla niej tajemnic, gdyż znała wystarczająco dużo obrzydliwych szczegółów dotyczących zbrodni, przestępców czy kulawego wymiaru sprawiedliwości, który łatwo wywieść w pole i w którym podstawową rolę odgrywają jawne bądź utajone fundusze. Może faktycznie nie było żadnego związku między zabójstwami gliniarzy a działalnością Kupidyna. Ostatecznie nie miała złudzeń, że nawet za kratkami Bantling musiał słyszeć o sprawie Czarnej Marynarki. Niewykluczone więc, że chcąc ją zwyczajnie nastraszyć, jakimś sposobem zdołał zaaranżować przesłanie statuetki z małpkami na jej służbowy adres. W końcu wcześniej próbował kilka razy, tyle że naczelnik więzienia przechwytywał jego nienawistne listy przesycone żądzą zemsty. Nawet gdyby któryś z nich przedostał się przez sito kontroli i wylądował na jej biurku, opatrzony stemplem PRZESYŁKA Z ZAKŁADU KARNEGO, podarłaby go bez otwierania, i to przez połę żakietu albo bluzki, byle tylko nie dotknąć koperty, którą on miał w swych rękach.

Gdzieś w głębi ducha nawet oczekiwała niespodziewanej wiadomości od niego, ale z pewnością nie takiej, że on wie o jej potajnym spisku z policjantami. Niemniej mógł to być zbieg okoliczności. Zwykły przypadek.

Zdawała sobie sprawę, że zwyczajnie próbuje uciec od rzeczywistości, chowa głowę w miątki i ciepły kalifornijski piasek w nadziei, że jej kłopoty same miną. Oddawała się też marzeniom, przeglądała w prasie ogłoszenia o pracy i oferty mieszkań na sprzedaż, zapoznała się nawet z wymogami przyjęcia do kalifornijskiej palestry adwokackiej. Bardzo tęskniła za Dominickiem, ale nie mogła się zdobyć na to, żeby do niego zadzwonić; ignorowała jego wiadomości nagrane na poczcie głosowej, gdyż bała się, że zechce ją informować o postępach śledztwa w sprawie Czarnej Marynarki i, co gorsza, namawiać żarliwie do powrotu.

Wiedziała, że samo brzmienie jego głosu jeszcze bardziej wszystko jej utrudni. Dlatego wolała pozostać w ukryciu – tutaj, gdzie nie mogła odebrać listu od Bantlinga, gdzie nie rozlegał się sygnał jej przywoływacza, gdzie w środku nocy nie odkrywano kolejnych zwłok, które zawsze jej się śniły po powrocie do domu.

Niemniej już od chwili, gdy tylko wysiadła z samolotu i postawiła stopę na ziemi w Los Angeles, doskonale wiedziała, że nie zostanie tu na zawsze.

Ale na razie siedziała w odrapanym plastikowym foteliku na balkonie pierwszego piętra w hotelu, powoli sącząc wino i zaciągając się dymem z papierosa, i mogła się jeszcze nacieszyć bezmyślnym obserwowaniem ludzi na ulicy i spienionych fal granatowoczarne morza w oddali. Słońce chyliło się ku zachodowi i niebo jak zawsze tonęło w feerii jaskrawych kolorów, od żółtego przez pomarańczowy do purpury, znaczących jego powolne znikanie za horyzontem. Migające lampki diabelskiego młyna przy plaży wyłaniały się z półmroku mola, a dolatujące stamtąd dziecięce śmiechy i okrzyki radości przemieszane z mechaniczną muzyką katarynki brzmiały w jej uszach niczym dźwięki symfonii. Od kilku długich minut o niczym nie myślała, delektowała się jedynie smakiem wina, rześką oceaniczną bryzą oraz tymi odgłosami beztroski.

Chyba pod ich wpływem podjęła niefortunną decyzję, żeby jednak sprawdzić pocztę głosową. Nagrane były trzy wiadomości, dwie od Jerry'ego Tiglera i jedna od Rose Harris, koleżanki z Wydziału Zabójstw, która oskarżała Bantlinga w kolejnych procesach o zabójstwa przypisywane Kupidynowi. Oboje prosili, żeby zadzwoniła do nich jak najszybciej.

I oboje sprawiali wrażenie bardzo zaniepokojonych.

W głębi serca od razu wiedziała, o co, a właściwie o kogo chodzi. Miała ochotę zlekceważyć te wezwania, podjąć wreszcie ostateczną decyzję i urządzić sobie życie od początku tutaj, w Kalifornii, niezależnie od tego, ile ją to będzie kosztowało.

Kiedy wybierała domowy numer Tiglera, już wiedziała, że jej wolny czas się skończył.

Musiała się pożegnać z marzeniami o ucieczce od rzeczywistości.

Miami wzywało ją do domu.

Już po pierwszym sygnale usłyszała na linii matowy, jak zawsze przesycony niepokojem głos prokuratora stanowego. Na Florydzie była już dziesiąta wieczorem. Tigler zwykle spał o tej porze.

- Halo?
- Jerry?
- C.J.! Gdzie ty się podziewasz?
- Jestem zajęta. Odebrałam twoją wiadomość. Co się stało?
- Skąd dzwonicz? Wszyscy przez cały dzień próbowali się z tobą skontaktować.
- Odniosłam wrażenie, że chodzi o coś ważnego.
- Rozmawiałaś już z Rose?
- Nie, najpierw zadzwoniłam do ciebie.
- Musimy cię prosić, żebyś skróciła urlop. Wiem, że przechodzisz ostatnio... no, tego, trudny okres. Naprawdę robię to niechętnie, ale jesteś tu bardzo potrzebna.
- Nie jestem pewna, Jerry, czy uda ci się mnie przekonać do powrotu – odparła z ociąganiem.
- Zaraz zobaczymy. On znów się odwołał do zasady trójek, C.J. Oczywiście mówię o Bantlingu. Kupidyńie. Wniosek wpłynął dziś rano. Rose go odebrała.

Serce zaczęło jej walić jak młot, toteż zakryła mikrofon dłonią i pospiesznie wychyliła resztkę wina z kieliszka. Zasadą trójek powszechnie nazywano poprocesowy wniosek skazanego odnoszący się do punktów 3.850 i 3.851 Florydzkiego Kodeksu Postępowania Karnego. Na tym etapie był to jedyny legalny mechanizm, przynajmniej na poziomie sądownictwa stanowego, który przedłużał nadzieję Bantlinga na to, że zobaczy jeszcze światło słoneczne. Pospiesznie zaczęła w myślach przeliczać lata i miesiące, modląc się, żeby nie zrobić pomyłki.

- Do zasady trójek? Przecież już tego próbował, Jerry. Jego wyrok uprawomocnił się ostatecznie w dwa tysiące drugim roku. Czas minął. Jest za późno, żeby powoływać się na paragraf osiemset pięćdziesiąty pierwszy. Przepisy określają to jednoznacznie.
- Myślisz, że dzwoniłbym do ciebie w środku nocy, gdyby sprawa była aż tak trywialna, C.J.? Rose zna procedury apelacyjne jak własną kieszeń. Uznała jednak, że w tym wypadku możemy mieć poważny problem.
- Jaki znowu problem, do cholery? Ja też dobrze znam procedury apelacyjne, Jerry.

Zatem od strony proceduralnej...

– Bantling twierdzi, że zataiłaś dowody świadczące na jego korzyść. Na tej podstawie podważa zarówno orzeczenie ławy przysięgłych, jak i wyrok.

Żołądek podszedł jej do gardła. Siłąc się na normalny ton, wycedziła:

– Wszyscy tak twierdzą, Jerry. To zwykłe mydlenie oczu. Tego też już próbowałam, kiedy wnioskowałam o powtórny proces, również odwołując się do zasady trójek. I nic mu to nie dało. Moim zdaniem nie ma nic nowego, a już na pewno żadnych dowodów przemawiających na jego korzyść, których wcześniej nie zdołałaby odkryć jego skądinąd doświadczona i znakomita adwokatka.

Zawsze ściśle trzymająca się zasad i przepisów.

– Jego apelację prowadzi teraz Neil Mann. Do wniosku dołączył pismo od Lourdes Rubio, w którym sama się przyznaje, że zataiła ważny dowód rzeczowy przed swoim klientem i że działała w zмовie z tobą. To podobno kasetka z jakimś nagraniem z policyjnej centrali przyjmowania zgłoszeń. Zatem to chyba jednak jest nowy dowód.

Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Miała ochotę cisnąć telefon na ziemię i rzucić się do ucieczki, ale nogi także odmawiały jej posłuszeństwa.

– Będziesz musiała to wyjaśnić, C.J. – ciągnął Tigler. – Sędzia Chaskel chce zorganizować posiedzenie jeszcze w tym tygodniu. Podobno już wyznaczył termin wstępnego spotkania, żeby jak najszybciej się przekonać, czy będzie konieczne posiedzenie z pełną prezentacją dowodów rzeczowych.

– Rose nie mogłaby...

– Nie żartuj. Jeżeli coś pójdzie nie tak, Bantling od razu wyjdzie na wolność.

Wszystkie oskarżenia Rose opierały się na twoich materiałach przygotowanych na podstawie zasady Williama. Wszystko bazuje na twojej pierwszej sprawie. Jeśli proces zostanie unieważniony, późniejsze wyroki także stracą moc prawną.

Nie wspominając już, rzecz jasna, że zbliżały się wybory i gdyby William Bantling –

najbardziej krwiożerczy seryjny zabójca w historii Florydy od czasów Teda Bundy’ego –

wyszedł na wolność, Tigler mógłby się pożegnać ze swoją ciepłą posadką, a także karierą polityczną.

Zasada Williama. Mówiąc najprościej, zabronione było odwoływanie się podczas procesu do wcześniejszych, niezwiązanych ze sprawą przestępstw i wykroczeń oskarżonego, żeby przysięgli nie mogli myśleć, iż „skoro zrobił to raz, musiał też zrobić i drugi”. I choć do szafu doprowadzała C.J. konieczność zbywania milczeniem trzy stronicowego raportu dotyczącego brutalnego gwałtu podczas czyjejs czternastej rozprawy o drobną kradzież, świetnie rozumiała przyczynę wprowadzenia takiego przepisu. Istniał jednak wyjątek od tej żelaznej reguły proceduralnej zwany zasadą Williama. Otóż na Florydzie wcześniejsze przestępstwa i wykroczenia oskarżonego mogły być włączone do materiału dowodowego, jeśli miały posłużyć pełniejszemu zrozumieniu jego charakteru, kierujących

nim pobudek, stanu jego świadomości, motywów i metod działania, sposobności bądź zbrodniczych tendencji w omawianej sprawie.

Pewne szczegóły procesu o morderstwo Anny Prado oraz dowody rzeczowe związane z jej śmiercią zostały na tej podstawie wykorzystane przez Rose Harris w dziesięciu innych rozprawach o zabójstwa Kupidyna. Sposób zadania śmierci ofierze, wycięcie serca z klatki piersiowej, metoda uprowadzenia czy sam dobór przyszłej ofiary były dokładnie takie same w jedenastu rozpatrywanych zabójstwach, toteż sąd dopuścił ich omówienie w ramach przedstawienia sposobu działania oraz podkreślenia charakteru mordercy. W takiej sytuacji przysięgli mogli korzystać z myślowego stereotypu, że skoro zabójca postąpił tak w jednym wypadku, musiał uczynić to samo w innym. Co więcej, w tej sytuacji nawet powinni tak myśleć.

Ale ta drobna luka w przepisach prawa teraz miała stać się przyczyną poważnych kłopotów. Gdyby proces o zabójstwo Anny Prado został unieważniony z tego powodu, że materiał dowodowy zgromadzono niezgodnie z prawem, tym samym zniknęłyby podstawy prawne do wykorzystania tego samego materiału dowodowego oraz szczegółów procesu w późniejszych rozprawach. Zatem automatycznie wyroki orzeczone w tych dziesięciu kolejnych procesach także utraciłyby ważność. Oskarżony zyskałby prawo do ponownego rozpatrzenia wszystkich jedenastu spraw o zabójstwo, a więc wszystko wróciłoby do kwestii legalności jego zatrzymania na moście.

– Jerry, ja... – zająknęła się, spuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Odbicia kolorowych światel obracającego się diabelskiego młyna przesuwwały się falami po szybach aut stojących na parkingu pod balkonem. Przez chwilę przyglądała się ich monotonnej wędrówce, nim wreszcie zdobyła się na odwagę i powiedziała: – Muszę tu zostać. Nie wracam.

– Lepiej zaraz pakuj tyłek do samolotu, C.J., niezależnie od wszystkiego – odparł Jerry Tigler ostro, nawet wrogo. – Ty oskarżałaś w tej sprawie i właśnie ty najbardziej z nas wszystkich powinnaś się obawiać wyjścia tego szaleńca na wolność. Z tego, co przed trzema laty zostało powiedziane na sali sądowej, wynika jasno, że nie ma takiego miejsca na tym bożym świecie, gdzie mogłabyś się przed nim ukryć.

Dominicka ani trochę nie zdziwiło wezwanie do gabinetu Blacka dokładnie tydzień po jego wizycie w Raiford. Spodziewał się go nawet wcześniej. Dowiedział się, że Biuro Nadzoru Dochodzeniowego wszczęło postępowanie na podstawie sformułowanych przez Bantlinga oskarżeń o pobicie i brutalność policji, co było standardową procedurą w takich wypadkach. Mogło potrwać od kilku dni nawet do kilku miesięcy.

– Głowa do góry – podsumował zdawkowo Black, wychodząc razem z nim na korytarz. – A następnym razem rozejrzyj się dokładnie, zanim dasz się komukolwiek sprowokować. – Oczywiście miał na myśli osławione już nagranie z kamery wideo, które wszyscy w siedzibie Wydziału do Zwalczania Przestępczości obejrzeliby co najmniej po kilkanaście razy.

Dominick był wściekły, że stracił wtedy panowanie nad sobą. Groziło mu teraz co najmniej zawieszenie, a może nawet wydalenie ze służby. I przez co? W końcu niczego nie zyskał. Nie zdobył żadnych nowych informacji, ani takich, które mogłyby pomóc C.J., ani związanych ze sprawą Czarnej Marynarki. Tak więc do dotychczasowego zestawu czterech niewyjaśnionych zabójstw, rozdrażnionej opinii publicznej oraz narzeczonej, która chyba narzeczoną już nie była, doszła teraz jeszcze gromadka wściekłych przełożonych. Nie warto było nawet wspominać o nieznośnym bólu głowy, jaki dokuczał mu od paru dni.

Zdziwiło go za to niepomiarne, gdy dwa dni po rozmowie z Blackiem na parkingu przed budynkiem powitał go Mark Gracker z liczną świtą agentów FBI. Kiedy wyciągnęli w jego stronę swoje odznaki, jakby nigdy wcześniej się nie widzieli, omal nie wybuchnął

gromkim śmiechem. Dopiero wtedy Gracker wysunął się przed front swojej gromadki i zapytał oficjalnie:

– Agent Dominick Falconetti?

– Do diabła, co to za przedstawienie, Mark?

– Bądź uprzejmy pojechać z nami – odparł tamten chłodno.

– Czyżbyś wymyślił jakąś nową zwariowaną zabawę? – spytał nieco za głośno Dominick, rozglądając się niepewnie.

Ale Gracker tylko ruchem ręki wskazał otwarte drzwi wielkiej czarnej furgonetki, przed którą stali.

Dominick doszedł do wniosku, że najlepiej będzie go zignorować. Brak opanowania przysporzył mu w ostatnich dniach już wystarczająco dużo kłopotów, a był przekonany, że jeśli zostanie na parkingu choćby minutę dłużej, pucołowaty szef biura federalnego także skończy z rozkwaszonym nosem. Gdyby nie to, że pomysł był całkiem niedorzeczny, drobna zmiana rysów twarzy Grackera wyszłaby mu tylko na dobre. Ruszył więc dalej, chcąc wyminąć niespodziewanych gości, ale Gracker złapał go pod ramię i groźnie warknął:

– Nie udawaj, że nie słyszałeś, Dom. Musisz pojechać z nami. Więc postaraj się nie komplikować bardziej tej sprawy, bo już jest wystarczająco skomplikowana.

Wyszarpnął rękę z jego uścisku.

– Nigdzie z wami nie pojadę. Jak śmiesz naskakiwać na mnie pod moim biurem i kazać mi wsiadać do swego pieprzonego karawanu?! Odwal się, Mark. Mam wystarczająco kiepski dzień bez twojego udziału.

Chciał odejść w bok, ale dwóch agentów błyskawicznie zastąpiło mu drogę. Jednym z nich był Chuck Donofrio, jego stary znajomy, z którym przed laty prowadzili razem dochodzenie w sprawie przemytu narkotyków, kiedy tamten służył jeszcze w komendzie okręgowej. Spojrzał teraz na Dominicka z miną wyrażającą głębokie rozczarowanie, pokręcił

głową i rzekł:

– Dom, nie utrudniaj nam roboty, człowieku.

– Co ty robisz w tej bandzie, Chuck? O co tu chodzi?

Powiódł wzrokiem po twarzach mężczyzn, z którymi wielokrotnie współpracował i którzy kiedyś odnosili się do niego z szacunkiem. Zwrócił uwagę, że stoją na lekko rozstawionych nogach i otaczają go półkolem, zostawiając wolne przejście tylko do otwartych drzwi furgonetki. Wyglądali na gliniarzy, którzy dokonują aresztowania. Zwrócił też uwagę na ich czujne, nieprzyjazne spojrzenia. Role się odwróciły. To jego zamierzali aresztować.

– Pytasz, o co chodzi, dupku? – syknął Gracker z ironicznym uśmiechem, jakby zaskoczenie Dominicka sprawiało mu ogromną satysfakcję. – Mogę ci się wreszcie odpłacić.

Zamierzam właśnie twój kiepski dzień uczynić jeszcze gorszym. Proszę oddać broń i wsiadać do samochodu, agencie Falconetti. Dostałem nakaz twojego aresztowania. Masz prawo zachować milczenie. Resztę powinieneś dobrze znać.

C.J. siedziała w obitym bordowym skajem fotelu za biurkiem – tym samym, w którym miała nadzieję już nigdy nie zasiąść – i wpatrywała się tępo w złożony przez Bantlinga

„Wniosek o poprocesowe ułaskawienie”.

To nie była paranoja. Ani nawet przesadna reakcja. Nie dawały o sobie znać wyrzuty sumienia. Miała przed oczyma element brutalnej rzeczywistości. Na dodatek sędzia spoglądał

na niego życzliwie. I pewnie cały świat. Patrzyła na wniosek, który obudził chęć do życia w znudzonych urzędnikach sądowych. Coś w rodzaju wniosku rozwodowego między Jasiem i Małgosią. Albo pełnej pikantnych szczegółów intercyzy między Carmen Elektrą a Dennisem Rodmanem.

„Wystąpienie-Kompromitujące-Oskarżycielkę-Najgłośniejszej-Sprawy-Kryminalnej-w-Miami”.

Niemalże dało się wyczuć w powietrzu niezdrowe zainteresowanie mediów zrodzone w chwili, gdy tylko posłaniec rzucił na biurko sekretariatu prokuratury wypchaną kopertę, puścił oko do sekretarki i mruknął: „Trzeba się tym natychmiast zaopiekować, bo to wyjątkowa sprawa”.

Jak tylko Neil Mann złożył wniosek w imieniu klienta, prawdopodobnie ktoś z sekretariatu sądowego powiadomił prasę, i to zanim jeszcze zdążył wyschnąć tusz na stemplu.

C.J. zaczęła odbierać telefony od przedstawicieli lokalnych mediów już na pokładzie lądującego samolotu, teraz zaś na brzegu jej biurka stopniowo rosła sterta różowych kartek z wiadomościami. Zdesperowana Marisol zaczęła przebąkiwać na temat możliwości uzyskania zwolnienia lekarskiego, czy to z powodu przemęczenia, czy też zwicnięcia nadgarstka.

Nikt nie musiał specjalnie łamać sobie głowy, by dojść do tych samych wniosków, które przed paroma dniami na plaży odpędzała od siebie, próbując się przekonywać, że to zwykły zbieg okoliczności. OBRONA UTRZYMUJE, ŻE OSKARŻENIE W PROCESIE

KUPIDYNA UKRYWAŁO DOWODY RZECZOWE. POLICJANT Z MIAMI BEACH, KTÓRY JAKOBY SKŁADAŁ FAŁSZYWE ZEZNANIA, PADŁ OFIARĄ CZARNEJ

MARYNARKI! – głosił krzykliwy tytuł otwierający wiadomości lokalne najnowszego wydania „Sun Sentinel”, a pod nim znajdowało się jej zdjęcie sprzed trzech lat, jak wychodziła z gmachu sądu po ogłoszeniu wyroku. Chyba i tak powinna być wdzięczna, że nie umieszczono go na pierwszej stronie. Wolała jednak nie czytać całego artykułu. Bez namysłu wyrzuciła całą gazetę do kosza na śmieci stojącego przy kiosku, zanim jeszcze sprzedawca zdążył jej wydać pięćdziesiąt centów reszty.

Wniosek złożony przez Manna świadczył wyraźnie, że Lourdes rzeczywiście zmieniła diametralnie swój punkt widzenia. W swoim trzystronicowym zeznaniu pisała, że „celowo nie wkładała wszystkich umiejętności w obronę klienta”, w związku z czym była „winna zaniedbania służbowych obowiązków obrońcy procesowego w sprawie zagrożonej karą śmierci”. Utrzymywała, że „niezbyt starannie przesłuchiwała świadków oskarżenia i nie przedstawiła ani świadków, ani dowodów rzeczowych, które z pewnością doprowadziłyby do odrzucenia materiału dowodowego zebranego

przeciwko jej klientowi”, przez co „w rzeczywistości dopuściła się celowego zatajenia przed sądem oraz przed klientem dowodu przesądzającego o jego niewinności”. Oświadczyła ponadto, że skłamała pod przysięgą w ostatniej fazie orzekania winy, kiedy została zapytana przez sędziego, czy prawdziwe są twierdzenia oskarżonego, jakoby przed laty zgwałcił oskarżającą go prokurator. Wreszcie w wielkim finale swego pisma rzucała bombę w postaci znajdującej się w jej posiadaniu kopii nagrania ujawniającego prawdziwy powód zatrzymania jaguara Bantlinga przez policję.

Wyjaśniała przy tym, że funkcjonariusz Victor Chavez złożył fałszywe zeznania co do okoliczności zatrzymania tego pojazdu, gdyż działał na podstawie niepotwierdzonego anonimowego donosu telefonicznego, a nie z powodu naruszenia przez kierowcę przepisów ruchu drogowego. Na dokładkę formułowała oskarżenie pod adresem C.J., twierdząc, że wiedziała ona o istnieniu tego nagrania i świadomie zataiła ten istotny fakt przed obroną, dopuszczając się tym samym przestępstwa znanego jako wykroczenie Brady’ego.

Sprawa przedstawiała się bardzo źle. Jej ojciec powtarzał przy kilku różnych okazjach,

„że nie da się cofnąć dźwięku, kiedy już dzwon zadzwonił”. C.J. nie mogła powiedzieć na swoją obronę niczego, co nie byłoby kłamstwem, mogła jedynie stawiać domek z kart na ruchomych piaskach. Jakie były szanse, że postoi dłużej?

Pukanie do drzwi wyrwało ją z tych ponurych rozważań. Szybko przeciągnęła dłońmi po włosach i wstała zza biurka, zanim odpowiedziała. Ostatnią rzeczą na świecie, jakiej teraz potrzebowała, było kolejne spotkanie z Jerrym Tiglerem, który już trzy razy zaglądał do jej gabinetu, żeby zrobić jej te same kąśliwe uwagi.

– C.J.? Pani mecenas? Jest pani u siebie? – Na szczęście był to Manny Alvarez. – Jeśli jest pani, proszę mnie lepiej wpuścić, zanim wróci sekretarka, bo już nigdy więcej nie będę mógł pani przynieść *cafe con leches*.

Otworzyła drzwi i wpuściła do środka detektywa, jak zwykle zmęczonego i śmierdzącego dymem papierosowym. W jednym ręku trzymał dwa styropianowe kubeczki.

– Proszę. – Wyciągnął rękę w jej kierunku. – Doszedłem do wniosku, że przyda się pani taki zastrzyk. Biorąc pod uwagę, jaki miałem dzisiaj dzień, w ciemno mogę zakładać, że pani miała dużo gorszy.

– Czytałeś gazety?

– Kto ich nie czytał? Moim zdaniem cały cyrk zaczyna się od początku. A szkoda.

Smutno pokiwała głową.

– Jak rozumiem, problem jest poważny – ciągnął, przysuwając sobie jedno z krzeseł

stojących przed biurkiem. – Obrońcy są gotowi powiedzieć wszystko, byle tylko wyciągnąć swojego klienta z krat. Nigdy nie lubiłem tej adwokatki Bantlinga, Rubio. Za bardzo nadęta i poważna. W dodatku umie tylko warczeć na człowieka. I nigdy się nie uśmiechnie, jakby w ogóle tego nie potrafiła.

– Manny... – C.J. pokręciła głową.

– Bez obrazy, pani mecenas, ale to w końcu też ma znaczenie. – W zamyśleniu przeciągnął palcami po wąsach i upił łyk kawy. – Czytałem w „Heraldzie”, co napisała w zeznaniu. Przecież to stek bzdur. Chavez był tępym krawężnikiem. Każdy, kto spędził choć pięć minut w jego towarzystwie, musiał się zastanawiać, czy ktoś taki zdoła trafić do kibla, więc co tu mówić o zorganizowaniu wydziałowego spisku. Ja też byłem tamtej nocy na miejscu zatrzymania i rozmawiałem z tym smarkaczem. Zgrywał ważniaka, ale nic poza tym.

Rubio źle sobie wybrała ofiarę. I jeszcze wciągnęła w to panią. Co chce przez to osiągnąć, do cholery? – Pociągnął jeszcze parę łyków kawy i aż cicho jęknął z rozkoszy. – W każdym razie, pani mecenas, obrońcy procesowi naprawdę są gotowi powiedzieć wszystko, byle tylko wyciągnąć swojego klienta z więzienia. Już dawno się o tym przekonałem w ciągu osiemnastu lat służby.

– Właśnie piszę odpowiedź. Chaskel wyznaczył już na piątek posiedzenie typu przesłuchania Huffa.

– A to co znowu?

– Rodzaj wstępnego przesłuchania, którego celem jest ustalenie, czy wniosek ma wystarczająco mocne podstawy prawne, by wciągnąć sprawę na wokandę. Prawie jak wstępna prezentacja materiału dowodowego.

– Aha. I co to oznacza?

– Nic ciekawego. Ponowne przesłuchiwanie świadków. Bantling będzie musiał

udowodnić twierdzenia zawarte we wniosku, czyli przedstawić ten nowo odkryty dowód rzeczowy i wykazać, że w trakcie powtórnego procesu mógłby on się stać podstawą uniewinnienia.

– Proces będzie powtórzony? – Alvarez wyprostował się na krześle i popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– On na to liczy. To zresztą jedyna legalna forma prawnego zadośćuczynienia.

– Kurwa mać.

– Tym razem ci wybaczam.

– Kurwa mać!

– Lepiej więc, żeby nie doszło do prezentacji tego dowodu, Manny. Trzeba by dowieźć skazańca z Raiford i wtedy dopiero zrobiłby się cyrk. A już gdyby udało mu się przekonać sędziego i doprowadzić do powtórnego procesu... – Urwała i odwróciła głowę, gdyż nawet sama przed sobą nie dopuszczała jeszcze w myślach takiej ewentualności.

– Na pewno musiałby sam odpowiadać? – zapytał Manny, krzywiąc się z niesmakiem.

– Nie dałoby się zorganizować prezentacji dowodu tylko w obecności prawników obu stron?

Pokręciła głową.

– I pani znowu musiałaby prowadzić sprawę? Po tym wszystkim, co wygadywał na panią przed sądem? O tym... no, wie pani... – poruszył się nerwowo na krześle – ...o tej napaści na panią... i w ogóle... To chyba nie w porządku.

– Piłeczka jest po jego stronie. Ja mogę tylko czekać i obserwować, jak Chaskel odbierze to wszystko.

– Kurwa mać. Ten świr jest jak wrzód na dupie, który się ciągle odnawia.

Przez chwilę oboje milczeli, jakby rozmyślali nad tym, co zostało powiedziane.

Wreszcie C.J. odważyła się zadać pytanie, które miała na końcu języka od chwili zejścia z pokładu samolotu. Bo ilekroć rozlegało się pukanie do drzwi jej gabinetu, miała nadzieję, że usłyszy głos Dominicka.

– Jak on się miewa, Manny? Musi być wściekły na całą tę sytuację.

– Nie widziała się z nim pani?

– Nie. – Zawahała się na moment. – Przed wyjazdem schrzałam parę rzeczy. –

Jeszcze raz zawiesiła głos. – On się wyprowadził, a ja... nawet do niego nie zadzwoniłam. A teraz... to on do mnie nie dzwoni.

– Rety... Chwileczkę... – mruknął skonsternowany Misiek, prostując się na krześle.

Zaraz jednak pochylił się znów w stronę biurka i zapytał: – Mam rozumieć, że w ogóle ze sobą nie rozmawiacie? Od kiedy?

Poczuła się zakłopotana. Sądziła, że Dominick powiedział swemu najlepszemu przyjacielowi o ich rozstaniu.

– Mniejsza z tym – odparła. – Przepraszam. Nie chciałam cię wciągać w nasze sprawy.

– Więc pani o niczym nie wie?

Zaskoczona, zmarszczyła brwi, czując szybsze bicie serca.

– O czym miałabym wiedzieć?

– Do diabła, pani mecenas. Myślałem, że pani wie, że kontaktowaliście się telefonicznie... – Nerwowym ruchem przeciągnął dłonią po wygolonej głowie, jakby szukał

właściwych słów. – Dom już nie pracuje nad tą sprawą. W ogóle nie zajmuje się dochodzeniami przez ten sam wrzód na dupie. Federalni aresztowali go za naruszenie praw obywatelskich więźnia. A szef wydziału już w ubiegłym tygodniu zawiesił go w obowiązkach.

Zwolniła na wąskiej osiedlowej uliczce Miami Beach, wypatrzyła wolne miejsce w zatoczce, skręciła w nią i stanęła, niepewna, co dalej robić. Popatrzyła na dawny dom opieki społecznej przerobiony na blok mieszkalny i tandetnie wykończony w stylu art déco. Na zarezerwowanym dla niego miejscu parkingowym nie było służbowego pontiaca grand prix, za to stała tam jego prywatna toyota 4runner, zwykle zaparkowana przy krawężniku na ulicy.

Zatem prawdopodobnie był w domu. Nigdzie się nie ruszał bez pistoletu i bez samochodu.

Mimo kłopotów z najemcami lokali Dominick doszedł do wniosku, że sytuacja na rynku nieruchomości południowej Florydy czyni z tego domu całkiem opłacalną inwestycję.

Wspólnie planowali, że być może po ślubie spieniężą oba mieszkania i kupią na przedmieściach jakiś domek z podwórkiem na tyłach, gdzie mógłby się zmieścić basen kąpielowy. Nie wykluczali, że zaadoptują kilkoro dzieci, żeby stworzyć pełną rodzinę. Teraz okazało się w dodatku, że zapobiegliwość Dominicka miała jeszcze jedną olbrzymią zaletę.

C.J. podniosła głowę i popatrzyła na okna mieszkania na trzecim piętrze. Kiedy wspomniała, ile nocy tam spędziła na początku ich znajomości, aż łzy zakręciły jej się w oczach.

Zazwyczaj o czwartej po południu w środę nie byłoby co liczyć na to, że zastanie się go w domu. Ale teraz sytuacja odbiegała daleko od normy. Uzmysłowiła sobie, że nie wie nawet, co i jak powiedzieć na powitanie. Przyjechała tu przekonana, że tę rozmowę muszą przeprowadzić w cztery oczy, żałowała jednak, że nie odebrał, kiedy chciała telefonicznie uprzedzić o swojej wizycie.

Przeszła przez parking, pchnęła szklane drzwi wahadłowe i wjechała windą na trzecie piętro. Była tu wcześniej setki razy, ale teraz poczuła się dziwnie. Odnosiła wrażenie, że w korytarzu unosi się jakiś dziwny zapach, a chłód bijący od murów jest wręcz odpychający, jakby budynek wyczuwał w niej intruza. Zapukała do drzwi, ale nikt nie odpowiedział, wybrała w aparacie komórkowym jego numer, ale po kilku sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka, którą słyszała świetnie przez drzwi. Przerwała połączenie.

Nie miała ochoty wracać do domu. Sąsiadka, pani Crombsy, która opiekowała się Lucy i Tibbym, ostrzegła, że na jej miejscu parkingowym przed domem kilku dziennikarzy urządziło małe obozowisko. Postanowiła zatem poczekać. Miała na sobie spodnie od dresu, toteż bez wahania usiadła na podłodze, oparła się plecami o ścianę, ułożyła torebkę na brzuchu, podciągnęła kolana i oparła głowę na rękach.

Pomyślała, że będzie czekać do czasu, aż on się pojawi albo jej znudzi się sterczenie tutaj. Nie była tylko pewna, co nastąpi prędzej.

Za rogiem rozległy się odgłosy cichego stąpania po syntetycznej wykładzinie w korytarzu. W ciągu minionych trzech godzin tyle razy słyszała dzwonek towarzyszący otwieranym drzwiom windy, że w ogóle przestała na niego reagować. Teraz jednak, gdy kroki ucichły jakieś trzy metry od niej, natychmiast się domyśliła, że to on.

Podniosła głowę i spojrzała mu w twarz.

– Cześć – powiedziała z uśmiechem. Wstała szybko i poruszyła ramionami, żeby rozprostować zastępe mięśnie pleców. Nie drgnął nawet, stał jak wmurowany. –

Zastanawiałam się, kiedy w końcu wrócisz do domu.

Miał na sobie krótkie spodenki do biegania i koszulkę, która sprawiała wrażenie wilgotnej. Był potargany, a na policzkach ciemniał mu kilkuniedniowy zarost. Drobną, szpakowatą bródka zaczynała przekształcać się w pełną, gęstą brodę. Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w nią bez słowa, jakby zobaczył ducha, zanim w końcu odwrócił spojrzenie i nerwowo popatrzył na boki, jak gdyby rozglądał się za drogą ucieczki. Jednocześnie zabrzęczał trzymanymi w ręku kluczami.

– Rozmawiałam z Mannym – dodała C.J., nie doczekawszy się jego reakcji. –

Dlaczego o niczym mi nie powiedziałaś?

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Przecież nawet nie zadzwoniłaś – burknął wreszcie, odczekawszy jeszcze parę sekund w pełnym napięcia milczeniu. – W ogóle się do mnie nie odezwałaś. Po prostu zniknęłaś bez słowa pewnego słonecznego popołudnia i od tamtej pory nie miałem od ciebie żadnej wiadomości. Jak mam to rozumieć, do diabła?

– Daj spokój, Dominicku – mruknęła pojednawczo, czując, że znowu łyzy cisną jej się do oczu, chociaż przyrzekała sobie, że nie będzie płakać. – Dobrze wiesz, dlaczego wyjechałam.

– Chrzanisz. Właśnie próbując dojść prawdziwych powodów twojego wyjazdu, straciłem robotę i zostałem oskarżony.

– Przecież nie prosiłam, żebyś był moim bohaterem – rzuciła odruchowo i od razu tego pożałowała.

– Och, to bardzo miło z twojej strony. Po prostu wspaniale.

– Czy nie moglibyśmy porozmawiać w mieszkaniu? – zapytała półgłosem, rozglądając się na boki.

Nie odpowiedział.

– Po jaką cholere tam pojechałeś? – ciągnęła po chwili. – Po co? Czemu miało to służyć?

– Chciałem poznać przyczynę – wycedził, jakby ledwie mógł nad sobą zapanować. –

Chciałem wiedzieć, czemu, niezależnie od tego, co zrobię, on jest ciągle, bez przerwy, w twoich myślach. Od samego początku, od chwili gdy się bliżej poznaliśmy, chciałem ci pomóc, być przy tobie, kochać cię tak, jak nigdy nikogo nie kochałem, byle tylko wyprzeć go z twojej głowy...

Zmarszczyła brwi.

– Lepiej nie baw się ze mną w psychoanalitka. To na nic. Nie dasz rady mnie naprawić – powiedziała z naciskiem. – Bo to nie jest takie proste i nigdy nie będzie. Wybacz, że zwałam się w twoje życie z wielkim obciążeniem psychicznym, sądziłam jednak, że wiesz o tym i jesteś przygotowany.

Pokręcił głową, wbijając wzrok w podłogę. Wydawało się, że minęła cała wieczność, nim odezwał się znowu:

– Kocham cię, C.J. Tego też nie dam rady naprawić.

Ledwie spojrzał na nią, od razu spostrzegła, że emocje wzięły górę. W jego oczach oprócz złości widać było także ból, nie mówiąc już o łzach, które wyraźnie próbował

przełykać. Nie pobrzękiwał już kluczami, tylko kurczowo ścisnął je w dłoni.

C.J. zamknęła oczy, ale łzy ściekły jej po policzkach. Po raz kolejny mogła tylko serdecznie żałować, że nie poznała go w innych okolicznościach, a przede wszystkim w innym okresie.

– Chciałabym do ciebie wrócić, Dominicku – powiedziała niemal szeptem, robiąc krok w jego stronę. Miała straszną ochotę zarzucić mu rękę na szyję.

Odsunął się jednak, unosząc obie dłonie, jakby się przed nią zasłaniał. Po jego twarzy znowu przemknął grymas wściekłości.

– Nie, nie... Obejdę się bez twojej łaski. Chcesz do mnie wrócić tylko z jego powodu.

Ja cię nie obchodzi. Postawmy sprawę jasno. To on jest przyczyną wszystkiego.

– Lepiej nie zaczynaj w ten sposób, Dominicku. Dobrze?

– Zresztą tego też nie potrafię rozgryźć. Po prostu nie rozumiem, co naprawdę jest między tobą a nim.

– Nie zamierzam się tłumaczyć – syknęła przez zęby, kręcąc głową.

– Dlaczego? Podobno jesteś gotowa stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, którego nienawidzisz, a unikasz konfrontacji z kimś, kogo jakoby kochasz i z kim do niedawna planowałaś małżeństwo.

– Posłuchaj – rzekła ostrzej, chcąc powstrzymać kolejne pytania. – Przyjechałam tu, żeby skończyć to, co należy skończyć. To wszystko, co mogę powiedzieć. W głupi sposób próbowałaś pięścią

załatwić to, co trzeba załatwić oficjalnie na sali rozpraw. I to raz na zawsze. A przecież tylko ja mogę to zrobić. Rozumiesz? Tylko ja. Uważasz, że zależy mi na tym, żeby znów stanąć z nim twarzą w twarz? Myślisz, że ja bym nie chciała raz na zawsze wypędzić go z moich myśli?

– Sam już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć – odparł szybko, jakby znów musiał połykać łzy.

C.J. milczała przez dłuższy czas, mając nadzieję, że jeszcze coś powie, nie doczekała się jednak.

– I ja cię kocham, Dominicku. Bóg mi świadkiem, że to prawda. Ale tylko od ciebie zależy, czy w to uwierzysz, czy nie. Bo ja nie mam żadnych wątpliwości. I zawsze będę na ciebie czekała, tu czy gdzie indziej, jeśli tylko tego zechcesz.

Wciąż nie podnosił głowy, wbijając wzrok w podłogę, toteż wyminęła go, ledwie musnąwszy palcami jego dłoń, i ruszyła z powrotem do windy. Ale w połowie długości korytarza przystanęła, a po chwili zawróciła, cofnęła się i dodała:

– Wyjechałam, bo chciałam cię uchronić przed tym wszystkim. Pewnie i tak tego nie zrozumiesz, lecz uważam, że nie mam prawa wciągać cię za sobą w tę otchłań, mroczną i bezdenną, z której nie ma powrotu. Jeśli do końca życia będę musiała trwać w tym koszmarze, niech i tak będzie, bo sądzę, że warto poświęcić nawet zdrowie psychiczne, byle nie zawładnął mną po raz drugi. Wolałabym już umrzeć.

Nie czekając na jego reakcję, podeszła do windy i wcisnęła guzik. Rękoma kurczowo obejmowała się wpół, jakby było jej nieznośnie zimno. Kiedy rozległ się dźwięk dzwonka, a za jej plecami nie rozbrzmiały jego kroki, uświadomiła sobie nagle, że to koniec.

Na miękkich nogach weszła do windy i wcisnęła guzik oznaczony napisem HOL. A gdy tylko drzwi się zamknęły, osunęła się w kącie na podłogę i zanosła niemal histerycznym płaczem.

Na cały weekend zakopała się w bibliotece uniwersyteckiego wydziału prawa w Davie. Miała nadzieję, że w workowatej bluzie dresowej, baseballowej czapeczce z dużym daszkiem i okularach, uczesana w koński ogon, wtopi się między zestresowanych studentów prawa. Zapoznała się ze sprawozdaniami ze wszystkich rozpraw, które miały jakiś związek z zasadą trójek, wykroczeniem Brady'ego i nowo odkrytymi dowodami rzeczowymi. Później spędziła dwa dni przy stole kuchennym w swoim mieszkaniu, próbując uwolnić się od denerwujących myśli o Dominicku i skupić na sformułowaniu swej oficjalnej odpowiedzi na wniosek Bantlinga.

Według kodeksu prawa stanu Floryda człowiek skazany za poważne przestępstwo mógł już liczyć niemal wyłącznie na dobrego adwokata apelacyjnego i wykorzystanie zasady trójek, jeżeli myślał jeszcze o wyjściu z więzienia. Ale sucha litera prawa o niczym jeszcze nie świadczyła, a sędziowie byli zbyt zapracowani, żeby organizować posiedzenia w sprawie każdego wniosku spływającego od adwokata mającego papier, długopis i dużo czasu, a występującego w imieniu zdesperowanego klienta. Rury ściekowe wymiaru sprawiedliwości błyskawicznie zapchałyby się papierem piśmiennym i kartkami z kalendarza, gdyby w tym zakresie nie było żadnych ograniczeń, należało więc stosować się do bieżących wytycznych prezydium sądów. Przede wszystkim, jeśli skazany w ogóle marzył o powrocie na salę sądową, musiał złożyć wniosek w określonym terminie. Wyrok śmierci nabierał ostatecznie mocy prawnej po upływie roku od jego ogłoszenia. Na dodatek w celu uniknięcia konieczności wielokrotnego wysłuchiwanie tych samych argumentów stosowano się do niepisanej reguły: „Mów teraz wszystko albo zamilknij na zawsze”. Tak więc skazaniec miał

rok i tylko jedną możliwość wystąpienia apelacyjnego.

Nie dotyczyło to wypadków ujawnienia nowych dowodów rzeczowych. Tylko wniosek oparty na zasadzie trójek i dotyczący nieprzedstawianego wcześniej materiału dowodowego mógł być złożony w dowolnym terminie bez obaw o automatyczne oddalenie go przez sąd. Jedyne w nim skazaniec mógł pokładać nadzieję. Niemniej „nowe dowody rzeczowe” nie były magicznym hasłem otwierającym drzwi zakładów karnych. Sprawy traktowano nadzwyczaj wnikliwie. Zwykle nie wystarczały tłumaczenia, że „dane dowody nie zostały omówione, bo nikt nie myślał, że będzie to konieczne”. O wiele skuteczniejsze wyjaśnienie oskarżonego brzmiało: „Nie były one prezentowane, bo ukrywano je przede mną”.

C.J. przez cztery dni łamała sobie głowę nad tą sprawą, gdyż wiedziała, że i ona będzie miała tylko jedną szansę. Gdyby udało jej się pokonać Bantlinga już w trakcie przesłuchania Huffa, a więc odeprzeć pierwszy atak, na zawsze odcięłaby mu drogę powrotu na sale sądowe, gdzie mógłby przeciw jej poważnie zaszkodzić. W dodatku nie musiałaby go znów oglądać, bo w tym przesłuchaniu uczestniczyłby tylko jego adwokat. Zatem gdyby zdołała doprowadzić do oddalenia wniosku, czy to ze względów proceduralnych, czy merytorycznych, służby więzienne nawet nie musiałaby wysłać autobusu do Raiford, żeby za pieniądze podatników urządzić skazanemu chociażby krótki urlop.

Gdyby tylko mogła postąpić zgodnie z literą prawa.

Doprowadzić do oddalenia wniosku i nie musieć patrzeć na niego ani też omawiać jego „nowo odkrytego” dowodu rzeczowego.

Gdyby nie musiała się uciekać do kolejnych kłamstw.

Ani przypominać sobie wcześniejszych.

Gdyby wykazała się wyższymi umiejętnościami od Neila Manna.

Gdyby... gdyby...

Właściwie nie dysponowała niczym oprócz tych niezliczonych „gdyby”, toteż musiała szukać panaceum, złotego prawnego środka, który odciąłby Bantlingowi drogę powrotu na salę sądową. Gotowa była w tym celu poświęcić wszystko, gdyż zdawała sobie sprawę, że nie starczy jej sił, aby znów stanąć przed nim, spoglądać na jego ironiczny uśmiech przypominający uśmiech dawnego kochanka, który skradł najbardziej intymne chwile jej młodości. Dobrze wiedziała, że bardziej od wyjścia na wolność zależy mu na wyrównaniu z nią rachunków, dlatego nie chciała dać mu satysfakcji obserwowania, jak pogrąża się w coraz bardziej zagmatwanym gąszczu własnych kłamstw.

Oczywiście istniał jeszcze jeden powód, dla którego pragnęła jak najszybciej powstrzymać Bantlinga. Gdyby doszło do powtórki procesu, podczas którego detektywi, technicy z dochodzeniówki i lekarze z Zakładu Medycyny Sądowej musieliby od nowa składać zeznania, zostałaby zmuszona do powtórnego przeżywania zabójstwa Anny Prado, jak gdyby to ona sama była ofiarą Kupidyna. Starannie zaplanowane uprowadzenie.

Narkotyki. Wielokrotne gwałty. Tortury. Zdjęcia. Sala śmierci. Kwaśny zapach szampana we włosach i gorycz haldolu na końcu języka, kiedy środek dopiero zaczynał działać, zanim jeszcze poczuła lodowate zimno czarnego pokoju.

W czwartek rano, kiedy zjawiała się w swoim biurze, zauważyła przed gmachem sądu po drugiej stronie ulicy kilka nowych wozów reporterskich ze sterzącymi dyskami anten satelitarnych na dachach. Próbowwała sobie jeszcze wmówić, że przecież toczy się równolegle kilka głośnych procesów. Sądono matkę, która zastrzeliła swoje bliźnięta w wannie, byłego pełnomocnika rady miejskiej, któremu zarzucano przekroczenie uprawnień i wzięcie łapówki, słynnego niegdyś piłkarza zatrzymanego za jazdę po pijanemu. Tłumaczyła sobie, że to nie ona jest obiektem dziennikarskiego zainteresowania. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Wiedziała, że jeśli dojdzie do powtórzenia procesu, znów będą o niej pisać we wszystkich gazetach.

Załadowała na wózek trzy z siedmiu kartonowych pudeł zawierających akta sprawy

„Stan Floryda przeciwko Williamowi Rupertowi Bantlingowi”, po czym ustawiła na szczycie czwarte pudło pełne fachowych materiałów, które w czasie weekendu skopiowała w bibliotece. Na koniec odmówiła w myślach modlitwę do świętego Krzysztofa, ulubionego świętego jej matki, prosząc go, by pomógł jej przetrwać ten dzień.

Przez kilka ostatnich tygodni celowo nie odpowiadała na listy i telefony od rodziców, chcąc najpierw uporządkować swoje życie. Nawet nie wiedzieli, że była w Kalifornii i odwiedziła kilka miejscowości na wybrzeżu. Zdawała sobie sprawę, że na pewno się o nią martwią. W końcu matka zawsze się martwiła, powtarzając, że wchodzi to w zakres jej matczynych obowiązków. C.J. bardzo obawiała się reakcji ojca, gdyby się dowiedział, że posłała do celi śmierci niewłaściwego człowieka. Wiedziała, że nigdy by tego nie wybaczył, choć gotów był jej wybaczyć prawie wszystko.

Spojrzała na zegarek. Musiała już iść, nie było więcej czasu na roztrząsanie tego, co będzie, jeśli dzisiaj nie wygra. Włożyła ciemne okulary, zjechała windą na dół, ale wyszła z budynku bocznymi drzwiami i ruszyła szybko przez ulicę w stronę dostawczego wejścia do gmachu sądu, mając nadzieję, że uda jej się jakoś przedrzeć przez ten wścibski tłum, który przed salą rozpraw zapewne czekał właśnie na nią.

Sala 6-8 nie należała do najbardziej okazałych. Była dosyć nowa, ale mała, gdyż utworzono ją z dawnych pomieszczeń Biura Prokuratora Stanowego, które za rządów Janet Reno, jeszcze przed powstaniem gmachu Grahama, mieściło się na szóstym i dziewiątym piętrze w budynku sądu. Przez dłuższy czas pokoje stały jeszcze puste, nim dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych zaistniała nagle potrzeba zwiększenia liczby sądowych sal rozpraw.

Ale choć od remontu minęło dopiero parę lat, sala sprawiała już dość obskurne wrażenie. Ktoś niefortunnie wybrał jasnioletową wykładzinę i ta w wielu miejscach była poplamiona i powycierana, a szara farba na ścianach porysowana i poodłupywana, gdzie indziej zaś pokryta gęsto napisami jakichś wandalii, którzy najwyraźniej nie mieli nic lepszego do roboty.

Jej modlitwy do świętego Krzysztofa odniosły skutek, okazało się bowiem, że w korytarzu wcale nie ma takiego tłumu jak w trakcie procesu Bantlinga. Tylko nieliczni dziennikarze czekali właśnie na nią.

– Panno Townsend! Czy wiedziała pani o istnieniu tej taśmy? Przesłuchiwała pani nagranie?

– Czy wiedziała pani, że Victor Chavez składał fałszywe zeznania pod przysięgą?

Robił to na pani polecenie? Sądzi pani, że Czarna Marynarka celowo wybrał go na swą ofiarę? Myśli pani, że te dwie sprawy mogą być ze sobą powiązane?

– Rzeczywiście istniał jakiś spisek?

– Na śmierć skazano niewinnego człowieka?

Dokładnie te same pytania mogła przeczytać na różowych kartkach z wiadomościami telefonicznymi, które całymi dziesiątkami trafiały na jej biurko. Na wszystkie odpowiadała jednakże tak samo, upartym milczeniem.

– A, panna Townsend! – powitał ją gromko sędzia Leopold Chaskel III ze swego tronu górującego nad zapełnioną salą rozpraw, zanim jeszcze ciężkie drzwi zdążyły odciąć gwar na zewnątrz. – Można się było spodziewać, że to właśnie pani nadchodzi korytarzem. Jak słyszę, nadal ma pani spore grono gorących zwolenników, prawda?

– Dzień dobry, panie sędzio. Przykro mi, że musiał pan zmienić swój plan zajęć. –

Rozejrzała się pospiesznie po widowni. Na nieszczęście dla prasy w czwartkowe ranki sędzia Chaskel wysłuchiwał tych oskarżonych, którzy postanowili przyznać się do winy, toteż na sali nie było ani jednego wolnego miejsca. – Moja sprawa została...

– Wyznaczona na dziesiątą – wpadł jej w słowo. – Wiem o tym. Proszę zająć jakieś miejsce. Mecenas Mann też już jest gdzieś tutaj. Zamierzam trzymać się dzisiejszej wokandy, chciałbym jednak udzielić pani tej samej rady co panu Mannowi, który próbował dziś rano zorganizować przed

moją salą konferencyjną prasową. Otóż nie chcę o tym słyszeć. Czy to jasne? Nie mam ochoty dowiadywać się z prasy, co zamierzam powiedzieć, zanim jeszcze otworzę usta. Zwłaszcza jeśli miałyby się okazać, że muszę powiedzieć coś wręcz przeciwnego. Nie dopuszczę, by w tej sprawie zrobił się taki sam cyrk jak poprzednio.

– Nie sądzę, by musiał się pan tak samo przejmować mną, Wysoki Sądzie – odparła, po czym dodała w myślach: Tylko bądź po mojej stronie, oddał wniosek, a oboje nie będziemy musieli się niczym przejmować.

– Doskonale. Zaraz skończę bieżące sprawy i reszta przedpołudnia należy do was, aczkolwiek mam nadzieję, że nie zabierzecie mi aż tak dużo czasu.

Przez chwilę przeszywał ją wzrokiem, nim wreszcie przeniósł spojrzenie na leżące przed nim dokumenty.

Nie potrafiła jeszcze ocenić jego nastawienia. Nie ulegało jednak wątpliwości, że w ciągu minionych trzech lat Chaskel wyrobił sobie jasny punkt widzenia na kilka spraw.

Jeszcze jako prokurator był znany z niechęci do czezej gadaniny, a jako sędzia po prostu nie cierpiał spraw, które powracają w apelacji. I to niezależnie od powodu. C.J. zaczęła więc w myślach kolejną modlitwę do świętego Krzysztofa.

Znalazła miejsce na widowni po stronie oskarżenia, usiadła i zaczęła się tępo wpatrywać w ławę przysięgłych. Teraz zasiadali na niej skuci kajdankami oskarżeni, których doprowadzono z sąsiedniego więzienia okręgowego. Byli ubrani tak samo jak na czas całego procesu, czyli w to, w czym zostali aresztowani. Niektórzy wyglądali na zdenerwowanych, inni na zagubionych, jeszcze inni na agresywnych i rozwścieczonych. Nikt z nich nie zaprzętał sobie głowy ani prokurator C.J. Townsend, ani Billem Bantlingiem, Kupidynem czy też Czarną Marynarką – wszyscy tylko czekali, aż sędzia odczyta ich nazwisko i zaproponuje wymiar kary. Jedni mieli nie dostać żadnego wyroku, tylko przewidziany w kodeksie maksymalny wyrok, jeśli wybrali sobie niewłaściwą ofiarę, choćby taką, która przy każdej okazji odwiedza sąd i domaga się, by jej wysłuchano. Inni mogli oczekiwać na swą życiową szansę, jeśli na przykład nie było awanturujących się ofiar, pokrzywdzonych członków ich rodzin czy też świadków, którym zależałoby na ukaraniu sprawcy.

C.J. popatrzyła na młodą prokurator zajmującą miejsce za stołem oskarżenia. Najwyżej dwa lata po uzyskaniu dyplomu miała już w swoich rękach przyszłość aż tylu osób.

Oskarżony nie był dotąd karany, dlatego oskarżenie proponuje rezygnację z wyroku więzienia i dwuletni okres nadzoru kuratorskiego.

Oskarżenie wnosi o pięć lat pobytu w więzieniu stanowym i dalsze dziesięć lat nadzoru kuratorskiego.

Oskarżony ustawicznie łamie prawo, dlatego oskarżenie wnosi o karę piętnastu lat pozbawienia wolności niezależnie od przyznania się do winy.

Dwadzieścia lat.

Trzydzieści lat.

Dożywocie.

W wyłącznej gestii prokuratora leżała wysokość oferty złagodzenia kary, zależna tylko od „liczby punktów” widniejącej w protokole po stronie oskarżonego, i mogła się wahać od zera aż do maksymalnego wymiaru przewidzianego w kodeksie karnym za popełnienie danego przestępstwa, co często stanowiło różnicę wielu lat więzienia. Jedni prokuratorzy byli bardziej bezwzględni, inni bardziej liberalni. Tylko od ślepego losu zależało, w czyjej gestii znalazła się sprawa danego oskarżonego. Bardzo często wysokości tych złagodzonych ofert ustalano przy obiedzie, podczas rozmów z innymi prokuratorami czy kierownikami wydziałów, jakby rzucano na stół drobne monety w trakcie licytacji przyjacielskiej partyjki pokera.

Grozi mu do trzydziestu sześciu miesięcy za włamanie rabunkowe. Ma już na koncie dwa wyroki za rabunek. Co mogę mu zaproponować?

Maksimum to piętnaście lat. No cóż... Zaproponuj mu w takim razie pięć. Czy mógłbyś mi podać keczup?

Charlie, chłopie, nie bądź aż takim tyranem. Pięć lat? Lepiej zaproponuj trzy, Tim, a potem pięć nadzoru kuratorskiego. Chętnie skorzystam z soli, kiedy skończysz.

W porządku. Żydowskim targiem zaproponuję mu cztery lata za kratkami i dwa nadzoru, jeśli zechce już jutro przyznać się do winy. Uważacie, że tak będzie dobrze?

Sprawa ustalona. Koniec lunchu.

C.J. działała tak samo jeszcze parę lat temu. Co prawda stawała za innym stołem oskarżenia, w innej sali i przed innym sędzią, ale tak samo rozpatrywała jednocześnie dziesiątki spraw i trzymała w rękach losy dziesiątek ludzi. Co się z nimi teraz dzieje? –

pomyślała. Czy moje propozycje złagodzenia kary jakoś wpłynęły na ich życie?

Powłócząc nogami, do sali wszedł Neil Mann, wysoki mężczyzna o szczupłej, pociągłej twarzy. Stał pod ścianą po drugiej stronie sali, za stołem obrony. Był radca prawny miejskiej komendy policji, a wcześniej stażysta w Biurze Prokuratora Stanowego, wiele lat temu otworzył własną praktykę adwokacką i specjalizował się w kryminalnych procesach apelacyjnych. Ze wszech miar unikał publicznych rozpraw, nawet niechętnie pojawiał się w sądzie. Nie zaliczał się do adwokackich sław, toteż zapewne był tańszy od Lourdes Rubio, która wystawiała rachunki po trzysta dolarów za godzinę. Apelacje były zwykle żmudne, czasochłonne i bardzo kosztowne, a Bantling należał przecież teraz do bezrobotnych. Jego zapasy gotówkowe pochłonęły wcześniejsze procesy, lecz na swoje szczęście wciąż zaliczał się do ludzi zamożnych, więc nie przysługiwał mu adwokat z urzędu.

Ale z pewnością nie stać go już było na bardzo dobrego prawnika.

– W porządku – oznajmił w końcu sędzia Chaskel o wpół do dwunastej, kiedy strażnicy wyprowadzili z ławy przysięgłych ostatniego zakutego w kajdanki skazańca.

Powiódł spojrzeniem po prawie pustej sali, w której była już tylko młoda prokurator i paru obrońców pakujących dokumenty do teczek. Zmierzył uważnym wzrokiem kilku najwytrwalszych dziennikarzy, którzy dotrwali do końca posiedzenia, po czym wstając, rzekł:

– Panie Mann, oskarżenie. Zapraszam do swojego gabinetu. Oczywiście z protokolantką. –

Zwrócił się do swojej sekretarki: – Janine, przygotuj akta Bantlinga.

Zawrócił na pięcie i niczym zbity, czarny rój owadów zniknął szybko za swoim tronem, zanim Hank, jego woźny, zdążył zawołać:

– Proszę wstać!

– Zrobiło się późno – powiedział sędzia, siadając u szczytu stołu konferencyjnego i spoglądając na zegarek. – Nie sądziłem, że posiedzenie będzie trwało aż tak długo. Jestem umówiony na lunch. – Ruchem ręki kazał wszystkim zająć miejsca. – Domyślam się, że obie strony mają wiele do powiedzenia, ale nic z tego nie powinno trafić na czołówki jutrzejszych gazet. Przynajmniej na razie nie ma takiej potrzeby. Nie chcę, żeby przez kilka najbliższych tygodni dziennikarze codziennie przedstawiali swoje najnowsze spekulacje, dlatego uznałem, że będzie lepiej, jeśli zaczniemy bez ich udziału.

C.J. poczuła, jak ściska jej się żołądek. Popatrzyła na siedzącego naprzeciwko Neila Manna, ogarnięta coraz gorszymi przeczuciami. Chcąc się czymś zająć, zaczęła rozpakowywać przywiezione akta.

– Czy Wysoki Sąd otrzymał moją odpowiedź? – zapytała powoli. – Złożyłam ją w poniedziałek.

– Tak, dostałem ją, ale po głębokim namyśle i zapoznaniu się z wcześniejszymi analogicznymi sprawami dochodzę do wniosku, że bez wątpienia potrzebne będzie nowe posiedzenie.

Przestała rozpakowywać pudła.

– Sądziłam, że właśnie w tym celu spotkaliśmy się dzisiaj – powiedziała zdumiona.

Chaskel spojrzał na nią z ukosa, jakby chciał ją zganić wzrokiem za niestosowne uwagi.

– Mówię o konieczności omówienia materiału dowodowego – odrzekł równie powoli jak ona. – Musimy się przekonać, cóż to jest takiego.

– Według mnie wcale nie musimy posuwać się aż tak daleko, panie sędzio. –

Otworzyła notatnik. – Po pierwsze, wniosek wpłynął po czasie. Skazany miał już swoje pięć minut, które upłynęło dawno temu.

– Przypominam, że wniosek dotyczy nowo ujawnionego dowodu rzeczowego, a tego rodzaju apelacje nie są ograniczone w czasie.

– Oskarżony przedstawiał już identyczne twierdzenia o celowo nieskutecznej obronie, ukrywającej część materiału dowodowego, w swoim poprzednim wniosku opartym na zasadzie trójek – odparła z naciskiem. – Latem ubiegłego roku sam pan oddalił ten wniosek, motywując, że tego typu argumenty powinny paść w bezpośredniej apelacji. Zatem ze względów proceduralnych nie powinny być brane pod uwagę i tym razem.

– Kwestia celowo nieskutecznej obrony nie była wcześniej poruszona – odezwał się Mann, nerwowo obracając cienki jednorazowy długopis w tłustych palcach. – Obecne wystąpienie jest oparte na ujawnionej niedawno taśmie z kopią zapisu zgłoszenia do policyjnej centrali, która według zeznania obrońcy mojego klienta nie została wcześniej włączona do materiału dowodowego. – Odchrząknął

i dodał: – Świadomie.

– Jeśli Lourdes Rubio wiedziała o jej istnieniu w czasie procesu – podjęła szybko C.J.

– nie może być mowy o nowym dowodzie rzeczowym, za jaki uważa się, pozwolę sobie zacytować z kodeksu, dowód „nieznany oskarżonemu i jego reprezentantom w czasie procesu, który nie mógł być wcześniej rozpoznany w trakcie prowadzonych należycie czynności dochodzeniowych”. Przepisy mówią wyraźnie, że jeśli obrona wiedziała o istnieniu dowodu lub mogła go rozpoznać, po ogłoszeniu wyroku nie ma prawa na tej podstawie zgłaszać zastrzeżeń wobec niepomysłnego dla niej rozstrzygnięcia. Lourdes Rubio sama twierdzi, że wiedziała o jego istnieniu. Należy zatem przyjąć, że nieujawnienie dowodu było częścią jej strategii procesowej. W świetle przepisu nie jest to więc nowo odkryty dowód rzeczowy, a zwykła próba mydlenia oczu.

– Sensowny wywód – przyznał w zamyśleniu sędzia Chaskel. Szybko otworzył swój terminarz i dodał: – Proszę go przytoczyć w czasie posiedzenia.

Z jakiegoś powodu nawet sama przed sobą nie chciała przyznać, wręcz nie wierzyła w to, że jednak dojdzie do formalnej prezentacji dowodu na sali sądowej. Była przekonana, że po raz kolejny uda jej się zrobić skuteczny unik. Nie mogła pogodzić się z rzeczywistością będącą konsekwencją dzisiejszej porażki.

– Wysoki Sądzie – ciągnęła ostro, w głębi ducha licząc już tylko na to, że uda jej się wyciągnąć królika z cylindra. – Z całym szacunkiem, uważa pan, że jest w interesie opinii publicznej transportowanie pana Bantlinga taki kawał drogi z Raiford na posiedzenie, które jak sam pan przyznał, może wcale nie być konieczne?

Sędzia spojrział na nią spod półprzymkniętych powiek, a w jego oczach pojawiły się złowrogie błyski, jakby nagle utracił dla niej cały szacunek za sposób prowadzenia tej dyskusji. Nie spodobał mu się jej wyzywający ton. Zwłaszcza że mówiła nim osoba, przez którą znalazł się w obecnym trudnym położeniu. W końcu kładł na szali swoją reputację, skoro musiał się liczyć z opinią publiczną i prasą, a przede wszystkim z sądami apelacyjnymi

– reputację, na którą ciężko pracował przez tyle lat, nieodmiennie dbając o sensowne i uczciwe wyroki. Po tych wyrokach sprawy bardzo rzadko wracały na jego wokandę. W głębi serca miał nadzieję, że właśnie ta reputacja utoruje mu któregoś dnia drogę do sądu apelacyjnego.

– Panno Townsend, pan Bantling stawia zarzut wykroczenia Brady’ego. Muszę przyznać, że to nadzwyczaj poważny zarzut. Twierdzi bowiem, że pani i pani biuro celowo zatailiście część materiału dowodowego, by uzyskać wyrok śmierci. W moim sądzie. Nie wyklucza też istnienia zмовы między panią i mecenas Rubio, której celem było od początku zatajenie faktu istnienia tego dowodu, który świadczy o jego niewinności. Pani zaś próbuje mnie teraz przekonywać argumentami czysto semantycznymi, że obrona musiała wiedzieć w czasie procesu, iż postępuje niewłaściwie? – Wyraźnie starał się opanować rosnące wzburzenie, chociaż mimowolnie podnosił nieco głos. – Jeśli pan Mann dowiedzie istnienia zмовы, mogę uprzedzić panią już teraz, że taka argumentacja mnie nie przekonuje. Nie wiem jeszcze, co zawiera to nagranie, a więc nie wiem, czy to faktycznie dowód świadczący o niewinności skazanego. Nie wiem też, co podczas przesłuchania zezna pani Rubio, czy

potwierdzi, że w czasie rozprawy wiedziała o istnieniu taśmy. Przyznam jednak, że bardzo chciałbym się tego wszystkiego dowiedzieć. Przez cztery tygodnie wysłuchiwałem wszystkiego, co miała pani do powiedzenia w tej sprawie, i nie przypominam sobie choćby wzmianki o jakiegokolwiek taśmie z nagraniem. Za to świetnie pamiętam, że pan Bantling oskarżył panią o zemstę za to, że brutalnie panią napadł, kiedy jeszcze studiowała pani prawo, później zaś wspólnie z jego obrończynią zajęły panie stanowisko, że sędziowie przysięgli nie powinni być obarczani szczegółami tego rodzaju oskarżeń, skoro muszą zająć stanowisko w sprawie zagrożonej karą śmierci. Zatem pozwolę sobie nadmienić, że bardzo nie lubię, kiedy w mojej sali rozpraw coś dzieje się za moimi plecami. A teraz widzę, że obie panie stąpały po bardzo kruchym lodzie. Dlatego, panno Townsend, niezależnie od tego, czy kolejne posiedzenie będzie oznaczało dla nas wszystkich jedno zmarnowane popołudnie, dwa, czy nawet dziesięć, będziemy musieli przez to przejść. I zamierzam dotrzeć do sedna tej sprawy.

Tak jak należy. Więc lepiej skoncentrujmy się na wyborze odpowiedniego terminu, dobrze?

Jeszcze przez chwilę patrzył jej prosto w oczy, ale nie wytrzymała i spuściła wzrok na swój terminarz.

– Oczywiście, Wysoki Sądzie – powiedziała cicho, mając wrażenie, że świat zaczyna jej wirować przed oczami. Aż zagryzła z całej siły wargi, żeby uwolnić się od tych sensacji.

Jego twarz! Dostrzegła tajemniczy uśmiezek na jego wargach, kiedy spoglądał w kartki terminarza!

– Panno Townsend? Czy ten termin pani odpowiada? – zapytał sędzia, niecierpliwie przebijając nogami pod stołem, podczas gdy Mann, woźny i protokolantka wpatrywali się w nią, czekając na odpowiedź.

– Przepraszam, zamyśliłam się, Wysoki Sądzie. Który dzień pan zaproponował?

– Pierwszy marca. Poniedziałek. Zamierzam wyczyścić popołudniową wokandę na cały następny tydzień, żeby jak najszybciej zakończyć tę sprawę i uniknąć konieczności transportowania skazanego tam i z powrotem. Będzie mógł spędzić ten czas w więzieniu okręgowym, w specjalnie strzeżonej celi.

Tylko tydzień! Został jej tylko tydzień!

– Oczywiście, panie sędzio, tak chyba będzie najlepiej – wydukała.

– Zatem sprawa ustalona. I nie chcę słyszeć żadnych wymówek. Proszę przygotować swoich świadków, panie Mann. Mają być gotowi do składania zeznań. A w pierwszej kolejności chciałbym usłyszeć zeznania pani Rubio.

– Nie ma sprawy, panie sędzio. Aż się pali, żeby zeznawać – odparł adwokat, z podnieceniem kiwając głową. Wyprostował się wyraźnie, jakby i on nie za bardzo do tej pory wierzył w swoje zwycięstwo, a dobre wieści go zaskoczyły. – Wyrzuty sumienia nie dają jej spokoju – dodał, marszcząc brwi.

– To mnie mało obchodzi. Proszę ją ściągnąć na pierwsze posiedzenie. Oczywiście razem z tym nagraniem. I proszę się trzymać przepisów, a więc wcześniej udostępnić kopię oskarżeniu. Mówię to na wypadek, gdyby panna Townsend jeszcze go nie знаła.

– Jeśli oskarżony stawia zarzut celowo nieskutecznej obrony, tym samym rezygnuje z przywileju zachowania tajemnicy adwokackiej. Żądam więc dostępu do kompletu akt procesowych Lourdes Rubio – powiedziała C.J. z nadzieją, że to choć trochę pomoże jej się przygotować na frontalny atak ze strony adwokatki.

– Proszę złożyć formalny wniosek, a otrzyma pani dokumenty – odparł sędzia.

– Już przygotowałem zestaw kopii, panie sędzio – wtrącił Mann. – Dostarczę go oskarżeniu. Są tego cztery kartonowe pudła.

– Bardzo lubię taką współpracę stron. A co do pani świadków, panno Townsend... –

Chaskel na krótko zawiesił głos. – Z tego, co wiem, mamy problem. Funkcjonariusza Chaveza nie ma już pośród żywych. Podobnie jak funkcjonariusza Ribera, chociaż nie jestem pewien, czy jego zeznania wniosłyby cokolwiek nowego do sprawy. – Zamyślił się, po czym uśmiechnął lekko, jakby podjął jakąś decyzję, której wolał nie ujawniać. Po chwili ciągnął

dalej: – Zobaczymy, co wyniknie z zeznań pani Rubio. Być może wystarczą przeciwko nim zaprotokołowane i spisane pod przysięgą wcześniejsze zeznania Chaveza. – Zwrócił się do Janine: – Skopiuj ze sprawozdań zeznania Chaveza złożone w trakcie procesu i podczas przesłuchania dotyczącego wniosku o oddalenie oskarżenia. Znajdziesz je na podstawie terminów obu posiedzeń. Na wszelki wypadek przygotuj również zeznania funkcjonariusza Ribera. Chcę je mieć już na pierwsze posiedzenie. A straż... Upewnij się, Janine, żeby zakład karny dowiózł nam skazanego na cały ten tydzień. Przebywa w celi śmierci, trzeba więc uprzedzić kierownika więzienia okręgowego, by przedsięwziął odpowiednie środki ostrożności. Załatw to jak najszybciej, bo nie wiem, czy nie będą konieczne jakieś specjalne przygotowania. – Zawiesił na moment głos, po czym dodał: – Bantling może sprawiać kłopoty. Sprawiał je w czasie procesu, a i później, w więzieniu, miewał podobno napady agresji. Wolałbym teraz uniknąć problemów. Lepiej się przygotować zawnazu.

Skinął głową wszystkim obecnym, jakby chciał dać znak, że posiedzenie dobiegło końca i mogą wracać do domu, bo on musi się przygotować na spotkanie. Ale wzrok jego padł na numer „Heralda” wystający spod opasłej teczki Neila Manna.

– Jeszcze jedno – dodał pospiesznie Chaskel, znów spoglądając na swoich gości spod przymrużonych powiek, co miało podkreślać powagę ostrzeżenia. – Przeglądałem już dzisiejsze gazety. Krąży coraz więcej plotek, a ja nie rozstrzygam spraw na ich podstawie.

Mają się jak najszybciej skończyć. Nie życzę sobie żadnych przecieków do prasy, żadnych spekulacji ani oficjalnych oświadczeń, dopóki nie zapadnie wyrok. Proszę uważać, że to formalny zakaz. Jasne? Jeśli dziennikarze będą mieli jakieś problemy, a w to nie wątpię, niech zwracają się do sądu właściwymi kanałami. Nie dopuszczę, by po raz drugi na mojej sali rozpraw doszło do czegoś takiego jak poprzednio. Byli przecież gotowi nawet pod sufitem rozmieszczać swoje kamery i

mikrofony. Zaczepiali mnie na parkingu... – Skrzywił się z obrzydzeniem i pokręcił głową, jakby chciał jak najszybciej odpędzić od siebie bulwersujące wspomnienia. – Czy wyraziłem się jasno?

– Tak – odpowiedział mu zgodny pomruk.

C.J. wstała równocześnie z Mannem, który prawie wybiegł z gabinetu sędziego, omal nie gubiąc swojej wypchanej papierami teczki, bo najwyraźniej nie mógł się doczekać okazji skorzystania z telefonu. Odprowadziła go wzrokiem, domyślając się już, do kogo chce zadzwonić. Zgarnęła swoje papiery, wrzuciła je z powrotem do pudła, nałożyła pokrywę i ustawiła je na szczycie sterty na wózku. Miała zamęt w głowie, a żołądek ściskany bolesnymi skurczami przypominał jej dotkliwie, że ma zaledwie parę dni na przygotowania.

Dobiegający z korytarza głos Manna świadczył, że nie połączył się jednak z więzieniem stanowym, lecz zadzwonił najpierw do swej żony i zarazem sekretarki, by powiadomić ją o sukcesie. Janine wróciła na swoje stanowisko w sąsiednim sekretariacie, a protokolantka poszła na inną salę rozpraw, zostali więc tylko we dwoje. Ruszając z wyładowanym wózkiem do wyjścia z gabinetu, C.J. powiedziała:

– Życzę miłego popołudnia, panie sędzio.

– To może być naprawdę bardzo interesujące, panno Townsend – odparł Chaskel, odwieszając swoją tokę i zdejmując z wieszaka sportową marynarkę. Zatrzymała się w otwartych drzwiach i odwróciła w jego stronę. – Obawiam się, że nawet zanadto interesujące.

Na wszelki wypadek proszę się skontaktować z waszym radcą prawnym. Nie chciałbym pani czymś zaskoczyć.

Bez słowa pożegnania minął ją energicznym krokiem i wyszedł z gabinetu na korytarz, zmierzając na umówione spotkanie przy lunchu.

Siedziała przy stole kuchennym, otoczona stertami podręczników, kodeksów i pudłami akt, wpatrując się tępo w kartkę, na której widniało zaledwie kilka słów skreślonych niechlujnym, miejscami wręcz nieczytelnym charakterem Lourdes. Miała wrażenie, że treść tej notatki zjeżyła jej włosy na głowie.

Chloe, Larson? Bayside, N.J., 1988. Rocky Hill Road, napaść na tle seksualnym – w domu = odwet?

Serce waliło jej jak młot. W zamyśleniu sięgnęła po kieliszek z winem.

Mnóstwo spraw jej się nawarstwiło przez te dwa tygodnie nieobecności w biurze.

Posiedzenia, które opuściła, zostały w większości przełożone, toteż teraz musiała poświęcać całe dnie na pisanie wniosków, spisywanie zeznań i szykowanie aktów oskarżenia w innych sprawach. Dlatego przytaszczyła do mieszkania akta procesowe Lourdes Rubio, które Neil Mann przysłał jej pocztą kurierską, i przez cały tydzień ślęczała nad nimi po nocach, usiłując metodycznie przejrzeć wszelkie dokumenty i notatki. Bez przerwy wstrząsał nią dreszcz obrzydzenia, gdy zapoznawała się z tym, co Bantling w tajemnicy wyznał swojej adwokatce, a zwłaszcza z tym, co dotyczyło jej samej.

Potarła palcami obolały kark i podniosła wzrok znad papierów, myśląc, że najwyższa pora na papierosa.

Zdjęła okulary, wyszła na balkon i przypaliła marlboro. Przez kilka minut przyglądała się niewielkiej paradzie jachtów, które w blasku księżyca żeglowały po wodach zatoki. Ileż to razy przesiadywała na tym balkonie nocą z Dominickiem, na niewygodnych plastikowych krzeselkach, dyskutując godzinami przy butelce wina, niekiedy nawet przy dwóch. Od dawna snuli plany dotyczące kupna własnego jachtu, żartując przy tym, że gdy wreszcie przejdą na emeryturę, wybiorą się w rejs dookoła świata, a przynajmniej wzdłuż wybrzeża i łańcucha wysp aż po Key West, jako że z budżetowych emerytur nie mogliby sobie pozwolić na nic więcej.

Wybrała numer jego aparatu komórkowego, ale zgłosiła się poczta głosowa, toteż przerwała połączenie, nie zostawiając wiadomości. Rejestr nieodebranych telefonów powinien być dla niego wystarczającym dowodem jej starań. Był zapewne w towarzystwie Manny'ego lub Chrisa, może nawet obu jednocześnie, i zapijał swoje smutki – także te, za które ona była odpowiedzialna – kilkoma głębszymi w jakimś barze. Przycisnęła aparat do czoła, powtarzając w duchu życzenie, żeby już teraz oddzwonił. Bardzo jej zależało na tym, żeby usłyszeć dziś jego głos, a jeszcze lepiej dowiedzieć się, że nie czuje do niej nienawiści, choć prawdę powiedziawszy, nie powinna tego po nim oczekiwać.

Miała wrażenie, że cały jej świat rozpada się w proch. Dominick. Kariera zawodowa.

Życie prywatne. I choć bardzo się starała odpędzić od siebie najczarniejsze myśli, żeby móc się skoncentrować na czekających ją zadaniach, z dnia na dzień przychodziło jej to z większym trudem. W dodatku czuła się coraz bardziej osamotniona. I to już był zły znak.

Przed laty, kiedy była na samym dnie załamania nerwowego, gdy w ogóle nie mogła spać, widziała jego twarz dosłownie wszędzie – twarz nieznanego w gumowej masce klauna, którym mógł być niemal każdy mężczyzna. Wtedy uratowała ją intensywna terapia, która w dodatku przez następnych dwanaście lat pozwoliła jej jako tako normalnie funkcjonować, zachowywać kontrolę nad swoimi lękami, nim one zapanują nad nią bez reszty. Przez ostatnie dziesięć lat z tych dwunastu znajdowała się pod stałą opieką psychiatry z Zakładu Medycyny Sądowej, Gregory’ego Chambersa, który był nie tylko jej zaufanym terapeutą, lecz także dobrym znajomym i kolegą po fachu, gdyż jako ekspert występował w prowadzonych przez nią sprawach tyle razy, że straciła rachubę. Przez tych dziesięć lat był

zawsze na wyciągnięcie ręki, gdy tylko nachodziły ją obawy, że znów spada w mroczną otchłań depresji. Był jej powiernikiem i pocieszycielem, liną ratowniczą w okresach przygnębienia, kiedy trudno jej było nawet wstać rano z łóżka. I oto nagle, gdy najbardziej go potrzebowała, okazało się, w jak wielkim była błędzie. Zaszokowało ją, że przez pewną część tego dziesięcioletniego okresu był także terapeutą człowieka, który cały czas nawiedzał ją w sennych koszmarach – że w gruncie rzeczy nie uczestniczyła w żadnej terapii, tylko w niepojętym dla niej eksperymencie psychologicznym.

Nie wiedziała, kiedy dokładnie to nastąpiło, kiedy Greg przestał być jej psychoanalitykiem i przyjacielem, jeśli był nim kiedykolwiek. Od tamtej pory nie dawały jej spokoju dziesiątki pytań, na które nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

Ale wtedy jej terapeutą został Dominick, w którym znalazła solidne oparcie, gdy wszystko rozsypało się w proch, zadając kłam jej wielu przekonaniom. Teraz jednak...

Nie! Nie! Aż pokręciła głową, chcąc odegnać łzy, które zaczynały cisnąć jej się do oczu. Nie mogła do tego wracać i ryzykować powtórnego zanurzenia się w otchłani depresji.

To w końcu było najłatwiejsze, ale później tak trudno wracało się do rzeczywistość.

Energicznym ruchem odgarnęła włosy z twarzy, popatrzyła na trzymany w ręku telefon komórkowy i wybrała inny numer.

– Halo?

– Cześć, mamó – rzuciła swobodnym tonem, usłyszawszy na drugim końcu linii głos matki zagłuszany przez szum wody płynącej z kranu i pobrzękiwanie naczyń w zlewie. – To ja.

Pomyślała, że minęło trochę więcej niż kilka dni od czasu, kiedy ostatnio rozmawiała z rodzicami. Raczej było to parę tygodni.

– Witaj, skarbie! – Szum wody natychmiast ucichł, urwało się też brzęczenie talerzy.

C.J. ujrzała w wyobraźni, jak matka wyciera mokre ręce w fartuch. Prawdopodobnie zmywała naczynia po obiedzie. – Nie pieką cię uszy? Właśnie rozmawialiśmy o tobie z ojcem. Tato! –

zawołała. – Floryda na linii! Dzwoni twoja dziewczynka! Gdzieś ty się podziewała? – spytała ciszej,

znowu zwracając się do niej.

– Wybaczcie. Strasznie mi przykro. Byłam po prostu bardzo zajęta. – Niemal słyszała, jak na powierzchni wody z płynem Liquid Joy z trzaskiem pękają wielkie bąble piany, podczas gdy za oknem nad zlewem rozlewa się pomarańczowy blask zachodzącego słońca.

Ten widok zawsze działał na nią kojąco. Na szczęście rodzice wciąż mieszkali w tym samym domu, w którym się wychowywała. – Co u was słychać? Jak tam praca?

– Oho, wyczuwam, że stało się coś złego – powiedziała matka, jak zwykle kierując się swoim radarem wylapującym wszelkie zmartwienia. – O co chodzi? Coś w pracy? Nic ci nie jest?

– Nie, mamu. Tylko...

– Oddaję słuchawkę ojcu.

Matka najwyraźniej nie chciała słyszeć nic więcej. Zawsze bała się złych wiadomości, toteż robiła wszystko, żeby to jej mąż usłyszał je pierwszy.

– Chloe?

– Cześć, tato.

– Coś się stało?

– To mama tak powiedziała. Nic się nie stało, tato. Tyle że... ta sprawa znów do mnie wróciła. – Nerwowo potarła czoło. Nie planowała rozmawiać o niczym poważniejszym niż pogoda czy stan zdrowia ciotki Pat, jednakże łagodny, miękki i ciepły ton głosu jej ojca jak zawsze automatycznie skłaniał ją do zwierzeń. Od dawna twierdziła, że powinien być zostać psychoanalitykiem. Zresztą w chwili obecnej po prostu chciała się przed kimś wygadać. –

Chodzi o tego seryjnego mordercę, którego oskarżałam przed paroma laty. W poniedziałek mam kolejne posiedzenie w jego sprawie i po prostu chciałam usłyszeć od ciebie kilka słów otuchy.

Nie odpowiedział od razu. Wyczuła, że groźnie zmarszczył brwi, przez co zawsze wyglądał dużo starzej.

– Chodzi o tego, który na sali sądowej zasypał cię oskarżeniami, który twierdził, że...

– Tak, tego samego – wtrąciła pospiesznie, żeby go nie zmuszać do szukania odpowiednich słów. – Kupidyna. Złożył apelację i sędzia podjął decyzję o zorganizowaniu posiedzenia z prezentacją materiału dowodowego. Będzie obecny na sali rozpraw, tato.

Przywiozą go do sądu.

– Nie może się tym zająć ktoś inny, Chloe? Nie możesz przekazać sprawy nikomu innemu z twojego biura?

– Chciałabym, ale to wykluczone. – Westchnęła ciężko. – Muszę to załatwić sama.

– A co będzie, jeśli po prostu nie dasz rady?

– Prawdopodobnie zyska prawo do powtórnego procesu. I może wyjść na wolność.

Muszę temu zapobiec.

– Owszem, musisz. Jak długo potrwa to posiedzenie?

– Kilka dni, jak sędzę.

– Prowadzić je będzie ten sam sędzia co poprzednio?

– Tak.

– To dobrze. Zrobił na mnie dobre wrażenie – rzekł ojciec. – Nie daje się robić w konia. Czy podjęto jakieś specjalne środki bezpieczeństwa na czas tego posiedzenia?

– Tak, oczywiście. Nie wątpię, że będzie dodatkowa ochrona.

– I boisz się, że on może cię skrzywdzić?

Jeszcze raz westchnęła głośno.

– Tylko wtedy, gdy wyjdzie na wolność.

– Dominick nie zapewni ci bezpieczeństwa?

Zawahała się.

– W jego wydziale sprawy się trochę skomplikowały, tato. To długa historia... W

każdym razie... zerwaliśmy ze sobą.

Nie zdołała się opanować i zaczęła szlochać, zakrywając ręką mikrofon, żeby nie było tego słychać. Podejrzewała jednak, że i to się przed ojcem nie ukryje.

– Z powodu tej sprawy?

– Wolałabym w to nie wnikać, tato.

Teraz to on głośno westchnął.

– Jesteś bardzo silna, Chloe. Na pewno dasz radę. Nie wątpię w to.

– Tato, czy mogłabym przyjechać do domu? – zapytała szybko, po czym zaśmiała się gardłowo, ocierając łzy z twarzy.

– Kiedy tylko zechcesz. Mama wciąż trzyma przygotowany twój pokój. Jak przyjedziesz, będziemy mogli wreszcie uczcić twoje zaręczyny... – Ojciec urwał gwałtownie, po czym dodał ciszej: – Obawiam się, że nie to chciałybyś ode mnie usłyszeć.

– Nie – odparła, westchnąwszy.

– Tylko mu się nie daj, skarbie. Jeśli wyczuje twoją słabość, będzie znów próbował namieszać ci w głowie. I pamiętaj, że to ty jesteś w mocy wpakować go za kratki, a nie odwrotnie. Niech się ciebie boi.

– Dzięki, tato. Postaram się. Pożegnaj ode mnie mamę. Kocham was.

– I my cię bardzo kochamy. Posłuchaj, następnym razem nie ociągaj się tak długo i zadzwoń wcześniej...

C.J. odłożyła telefon i wierzchem dłoni otarła resztki łez z policzków. Ojciec miał rację. Wiedziała, że na niego można liczyć. Rzeczywiście najważniejsze było to, żeby się nie dać, nie okazać jutro swojej słabości, nie zdradzić się choćby przyspieszonym biciem serca.

Naprawdę była teraz silniejsza. Energicznie zdusiła niedopałek papierosa w popielniczce i jednym haustem dopiła wino, po czym wróciła do kuchni, żeby dokończyć lekturę notatek Lourdes Rubio.

Musiła to załatwić sama.

Po prostu nie było innego wyjścia.

„Stany Zjednoczone przeciwko Dominickowi Falconettiemu”, sprawa numer 04-21034-CR-GUTHRIE.

– Czy oskarżony jest obecny na sali? – zapytał czcigodny Reginald Guthrie, mieszając kawę w wielkim kubku w kształcie sędziowskiego młotka.

Był potężnie zbudowanym mężczyzną o kilku dodatkowych podbródkach, dość nieudolnie starającym się zamaskować swój silny akcent południowca, co zależało jeszcze od tego, z kim akurat rozmawiał.

– Tak, Wysoki Sądzie – odparł woźny.

– Niech wystąpi. – Sędzia lekceważąco machnął ręką, nie podnosząc nawet głowy znad śniadania.

Jako zagorzały demokrat zyskał nominację na sędziego federalnego w roku 1976, za kadencji Jimmy’ego Cartera, i ostatnich siedemnaście z dwudziestu ośmiu lat federalnej kariery spędził na tej samej sali rozpraw z tym samym woźnym. Z okazałej sterty papierów na biurku wyciągnął akt oskarżenia i pospiesznie przebiegł go wzrokiem, drobnymi łydkami popijając kawę. Następnie zmarszczył krzaczaste siwe brwi, aż zetknęły się pośrodku czoła.

– Hmm... – mruknął, głęboko zawiedziony, jak miał to w zwyczaju okazywać każdemu oskarżonemu.
– Rozdział osiemnasty, paragraf dwieście czterdzieści dwa.

Naruszenie praw obywatelskich pod osłoną majestatu prawa, panie Fal-co-net-ti –

przesylabizował powoli z kwaśną miną, jakby poszczególne głoski paliły go w gardle. Może i faktycznie tak było, skoro musiał odczytywać nazwisko pochodzenia włoskiego, a więc nietutejsze. Podniósł wreszcie głowę, ale nie spojrzał na Dominicka, tylko na jego obrońcę. –

W porządku, panie Barquet. Czy oskarżony przyznaje się do winy?

– Oczywiście nie przyznaje się, Wysoki Sądzie – odparł Les Barquet z ironicznym uśmiechem, próbując swoim południowym akcentem dorównać sędziemu.

Lester Franklin Barquet był przedstawicielem starej szkoły południowych stanów, zawsze występował nienagannie ubrany w trzyczęściowy garnitur. Należał do znanych adwokatów kryminalnych, a w sali sędziego Guthriego był niczym stały element wyposażenia. Przynosił ze sobą pączki i kawę.

– Oczywiście – powtórzył sędzia z ironicznym uśmiechem, jakby chciał dodać:

„Wszyscy tak mówią”.

Dominick, który stał na wprost sędziego z rękoma skrzyżowanymi na piersi, ubrany w swój najlepszy granatowy garnitur, czuł się nieswojo na sali rozpraw, gdzie mówiono o nim w trzeciej osobie, jakby

w ogóle nie istniał. W swojej karierze setki razy występował przed sądem, ale jeszcze nigdy w roli oskarżonego.

– A więc w porządku, ustalmy termin. Chciałbym skończyć z wnioskami formalnymi w ciągu miesiąca, żeby jak najszybciej przystąpić do procesu. Mam dość napięty harmonogram zajęć i sporo zaległego urlopu, który chciałbym wykorzystać za kilka miesięcy.

Dlatego wolałbym, żeby ta sprawa nie wisiała nam wszystkim nad głową, jeśli tylko będzie to możliwe. – Sędzia pociągnął łyk kawy i sięgnął po pączka. – Dzięki, Les. Nie powinienem ich jeść, ale trudno mi się opanować.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie sędzio... Wysoki Sądzie. – Adwokat uśmiechnął się szeroko. – Myślę, że nam wszystkim zależy na tym samym. Jeśli panowie pozwolą, chciałbym Wysokiemu Sądowi przedstawić garść najistotniejszych informacji w tej sprawie, które chyba nie są całkiem oczywiste.

Zastępca prokuratora generalnego wstał, żeby zgłosić sprzeciw, ale sędzia szybko machnął w jego stronę nadgryzionym pączkiem i rzekł:

– Posłuchajmy, co pan Barquet ma do powiedzenia.

– Otóż, Wysoki Sądzie, pan Falconetti nie jest zwykłym oskarżonym, że się tak wyrażę. To agent specjalny Florydzkiego Wydziału do Zwalczania Przystępności. Udał się do Raiford w celu przesłuchania nadzwyczaj groźnego przestępcy osadzonego w celi śmierci, seryjnego mordercy znanego powszechnie jako Kupidyn, który, co chciałbym podkreślić, występuje w tej sprawie jako poszkodowany – rzekł z naciskiem, teatralnie unosząc brwi. –

Tam właśnie doszło do niefortunnego nieporozumienia. Agent Falconetti został zawieszony w obowiązkach służbowych do czasu wyjaśnienia sprawy, toteż Wysoki Sąd z pewnością zrozumie, jak bardzo zależałoby mu, żeby czym prędzej zakończyć ten proces i oczyścić swoje dobre imię.

– Kupidyna, powiadasz? – mruknął sędzia, przysuwając sobie akt oskarżenia, którego ewidentnie wcześniej nawet nie przeczytał.

– Tak, Wysoki Sądzie. Agent Falconetti przesłuchiwał pana Bantlinga w związku z kolejną serią zabójstw, o których skazany mógł coś wiedzieć, i w pewnym momencie stracił

cierpliwość.

– Doszło do kolejnych zabójstw?

– Tak, Wysoki Sądzie. Chodzi o zabójstwa policjantów w Miami. Agent Falconetti pracował nad tą sprawą. – Les odwrócił się do widowni i jak na scenie operowej szerokim gestem wskazał zgromadzonych tam ludzi, wśród których byli Manny, Chris, Fulton, Ted Nicholsby, Steve Yanni i Marlon Dorsett, nie mówiąc o kilku agentach z filii wydziału w Gainesville. – Ci wszyscy mężczyźni, Wysoki Sądzie, to jego koledzy z Wydziału do Zwalczania Przystępności i innych agencji porządku publicznego z Miami, którzy zjawili się tu dziś, by wyrazić swoje poparcie dla oskarżonego.

Sędzia popatrzył wreszcie na Dominicka i po chwili z uznaniem pokiwał głową, uśmiechnąwszy się blado.

– To rzeczywiście wygląda mi na niefortunny incydent, agencie Falconetti. – Obrzucił

sceptycznym spojrzeniem zastępcę prokuratora generalnego, Nicka Lowella, po czym znów skierował wzrok na adwokata. – Czego będziesz potrzebował w tej sprawie, Les? Więcej czasu?

W sądach federalnych ujawnienie – czyli prawo dostępu obrony do materiału dowodowego zgromadzonego przeciwko oskarżonemu i nadającego się do wykorzystania w procesie – nie przysługiwało oskarżonemu automatycznie, jak w sądach stanowych. Tylko jego część, zwana materiałem Brady’ego, a więc dowody uniewinniające, świadczące na korzyść oskarżonego, musiała być udostępniona obronie przez stronę rządową. Ale nic poza tym. Toteż oskarżyciele w sądach federalnych wykorzystywali swoją przewagę i prezentacje zaskakujących dowodów rzeczowych były na porządku dziennym. Ponadto w sądownictwie federalnym nie obowiązywała zasada składania przed procesem pisemnych zeznań pod przysięgą, żadna ze stron nie miała prawa przesłuchiwać wcześniej ani oskarżonego, ani poszkodowanego. To głównie było powodem tak wysokiego wskaźnika wyroków skazujących, bo przecież trudno zablokować cios, który spada zniecka. A w dodatku strona rządowa miała wystarczająco dużo pieniędzy, ludzi i środków technicznych, by przygotować najbardziej nieoczekiwane uderzenie.

– Niespecjalnie, Wysoki Sądzie. Zna mnie pan. Cała ta sprawa nie powinna długo trwać – odrzekł Barquet. – Rozmawiałem już z chłopcami z więzienia. Są bardzo chętni do współpracy. Agent Falconetti działał w samoobronie, tak brzmi ich zgodna opinia.

– W samoobronie?! – wycedził zdumiony prokurator.

– O jakie urazy chodzi? – zapytał sędzia, ignorując Lowella.

– Rozbity nos – wyjaśnił adwokat.

– I sprawa rozbitego nosa trafiła do sądu federalnego? – spytał zdumiony sędzia, wysoko unosząc krzaczaste brwi i układając je w łukowaty przejaw niedowierzania.

– Rozbity nos i wyłamany ząb – wtrącił pospiesznie Lowell.

– Strażnicy więzienni mówili mi zupełnie co innego, panie Lowell – rzekł powoli Les.

– Ich zdaniem poszkodowany miał w swojej celi śmierci zdecydowanie za dużo czasu na obmyślanie zemsty. Uważają, że miał tylko lekko rozbity nos do czasu, aż sam sobie postanowił dodatkowo zdefasonować twarz.

– Przecież to wariactwo, Les – mruknął oskarżyciel, kręcąc głową. – Dysponujemy nagraniem wideo.

– Sami możecie porozmawiać ze strażnikami. A na tym nagraniu niewiele widać. W

każdym razie na pewno nie widać, co poszkodowany robił w swojej celi dwie godziny później, prawda?

– Dlaczego ta sprawa nie trafiła do sądu stanowego? – zapytał sędzia Guthrie, po raz kolejny unosząc brwi.

– Bo nikt jej nie chciał, panie sędzio – pospieszył z wyjaśnieniem Les.

Lowell wzruszył ramionami.

– Pan Bantling ma przecież swoje prawa, Wysoki Sądzie – wtrącił nieśmiało. –

Niezależnie od tego, kim jest.

– I dlatego przyszliście z tym do mnie? Po wyrok federalny za zwykłe pobicie? –

Sędzia ze zdeglustowaną miną pokręcił głową i sięgnął po drugiego pączka. – Rzeczywiście powinniśmy to załatwić jak najszybciej, skoro pan Barquet nie potrzebuje więcej czasu.

Ustalmy termin.

Dominick, wciąż stojąc nieruchomo z rękoma skrzyżowanymi na piersi, przysłuchiwał

się z obojętną miną, jak prawnicy ustalają daty mające rzutować na jego przyszłość. Co prawda odnosił wrażenie, że fortuna zaczyna mu sprzyjać, ale i tak w tym sądowym towarzystwie czuł się nieswojo. Wiedział jednak z doświadczenia, że oskarżony powinien trzymać gębę na kłódkę i odpowiadać wyłącznie na pytania.

Był niepomiernie zawstydzony, wręcz zażenowany całą tą sytuacją. Czuł się skrupowany nie tyle wobec sędziego, który ustalał termin jego rozprawy, ile wobec kolegów obserwujących go w roli oskarżonego. Od czasu gdy został zawieszony, telefon w jego mieszkaniu dzwonił prawie bez przerwy, wszyscy chcieli mu okazać zainteresowanie, pogadać przy piwie, wyrazić współczucie. Właśnie dlatego rzadko bywał ostatnio u siebie.

Dużo biegał, ćwiczył na siłowni, przesiadywał w bibliotekach i kawiarniach, byle tylko nie odpowiadać na te telefony. Rozum mu podpowiadał, że powinien się uważać za szczęśliwca z powodu tak gremialnego poparcia znajomych, wolał jednak, żeby kolegów nie było na sali rozpraw, może z wyjątkiem Manny'ego. Domyślał się, że po wyjściu z sali zostanie przez nich otoczony, będą go poklepywać po plecach i ciągnąć na wspólny lunch, żeby przy piwie podzielić się swymi uwagami na temat idiotyzmów wymiaru sprawiedliwości. Ale gdy jego pięć minut dobiegnie końca, oni wszyscy wrócą do Miami, do swoich zadań, podczas gdy on... No cóż, pewnie wróci na siłownię.

Les Barquet skończył wreszcie urabiać sędziego i zawstydząć prokuratora, spakował

swoją teczkę i poprowadził Dominicka głównym przejściem do drzwi sali. Za gromadką jego przyjaciół i kolegów z pracy siedziała także siostra, która specjalnie tego ranka przyleciała z Long

Island. Dominick skinął im wszystkim głową, mając nadzieję, że nie czerwieni się ze wstydu.

I wtedy dostrzegł C.J. Siedziała samotnie na pierwszym miejscu od przejścia tuż przy drzwiach. Uśmiechnęła się do niego ciepło. Wyglądała na bardzo zmęczoną, nawet gruba warstwa pudru nie mogła zamaskować ciemnych półkoli pod pięknymi zielonymi oczami.

Wstając z ławki, powiedziała do niego coś bezgłośnie, ale nie zrozumiał.

Ponad tydzień minął już od ich spotkania w korytarzu przed jego mieszkaniem.

Dzwoniła w tym czasie, ale nie odpowiadał. Teraz widział ją po raz pierwszy od tamtej wymiany zdań. W pierwszej chwili poczuł się tak, jakby dostał silny cios w brzuch, aż zatkało mu dech w piersi. Pomyślał, że musiała się wśliznąć na salę już po rozpoczęciu posiedzenia, bo jej nie widział, kiedy wcześniej rozglądał się po widowni. W głębi ducha miał nadzieję, że i ona się zjawi, choć rozum mu podpowiadał, że byłoby lepiej, gdyby nie przyszła, bo dowiodłoby to, że miał rację. Ponadto zyskałby konkretny powód, żeby się gryźć i wściekać, hodując w sercu nienawiść do niej. Ale jednak przyszła.

Do diabła, tak bardzo mi ciebie brakuje. Nawet nie przypuszczał, że tęsknotę można odczuwać jak ból fizyczny. Ale zarazem było mu wstyd, że spotykają się w takich okolicznościach. Z jednej strony chciał podbiec, złapać ją za ramiona i już tutaj, na sali sądowej, wstrząsnąć nią silnie, a potem przytulić z całej siły, żeby zrozumiała, że nigdy nie musi przed nim uciekać. Z drugiej zaś nie mógł zapomnieć o tym, co powiedziała. Nie miał

szans na to, aby ją naprawić. Być może nie miał się też co łudzić, że choć trochę ulży jej w cierpieniach i pomoże zwalczyć nocne koszmary. Utworzył się dziwny impas między jej przeszłością a teraźniejszością, aż wreszcie przeszłość znowu zaczęła brać górę. Domyślał

się, że już zawsze tak będzie. Bo świetnie znał powód takiej sytuacji.

Dlatego nie zatrzymał się ani jej nie przytulił, choć pragnął tego z całego serca. Musiał

zebrać w sobie całe męstwo, żeby przejść obok, wsiąść do windy i na zawsze zniknąć z jej życia.

C.J. z uporem wbijała wzrok w jego plecy, kiedy stał bez ruchu przed sędzią. Miał na sobie granatowy garnitur, który w ubiegłym roku kupili razem w sklepie firmowym Brooks Brothers w Sawgrass Mills. Odnosiła wrażenie, że zaczął się lekko garbić. Przed wizytą w sądzie ogolił się i ostrzygł na krótko, nie nosił już tej niechlujnej, skołtunionej brody, którą miał, gdy widziała go poprzednim razem. Widocznie doszedł do słusznego wniosku, że sędziowie nieufnie traktują brodatych i zarośniętych oskarżonych. Domyślała się, jak bardzo jest skrupowany. Zdążyła poznać język jego ciała, toteż odczytywała teraz bez trudu, że czuje się zupełnie przybity.

Siedziała w Starbucks po drugiej stronie ulicy, skąd widziała, jak Manny i Chris Masterson wchodzą do gmachu sądu. Odczekała jeszcze parę minut, dopijając kawę, bo chciała ruszyć za nimi dopiero wtedy, gdy przejdą kontrolę i znikną w głębi budynku.

Domyślała się, że na sali będą zapewne inni śledczy ze specjalnego zespołu dochodzeniowego, dlatego wolała zaczekać, aż minie dziewiąta – wszyscy na widowni zajmą miejsca, a woźny wywoła przedstawicieli obu stron i ogłosi rozpoczęcie posiedzenia – bo miała nadzieję, że w tylnych rzędach nie zastanie nikogo ciekawskiego, kto mógłby ją zasypać pytaniami. Wcześniej zadzwoniła do sekretariatu i dowiedziała się, że sprawa Dominicka będzie rozpatrywana o dziewiątej, miała więc pewność, że jej nie przeoczy.

Musiała tu przyjechać. Obiecała mu to przecież.

I zawsze będę na ciebie czekała, tu czy gdzie indziej, jeśli tylko tego zechcesz.

Bez pośpiechu wyszła z baru i ruszyła przez ulicę. Tamtego wieczoru w korytarzu przed jego mieszkaniem nie zareagował na jej ofertę, lecz dla niej nie miało to większego znaczenia. To ona wprowadziła w ruch ten mechanizm i z jej powodu Dominick został

oskarżony. Mimo że nie odpowiadał na zostawiane przez nią wiadomości, zdecydowała się jednak przylecieć do Jacksonville. Naprawdę była gotowa czekać na niego wszędzie, nawet jeśli w chwili obecnej sobie tego nie życzył.

W końcu sama nie wierzyła, że gdy tylko ją zobaczy, chwyci ją w ramiona i przytuli jak w tandetnym romansidle, że nagle o wszystkim zapomni i jej wybaczy. Ale jednak miała taką nadzieję. Łudziła się, że daruje jej przynajmniej to, że wyjechała bez słowa, bez żadnych wyjaśnień czy przeprosin, że go rozczarowała i sprawiła mu ból.

Ale nie wierzyła także, iż przejdzie obok niej obojętnie, bez chwili zawahania; że nie uśmiechnie się ani trochę, nie skinie jej głową, w ogóle nie zareaguje na to, co powiedziała szeptem. Kiedy ją dostrzegł na widowni, zauważyła w jego oczach błysk zaskoczenia, nim po chwili zastąpił go wyraz bólu i złości. Jeszcze zanim spojrzał w inną stronę, serce zamarło jej w piersi. Przez chwilę sądziła, że to przejaw łączącego ich bliskiego związku, gdyż tylko u kochanków jedno krótkie spojrzenie potrafi zastąpić wiele słów. Szybko uświadomiła sobie jednak, że niepotrzebnie się łudzi. Bo przecież minął ją obojętnie i wyszedł na korytarz, a ciężkie wahadłowe drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

Wiele razy uderzało ją, że gdy ktoś próbuje opisać złamane serce w książce, przedstawić w filmie czy opisać podczas rozmowy, operuje drażniącymi banałami. Ale w takiej chwili i jej do głowy napłynęły słowa, które od dawna uznawała za żałośnie melodramatyczne. Poczwała nagle, jakby coś w głębi jej serca naprawdę pękło, rozprysło się na setki odłamków i wydostało z ciała na zewnątrz, żeby już nigdy nie dało się tego naprawić.

Manny odłączył się od gromadki śledczych, którzy przyjechali tu specjalnie, żeby okazać Dominickowi swoje wsparcie, i którzy świetnie wiedzieli, że to przez nią znalazł się w poważnych kłopotach, toteż szybko pospuszczali głowy, kiedy zauważyli, że minął ją bez słowa. Misiek ruszył w jej kierunku, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, choć z jego spojrzenia można było wyczytać żal i zażenowanie, mówiące same za siebie.

– Pani mecenas! – zawołał.

Ona jednak zawróciła na pięcie i wybiegła z sali.

Na korytarzu jeszcze bardziej przyspieszyła kroku, wsiadła do pierwszej windy, po czym wypadła z gmachu sądu na skąpaną w słońcu ulicę. Zaczęła szybko zbiegać po szerokich schodach, mając nadzieję, że zdoła dotrzeć do samochodu, zanim rozklei się do reszty.

– Mam złe przeczucia, Tom. Sędzia Guthrie nie wyglądał na przekonanego – rzekł do słuchawki prokurator generalny na rejon środkowej Florydy. Obrócił się z krzesłem i wyjrzał przez okno swego gabinetu na tętniącą życiem ulicę w samym centrum Jacksonville.

– Czyżbyś zamierzał mnie przekonywać, Jeff, że nie jest to ewidentny przypadek brutalnego pobicia? Że nie mamy przykładu jawnego naruszenia praw obywatelskich utrwalonego na taśmie wideo? – odparł z naciskiem najwyraźniej zdesperowany Tom de la Flors, prokurator generalny na dystrykt południowy, jego bliski znajomy i kolega ze studiów.

– Tyle że mówimy o zupełnie innym środowisku, Tom, o innym sposobie myślenia. –

Prokurator rejonowy zamknął oczy i podrapał się po głowie, żałując, że musi prowadzić tę rozmowę ze swoim przełożonym. Czuł się zapędzony w kozi róg. – Wielu tutejszych mieszkańców to strażnicy więzienni z Raiford, Lawtey, New River czy Union. Niedaleko, bo w Tallahassee, jest centrala Florydzkiego Wydziału do Zwalczania Przystępności, nie mówiąc już o filiach innych agencji stanowych. Chyba wiesz, jak lokalni sędziowie traktują oskarżanych gliniarzy.

– Przecież masz kasetę wideo, Jeff.

– Spróbuj myśleć jak Rodney King. I wyobraź sobie, że to on musiałby odwiedzić Jacksonville.

– Tu nie chodzi o sprawy rasowe.

– Nie, lecz o zeznania szanowanego gliniarza przeciwko oskarżeniom godnego pogardy łajdaka.

– Co nie zmienia faktu, że dającego zły przykład, Jeff. Trzeba go było postawić w stan oskarżenia przed sądem federalnym, ponieważ prokuratura stanowa odmówiła wszczęcia dochodzenia.

– Bo nikt tu nie chce powtórki z tego, co zdarzyło się w Los Angeles. Oczywiście na razie nie istnieje groźba zamieszek w Jacksonville. Chcę tylko powiedzieć, że zapis wideo nie znaczy jeszcze, iż wszystko jest przesądzone.

Westchnął ciężko. Razem z Tomem studiował na wydziale prawa Uniwersytetu Duke’a, ale na tym mniej więcej kończyła się ich znajomość, a bardzo mu się nie podobało, że musi się tłumaczyć zaślepionemu politycznemu karierowiczowi z Miami, niezależnie od tego, czy znali się bliżej, czy nie. Każdy znany mu prawnik z południowej Florydy podzielał

zdanie, że do biura federalnego trafiają sami nieudacznicy. Wystarczyło im tylko trochę popuścić cugli, a zaraz coś się działo. Jeff urodził się i wychował w Jacksonville, mieszkał

poza rodzinnym domem tylko podczas studiów, ale wrócił tu po uzyskaniu dyplomu, na co bardzo nalegał jego ojciec. Teraz, gdy ukończył czterdzieści trzy lata, miał już serdecznie dość pobłażliwych uwag na temat „konserwatywnego Południa” z ust swoich kolegów mieszkających i praktykujących na

południe od Palm Beach, na terenach opanowanych przez przybyszów z Nowego Jorku i emigrantów przybyłych z południa na trzciniowych tratwach.

– Nie wiem, jak jest w Miami – ciągnął niezbyt pewnym tonem – ale tu oskarżenie stoi raczej na przegranej pozycji, Tom. Tym bardziej że oskarżony nie jest skazańcem z celi śmierci, w niczym nie przypomina seryjnego mordercy, który na tym zapisie wideo wygląda tak, jakby mógł pożreć żywcem własną matkę. Nie chodzi nawet o to, że sprawę dostał

Lowell. Dużo bardziej o to, że sędzia Guthrie i przysięgli wywodzą się spośród tutejszych mieszkańców, a będą musieli wybierać między agentem specjalnym o nieposzlakowanej opinii i nienagannym przebiegu służby a człowiekiem skazanym już za jedenaście zabójstw, który, jak widać na filmie, po otrzymaniu ciosu w szczękę uśmiecha się szeroko w nadziei, że będzie teraz miał powód do macenia w wymiarze sprawiedliwości... Otóż chcę powiedzieć wyraźnie, Tom, że to, co zostało utrwalone na kasecie, w tutejszym środowisku wcale nie jest traktowane jak naruszenie praw obywatelskich, lecz jak zasłużona nauczka. Jeśli dodamy jeszcze, że poszkodowany seryjny zabójca przysięgał publicznie, że przed laty brutalnie zgwałcił uroczą narzeczoną szanowanego oskarżonego policjanta, będziesz miał kolejny przyczynek, by się spodziewać masowych demonstracji przed gmachem sądu i wzmożonego popytu na chusteczki higieniczne.

– Mam to gdzieś! – syknął de la Flors. – Pieprzę to!

– Słucham?

– Przepraszam. Poniosło mnie. Posłuchaj, Jeff, spróbujcie popchnąć tę sprawę najdalej, jak się da, i zostawcie decyzję przysięgłym. Ten wasz „szanowany gliniarz” na wszystkie sposoby utrudnia dochodzenie federalne, nie pozwala naszym ludziom poprowadzić sprawy tutejszych morderstw na policjantach. Zresztą nie po raz pierwszy próbuje torpedować działalność Biura. Do tego wydaje się nosić nadzwyczaj grube portki.

Miał nadzieję, że używając typowego żargonu południowców, lepiej odda swoje stanowisko. Niemniej cały czas nerwowo postukiwał długopisem o biurko. Bardzo mu się nie podobało, że Dominick Falconetti traktował ich z jawną wrogością, zwłaszcza po klęsce ich dochodzenia w sprawie Kupidyna. Jemu i gromadce jego najbliższych przyjaciół trzeba było dać dobrą nauczkę. Skutecznie podstawili mu nogę, przez co nie dostał nominacji na stanowisko sędziego federalnego.

– Niech przez jakiś czas popracuje w domowym zaciszu i przemyśli sobie parę rzeczy

– ciągnął de la Flors. – Nie zaszkodziłoby też, gdyby komisarz i jego szef zastanowili się choć trochę nad postępowaniem swoich w gorącej wodzie kąpanych śledczych i tym, jak ich poczynania wpływają na reputację specjalnego zespołu dochodzeniowego.

– Chcę z góry uprzedzić, że nie zamierzam specjalnie naciskać w tej sprawie – odparł

z ociąganiem Jeff. – Carson Trunt nie tknąłby jej nawet przez najgrubszy papier – dodał, powołując się na prokuratora stanowego dla ósmego obwodu obejmującego okręg Bradford, w którym znajdowało się więzienie stanowe. Trunt słynął z wystąpień przed sądem w takich sprawach jak

pobicia w zakładach karnych. Jeff doskonale zdawał sobie sprawę, że nie będzie umiał wyjaśnić sędziemu federalnemu, dlaczego prokuratura generalna postanowiła ścigać śledczego z instytucji stanowej za to, że rozkwasił nos skazańcowi przebywającemu w więzieniu stanowym, podczas gdy z jakichś powodów władze stanowe nie chciały mieć z tą sprawą nic wspólnego.

De la Flors głośno zazgrzytał zębami.

– Dysponujesz kasetą wideo z nagraniem sytuacji, w której gliniarz bije pięścią po twarzy więźnia skutego kajdankami, a martwisz się o to, co pomyślą ludzie, gdy będziesz za bardzo naciskał, by wydano wyrok skazujący? – Ostentacyjnie westchnął ciężko, po czym dodał swobodniejszym tonem: – Mam nadzieję, że dobrze przemyślałeś swoje stanowisko. W

końcu Carson Trunt jest w wieku emerytalnym, a tak się składa, że mamy w tym roku wybory, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę i kręcąc głową z niedowierzania, popatrzył na Marka Grackera, który siedział przed jego biurkiem i rogiem wizytówki wydlubował sobie brud zza paznokci.

– Jak słyszałeś, nikt się tam nie cieszy z tej sprawy, oględnie rzecz ujmując – rzekł.

Gracker w zamyśleniu przytaknął ruchem głowy, lecz nie odezwał się ani słowem.

– Chyba powinieneś się pośpieszyć z realizacją swoich planów – dodał de la Flors.

Cholerni południowcy, pomyślał, przeciągając dłonią po rzednących włosach. Nic dziwnego, że przegrali tę przeklętą wojnę secesyjną. *Wzmożony popyt na chusteczki higieniczne.* Co to miało być, do cholery? Sąd federalny czy zjazd przekupek na wiejskim jarmarku?

Bill Bantling z uśmiechem skręcił do swojej celi znajdującej się w połowie długości korytarza, który nie wydawał mu się już tak szary i posepny jak godzinę temu. Spotkanie z adwokatem natchnęło go optymizmem. Okazało się nawet bardziej owocne, niż myślał.

Był świadom, że szanse powodzenia w wystąpieniu poprocesowym – niezależnie od jego natury – wynoszą mniej więcej jak jeden do czterystu pięćdziesięciu. Przynajmniej tak utrzymywali inni więźniowie i ten leniwy strażnik, który sprawował pieczę nad ich blokiem.

Poznał takich, którzy przez lata składali w sądach stanowych po dziesięć, piętnaście, a nawet trzydzieści wniosków apelacyjnych odwołujących się do zasady trójek, drugie tyle do sądów federalnych na podstawie równorzędnego przepisu numer 2254, nie mówiąc już o niezliczonych wystąpieniach o dostęp do jawnych akt państwowych, bezzasadnych skargach na nieprawne aresztowanie, petycjach o zmianę sędziego lub przeniesienie sprawy do innego sądu i wielu innych pismach dotyczących praw, na których nazwach łacińskich można było sobie połamać język. Oczywiście adwokat powtarzał, że jego szanse powodzenia są o wiele większe, lecz Bill do tej pory uważał, że wynika to jedynie z chęci otrzymania wysokiej zaliczki.

Ale teraz, po wstępnym posiedzeniu, jego szanse nagle wzrosły i wynosiły jeden do pięćdziesięciu. Nawet jeśli założyć, że z tych samych powodów adwokat trochę przesadził, to i tak sytuacja przedstawiała się całkiem nieźle. W każdym razie wyglądało na to, że wywalczył sobie przynajmniej krótkie wakacje, podróż przez piękną słoneczną Florydę i spotkanie ze starymi znajomymi, a więc niemalże prawdziwe świąteczne przyjęcie. Do tego mógł jeszcze doliczyć małą premię, na którą zanadto nie liczył: oskarżenie federalne i zawieszenie w obowiązkach służbowych szefa zespołu dochodzeniowego. Do diabła! Jak na razie miał przewagę w tej rozgrywce z gospodarzami boiska!

Zapowiadała się niezła zabawa. Dysponował jeszcze fantami, które powinny do reszty udupić tę mściwą Chloe, zamknąć ją na dobre w jej własnej celi, sam na sam ze szczurami, z perspektywą spotkań z dawnymi przyjaciółmi i kochankami najwyżej raz w tygodniu, jak dobrze pójdzie. Rzecz jasna, jeśli znów nie wyląduje w wariatkowie. Bo tam miałyby normalną celę, bez klamki, o białych ścianach wyłożonych materacami, i przez dłuższy czas nie miałyby co liczyć na żadne odwiedziny. *To mogłoby być jeszcze ciekawsze.* Aż zachichotał do własnych myśli. Wiedział przecież, jak wiele może mimo niesprzyjających warunków. Udało mu się zmusić Lourdes Rubio, żeby w swoim piśmie błagała o wybaczenie.

I zdobył taśmę z policyjnym nagraniem. Chloe nie mogła mu się już przeciwstawić. Nikt nie mógł. Reszta zginęła. Jej posłuszne małpki nie żyły. Nie miała już żadnych fagasów. Była sama. Stała się ostatnim świadkiem.

Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem, wrócił do swojej celi mającej dwa na trzy metry. Ale już nie na długo. Chyba mógł się zacząć pakować. Zabrać szczoteczkę do zębów i włożyć najlepsze niedzielne ubranie. Zamierzał przecież wrócić do domu.

Zanotował w myślach, że gdy w przyszłym tygodniu znów zawita do śródmieścia, będzie musiał się także zająć innymi pomniejszych sprawami. Byli przecież inni, którzy nie marzyli o niczym innym, jak

o tym, żeby zgnił w więzieniu za coś, czego nie zrobił. Nie tylko Chloe usiłowała sterować jego przyszłością. Dlatego nie mógł się doczekać, kiedy usłyszy na własne uszy to nagranie policyjnego zgłoszenia, gdyż był prawie pewien, że potwierdzi ono jego najnowsze podejrzenia co do autora donosu, którym także należało się zająć. Zostało mu jeszcze parę atutów w rękawie, żeby kontynuować tę partię z Biurem Prokuratora Stanowego i nowo zdobytymi przyjaciółmi z prokuratury generalnej. Liczył zwłaszcza na pewne smakowite kąski dotyczące prawnego systemu wymiany towarowej, które zamierzał

wykorzystać, jeśli sprawy nie pójdą po jego myśli.

Nie znał jeszcze imienia i nazwiska, spodziewał się jednak, że już niedługo pewne tęgie głowy zdołają dla niego zidentyfikować tego, który kłamał własne gniazdo, prawdopodobnie ukrywał się za policyjnym mundurem, a który na razie był znany tylko pod pseudonimem.

Glinozabójcy.

Musiła to załatwić sama.

Jadąc windą na trzecie piętro, niemal słyszała głos ojca, który w rozmowie telefonicznej bez wahania potwierdził tę decyzję. Zanim drzwi się otworzyły, wyprostowała ramiona i przepchnęła się bliżej wyjścia, by jak najszybciej znaleźć się na korytarzu, o tej porze, to znaczy o pierwszej po południu, straszliwie zatłoczonym, gdyż prawnicy wracali po przerwie na lunch, a ludzie przychodzili na posiedzenia z popołudniowej wokandy.

Sędzia Chaskel zarezerwował jedną z największych sal w gmachu, noszącą numer 4-8, żeby pomieścić żadnych sensacji dziennikarzy. Jego zakaz kontaktów z prasą odniósł aż nadto widoczny skutek, a unikanie jakichkolwiek komentarzy na temat zamkniętego przesłuchania Huffa w sprawie Bantlinga tylko dodatkowo rozsierdziło przedstawicieli mediów. Chcąc uniknąć niepotrzebnych dyskusji na temat prawa dostępu do informacji czy wolności słowa, które traktował jak bezcelowe roztrząsanie wartości jin i jang, Chaskel umożliwił wszystkim zainteresowanym wstęp na posiedzenie dotyczące prezentacji materiału dowodowego, nie cofnął jednak zakazu kontaktów z prasą. Na szczęście Neil Mann zanadto bał się zdenerwować sędziego, a może nie był wystarczająco sprytny, żeby stanąć po stronie dziennikarzy pod hasłem, jedziemy na jednym wózku”. Mógłby w ten sposób zyskać trochę jakże potrzebnej sympatii dla swojego klienta, ale nie posunął się do tego.

C.J. ruszyła wraz z towarzyszącą jej Rose Harris przez zatłoczony korytarz, wyciągnąwszy przed siebie wolną rękę, by zawczasu dać znak, że nic nie powie. Z ulgą spostrzegła, że Rose przyjęła dokładnie tę samą metodę. Pracowały razem w biurze od dziesięciu lat, a od pięciu w Wydziale Zabójstw, ale się nie zaprzyjaźniły. Wydarzenia ostatnich paru tygodni wprowadziły tylko dodatkowe napięcie w ich stosunkach. Mimo to musiały stanąć wspólnym frontem zarówno przeciwko Chaskelowi, jak i prokuratorowi stanowemu oraz prasie, dlatego szły ramię przy ramieniu, razem popychając wózek wyładowany dokumentami. C.J. świetnie wiedziała, iż Rose ma pretensje o to, że losy jej wygranych spraw przeciwko Bantlingowi zależą od jej sprawy, że gdy wyrok zostanie unieważniony, tak samo utracą prawomocność jej zwycięstwa.

Rose była tak samo twarda na sali sądowej, jak w życiu prywatnym. Wykorzystywała wszystkie swoje atuty, by jak najszybciej piąć się po szczeblach kariery, wyprzedzając mężczyzn przez lata starających się o awans. Ale oskarżała w pozostałych dziesięciu zabójstwach Kupidyna tylko dlatego, że C.J. przekazała jej te sprawy. Bardzo jej zależało na oskarżeniu Bantlinga w sprawie Anny Prado, ale popełniłaby niemal emocjonalne samobójstwo, gdyby chciała uczestniczyć w kolejnych rozprawach. Cztery tygodnie na sali sądowej z oskarżonym wystarczyły jej w zupełności. Toteż gdy tylko uzyskała wyrok skazujący, przekazała resztę sprawy Rose, a zasada Williamsa zaważyła na dalszych wyrokach. Teraz jednak zanosilo się na to, że całą tę historię trzeba będzie pisać od nowa, toteż nikt nie był szczęśliwy.

Kiedy Travis Cormier, strażnik z więzienia stanowego, otworzył przed nią drzwi sali, zawahała się na chwilę. Jak u konia, któremu instynkt podpowiada, żeby nie skakać przez przeszkodę, zeszywniałe nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Domyślała się, że on już tam jest.

Wyczuwała jego obecność.

– Wchodzi pani? – zapytał zniecierpliwiony strażnik. – Bo drzwi nie chcą same pozostać w tej pozycji.

Nie mogła dopuścić, żeby znów zaczął mieszać jej w głowie. Była przecież silniejsza.

– Tak – odparła. – Przepraszam. Zdawało mi się, że o czymś zapomniałam.

Z trudem przełknęła ślinę, żeby odpędzić strach, po czym wkroczyła na salę, mając nadzieję, że nogi jej więcej nie zawiodą.

Sala była już prawie wypełniona przez gapiów i dziennikarzy, lecz nawet nie rozejrzała się po widowni. Od razu utkwiła spojrzenie w plecach Neila Manna, któremu zaniedbane czarne proste włosy spadały na kark. Stał przy stole obrony, lekko przygarbiony, aż marynarka pomarszczyła mu się pod pachami, zasłaniając przed jej wzrokiem człowieka, którego wyczuwała z daleka, a który chyba tylko na nią czekał.

Mann złożył formalny wniosek, by jego klient mógł występować przed sądem bez łańcuchów i oków, na co sędzia Chaskel wyraził zgodę. W związku z tym Zarząd Więziennictwa postanowił wykorzystać do ochrony najszlachetniejszego więźnia stanowego ostatnią nowinkę elektroniki. Skazaniec był w garniturze i siedział swobodnie, z nogą założoną na nogę, lecz pod krawędzią nogawki widać było nad kostką opaskę radiowego urządzenia o nazwie „Bandyta”. Było ono sprzężone z podobnym „pasmem reakcyjnym” niewidocznym pod koszulą i marynarką. W gruncie rzeczy były to elektrody zdolne wytworzyć impuls elektryczny, który powaliłby na kolana dwustukilogramowego olbrzyma, gdyby dowódca straży wcisnął guzik nadajnika. Bantling przybył z Raiford z własną świtą złożoną z czterech sierżantów, jednego porucznika i dwóch szeregowych funkcjonariuszy straży więziennej, nie licząc kierowców furgonetki oraz wozu obstawy. Nikt nie zamierzał

nadstawiać karku i ryzykować hańbiącego wpisu do akt osobowych. Teraz eskorta skazańca stała pod ścianą za stołem obrony i za ławami sędziów przysięgłych. Dodatkowo strażnicy sądowi strzegli tylnych drzwi oraz przejścia do gabinetu sędziego.

C.J. powoli uniosła wzrok i popatrzyła na długie szczupłe białe palce niecierpliwie bębniące jakiś rytm na stole obrony. Do kompletu brakowało jej tylko wyrazu jego twarzy, wciąż ukrytej za sylwetką adwokata. Ale i same te palce przykuły jej uwagę. Mimo że była jeszcze dość daleko, mogłaby przysiąc, że słyszy zgrzytanie paznokci o blat stołu i cichy gwizd w reakcji na jakąś wiadomość. A może oznaczający tylko wyczekiwanie na odpowiednią chwilę?

– Proszę wstać! – zawołał niespodziewanie Hank, woźny sędziego Chaskela.

Nie miała nawet czasu do namysłu. Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i wyłonił się z nich sędzia Chaskel, który z dziwnym pośpiechem zajął miejsce za stołem prezydialnym. C.J. przyspieszyła kroku.

– Proszę wyłączyć telefony komórkowe i przywoływacze na czas posiedzenia pod groźbą ich

zarekwirowania. Posiedzeniu przewodniczy czcigodny sędzia Leopold Chaskel Trzeci. Proszę siadać i zachować spokój!

Hank pracował w tym sądzie od trzydziestu paru lat i gdzieś po drodze całkowicie zatracił zdolności dyplomatyczne. Traktował teraz wszystkich podobnie, to znaczy jak powietrze.

Sędzia spojrzął na zegarek, po czym zmierzył wzrokiem C.J. w pośpiechu zajmującą swoje miejsce. Odczekał w milczeniu, aż obie z Rose Harris znajdą się za stołem oskarżenia, usiądą i rozpakują teczek z dokumentami. Na sali panowała grobowa cisza, jakby wszyscy na widowni oczekiwali, że lada chwila sędzia wrzaskami nakłoni oskarżenie do pośpiechu. C.J.

usłyszała nawet kilka głośnych westchnień w ławach za swoimi plecami, jakby siedzący tam ludzie czekali na nią już od paru godzin. Zapanowała tak napięta atmosfera, że gdy Rose niechcący stuknęła o stół długopisem, C.J. miała ochotę dać jej kuksańca w bok.

Jak mogło dojść do takiej sytuacji? Dlaczego czują się jak szkolny wyrzutek, obok którego nikt w klasie nie chce siedzieć? Jeśli nawet z Rose nie łączyła ich przyjaźń, to przecież obie nawzajem bardzo się szanowały. C.J. setki razy występowała wcześniej przed Chaskelem i jak dotąd nic ich nie poróżniło, a w każdym razie nigdy nie miała kłopotów z powodu niewielkiego spóźnienia. Teraz jednak miała wrażenie, że sędzia przeszywają świdrującym spojrzeniem. *Zrobiłam się nazbyt wrażliwa czy rzeczywiście wszystko uległo zmianie?*

Pochylona nad papierami, nie zdążyła jeszcze dostrzec miny Bantlinga, gdy poczuła, że ten uśmiecha się ironicznie. Może nawet bezgłośnie chichocze drwiąco. Nie miała bowiem wątpliwości, że na użytek sędziego i adwokata, jak również opinii publicznej, ma wystudiowany wyraz twarzy zdający się mówić: „Pomóżcie! Zostałem wrobiony!”

– Proszę wybaczyć, panie sędzio – odezwała się C.J.

– Czy oskarżenie jest już gotowe? – zapytał Chaskel.

– Tak, Wysoki Sądzie – odpowiedziała Rose.

– Tak, Wysoki Sądzie – zawtórowała jej półgłosem C.J.

Miała nadzieję, że uda jej się zaczekać, aż Bantling zajmie miejsce dla świadków, kiedy to będzie musiała na niego spojrzeć. Ale nie wytrzymała.

Liczyła na to, że ujrzy zniedołężniałego i przybitego starszego mężczyznę. Ale i pod tym względem się myliła.

Lodowate błękitne oczy tylko czekały, aż odwróci głowę w ich kierunku. Spojrzenie Bantlinga przeszło ją na wylot. Jego twarz wydawała się bezbarwna, ale z pewnością nie była to twarz człowieka zniedołężniałego ani tym bardziej przybitego. Z poważną miną i czołem wspartym na rozczapierzonych palcach dłoni Bantling obrócił się tak, żeby znaleźć się w polu widzenia najbliższej kamery wycelowanej w sędziego. Po czym wolno, samym ruchem warg, przesłał jej pierwsze słowa od trzech lat:

Witaj ponownie.

Neil Mann był zdenerwowany, i to do tego stopnia, że dolna warga podrygiwała mu w oszalałym rytmie tiku, którego nabawił się jeszcze w dzieciństwie. Był to jeden z głównych powodów, dla których zarzucił karierę adwokata procesowego.

Ale na tym kliencie bardzo mu zależało. Nie tyle chodziło o sówite wynagrodzenie, ile o rozgłos. Czuł bowiem, że Bill Bantling może dla niego znaczyć tyle, co William Kennedy Smith dla Roya Blacka: wynieść go na niebotyczne poziomy najbogatszych klientów, gdzie stawki wynoszą po czterysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę, a stacje telewizyjne zapraszają do dyskusji w roli eksperta prawnego.

Jego marzenia były jednak poważnie zagrożone.

Ta głośna sprawa, która mogła diametralnie odmienić jego karierę, sama wpadła mu w ręce. Gdy tylko pewnej środy otrzymał list z więzienia stanowego, od razu skojarzył nazwisko Billa Bantlinga. Do listu było dołączone spisane odręcznie zeznanie Lourdes Rubio. Ledwie się z nim zapoznał, podjął decyzję, że musi kupić nowy garnitur, specjalnie na to dzisiejsze posiedzenie.

Kiedy rozmawiał z Rubio przez telefon, poznał szczegóły jej spotkania z lekko wstawionym i nieźle napalonym Victorem Chavezem w pewnym barze w South Beach, mniej więcej tydzień po aresztowaniu Bantlinga. Gliniarz nie wiedział wtedy jeszcze, że zgodziła się prowadzić obronę Kupidyna przed sądem, i pewnie dlatego zdradził jej w zaufaniu, że centrala policyjna odebrała anonimowe zgłoszenie, jakoby w bagażniku jaguara Bantlinga znajdowała się duża partia narkotyków. Później adwokatka opowiedziała mu o kopii nagrania tego zgłoszenia i o tym, dlaczego podjęła decyzję, żeby nie składać wniosku o unieważnienie aresztowania, a co za tym idzie wycofanie oskarżeń. Oczywiście zaproponował, że opłaci jej przelot, aby zjawiała się na Florydzie, ale nie chciała nawet o tym słyszeć. Wolał nie naciskać za mocno, żeby jej całkiem nie odstraszyć. W końcu miał dostać jej oficjalne, spisane pod przysięgą i potwierdzone przez notariusza zeznanie oraz kopię nagrania, jak również obietnicę, że Rubio przyleci na posiedzenie dotyczące prezentacji materiału dowodowego, gdyby do niego doszło. Nawet na własny koszt, jak powtarzała z naciskiem. Nie musiał

wykładać z własnej kieszeni ani centa.

Wydawało mu się wtedy, że to istny dar niebios.

Teraz jednak skłaniał się ku opinii, że niebiosą okrutnie z niego zakpiły.

Obiecane nagranie nie przyszło. Początkowo nie bardzo się tym przejmował, mając na uwadze, jak bardzo Rubio jest przewrażliwiona na punkcie bezpieczeństwa, jak zależy jej na zachowaniu tajemnicy. Przez pewien czas miał nadzieję, że zgodnie z obietnicą adwokatka zjawi się w sądzie osobiście. Poza tym znał dokładnie treść anonimowego zgłoszenia, przedyktowała mu je słowo po słowie, a to w zupełności mu wystarczyło do posiedzenia przed sądem. Czyli do dzisiaj.

Po przesłuchaniu Huffa zadzwonił do niej i zostawił wiadomość w poczcie głosowej, podając

dokładny termin tego najważniejszego posiedzenia obejmującego prezentację dowodu. Nie odpowiedziała jednak. A kiedy zadzwonił po raz drugi, nie odezwała się nawet automatyczna poczta głosowa, jakby linia została odłączona. Wtedy po raz pierwszy poczuł

lekki przyptyw paniki. W środę poddał się ostatecznie i wynajął prywatnego detektywa, który zadzwonił z wiadomościami w sobotę. I przez cały weekend Neil zachodził w głowę, jak mógłby teraz ocalić tę sprawę, która miała zaciążyć na całej jego karierze.

– Zatem w porządku, nie traćmy więcej czasu, skoro wszyscy są gotowi – powiedział

sędzia Chaskel, zajmując miejsce w swoim skórzanym fotelu. Z dumą powiódł wzrokiem po sali, dużo większej niż ta, w której normalnie urzędował, i rzekł: – Panie Mann, to pańskie przedstawienie. Proszę powołać swojego pierwszego świadka.

Neil Mann podniósł się z ociąganiem, przebierając nerwowo palcami po krawędzi stołu, na którym zostały błyszczące wilgotne ślady potu.

– Zrodził się pewien problem, panie sędzio. Czy mogę podejść do stołu?

Sędzia Chaskel odchylił się na oparcie fotela i zapytał:

– Czyżby nie zjawili się świadkowie obrony, panie Mann? W ubiegłym tygodniu otwarcie uprzedzałem przecież obie strony, że nie jestem w nastroju do żadnych pokrętnych rozgrywek w tej sprawie. Zwłaszcza teraz, gdy poczynione zostały specjalne przygotowania, a skazaniec został doprowadzony na salę posiedzeń.

– To problem bardziej złożonej natury, Wysoki Sądzie. – Neil czuł, że warga zaczyna mu dygotać coraz silniej, a był to bardzo zły znak. – Dowiedziałem się o tym dopiero podczas weekendu i prawdę mówiąc, sam nie wiem, co robić dalej. Sądziłem, że razem...

– Co się stało, panie Mann?! – rzucił zniecierpliwiony sędzia.

– Chodzi o Lourdes Rubio, Wysoki Sądzie. W czasie weekendu zadzwonił

zaangażowany przeze mnie prywatny detektyw, który...

– Czyżby pani mecenas w ostatniej chwili zmieniła zdanie i postanowiła nie przyjść na to posiedzenie? – spytał zdesperowany Chaskel.

– Ona została zamordowana, panie sędzio.

Nagle zabłysły flesze aparatów fotograficznych, wielu dziennikarzy rzuciło się do wyjścia z sali, żeby jak najszybciej dopaść automatów telefonicznych. Cyrk rozpoczął się od nowa.

– Proszę do mojego gabinetu – rzucił ostro sędzia bez mrugnięcia okiem. –

Natychmiast.

Dziennikarze pozostali na widowni odruchowo wstali z miejsc, nie czekając nawet na polecenie woźnego. Neil Mann podreptał nerwowo za sędzią zbiegającym z podwyższenia.

Za nim ruszyła protokolantka ze swoim składanym stolikiem, a za nią sekretarka Chaskela.

Dwaj strażnicy więzienni błyskawicznie zajęli pozycje po obu stronach Bantlinga.

– Nie do wiary... – syknęła Rose, kręcąc głową. – Zamordowana?... – powtórzyła napiętym szeptem. – Lepiej chodźmy, C.J. – Podniosła się z krzesła i zaczęła zgarniać papiery do teczki. – Sędzia jest najwyraźniej wkurzony. Nie denerwujmy go bardziej.

Ale C.J. siedziała, jakby przyrosła do krzesła. Gapiła się tępo na leżące przed nią dokumenty, próbując opanować narastające mdłości. Poruszyła szybko powiekami, bo niemal ujrzała przed sobą Lourdes siedzącą po drugiej stronie biurka w urzędzonej na południową modłę kancelarii w samym środku przerażającego odludzia. Nie mogła zapomnieć wyzywającego spojrzenia, którym Rubio ją obrzuciła, słysząc propozycję ujawnienia informacji objętych adwokacką tajemnicą. C.J. spodziewała się wtedy, że owe informacje pomogą ustalić tożsamość następnego szaleńca. Jednakże Lourdes odmówiła.

Zamordowana? To nie była zwykła wiadomość o śmierci, o wypadku samochodowym, złośliwym nowotworze czy guzie mózgu. *Została zamordowana.* Kiedy?

Gdzie? Czy miało to coś wspólnego z nią? I z tą sprawą? Czy sprawiała wrażenie podejrzanego zabójstwa w oczach tych wszystkich, którzy uważnie jej się teraz przyglądali? Wyglądała na winną? Nie ujawniła oficjalnie przed sądem, że ponad dwa tygodnie temu spotkała się z Lourdes, gdyż nie była do tego zobligowana. Poza tym sądziła, że Rubio powie o tym w dzisiejszych zeznaniach. Cóż więc miała począć w tej sytuacji?

– Podejrzewam, że Neil nie zdążył uprzedzić swojego klienta o tych dramatycznych nowinach – odezwała się półgłosem Rose, zerkając ciekawie w stronę stołu obrony. –

Bantling wygląda tak, jakby dostał po łbie. Tym lepiej dla nas. – Prychnęła pogardliwie.

Skazaniec rzeczywiście siedział sztywno, z łokciami opartymi na stole, i wpatrując się w stół prezydialny przed sobą, rytmicznie zaciskał i otwierał dłonie, jakby z trudem mógł nad sobą zapanować. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Jeszcze jeden strażnik więzienny dołączył

do tych dwóch, którzy już stali ze jego plecami.

– C.J., jesteś strasznie blada. Proszę, napij się trochę wody – syknęła z niepokojem Rose,

przesuwając w jej kierunku plastikowy kubeczek. – I lepiej zbierajmy się szybko, zanim Chaskel wpadnie w szal. Może zabrzmie to niewłaściwie, ale sytuacja nie wygląda najgorzej. Przynajmniej dla nas. Bez zeznań Lourdes wniosek powinien zostać oddalony.

Niech nowy dowód rzeczowy Bantlinga na zawsze pozostanie mitem, bo w ten sposób wszyscy będziemy mogli wrócić do domu dużo wcześniej, niż przypuszczaliśmy.

– Co się znów stało, do jasnej cholery?! – warknął Chaskel do Manna, gdy tylko C.J.

zamknęła za sobą drzwi przyległej do gabinetu sali konferencyjnej.

– Właśnie się dowiedziałem, panie sędzio...

– Nieprawda. Pan się dowiedział w czasie weekendu. To ja dowiedziałem się dopiero teraz, na sali sądowej, przed kamerami telewizji. – Chaskel zerknął na C.J., która stała ze wzrokiem utkwionym w podłogę. – Pani o tym wiedziała? – Podniosła szybko głowę i rozdziawiła usta ze zdumienia, toteż ciągnął dalej: – Widzę, że też nie. Zatem, co się stało, panie Mann?

– Nie mogłem skontaktować się z panną Rubio od czasu przesłuchania Huffa.

– I nie przyszło panu do głowy, żeby mnie o tym uprzedzić?

– Ona prowadziła pustelniczy tryb życia, panie sędzio. Dopiero w ubiegłym tygodniu nabrałem podejrzeń. A ponieważ nie chciałem przeciągać rozprawy i odwlekać sprawiedliwego wyroku dla mojego klienta, zaangażowałem prywatnego detektywa, któremu poleciłem odnaleźć panną Rubio. Zależało mi na tym, żeby zabezpieczyć materiał dowodowy, o którego istnieniu już powiadomiłem Wysoki Sąd, oraz nakłonić ją do złożenia zeznań, gdyby miała jeszcze jakieś wątpliwości. W sobotę otrzymałem wiadomość, że panna Rubio nie żyje już od kilku tygodni, padła ofiarą nieudanego napadu rabunkowego na jej biuro.

Policja prowadzi jeszcze dochodzenie, ale jak dotąd nie ma nawet podejrzanych. Nie mieliśmy wcześniej żadnych wiadomości, ponieważ panna Rubio zerwała wszelkie kontakty, wyjeżdżając z Florydy. Jej matka zmarła rok temu i nie pozostała jej tutaj żadna bliższa rodzina. Bardzo mi przykro, panie sędzio – dokończył, wbijając spojrzenie w czubki swoich butów.

– Trzeba było mnie o tym zawiadomić przed rozpoczęciem posiedzenia.

– Nie wiedziałem, jak to załatwić, Wysoki Sądzie. Nadal nie wiem. Przecież to ostatnia szansa pana Bantlinga.

– Nie licząc apelacji federalnej.

– Na złożenie wniosku według przepisu dwadzieścia dwa pięćdziesiąt cztery też nie zostało mu dużo czasu – odparł Mann, odwołując się do zasad występowania z odwołaniem do władz federalnych na podstawie zapisów konstytucyjnych, gdyż w takich sytuacjach bardzo ściśle przestrzegano wyznaczonych terminów.

– To już nie moje zmartwienie – rzucił wyraźnie zdesperowany Chaskel. – Muszę się zastanowić. Dysponujemy spisanim zeznaniem panny Rubio, złożonym pod przysięgą.

– Jak dotąd to tylko pogłoski. Oskarżenie nie będzie mogło przepytac świadka w tej sprawie, panie

sędzio – odparła szybko Rose.

– Przecież ona nie żyje, panno Harris.

– Oczywiście. Nie chcę, by zabrzmiało to bezdusznie, ale nie stało się to z winy oskarżenia. Przykro mi, ale nie możemy rezygnować z prawa zadania pytań świadkowi, zwłaszcza jeśli jego pisemne zeznanie mogłoby stać się przyczyną unieważnienia jedenastu wyroków skazujących.

– Jakoś nie słyszałem, żeby oskarżenie mówiło o pogłoskach, kiedy ustalaliśmy tryb przyjęcia wcześniejszych zeznań zabitego funkcjonariusza Chavez – odparł Chaskel.

– To zupełnie co innego. Podczas procesu świadek Chavez został gruntownie przepytany przez obronę. Jego zeznania spisano zgodnie z wszystkimi zasadami –

zaprotestowała Rose.

– Więc co pani proponuje? Mam po prostu zignorować zgłoszony przez obronę nowy dowód rzeczowy i odesłać pana Bantlinga do celi śmierci? Tylko dlatego, że świadek mogący go uwolnić od winy, nawiasem mówiąc, jego obrońca, który oficjalnie przyznał się do uchybienia zasadom etyki zawodowej, został zamordowany? – sędzia popatrzył na Neila Manna, ten zaś wyraźnie się rozpromienił. – Nagrania zgłoszeń policyjnych należą do zapisów urzędowych, sądzę więc, że kopię tego nagrania może przedstawić kierownik archiwum z Miami Beach. Nie wątpię, że z jego pomocą pan Mann zdoła przytoczyć argumenty świadczące na korzyść klienta, prawda? Adwokat wstydliwie spuścił głowę.

– Nie mam tego nagrania, panie sędzio. Mówię o taśmie. Lourdes Rubio miała ją przywieźć ze sobą. Oryginał został zniszczony przed laty, gdyż tego typu nagrania są w policyjnej centrali kasowane po miesiącu. Rubio opowiadała, że udało jej się zdobyć kopię w ostatniej chwili, dwudziestego dziewiątego dnia po zgłoszeniu.

Chaskel zmarszczył brwi.

– To ma być żart? Nie wyobrażam sobie, żeby mówił pan serio. Czynię wszelkie starania, by umożliwić pańskiemu klientowi prezentację przed sądem nowo odkrytego dowodu rzeczowego, a pan mi teraz mówi, że nie dysponuje tajemniczym nagraniem, od którego zaczęła się cała heca? Jak to możliwe? – Popatrzył na Rose i C.J. – Oskarżenie zyskało dostęp do całego materiału dowodowego zebranego przez pannę Rubio. Nie ma w nim tej kasety?

– Nie ma nawet wzmianki o jej istnieniu – odparła pospiesznie Rose.

C.J. odniosła wrażenie, jakby żołądek przewrócił jej się do góry nogami.

– Nie ma, panie sędzio – potwierdziła. – Nie znalazłam wśród papierów żadnej kasety.

Przynajmniej na ten temat nie musiała kłamać.

– Boże, co za bajzel – syknął Chaskel. – Będę przeklęty, niezależnie od tego, jaką podejmę decyzję. –

Przeciągnął ręką po włosach i westchnął ciężko. – Muszę coś sprawdzić. I wam też to radzę. Spotkamy się jutro o dziewiątej. Chcę widzieć u siebie wszystkich, bez wyjątku, najlepiej z jakimś rozsądnym, umotywowanym prawnie pomysłem wyjścia z tego impasu. Od naszych poczynań zależy życie człowieka, więc postarajmy się załatwić to, jak należy.

Zanim C.J. wróciła do swojego gabinetu po drugiej stronie ulicy, znała już wszelkie przerażające szczegóły zbrodni. Reporterzy komentowali je na wszystkich kanałach, nawet przerwano nadawanie oper mydlanych i teleturniejów, żeby na bieżąco poinformować opinię publiczną, skoro trwał wyścig o palmę pierwszeństwa w ujawnianiu faktów i pokazywaniu zdjęć z miejsca zbrodni. Tylko niektóre stacje postanowiły uszanować zasady moralne i zamazały na zdjęciach sylwetkę zabitej Lourdes Rubio, pokazując wyraźnie jedynie plamy krwi na wykładzinie podłogowej jej kancelarii. Inne zdecydowanie bardziej dbały o oglądalność niż zawodową etykę i niemal na okrągło prezentowały bulwersujące zdjęcia, co oczywiście musiało stać się tematem kolejnej gorącej debaty.

Zwłoki adwokatkę odkryto w piątkowe popołudnie, po tym, jak przez cały tydzień nie stawiała się na posiedzeniach w sądzie. Można było odnieść wrażenie, że jej nieobecność nie zwróciła niczyjej uwagi, może z wyjątkiem zostawionych na lodzie klientów. Zwłoki na podłodze kancelarii odnalazła sprzątaczką. Lourdes zmarła z upływu krwi z licznych ran ciętych. W pokoju nie znaleziono jej torebki ani zegarka. Sprawca brutalnie zerwał jej kolczyki i pościągał pierścionki, co świadczyło, że padła ofiarą napadu rabunkowego. Jako ostatni widział ją żywą klient, z którym spotkała się w piątkowe przedpołudnie, przed weekendem wydłużonym ze względu na Święto Prezydenta, tuż przed silną śnieżycą, która tego samego popołudnia sparaliżowała znaczną część stanu. Ze względu na to, że zwłoki odnalezione dopiero po tygodniu znajdowały się już w zaawansowanym stadium rozkładu, trudno było określić choćby przybliżoną datę i godzinę śmierci. Na podstawie nieobecności w sądzie oceniano, że Rubio zginęła gdzieś między piątkowym popołudniem a wtorkiem rano.

C.J. wyszła z jej kancelarii owego feralnego piątku o wpół do trzeciej po południu, kiedy już padał śnieg. Wciąż pamiętała, z jakim impetem wiatr natarł na nią po wyjściu na ulicę i zatrzasnął z hukiem drzwi, wyrrywając jej klamkę z ręki.

Kilkakrotnie sprawdzała zapiski w swoim terminarzu, ale daty się zgadzały. Wprawiło ją to w kompletne osłupienie, nie mogła myśleć o czym innym. Wołała jednak o nic nie pytać i z nikim nie rozmawiać. Nie potrzebowała więcej żadnych informacji, choć jako prokurator zdobyłaby je bez trudu.

Czy „liczne rany cięte” oznaczały również poderżnięte gardło? Czy język wraz z całym mięśniem nie został wyciągnięty przez ranę na zewnątrz, tworząc kolumbijski krawat? Czy na miejscu zbrodni znaleziono jakieś odciski palców lub włókna z ubrania zabójcy? Czy zdołano je zidentyfikować? Należały do niej? A może ustalono jeszcze innych podejrzanych? Na pewno nie było żadnych świadków, a zwłaszcza takich, którzy widzieliby szczupłą ciemną blondynkę odjeżdżającą spod kancelarii wypożyczonym chevroletem blazerem?

Każde takie pytanie nasuwało jej nieodparty wniosek, że może być uznana za sprawcę mordu. Nikomu nie mówiła, że tamtego popołudnia była umówiona na spotkanie z Lourdes, nie wspominała o pełnych goryczy uwagach, jakie padły z obu stron, jak też o przedmiocie sporu, czyli Williamie Bantlingu oraz kontrowersyjnym anonimowym donosie, dzięki któremu trafił za kratki. Gdyby sprawa się wydała, jej milczenie wyglądałoby jeszcze bardziej podejrzanie. Niemniej bardzo podejrzany był sam fakt, że odszukała telefonicznie Rubio i spotkała się z nią na osobności, nie powiadamiając o tym

sądu. Wyglądało to nie tylko podejrzanie, ale wręcz świadczyło o działaniu z premedytacją. Teraz już nie sposób było się z niczego wycofać i ta świadomość po prostu zatykała jej dech w piersi.

Upewniła się, że drzwi gabinetu są zamknięte na zasuwkę, po czym usiadła za biurkiem i ukryła twarz w dłoniach.

Nie było już kogo przesłuchiwać. Wszyscy świadkowie zginęli. Chavez, Lindeman, Ribero, a teraz także Lourdes. Wszyscy poza nią. Została sama. Była już ostatnim świadkiem istnienia zabójczego spisku, który stał się przyczyną śmierci wszystkich jego uczestników.

Zdawała sobie sprawę, jak niewiele trzeba, żeby inni odkryli rzucające się w oczy powiązania.

Nie było sensu szukać odpowiedzi. Dlatego zamknęła się w swoim gabinecie i zakopała w podręcznikach oraz kodeksach prawa, nie zwracając uwagi na pukania Marisol, nerwowe nawoływania Jerry'ego Tiglera czy telefony dziennikarzy. Podejrzewała, że już niedługo posypią się pytania, na które sama szukała odpowiedzi, a ludzie zaczną oskarżycielsko wytykać ją palcami. Wtedy nie będzie już musiała się zastanawiać, czy otworzyć drzwi Marisol, ponieważ załomocze w nie Manny Alvarez lub Chris Masterson, może nawet wysłannik policji z Kolorado albo FBI.

A może jeszcze gorzej.

Ale na razie za drzwiami jej gabinetu nie było nikogo, kto znałby odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Nie było również tego, który kolejno unieszkodliwiał świadków, jednego po drugim. William Bantling nie mógł przecież zlecić zabójstwa Lourdes Rubio, która była jego ostatnią nadzieją uniknięcia kary śmierci. Zatem zrobił to człowiek, któremu zależało, aby kasetą z nagraniem nie ujrzała światła dziennego – ten sam, który wcześniej się zabezpieczył, żeby Chavez nikomu nie uchylił rąbka tajemnicy po kilku głębszych, by poczucie winy Lindemana nie rozwiązało mu języka i żeby wyrzuty sumienia przypadkiem nie skłoniły Ribera do wyznania całej prawdy przed sądem.

Bo przecież prawda świadczyła jednoznacznie, że Bantling rzeczywiście został

wrobiony i tamtego wieczoru bezpodstawnie zatrzymany na autostradzie. A wrobić musiał go ktoś, kto świetnie wiedział, że gdy tylko Chavez i jego koledzy wyłamią zamek bagażnika i odkryją pod klapą nagie zwłoki dziewczyny z rozciętą klatką piersiową, z której wyrwano serce, aresztują kierowcę jako seryjnego mordercę zwanego Kupidyn, który własnoręcznie umieścił zwłoki w bagażniku jaguara.

Przypomniała sobie sceniczny monolog Grega Chambersa wygłoszony w ciemności jego pomalowanej na czarno komory śmierci, kiedy leżała z twarzą wciśniętą w lodowaty blat żelaznego stolika na kółkach. *Tylko nie myśl, że od razu zdradzą ci utrzymywany w ścisłej tajemnicy stary rodzinny przepis, opowiem wszystko ze szczegółami i sprawa będzie jasna. Do tego się nie posunę. Nad niektórymi rzeczami będziesz sobie łamała głowę aż do ostatniej chwili.*

Cudem udało jej się uniknąć wtedy śmierci, czego nie można było powiedzieć o nim.

Chambers zginął, a to oznaczało, że musiał być ktoś jeszcze – kto żył i miewał się znakomicie

– i kto przed trzema laty dzwonił na policję. C.J. po prostu niesłusznie zakładała, że musiała to być sprawka Chambersa.

Usłyszała teraz, że ludzie zaczynają wychodzić z biura. Najpierw o wpół do piątej zapanował ruch wśród sekretarek, później prokuratorzy Wydziału Zabójstw zaczęli kolejno pakować swoje rzeczy i zmierzać w kierunku windy. Za oknami stopniowo zapadł zmierzch i około dziewiętej wieczorem uświadomiła sobie, że jest już sama w biurze, a jakieś dwie godziny później nabrała pewności, że oprócz niej nie ma nikogo w całym budynku.

Nie chciała jednak sama wracać po nocy do domu, zwłaszcza dzisiaj, kiedy nie dawały jej spokoju najbardziej przerażające skojarzenia. Nie mogła też jechać do mieszkania Dominicka. Pozostawało wynajęcie pokoju w hotelu, gdzie jednak znalazłaby się wśród masy obcych ludzi przy bardzo słabej ochronie. Tu przynajmniej miała świadomość, że w holu czuwa uzbrojony strażnik, a wstępu do pomieszczeń strzegą dodatkowo zamki szyfrowe. Po godzinach pracy do budynku wstęp mieli jedynie pracujący tu prokuratorzy oraz niektórzy wysocy rangą oficerowie policji.

O pierwszej w nocy nastawiła sobie świeżą kawę w zaparzacze, mając nadzieję, że pomoże jej w przekopywaniu się przez tomy podręczników prawa, których całe sterty zgromadziła na biurku, a później w napisaniu najważniejszego sądowego pisma w życiu.

Pomoże jej też przetrwać ciemność nocy, dopóki poranna szarówka nie umożliwi podróży do domu, żeby wziąć prysznic i przebrać się w świeże rzeczy.

Zaraz potem miała tu wrócić, żeby znów skoncentrować się na powstrzymaniu jednego potwora, zanim inny wpadnie na jej trop.

Sędzia Leopold Chaskel usiadł za biurkiem w swoim gabinecie, żeby po raz kolejny zagłębić się w lekturze opasłych sądowych sprawozdań uzupełnionych o szczegółowe przypisy i odniesienia do paragrafów kodeksów karnych z całego kraju. Dla niego wiążące były tylko rozstrzygnięcia spraw rozpatrywanych przez Sąd Apelacyjny Obwodu Trzeciego, Florydzki Sąd Najwyższy oraz Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych. Niemniej decyzje, które zapadły w innych sądach, nawet tych spoza obszaru jego jurysdykcji, ale dotyczące identycznych lub bardzo podobnych przypadków, musiał zaliczyć do „prawnie przekonujących”. Krótko mówiąc, gdyby znalazł się w sytuacji, kiedy czterech na pięciu dentystów powiedziało, że ząb da się uratować, i on powinien zrezygnować z ekstrakcji.

Oczy już go piekły, zarówno od niewyspania, jak i wysilania wzroku podczas czytania drobnego druku, toteż przecierał je wilgotną chusteczką, o którą Janine uzupełniła jego zamówienie obiadowe. Niemniej o drugiej nad ranem zdecydował się wracać do domu, ale później przewracał się w łóżku, aż o piątej jego żona, Lucienne, kazała mu się przenieść do gościnnej sypialni. Wtedy ostatecznie zrezygnował z dalszych prób odpoczynku, włożył z powrotem okulary i wrócił do przerwanej lektury. Ale sprawozdania z procesów Sądu Najwyższego w sprawach zagrożonych karą śmierci nie kończyły się na dwóch stronach, zazwyczaj miały po dwadzieścia, trzydzieści, a nawet czterdzieści stron i opisywały wiele różnorodnych i złożonych wątków.

Dobrze wiedział, że zarówno obrona, jak i oskarżenie ślęczą nad tymi samymi materiałami i wnioski z ich lektury przedstawią mu rano w sądzie. Oni także siedzieli zapewne całą noc przy komputerowych bazach danych, dokładnie sprawdzając każdy przystanek – chociaż jedna strona chciała zatrzymać ten pociąg, a druga przyspieszyć jego bieg – dlatego i on wolał być przygotowany. Zdawał sobie sprawę, że tak czy inaczej sprawa trafi do ponownej apelacji.

Ale przecież miał rację. Z samego rana poukładał sobie w głowie wszystkie argumenty, żałując tylko, że będzie musiał je przytaczać wobec tych przeklętych reporterów oraz wymierzonych w niego mikrofonów i obiektywów kamer. Dlatego mimo przemęczenia odczuwał radość, że poświęcił na lekturę prawie całą noc.

Do pioruna! Chaskel zdjął okulary do czytania, położył je na biurku i zaczął znów przecierać oczy. Zdawało mu się, że poprowadził jeden z najzgrabniejszych procesów o zabójstwo, jakich ten sąd był kiedykolwiek świadkiem – szybki, sprawny, wyważony. Nie dopuścił, żeby prasa przeciągała go w nieskończoność niczym maraton bądź kiepską operę mydlaną i wywierała na niego naciski, jak to się często zdarzało w innych, równie głośnych sprawach. Gdy tylko oskarżony zaczął stwarzać kłopoty, szybko uporał się z tym problemem, unikając niepotrzebnych dyskusji czy teatralnych wystąpień na sali rozpraw. W tym zakresie sądy apelacyjne od razu poparły jego stanowisko. Pierwszy wniosek Bantlinga o unieważnienie procesu na zasadzie trójek oddalił bez większego zastanowienia, krótko i logicznie argumentując swoją decyzję, co również sądy apelacyjne poparły wręcz automatycznie. I teraz, kiedy batalia zdawała się dobiegać końca, kiedy samolot już prawie oderwał się od pasa startowego, nagle jakby ktoś specjalnie dokonał aktu sabotażu i ofiara występowała na drogę sądową przeciwko prawniczkom, którym on wcześniej w pełni zaufał i z których pomocy korzystał, wymierzając sprawiedliwość.

Jedenaście zabitych kobiet. Tylko przepisy prawa rozdzielały świat na czarny i biały, bo życie nigdy takie nie było. Ta świadomość chyba najbardziej frustrowała każdego sędziego. Drukowane maczkiem kodeksy po prostu nie uwzględniały, że za literami stoją ludzie. Łatwo było opierać się wyłącznie na liczbach, datach i gołych faktach, jeśli na miejscu dla świadków nie siedział żywy człowiek, którego błagalne spojrzenie dopominało się o słuszną decyzję. Bo nawet w świetle prawa decyzje konieczne wcale nie były synonimem decyzji słuszných. Więc jakże mógłby teraz zapomnieć o tych jedenastu zabitych kobietach, skoro wstrząsające okoliczności ich śmierci nadal miał świeżo w pamięci, w sali rozpraw niemal ciągle rozbrzmiewało echo krzyków i płaczu zrozpaczonych matek, a o bestialstwie zabójcy przypominały suche fakty przytaczane w raportach z sekcji zwłok, które i teraz leżały przed nim na biurku? Po prostu nie dało się przejść do porządku dziennego nad tym wszystkim i zająć się wyłącznie świeżo przytoczonymi kwestiami prawnymi, zapomnieć o wcześniejszych dokumentach czy zdjęciach martwych ofiar, jakby pamięć o nich została zredukowana do obco brzmiącego nazwiska w papierach.

Gdyby dopuścił włączenie oświadczenia Lourdes Rubio do materiału dowodowego, nie miałby innego wyboru, jak przyjąć bez zastrzeżeń wnioski o unieważnienie procesów.

Podane w oświadczeniu zarzuty były bardzo poważne, toteż gdyby ów dokument został

oficjalnie uznany, stał się pełnoprawną częścią dokumentacji procesowej, wówczas z samego tylko prawnego punktu widzenia nie można by lekceważyć jego treści. Tak samo musiałyby wziąć ją pod rozwagę sądy apelacyjne. Rysowała się groźba efektu lawinowego. Skutkiem unieważnienia przez niego procesu w sprawie zabójstwa Prado byłyby analogiczne decyzje co do pozostałych wyroków. W takiej sytuacji musiałoby dojść do powtórzenia procesu, jednakże jego wynik nie byłby już pewny.

Z drugiej strony, gdyby podważył wiarygodność oświadczenia – dopóki skazany nie zdołałby udowodnić nadużycia popełnionego w sądzie pierwszej instancji, co było w gruncie rzeczy niemożliwe do udowodnienia – sprawa już nigdy więcej nie wypłynęłaby na światło dzienne.

Innymi słowy, decyzja należała wyłącznie do niego.

Lourdes Rubio w zagadkowy sposób podjęła ostatnią próbę ratowania swojego byłego klienta, lecz pomijając ten fakt, sędzia Chaskel był przecież cały czas obecny na sali sądowej, zapoznał się z materiałem dowodowym i nie miał najmniejszych wątpliwości co do winy Bantlinga. To jeszcze dodatkowo nasilało jego frustrację. Nawet gdyby wszystko, co adwokatka napisała w oświadczeniu, było prawdą, to znaczy gdyby rzeczywistym powodem zatrzymania oskarżonego było tajemnicze anonimowe zgłoszenie – nawiasem mówiąc coś, co wykraczało poza ramy czarno-białych przepisów prawa – prawdopodobnie z czysto formalnego punktu widzenia kazałoby to zapomnieć o zwłokach Anny Prado odkrytych w bagażniku auta, ale przecież nie usunęło ich stamtąd fizycznie. Opowieść o mściwej prokurator, wykorzystującej okazję do odwetu za zbrodnię popełnioną przed dziesięcioleciem, także budziła zdumienie, ale nie była poparta żadnym konkretem. To fakt, że i on później nabrał pewnych wątpliwości co do postawy i poczynań C.J. Townsend. Wcześniej po prostu zakładał w ciemno, iż może na niej polegać, ale tamte czasy minęły. W ogóle nie chciała rozmawiać na temat napaści sprzed lat i wręcz absurdalnych oskarżeń Bantlinga, czym poważnie mu się naraziła, gdyż nie tolerował niedomówień i braku szczerości na swojej sali rozpraw. Takiej postawy prędeż spodziewałby się po przedstawicielu obrony, a nie znanej i cenionej oskarżycielce z Wydziału

Zabójstw. Nie miał wątpliwości, że dla niej ustawił

poprzeczkę zdecydowanie za wysoko.

I teraz są tego konsekwencje. Obie, razem z Rubio, zostawiły go z rozbabraną i nieskończoną sprawą, ale tylko Townsend mogła za to zostać ukarana.

Jeszcze raz postukał długopisem w biurko, przetarł piekące oczy i pociągnął ostatni łyk chłodnej kawy. Kiedy wstał, żeby włożyć togę, poczuł na swych barkach nieznośne brzemię.

Idąc korytarzem w stronę wejścia na salę, gdzie panowała zadziwiająca cisza zamiast normalnego cyrku, w myślach odmówił krótką modlitwę o to, by decyzja, którą miał za chwilę ogłosić, okazała się słuszna. I żeby Bóg mu wybaczył, gdyby było inaczej.

Tylne drzwi sali otworzyły się niespodziewanie i Chaskel niemal bezgłośnie wspiał się na podwyższenie, czym tak zaskoczył Hanka pogrążonego w rozmowie z sierżantem straży więziennej, że jego okrzyk: „Proszę wstać!”, rozległ się niemal równocześnie z wydanym przez sędziego poleceniem: „Proszę siadać”, chociaż na widowni i tak wszyscy siedzieli.

Panował wprost niezwykły porządek i zaskakująca cisza.

Przedstawiciele mediów wrócili do sądu w pełnej chwale, ze swoimi mikrofonami kierunkowymi, kamerami i nadajnikami satelitarnymi, zajmując najlepsze miejsca na widowni zaraz po otwarciu sali. Mimo że zrobiło się wtorkowe późne popołudnie – co oznaczało, że czekali na swoje wiadomości dnia siedem i pół godziny – nikt nie zrezygnował z wywalzonego z trudem miejsca w ławach. Co gorsza, wcześniej zamawiali sobie gorące zestawy obiadowe do gmachu sądu i żądali dostępu do obciążonych łączy telefonicznych, by nadawać przekazy na żywo. C.J. uważała jednak, że argumenty, jakie muszą paść w trakcie tego posiedzenia, nawet najzagorzalszych miłośników telewizji uspią w ciągu zaledwie paru minut.

Obrazy z sali sądowej, która znajdowała się w samym centrum tonącego w słońcu Miami, były przeplatane zdjęciami skromnego adwokackiego biura Lourdes Rubio w Breckenridge, w Kolorado. Pokazywano dramatyczne zbliżenia niewielkiej tabliczki z napisem DO WYNAJĘCIA stojącej w oknie lokalu. Operatorzy robili wszystko, aby wyglądała ona złowieszczo, a samo biuro sprawiało wrażenie przerażająco opustoszałego, ale najczęściej w kadrze pojawiał się inny operator skupiony na tych samych czynnościach i cały dramatyczny efekt przepadał.

Pokazywano także zdjęcia kapitana, dowódcy policji z Breckenridge, który bezskutecznie próbował zachować powagę, gdyż był tak samo podniecony jak dziennikarze stłoczeni w sali konferencyjnej tamtejszego komisariatu. Rozkoszując się swoimi pięcioma minutami sławy, mówił głośno, nadspodziewanie opanowanym tonem:

– Dochodzenie jest wciąż otwarte. Na razie przyjęliśmy, że przyczyną zabójstwa był

napad rabunkowy, ale nie wykluczamy innych motywów. Lourdes zginęła w tragicznych okolicznościach. Dlatego zwracamy się do opinii publicznej o wszelkie informacje, które mogłyby pomóc w śledztwie.

Kapitan nazywał zabitą po imieniu, chcąc zapewne dać do zrozumienia, że w małym miasteczku wszyscy byli ze sobą zżyci i teraz wszyscy tak samo odbierają jej stratę. Źle jednak wymawiał obce dla siebie imię adwokatkę. Co gorsza, ten fragment konferencji prasowej nadawano mniej więcej co kwadrans, zwłaszcza że na sali rozpraw toczyła się dyskusja dotycząca kwestii czysto prawnych. Co jakiś czas przypomniano także zdjęcia sprzed trzech lat, ukazujące Rubio na schodach sądu w czasie trwania procesu Bantlinga.

Mniej więcej dziesięć po dziewiątej na sali zjawił się Manny w towarzystwie Chrisa Mastersona i Steve’a Yanniego. Detektywi przez jakieś dwie minuty słuchali z zainteresowaniem, potem zaczęli szeroko ziewać, wreszcie przesłali C.J. kartkę z wiadomością, że w jeszcze silniejszym składzie

wrócą po południu, kiedy prawnicze spory dobiegną końca. Z samego rana C.J. zostawiła Marisol kartkę z prośbą, by zadzwoniła do Manny'ego i poprosiła go o przyjscie do sądu. Teraz uświadomiła sobie, że chyba nie był to najlepszy pomysł. Marisol stała bowiem pod ścianą na końcu sali, wciśnięta między Miśka a połowę składu specjalnej grupy dochodzeniowej, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu umalowanych na fioletowo warg. C.J. rozglądała się uważnie, ale nigdzie nie spostrzegła Dominicka. Wytłumaczyła sobie, że nie przyszedł ze względu na osobę wnioskodawcy.

Obiektywy kamer wciąż kierowały się na wyraźnie przemęczonego i zatroskanego sędziego. O pierwszej po południu Chaskel oznajmił w końcu, że ogłosi swoją decyzję o wpół do czwartej. Nie kazał nikomu na siebie czekać. Punktualnie o wyznaczonej godzinie wkroczył na salę wypełnioną po brzegi, na której panowała cisza jak makiem zasiał.

C.J., podobnie jak reszta zgromadzonych, próbowała cokolwiek wyczytać z głębokich bruzd przecinających twarz sędziego, z nastroszenia jego brwi bądź usytuowania kącików ust.

Puls łomotał jej w skroniach, a dłonie miała wilgotne od potu. Myślała o tym, ile czasu zajmie jej dotarcie do drzwi i torowanie sobie drogi złowrogimi spojrzeniami, jeśli sprawy przybiorą niekorzystny dla niej obrót. Nie zdołała jednak niczego wyczytać z miny Chaskela. Rozejrzał

się po zatłoczonej sali niczym udzielny władca zasiadający na swoim tronie, ale na nikim nie zatrzymał spojrzenia, a już zwłaszcza na wymierzonych w niego obiektywach kamer. Szybko spuścił wzrok na przygotowane zawczasu pisemne uzasadnienie decyzji, które położył przed sobą na stole.

Przed południem C.J. zrobiła, co tylko mogła, przytaczała, jej zdaniem, najbardziej rozsądne, najmocniejsze i najlepiej brzmiące argumenty. A kiedy tylko usiadła, jej miejsce zajęła Rose, żeby dodatkowo zaakcentować stanowisko prokuratury. Neil Mann w najmniejszym stopniu nie mógł im sprostac, pogubił się nawet, gdy sędzia w którymś momencie zaproponował: „Spróbujmy się na chwilę wcielić w rolę adwokata diabła”. Słabo uzasadniał swoje tezy, a przy tym dolna warga dygotała mu tak silnie, że C.J. nabrała podejrzeń, iż lada chwila wybuchnie płaczem.

Ale prawo to dość szczególna profesja. Często nawet najbardziej logiczne argumenty przegrywają w zderzeniu z emocjami w niektórych sprawach. Sędziowie prowadzący procesy kryminalne powinni być bezstronni, wyczuleni jedynie na przestrzeganie litery prawa, ale C.J.

doskonale wiedziała, że Chaskel nie potrafi po prostu zlekceważyć wydanego wcześniej wyroku śmierci. Z tego powodu tylko ścisła kciuki pod stołem i w duchu odmawiała kolejną modlitwę do świętego Krzysztofa, żeby sędzia już teraz zakończył całą tę historię.

– Oskarżony wystąpił z poprocesowym wnioskiem o uniewinnienie, opartym na przepisach trzy koma osiemset pięćdziesiąt jeden i trzy koma osiemset pięćdziesiąt Florydzkiego Kodeksu Postępowania Sądowego – zaczął Chaskel, powoli cedząc słowa, nie tyle z powodu zebranych dziennikarzy, ile z uwagi na protokolantkę. – W swoim wniosku wymienił dwa powody, na podstawie których domaga się unieważnienia procesu. Pierwszym jest zarzut celowej nieudolności obrony, motywowany tym, że postępowanie jego adwokatki, panny Lourdes Rubio, było tak nieudolne, iż pozbawiło go możliwości uczciwego procesu sądowego. Drugim natomiast jest żądanie włączenia do materiałów procesowych

nowo odkrytego dowodu rzeczowego. Oskarżony utrzymuje, że gdyby ów nowo odkryty dowód rzeczowy został przedstawiony w czasie procesu, zapewne przyczyniłby się do jego uniewinnienia. Na poparcie swoich roszczeń oskarżony przedstawił poświadczony notarialnie oświadczenie Lourdes Rubio.

Otóż w tym oświadczeniu panna Rubio przyznaje, że już po aresztowaniu pana Bantlinga i zawarciu z nim umowy na reprezentowanie w sądzie, ale jeszcze przed rozpoczęciem procesu, weszła w posiadanie tego dowodu, a mianowicie kopii nagrania policyjnego zgłoszenia, zarejestrowanego w centrali komendy policji w Miami Beach dziewiętnastego września dwutysięcznego roku, a więc tego samego dnia, kiedy pan Bantling został aresztowany, rzekomo na kilkanaście minut przedtem, nim funkcjonariusz policji z Miami Beach Victor Chavez zatrzymał pana Bantlinga za naruszenie przepisów ruchu drogowego. Owo zgłoszenie miało jakoby brzmieć następująco: Operator centrali: „Słucham. Dziewięćset jedenaście”.

Niezidentyfikowany rozmówca: „Chodzi mi o samochód. To najnowszy model czarnego jaguara XJ-osiem, który w tej chwili skręcił z Lincoln Road w Waszyngtona, w kierunku południowym. W bagażniku wiezie dwa kilo kokainy i zmierza na lotnisko. Będzie jechał do Miami mostem McArthura, gdybyście nie zdążyli go zatrzymać na Waszyngtona”.

Operator: „Proszę podać imię i nazwisko. Skąd pan dzwoni?”.

Połączenie zostało jednak przerwane.

Według zeznań złożonych w czasie procesu pan Bantling rzeczywiście prowadził

czarnego jaguara XJ-osiem, rocznik dwa tysiące, i po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę w Alei Waszyngtona około godziny dwudziestej piętnaście z powodu nadmiernej prędkości. W

swoim oświadczeniu panna Rubio utrzymuje, że przyczyną bezprawnego zatrzymania samochodu było jednak to anonimowe zgłoszenie telefoniczne, a na poparcie tego twierdzenia przytacza przebieg swojej rozmowy, jaką poza sądem przeprowadziła z funkcjonariuszem, który dokonał zatrzymania, Victorem Chavezem, otwarcie się do tego przyznającym. Panna Rubio utrzymuje ponadto, że telefoniczny donos pod względem prawnym był

niewystarczający do zatrzymania jej klienta. W konsekwencji należałoby uznać, że późniejsze przeszukanie bagażnika jego samochodu także było niezgodne z prawem, toteż odkrycie zwłok Anny Prado oraz zebranie dowodów rzeczowych z terenu posesji pana Bantlinga powinny zostać uznane za niezgodne z procedurą i nie do przyjęcia przez sąd. Panna Rubio przyznaje w swoim oświadczeniu, że z powodu kompromitującej osobistej sympatii do prokurator C.J. Townsend, która przed laty padła ofiarą brutalnego napadu na tle seksualnym, celowo zachowała te informacje w tajemnicy przed swoim klientem oraz sądem. Na tej podstawie twierdzi, że nie przedstawiła całego materiału dowodowego i za słabo przesłuchiwała świadków oskarżenia, a tym samym niewłaściwie reprezentowała klienta w czasie procesu.

Na podstawie tego oświadczenia panny Rubio oskarżony wysnuł bardzo interesującą i wielce niepokojącą teorię, która bezsprzecznie wymagała wnikliwego zbadania. Dlatego też ten sąd

zarządził stosowne posiedzenie związane z prezentacją materiału dowodowego, żeby dojść prawdy i ocenić zasadność zarzutów panny Rubio, która miała osobiście stawić się przed sądem i jako świadek odpowiedzieć na pytania oskarżenia, po wcześniejszym uchyleniu obowiązku zachowania tajemnicy w sprawach łączących ją z klientem, panem Bantlingiem.

Jednak rzeczywisty problem, jaki stanął przed tym sądem, wyniknął z faktu, że w okresie od złożenia przez pana Bantlinga wniosku opierającego się na przepisie trzy koma osiemset pięćdziesiąt do zarządzonego posiedzenia z prezentacją materiału dowodowego panna Rubio została zamordowana. Zatem w kategoriach czysto formalnych świadek obecnie jest niedostępny. Co więcej, funkcjonariusz policji, którego zeznania oraz motywy podała w wątpliwość w swoim oświadczeniu, także nie żyje. Jednakże jego zeznania złożone podczas procesu pana Bantlinga wciąż mają moc prawną i wchodzą w zakres materiału dowodowego uwzględnianego podczas tego posiedzenia, toteż musiałyby być tak samo uwzględnione w trakcie ewentualnego powtórnego procesu, na podstawie ogólnych zasad rozpatrywania dowodów rzeczowych i zeznań złożonych pod przysięgą. I wreszcie policyjne nagranie zgłoszenia, które stało się podstawą obu roszczeń zgłoszonych przez oskarżonego, nie może być przedstawione w sądzie ani przez obronę, ani przez oskarżenie, jako że zgodnie z regulaminem centrala policyjna kasuje wszelkie nagrania po upływie trzydziestu dni.

Sąd zatem stanął przed koniecznością rozstrzygnięcia następującej kwestii: Czy oskarżenia panny Rubio są prawdziwe? Bo jeśli tak, z pewnością stanowią zasadny powód do przeprowadzenia powtórnej rozprawy. Pisemne oświadczenie, choć złożone pod przysięgą i potwierdzone notarialnie, nadal pozostaje dokumentem pozaprocesowym, jako że obrona musiałaby dowieść jego prawdziwości. Innymi słowy musi zostać zaliczone do pogłosek.

Panna Rubio jest niedostępna jako świadek, nie może odpowiedzieć na pytania oskarżenia, a jej prawdomówność i wiarygodność pozostają wątpliwe, gdyż nie mogą być potwierdzone przed sądem. Stąd też zagadnienie prawne, co do którego obrona i oskarżenie wyszukały stosowne argumenty prezentowane podczas przedpołudniowej sesji, ograniczało się do pytania: Czy taką pogłoskę można zaliczyć do materiału dowodowego prezentowanego na posiedzeniu poprocesowym na wniosek oskarżonego skazanego na karę śmierci?

Sędzia zawiesił głos, a na widowni zapanowała atmosfera napięcia i wyczekiwania.

Jeszcze raz powiódł wzrokiem po swoim królestwie, tym razem zatrzymując spojrzenie na obiektywach kamer, jakby chciał w myślach dokonać ostatniej weryfikacji doboru słów, które miały za chwilę paść z jego ust. Po chwili zmarszczył brwi i przenosząc spojrzenie na swoje notatki, kątem oka zerknął nie na reporterów czy oskarżonego, ale na prokurator C.J.

Townsend. Owo przelotne spojrzenie, które zaledwie prześlizgnęło się po jej twarzy, wywarło niezapomniany efekt. Poczula się bowiem odarta ze swego prawniczego statusu, pozbawiona estymy szanowanej oskarżycielki z Wydziału Zabójstw i sprowadzona do roli potępionej za to, co zrobiła i do czego w rezultacie zmusiła Chaskela.

– Zgoda na dopuszczenie nowego dowodu rzeczowego do istniejącego materiału dowodowego w czasie posiedzenia poprocesowego leży w wyłącznej gestii tego sądu. Nie istnieją żadne wyjątki od zasady uwzględniania pogłosek, które pozwalałyby przyjąć oświadczenie panny Rubio. Taśma z

nagranie telefonicznego zgłoszenia nie może być przedstawiona jako dowód, zatem w świetle prawa musi być uznana za nieistniejącą. Sąd musi się więc ograniczyć do rozpatrzenia niekwestionowanych zeznań funkcjonariusza Victora Chaveza w świetle tych samych zarzutów, które już raz zostały oddalone z wcześniejszym wnioskiem oskarżonego opartym na zasadzie trójek. Zatem od strony prawnej nic się nie zmieniło, jeśli weźmiemy pod uwagę nieszczęśliwą i niefortunną śmierć panny Lourdes Rubio. W dodatku kodeks karny stanu Floryda nie przewiduje żadnych generalnych reguł uwzględniania pogłosek w materiale dowodowym. Jeśli pisemne oświadczenie nie podlega zasadom wyjątkowego przyjmowania pogłosek, nie może być uznane przez sąd.

Starałem się zachować podstawowe normy sprawiedliwości wobec oskarżonego skazanego na karę śmierci, ostatecznie jednak muszę stwierdzić, że gdybym nawet uwzględnił wniosek oskarżonego, co doprowadziłoby do ponownej rozprawy, opisywany przez niego nowo odkryty dowód rzeczowy zapewne nie przesądziłby o jego niewinności, gdyż jest dla sądu niedostępny.

Zarzut celowej nieudolności obrony także musi zostać oddalony z tych samych powodów. Oskarżenie ma prawo do przesłuchania panny Rubio w kwestiach dotyczących jej motywów, gotowości i efektywności prowadzonej obrony. Takie przesłuchanie jest niemożliwe, toteż zarzuty sformułowane w pisemnym oświadczeniu także nie mogą zostać przez sąd uwzględnione.

Stąd też w całości odrzucam poprocesowy wniosek oskarżonego o uniewinnienie.

Wyrok śmierci pozostaje w mocy prawnej. Na tym kończę posiedzenie w tej sprawie.

Sędzia Chaskel wyszedł z sali tak samo szybko i po cichu, jak się pojawił. A C.J.

uświadomiła sobie z bólem, że już nigdy nie spojrzy na nią z taką samą życzliwością jak kiedyś.

Na widowni za jego plecami nagle zawrzało, obiektywy kamer i aparatów fotograficznych zostały skierowane na niego, posypały się pytania, większość dziennikarzy zaczęła się gwałtownie przepychać do wyjścia.

– Przykro mi, Bill – wydusił z siebie Mann, unikając jego wzroku.

– Przykro? Co się właściwie stało, do jasnej cholery, Neil? – syknął z wściekłością Bantling.

– Sędzia odrzucił twój wniosek. To koniec, Bill. Naprawdę mi przykro.

– Jak to koniec?

– Oświadczenie Rubio nie zostało dopuszczone.

– Przecież mówiłeś, że to pestka, Neil. Że na pewno dojdzie do ponownego procesu i dostanę innego adwokata.

Mann nie cierpiał takich sytuacji. Czuł się naprawdę podle. Nie umiał powiedzieć klientowi wprost, że przegrał – a raczej że to on przegrał, występując w jego imieniu.

Zazwyczaj dostawał postanowienie na piśmie i przez telefon tłumaczył klientowi jego treść, mógł więc choć trochę złagodzić jego wydzwięk, dobierając odpowiednie słowa. Tu jednak Chaskel publicznie ogłosił swoją decyzję. Toteż przemknęło mu tylko przez myśl: Czyżbyś nie słyszał, co powiedział ten przekłety sędzia?

– Nie będzie ponownego procesu, Bill. Sędzia oddalił wniosek. Zadecydował, że oskarżenia Rubio nie mogą być cytowane przed sądem, podobnie jak nie może być zaprezentowane nagranie policyjnego zgłoszenia. Zaliczył jedno i drugie do pogłosek. Zatem prawda na zawsze umarła razem z Rubio.

– Jak mam to rozumieć?

Sierżant ze straży więziennej zaczął przygotowywać żelazne łańcuchy. Ich brzęk drażnił uszy mimo natężonego gwaru panującego w sali rozpraw.

Neil westchnął ciężko i zgarnął ze stołu papiery.

– Oznacza to, że wracasz do celi śmierci. Masz jeszcze prawo odwoływać się od tej decyzji do sądu wyższej instancji, ale szczerze wątpię, by to coś dało. – W każdym razie nie w twoim przypadku, dodał w myślach.

Co więcej, Bantlingowi kończyły się pieniądze. Zatem nic nie wskazywało na to, że od tej pory w biurze Manna będą się urywały telefony od bogatych klientów. Można też było zapomnieć o lukratywnej ofercie prawnego korespondenta CNN.

– Za żadnego chuja tam nie wróć! Żądam przesłuchania przed sądem!

– Właśnie się zakończyło.

– Ta pieprzona suka, moja adwokatka, wystawiła mnie do wiatru, ale teraz to się już nie liczy?!

– Zrozum, że ona nie żyje. Martwi świadkowie nie mogą zeznawać zza grobu, nie mogą przed sądem odpowiadać na pytania. To twoje największe zmartwienie. Teraz już rozumiesz, dlaczego na filmach mafia zawsze próbuje usunąć niewygodnych świadków. Bo bez świadków nie ma sprawy.

W tej samej chwili Billa Bantlinga zelektryzowała nagła myśl. Zaczął się gwałtownie rozglądać na boki jak oszalałe ze strachu zwierzę zamknięte w klatce.

– Muszę porozmawiać z detektywami – rzucił szybko. Zerknął na strażnika, który trzy metry dalej rozkładał na podłodze łańcuchy i okowy, najwyraźniej czekając tylko, aż on zakończy rozmawiać z adwokatem, żeby go skuć przed podróżą powrotną więziennym autobusem. – Z Falconettim i Alvarezem, z kierującymi specjalnym zespołem dochodzeniowym w mojej sprawie. To chyba oni szukają teraz zabójcy gliniarzy.

Mann obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

– Agent Falconetti został zawieszony z powodu tego, czego się dopuścił podczas rozmowy z tobą. Nie kieruje już specjalnym zespołem dochodzeniowym. Zresztą o czym chciałbyś z nim rozmawiać?

– W takim razie odszukaj Alvareza, tego olbrzyma, który współpracował z Falconettim. Ściągnij dowolnego detektywa z tego zespołu. Muszę z nimi pogadać.

– O czym, Bill?! – zapytał coraz bardziej zdziwiony adwokat. – Chyba wiesz, że wszystko, co im powiesz, może być użyte przeciwko tobie, gdyby doszło do następnego przesłuchania.

Przyszło mu do głowy, że Bantling postanowił w ostatniej chwili zdać rzetelną relację ze swoich brutalnych zabójstw, żeby przyciągnąć uwagę reporterskich ekip telewizyjnych.

– Ściągnij ich! I to już! Na pewno będą zainteresowani tym, co mam do powiedzenia. I nie pozwól, żeby jeszcze dzisiaj odwieźli mnie do Raiford.

Jego wzrok padł nagle na C.J. przechodzącą przed stołem obrony w kierunku tylnego wyjścia z sali, w którym przed chwilą zniknął sędzia. Zostawiła wszystkie papiery i swoją teczkę pod opieką tej drugiej suki z prokuratury. Na pewno miała nadzieję, że w ten sposób uniknie pytań dziennikarzy, jak również konfrontacji z nim. Chciała pewnie schować się w damskim kiblu i tam przeczekać najgorsze zamieszanie, aż strażnicy zabiorą go z powrotem do piekła. Liczyła na to, że cała sprawa przycichnie wraz z odjazdem więziennego autobusu.

Miała jednak pecha, bo po zakończeniu posiedzenia i wyjściu sędziego drzwi zostały zamknięte na klucz. Stała przed nimi, zwrócona do niego plecami, marząc zapewne o tym, żeby się wtopić w otoczenie. A pech jej nie opuszczał, bo woźny jakoś się nie kwapił, żeby jej otworzyć.

– Została jeszcze jedna, ostatnia małpka! – zawołał w jej stronę.

Nawet się nie obejrzała. Ale zrobili to zarówno Hank, jak i protokolantka oraz sekretarka Chaskela.

– Wiesz, że jesteś następna! – syknął Bantling, na tyle głośno, by przykuć uwagę ich wszystkich.

Neil złapał go za rękę i dopiero teraz spostrzegł, że skazaniec nie jest jeszcze skuty.

– Bill, to ci w niczym nie pomoże. Nie powinieneś się do niej odzywać.

– Powiedz Alvarezowi, że wiem, kogo szukają! – odezwał się Bantling, mając pełną świadomość, że prokurator doskonale go słyszy. Wszyscy dokoła gapili się na niego. – Wiem, kim jest Czarna Marynarka! I wiem, dlaczego zabija tych wszystkich gliniarzy!

– Matko Boska! – jęknął Neil, odstępując na krok. Natychmiast puścił rękę swojego klienta, jakby się nim brzydził.

– Oboje to wiemy, prawda, Chloe?!

Ludzie wychodzący z sali przystawali w środkowym przejściu i oglądali się na niego.

Wszyscy oprócz C.J. patrzyli w tym kierunku. Gwar błyskawicznie ucichł i zapanowała grobowa cisza. Hank zdołał w końcu oderwać wzrok od skazańca i przekręcił klucz w zamku.

– Gnij w piekle – odezwała się niespodziewanie C.J., zerkając w jego stronę.

Powiedziała to dość cicho, ale dobitnie i wyraźnie. W myślach zaś powtarzała w kółko, że nie wolno jej tchórzliwie odwrócić wzroku. *Pamiętaj, że to on się ciebie boi.* Po omacku sięgnęła do klamki i otworzyła drzwi.

– I tak się spotkamy, Żelko. Tyle że tym razem nie ja zadam ci ból. Słyszałem, że wystarczą mu trzy minuty. Ale nie wątpię, że z tobą nie będzie się spieszył. – Bantling stopniowo podnosił głos aż do gniewnego krzyku.

Zadziałał błyskawicznie. Wyminął osłupiałego adwokata i skoczył w kierunku zamykających się drzwi, za którymi ledwie zdążyła zniknąć C.J. Świetnie wiedział, że na pewno usłyszy jego przyspieszony oddech tuż za sobą. Po raz kolejny. Oczekiwał, że lada chwila rozlegnie się gwałtowne stukanie obcasów o terakotę w bocznym korytarzu.

Ale dotarł tylko do stanowiska dla świadków. Sierżant straży więziennej także był

szybki i od razu wcisnął guzik nadajnika pasa reakcyjnego. Impuls o napięciu pięćdziesięciu tysięcy woltów natychmiast zwałił Bantlinga na kolana, powodując gwałtowny skurcz wszystkich mięśni i na dobrą minutę pozbawiając go wzroku i słuchu. Salę wypełniły gromkie okrzyki, przerażony Neil Mann pisnął jak spłoszona dzierlatka, zatrzeszczały głośniczki krótkofalówek, w eter popłynęły meldunki o stanie zagrożenia w sali 4-8. Na plecy leżącego skazańca zwała się cała gromada strażników więziennych i sądowych z naszykowanymi okowami i łańcuchami. Niemniej potrzeba

było aż pięciu silnych mężczyzn, żeby zapanować nad oskarżonym. Kiedy pospiesznie zakuwano go w kajdanki, mocowano okowy na nogach i przytwierdzano na transportowym fotelu na kółkach, na widowni raz za razem rozlegały się głośne ochy i achy wywołane jego widokiem. Dopiero teraz stało się dla niego całkiem jasne, że jest potępiony. Ona wygrała. Toteż gdy w końcu jego usta wypełnił

knebel, a strażnicy potoczyli go korytarzem do windy, jego świadomość bez reszty wypełniła jedna myśl. Tylko jedna. I postanowił uczeplić się jej kurczowo aż do tego dnia, kiedy podobnie zostanie unieruchomiony i mocno przytwierdzony do żelaznego szpitalnego stołu przed wykonaniem śmiertelnego zastrzyku.

Na pewno się tam spotkamy, Chloe. Będę tuż za tobą, towarzysząc ci przez całą drogę aż na samo dno piekła.

Rzuciła się biegiem. Pognała na oślep korytarzem, mijając zamknięte pokoje, i omal nie wpadła na osłupiałą sekretarkę sędziego Siebana, która tuż przed nią wytknęła głowę z gabinetu. Nic do niej nie docierało. Nie słyszała donośnego stukotu obcasów o kafelki podłogowe ani oszalałych, mrozących krew w żyłach wrzasków Janine oraz protokolantki, dobiegających z za niedomkniętych drzwi sali rozpraw, ani też okrzyków straży próbującej przywrócić porządek. Jej uszy i głowę wypełniał bez reszty jego głośny chrapliwy oddech, który niemalże czuła na karku. Miała wrażenie, że jego długie białe palce muskają jej żakiet na plecach i ześlizgują się po włosach w daremnej próbie złapania jej po raz ostatni. I choć jeszcze niedawno wmawiała sobie, że musi się zdobyć na odwagę i śmiało patrzeć mu w oczy, teraz uciekała w przerażeniu.

W pełnym pędzie dopadła drzwi wahadłowych prowadzących na główny korytarz, za późno uświadamiając sobie, że są zamknięte na zasuwkę, do tego od zewnątrz. W budynku znajdował się skazaniec z celi śmierci, toteż zarządzono specjalne środki bezpieczeństwa uniemożliwiające mu ucieczkę. Z trudem łapiąc oddech, napała na drzwi ramieniem, potem raz i drugi szarpnęła klamkę, przerażona, że coś ją zatrzymało i będzie musiała się obejrzeć, gdyż w wyobraźni widziała go stojącego tuż za sobą, z rozbajającym uśmiechem na wargach, wyciągającego ręce do jej gardła. Strażnicy zostali przecież za daleko, żeby mogła liczyć na ich pomoc.

Poczuła się schwytna w pułapkę. Bez wyjścia. Została uwięziona w tym bocznym korytarzu budynku sądu niczym w celi, którą sama sobie zgotowała. I co gorsza, nie był to jeszcze koniec cierpień.

Z zamkniętymi oczami jeszcze raz szarpnęła za klamkę, jakby miała nadzieję, że uchylą się specjalnie dla niej, po czym natychmiast zamkną, skutecznie ich rozdzielając.

Nagle korytarz wypełniły głośne okrzyki dolatujące z sali rozpraw, które rozbrzmiały gromkim echem w jej uszach. Rozległy się też ciężkie stapania po terakocie, ale szybko ucichły, oddaliły się w przeciwnym kierunku.

– C.J.?

Rozpoznała głos Chrisa Mastersona. Stał dwa metry za nią, a na jego twarzy malowało się zdumienie przemieszane z zakłopotaniem. Powoli i ostrożnie wyciągnął ręce w jej kierunku, jakby miał przed sobą ranne i oszalałe ze strachu zwierzątko, które trzeba za wszelką cenę uspokoić.

– Mamy go, C.J. – powiedział cicho, łagodnym tonem. – Powaliliśmy go na ziemię.

– Och, to ci się na pewno spodoba, kolego. Będziesz zachwycony – rzekł Manny, wchodząc do saloniku Dominicka. – Zgadnij, kto chce się teraz zaprzyjaźnić z policją? –

Wydał wargi i rozejrzał się ciekawie po mieszkaniu. – Cholera, przydałaby ci się sprzątaczką.

Kiepsko to wygląda. A przecież wiesz, że nie jestem miłośnikiem idealnego ładu...

– Napijesz się piwa? – zapytał Dominick, ignorując uwagę przyjaciela.

– Chętnie, jeśli znajdziesz całą puszkę w tym bałaganie. No więc posłuchaj – rzucił

głośnie, gdy gospodarz zajrzał do lodówki w kuchni. – Zaraz znajdzie się lekarstwo na twoje problemy. Kupidyn chce się dogadać.

– Co takiego?

– Marzy mu się złagodzenie wyroku, co przecież nie wchodzi w rachubę, lecz za to może się przyczynić do wyciągnięcia gorącego krzesła spod twojego tyłka, jeśli sędzia Guthrie się o tym dowie. Oglądałeś w telewizji przebieg posiedzenia?

– Jasne. – Dominick wyszedł z kuchni, niosąc dwie butelki. Zatrzymał się w przejściu i zadał na głos pytanie, które kołatało mu po głowie przez cały dzień: – Nic jej się nie stało?

– Pani mecenas? Zdążyła wyjść z sali, nim ten czubek wpadł w szal. Masterson się nią zaopiekował. Wszystko w porządku. Była tylko trochę roztrzęsiona, co przecież zrozumiałe.

Powinieneś do niej zadzwonić.

Dominick nie odpowiedział.

– Jak sobie chcesz – mruknął Alvarez, wzruszając ramionami. Nie miał zamiaru odgrywać roli dobrego wujka. – Zatem widziałeś, co ten dupek wyrabiał. Wszyscy to widzieli. Chyba z piętnastu strażników rzuciło się i przygniotło go do podłogi tuż przed wrzeszczącą z przerażenia protokolantką i sekretarką. Ale zaraz potem jego adwokat, ten idiota, Mann, przyczłapał do nas, roztrzęsiony jak galareta, i wybąkał, że jego zdaniem Bantling chce zawrzeć z nami umowę. Podobno powiedział, wyobraź sobie, że wie, kim jest Czarna Marynarka.

– Niby skąd, do cholery? – Dominick przysiadł na brzegu krzesła i pochylił się do przodu.

– Nie mam pojęcia. W każdym razie tak powiedział. Oczywiście wtedy był już skuty i przywiązany do fotela, tak że nawet Superman nie dałby rady go uwolnić. Na rękach miał

kajdanki, na nogach pęta z łańcuchami, a w pysku jeszcze knebel, żeby nie mógł nikogo ugryźć. Chłopcy ze straży więziennej wytaczali go właśnie z sali, żeby zawieźć z powrotem do Raiford, kiedy niespodziewanie jego adwokat rzucił mnie i Chrisowi ten smakowity kąsek o Czarnej

Marynarce, do tego wystarczająco głośno, żeby słyszeli to stojący najbliżej dziennikarze. No więc od razu zatrzymaliśmy autobus i przedłużyliśmy o jedną dobę rezerwację pokoju hotelowego w budynku po drugiej stronie ulicy. Nie będę cię zanudzał

szczegółami, w każdym razie chłopcy ze straży więziennej w ogóle nie chcieli o niczym słyszeć i musieliśmy zdobyć nakaz sędziego przedłużający skazańcowi pobyt w mieście. Co więcej, musieliśmy się też zabezpieczyć na wszystkie możliwe sposoby, żeby ten kutas Gracker nie dostał się do Bantlinga ze swoimi federalnymi koleśkami i znów nie spieprzył

sprawy, jak z Vallem. Dość powiedzieć, że nie był z tego powodu szczęśliwy. Oględnie rzecz biorąc, otworzyłem sobie furtkę, żeby stanąć u twego boku, po tych wszystkich brzydkich słowach, jakie ode mnie usłyszał. – Misiek zachichotał.

– I co Bantling wam powiedział?

– Lepiej usiądź. Zaczął od tego, że jego szurnięty doktorek, Chambers, wciągnął go do klubu, do stowarzyszenia oprawców. Podobnie jak ci zboczeńcy, co kupują dziecięcą pornografię, są to faceci, co także wymieniają się różnymi nagraniami, tyle że nie chodzi o pornografię dziecięcą, lecz o sadystyczne filmy z mordowanymi ludźmi. Nie zamordowanymi, ale zabijanymi przed kamerą. Kapujesz?

– Słyszałem o klubach oprawców, Manny.

– Twierdzi przy tym, rzecz jasna, że on nigdy nikogo nie zamordował, bo nie jest Kupidynem. Podobno wszyscy w takich klubach są dobrze rąbnięci. Przynajmniej ci, z którymi zapoznał go Chambers, kolejno musieli kogoś własnoręcznie zamordować, do tego na żywo, przed kamerą. Bantling mówi, że widział zrobione przez nich zdjęcia i filmy w Internecie.

– W jaki sposób został członkiem klubu?

– Miał własne zdjęcia na wymianę, fotografie gwałconych przez siebie kobiet. Pewnie ktoś postanowił rozszerzyć działalność klubu. W każdym razie przyjęli go i nadali mu pseudonim „Bawidamek”.

Dominick zapatrzył się ponad jego ramieniem w jakiś punkt na przeciwległej ścianie.

Kurczowo zaciskał palce na butelce piwa i rytmicznie zagryzał zęby. Misiek ostrożnie pociągnął łyk z butelki, gdyż poczuł się niezręcznie. Po chwili mówił dalej:

– Facet przyznał do tego, i to z uśmiechem na ustach, że jest notorycznym gwałcicielem. Podejrzewam, że chciał w ten sposób trochę zyskać w naszych oczach, odróżniając się od towarzystwa, z którym się zadawał. Chris był tak wściekły, że omal mu gęby nie rozwalil, ale wytłumaczyłem mu, że ty już przez to przeszedłeś i nie jest to najmądrzejsze posunięcie, zwłaszcza gdy w pokoju przesłuchań znajduje się kamera wideo, więc lepiej pozwolić gościowi spokojnie się wygadać.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Dominick najwyraźniej błędził myślami gdzieś daleko, toteż

skonstronowany Alvarez znów uniósł butelkę do ust, kiedy nagle padło pytanie:

– Co ten zasrany klub oprawców może mieć wspólnego ze sprawą Czarnej Marynarki?

– To wyjaśnia nowa, rewelacyjna teoria spiskowa, która miałaby zelektryzować całe miasto. Otóż Bantling twierdzi, że padł ofiarą spisku, że to Chambers był prawdziwym Kupidynem i przy pierwszej nadarzającej się okazji wystawił go policji jako sprawcę mordów na wszystkich ślicznotkach. Teraz podobno ma go dalej wrabiać wspólnik Chambersa.

– Wspólnik?

– Owszem, nie przestyszałeś się. Jego zdaniem Chambers miał wspólnika, który pomagał mu w zabójstwach wszystkich kobiet. Obaj wykombinowali, że byłoby dobrze, gdyby to on usmażył się na krześle elektrycznym za zbrodnie, których nie popełnił. Pewnie chcieli w ten sposób skrócić termin ważności klubowej legitymacji członkowskiej Bantlinga.

Wszystko ułożyłoby się po ich myśli, gdyby na jesieni adwokatka Bantlinga, Rubio, nie przysłała mu liściku miłosnego z obietnicą, że wszystko naprawi, bo podczas procesu spisała się do dupy. Wspomniała przy tym o kopii nagrania policyjnego zgłoszenia, o której nigdy przedtem nikt nawet nie słyszał. No i kilka tygodni później wszyscy, od których zaczęła się ta sprawa, zaczęli nagle ginąć.

Dominick poczuł, jak coś go ściska w dołku. Przypomniał sobie swoją rozmowę z C.J.

tuż przed jej wyjazdem. Idealnie pasowała do tego niespodziewana i gwałtowna śmierć Lourdes Rubio. Uświadomił sobie nagle, że już wcześniej kawałki tych puzzli zaczynały się układać w jedną całość, tylko on nie chciał tego dostrzec.

– Ma na to jakichś świadków? – zapytał.

– Niewykluczone. Zaznaczył, że zarówno Chavez, jak i Ribero uczestniczyli w dochodzeniu przeciwko niemu.

– Tak samo jak niemal każdy policjant z Miami, a już z pewnością każdy z Miami Beach.

– Tak, wiem. Ja też nie kupuję tej bajeczki. W dodatku teraz, gdy Rubio została zamordowana.

– Podczas napadu rabunkowego na jej biuro – przypomniał Dominick zaczepnym tonem.

– Zbieg okoliczności czy zwyczajny pech? – mruknął Misiek, wzruszając ramionami.

– Trudno powiedzieć.

– Czemu ktoś miałby ich wszystkich mordować?

– Pewnie po to, żeby zachować istniejący stan rzeczy.

– Żeby Bantling nie wyszedł z więzienia?

Manny przytaknął ruchem głowy i pociągnął tęgi łyk piwa.

– To już wszystko. Koniec opowieści. Tak się przedstawia teoria Bantlinga.

– Moim zdaniem jest szyta zbyt grubymi nićmi – podsumował Dominick, kręcąc głową. – Gdyby chodziło tylko o to, żeby załatwić Bantlinga, aby istnienie owego klubu pozostało tajemnicą, nie byłoby łatwiej po prostu usunąć go z równania już w więzieniu stanowym?

– Na mój gust ochrona jest za silna. Podejrzewam, że nie sposób nikogo tknąć tam choćby palcem, a zwłaszcza lokatora celi śmierci. Cały blok jest pozamykany przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Poza tym wyrok oznaczałby kolejnego świadka. Lepiej pozwolić mu wyzionąć ducha na iskrzącym krzeselku albo od zastrzyku. To zresztą bardziej poetyckie. Poza tym tylko ja tak dużo gadam. Bantling wcale nie był tak wylewny, zwłaszcza z kneblem w gębie.

– Cholera – syknął Dominick, odchylając się na oparcie krzesła. W zamyśleniu pogładził brodę pokrytą już wyraźną szczecina, jak gdyby postanowił w ogóle się nie golić, dopóki nie będzie musiał w przyszłym tygodniu znów stawić się przed sądem.

– Jak już powiedziałem, niech się cieszą miłośnicy teorii spiskowych. Strażnicy z Raiford nerwowo przestępowali z nogi na nogę, nie mogąc się doczekać, kiedy pozwolimy im zabrać najślynniejszego więźnia z powrotem za kratki, toteż odesłaliśmy ich dzisiaj do domu z naszym błogosławieństwem. Masterson zajął się poszukiwaniami w Internecie, ale jak znam tego łobuza, prędzej ogląda sobie teraz strony o szurniętych dziwkach, skoro może to robić w godzinach służbowych i za państwowe pieniądze. – Westchnął głośno. – Twój wydział ma zorganizować dochodzenie w sprawie klubu oprawców.

– Kto jeszcze może coś wiedzieć o tej kopii policyjnego nagrania?

– Pewnie każdy, komu Rubio albo Bantling zechcieli o niej opowiedzieć.

Dominick zamyślił się na chwilę.

– A co ty o tym sądzisz?

– Ja? Prawdę powiedziawszy, nie sądzę, żeby Bantling naprawdę coś wiedział o takim klubie. Przede wszystkim to on jest Kupidynem, dla mnie to jasne jak słońce. Nigdy nie kupiłem naciąganej bajeczki, że ten ciotowaty psycholog, Chambers, naprawdę postanowił

ożywić postać Hannibala Lectera. Mogę przyjąć, że coś mu odbiło i zechciał się zabawić w mordercę. Poza tym wszystko, co do tej pory ujawniło paromiesięczne intensywne dochodzenie, wskazuje jednak na porachunki gangsterskie, jak sam tłumaczyłeś, finansowane przez kartele narkotykowe. Kolumbijskie krawaty, powiązania z dilerami, skorumpowani gliniarze, których wydział wewnętrzny łączył z handlem narkotykami czy praniem brudnych pieniędzy. To fakt, że nie zidentyfikowaliśmy dotąd Czarnej Marynarki, ale jesteśmy blisko, o czym Bantling świetnie wie, jak każdy, kto zagląda do gazet. Dlatego postanowił skorzystać z okazji. LBJ nadal się ukrywa, ale podsłuch wyłapuje coraz więcej gówna wylewającego się z klubów Vallego, więc to tylko kwestia

czasu, kiedy ktoś tam puści parę z gęby. Dlatego nadal stawiam na Brueta. Grim przyczepił się do niego jak rzep do psiego ogona i powtarza, że gnój powinien już niedługo pęknąć. Zatem wydaje mi się, że opowieść o klubie oprawców powinniśmy włożyć między bajki – podsumował, gładząc się po ogolonej skórze na potylicy.

– W każdym razie ja bym jej nie ujawniał, żeby nie mieszać ludziom w głowach.

– To zbyt gorące kartofle – mruknął cicho Dominick.

Nie mógł się uwolnić od natrętnych obrazów, które wypływały z jego pamięci.

Próbował sobie wyobrazić, jacy ludzie mogli zasiadać w domowym zaciszu przed telewizorem, żeby czerpać rozrywkę z tego, jak na ich oczach ginie inny człowiek – ktoś, kogo zapewne nie znali i nigdy w życiu nie spotkali, kto był czyjąś matką lub córką, ojcem albo dziadkiem, i czyje całe życie, ulatujące w jednej chwili, ani trochę ich nie interesowało, a śmierć była wyłącznie źródłem podniety. Widział już kiedyś taki film i nie mógł zapomnieć przerażających scen. Powracały w jego snach i odciskały piętno na stosunku do rzeczywistości, aż zaczynał się zastanawiać, czy istnieje coś, czego człowiek nie mógłby zrobić drugiemu człowiekowi, coś, o czym do tej pory jeszcze nikt nie pomyślał. Dlatego nie wątpił, że mógł powstać cały klub morderców, uczących się od siebie nawzajem i dostarczających sobie wspólnie rozrywki.

– Jezu... – rzekł Manny. – Przecież nawet dzieciaki w automatach wypożyczalni wideo mogą sobie wybrać *Oblicza śmierci*, czyli zestaw filmików, na których ukazana jest śmierć prawdziwych ludzi, zaatakowanych przez aligatora albo rozbijających się na kawałki o ziemię, bo nie otworzył im się spadochron. Są takie dokumenty poskładane z nagrań przypadkowych świadków zdarzenia, które jakiś czubek uznał za zabawne i wprowadził do dystrybucji. Jest wystarczająco dużo rozmaitych świrów i popaprańców na tym świecie, a Internet tylko ułatwia im kontaktowanie się ze sobą. Celnicy przechwycili ostatnio transport z dziecięcą pornografią, pełną zdjęć z całego świata przedstawiających gwałt na trzylatkach albo stosunki z własną córką. I to nie jest odosobniony wypadek. Do diabła, są setki różnych klubów i stowarzyszeń, w których ludzie grzebią się w takim gównie, że na samą myśl o tym robi ci się niedobrze. Istnieją rozległe siatki zajmujące się sprzedażą dzieci oraz handlem białymi niewolnikami, i to u nas, w Stanach Zjednoczonych. Dlatego wcale mnie nie zaskoczyła informacja o istnieniu klubu oprawców. I tak samo bym się nie zdziwił, gdyby rzeczywiście Bantling odgrywał w nim jakąś rolę.

Dominick nadal się nie odzywał, w zamyśleniu skubał paznokciem nalepkę na butelce i przyglądał się obojętnie, jak skrawki papieru spadają na podłogę.

– Bantling wskazuje tyle rzeczy naraz – dodał Manny – byle tylko zwrócić na siebie uwagę, że aż się dziwię, iż do tej pory nie zabrakło mu jeszcze rąk, podczas gdy wszyscy z uporem traktują go inaczej, niżby sobie tego życzył. Pani mecenas, Rubio, Chambers, a teraz jeszcze ten wydumany współnik doktorka, którego, jak mówi otwarcie, nawet nigdy na oczy nie widział. Dla mnie jego rewelacje sprowadzają się do wspólnego mianownika. Najpierw oskarżył swoją prokurator, potem adwokatkę, wreszcie psychoterapeutę. Więc jak sądzisz, kim może być ten jego zamaskowany morderca? Naprawdę nie trzeba być geniuszem, żeby się tego od razu domyślić.

– Pozwolę sobie zgadywać – rzekł Dominick, unosząc w górę brwi. – Chodzi mu o mnie.

– Nie pochlebiaj sobie. Choć na dobrą sprawę to wcale niewykluczone.

– Więc nie podał wam nazwiska?

– Oczywiście, że nie. Przecież właśnie o tym mówię. Nie podał żadnych konkretów.

Wymienił tylko następną ksywkę, być może ten sam pseudonim, pod którym wspólnik doktorka miałby się przedstawiać w Internecie. Aż mam wrażenie, że staliśmy się bohaterami kolejnego odcinka *Rodziny Soprano*, w którym wszyscy występują pod pseudonimami.

Czarna Marynarka, Kupidyn, Bawidamek, Syn Sama, Duży Joey, Mały Joey, Louie Kupa Gówna. – Alvarez pokręcił głową. – Chcesz go usłyszeć?

– Płonę z ciekawości.

– Glinozabójca. Prawda, że oryginalne?

– Glinozabójca? Co to ma być? Jakiś kalambur?

– Bantling twierdzi, że wspólnik Chambersa zyskał ten pseudonim w klubie nie dlatego, iż jest zabójcą gliniarzy, lecz ponieważ jest gliniarzem. Policjantem, który uwielbia zabijać. Kapujesz?

Rozgrywka jak dotąd przebiegała idealnie, pełna była nagłych i zaskakujących zwrotów intrygi, do tego stopnia, że pod koniec aktorzy byli tak samo zaskoczeni jak widzowie. Zbliżała się pora wielkiego finału, czas na zebranie w garści sznureczków uwiązanych pod dziesiątkami baloników, które wypuścił w powietrze, i utworzenie z nich zgrabnego, ścisłego pęku. Zapowiadał się hollywoodzki happy end dla wszystkich. Żeby przerażeni dotąd obywatele znów mogli zostawiać na noc niezamknięte drzwi swoich domów.

A może nie?

Oparty o maskę samochodu w zamyśleniu obracał w dłoni czerwone jabłko i wycierał

je o koszulę, mimo że już mocno błyszczało w ciepłych promieniach słońca.

Mógł wszystko zostawić tak, jak jest. Jak w najsłynniejszym odcinku serialu *Dallas* zatytułowanym *Kto zastrzelił J.R.?* Albo jak w posępnej *Strefie mroku*, gdzie na końcu odcinka nawet nie ma planszy z napisem „ciąg dalszy nastąpi” i żadna zagadka nie jest wyjaśniona.

Mógł zostawić ją przy życiu.

Opinia publiczna miała wystarczająco krótką pamięć. W ciągu paru miesięcy temat zabójstw Czarnej Marynarki powinien bezpowrotnie zniknąć z repertuaru błahych rozmów w korytarzu lub windzie. Pytanie: „Słyszałaś, że w Miami podejrzięto gardło kolejnemu policjantowi?”, miało zastąpić drapanie po głowie i mętna uwaga: „Pamiętasz, że jakiś czas temu w Miami Beach zginęło paru gliniarzy?”. Po rozwiązaniu specjalnego zespołu dochodzeniowego zgromadzone materiały musiały trafić do archiwum, do sekcji spraw niewyjaśnionych, i w końcu popaść w zapomnienie. Trudno było wykluczyć, że wśród nowo mianowanych detektywów nie znajdzie się jakiś zapaleniec, który spróbuje wznowić śledztwo, chcąc zrobić błyskotliwą karierę. Ten cykl będzie się zapewne powtarzał, ale z malejącą częstotliwością, natomiast akta będzie stopniowo pokrywał kurz przez następne dwadzieścia lat.

Mógł też zakończyć wszystkie sprawy poza tą jedną i zostawić ją w spokoju, świadomie wypuszczając z pęku jeden balonik. Oczywiście to by oznaczało koniec prawie tak samo niejasny i zwodniczy jak ten, który sobie wymarzył. Bo gdyby pozwolił jej żyć, wyrzuty sumienia i odraza do samej siebie nie dałyby jej spokoju aż do ostatnich dni, zżarłaby ją współodpowiedzialność za śmierć pięciu osób oraz perspektywa szóstej ofiary, Bantlinga, czekającego jedynie na termin wykonania kary. Nie wątpił, że dla niej samo poczucie winy miałoby moc wyroku śmierci i w końcu doprowadziłoby ją do ostateczności.

Ale jej śmierć w gruncie rzeczy nie była wcale konieczna, wiedział już, że ona nigdy nie odważy się przemówić. Jeśli kiedykolwiek nadarzała jej się okazja, żeby wyjść z tego z czystymi rękami, na zawsze została zaprzepaszczone z ostatnim wnioskiem Bantlinga o niewinność na zasadzie trójek. Oczywiście nie miałyby najmniejszych skrupułów, żeby jeszcze raz śmiało wystąpić przed sądem i bez mrugnięcia okiem wysłać niewinnego człowieka na śmierć. Nie, jej śmierć wcale nie była konieczna, chociaż wymagała tego sprawiedliwość. Z pewnością należało jej odpłacić.

Wyjął zza pazuchy nóż, którym zamierzał ją zabić, odciął kawałek jabłka i włożył go do ust. Był zbyt zajęty sprawdzaniem rozmaitych poszlak, żeby zjeść porządny lunch.

Spoglądał na małe dzieci bawiące się na skwerku po drugiej stronie ulicy i na ich zdegenerowane matki plotkujące ze sobą albo gadające przez telefon komórkowy, jakby nieświadome bliskiej obecności dzieci oraz nieznanomych – zazwyczaj z fałszywymi, szerokimi uśmiechami na ustach – kręcących się w pobliżu piaskownicy i huśtawek.

Ona jednak wiedziała. Czowała, że śmierć czai się gdzieś w pobliżu i czyha właśnie na nią. Jak w idiotycznej grze komputerowej niemal cudem uniknęła jej już dwukrotnie, zabijając jednego wroga, a drugiego wysyłając na śmietnisko, niemniej musiała zdawać sobie sprawę, że są jeszcze następni, a jej kurczy się zapas dostępnej liczby kolejnych żyć.

Najlepiej byłoby zakończyć to właśnie teraz i za jednym zamachem pozbyć się wszystkich śmieci, pomyślał, wyciągając z kieszeni kupiony niedawno telefon komórkowy.

Wystarczyło przecież tylko wybrać numer, żeby zainicjować ostatni akt przedstawienia –

zgarnąć wszystko do kupy, przewiązać czerwoną wstążką i zostawić resztę policji, żeby wyciągnęła końcowe wnioski, zamknęła śledztwo i odłożyła sprawę na półkę.

Stał zasluchany w sygnał wywołania, kiedy nagle rozległo się pytanie zadane piskliwym dziecięcym głosem:

– Jest pan policjantem?

Ciemnowłosy chłopczyk, który wyrósł przy nim jak spod ziemi, obrzucił

podejrzliwym spojrzeniem jego nieoznakowany samochód. Towarzysząca mu dziewczynka, najwyżej pięcioletnia, zapewne jego siostrzyczka, nerwowo potarła zaczerwieniony od słońca nosek, z którego schodziła jej skóra.

W końcu od dzieci też można było niekiedy dostać cukierka. Trzeba było tylko tego chcieć.

– Tak – odparł, składając pospiesznie telefon.

Rozejrzał się, ale ich matki nie było nigdzie w pobliżu.

– I ma pan pistolet? Gdzie? – zaciekawiał się chłopczyk, robiąc wielkie oczy.

– W samochodzie. Chcecie go zobaczyć?

Mały pokiwał głową.

– Mamusia mówiła, żeby nie rozmawiać z nieznanymi – odezwała się nieśmiało dziewczynka, zerkając raz za razem w stronę skwerku i nerwowo skubiąc brzeg sukienki.

– Przecież nie jestem żadnym nieznanym, tylko waszym przyjacielem – odparł, uśmiechając się przymilnie.

Na potwierdzenie tych słów wyjął z tylnej kieszeni spodni błyszczącą policyjną odznakę.

Ricardo Brueto spojrzął na numer, który pojawił się na wyświetlaczu aparatu komórkowego, i serce zabiło mu mocniej. Na chwilę zastygł bez ruchu, zasłuchany w dźwięk dzwonka, gdyż wiedział dobrze, co on oznacza. Wiedział, że jego przyszłość zmieni się diametralnie, gdy tylko odbierze ten telefon. Po prostu chciał jeszcze odwlec ten moment.

Ale dzwonek niespodziewanie ucichł.

Otarł usta wierzchem dłoni i rozejrzał się po klubie, żeby sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje. Ale sala była całkiem pusta, w kącie rozmawiało tylko trzech barmanów, którzy przyszli po swoją wypłatę, a na parkiecie i za barkiem krzątały się sprzątaczkę, szykując lokal do otwarcia. Zapatrzył się na trzymany telefon, po czym zamknął go w garści, podszedł do wielkiej lodówki za barem, wyjął z niej butelkę budweisera i zerwał kapsel w otwieraczu pod górną częścią stalowej obudowy lodówki. Pół piwa wlał w siebie jednym haustem, żałując, że nie zdążył się wcześniej upić, wprowadzić zawczasu w ten błogi stan, w którym tak łatwo podejmowało się decyzje, nie troszcząc się o nic, nawet o własną przyszłość. Ale nie był

nawet wstawiony. Jeszcze. Błyskawicznie opróżnił butelkę i nalał sobie szklaneczkę jacka danielsa.

Usiadł z powrotem na barowym stołku, podejrzewając, że lada chwila znowu poczuje wibracje trzymanego w dłoni aparatu komórkowego, a zaraz później rozlegnie się kolejny dzwonek. Nie wątpił, że stanie się to jeszcze przed zapadnięciem nocy, a on nie będzie mógł

drugi raz zignorować wezwania. To było wykluczone. Dlatego musiał już teraz zdecydować.

Samo odebranie wezwania oznaczało taką, a nie inną decyzję. Miał do czynienia z gromadą porąbanych sukinsynów, dlatego po prostu nie mógł odmówić ich prośbie. Ale jej spełnienie oznaczało, że już nigdy się od nich nie uwolni, jakby wkroczył na drogę bez powrotu.

Didżej zaczął sprawdzać aparaturę nagłaśniającą, lecz Rico nawet tego nie słyszał.

Miał w uszach zupełnie co innego, w jednym przeraźliwe krzyki swego nowo narodzonego synka, a w drugim złowieszcze szepty Angeliny, tłumaczącej, że koniecznie musi zacząć nowe życie, na przykład polecieć do Chicago i zamieszkać u siostry, żeby móc o nim zapomnieć, zanim znów zostanie aresztowany albo stanie się coś jeszcze gorszego.

Dwieście tysięcy. Cholerna kupa forsy. Mógłby sobie za to kupić wspaniały nowy samochód, a pewnie wystarczyłoby jeszcze na skromny domek dla Angeliny i całą furę pieluch dla Rica juniora. A przede wszystkim kupiłby sobie szacunek tych, którzy nie nauczyli się go jeszcze bać. Nalewając sobie drugą porcję whisky, pomyślał, że nie powinien czekać z odpowiedziami na te wszystkie cholerne pytania aż do tej pory. Bo niby dlaczego miałby podejmować najważniejszą decyzję swego życia między kolejnymi wezwaniem telefonicznymi?

Wiedział, że Angelina ma rację. Gdyby zostali w Miami, historia by się powtórzyła.

Jego dzieci nosiłyby blizny po nim. W wieku dwunastu lat należałyby już do gangu i walczyły na ulicach o swoje interesy, inwestując pieniądze przeznaczone na szkolne lunchy w zakup policyjnej beretty, a w wieku siedemnastu lat miałyby już własne dzieci i zaczynały szczerze żałować, że w ogóle przyszły na ten świat. Do niczego by nie doszły i nikim by nie zostały. Podobnie jak on nie zdołałyby się wyrwać z tego zakłętą kręgu, bo tego nikt nie potrafił. Toteż wszystko zależało od tej jednej chwili. Jeśli naprawdę chciał z tym skończyć, przynajmniej spróbować poprawić swoją sytuację, powinien się wycofać już teraz.

W głowie zaczynało mu szumieć, alkohol przynajmniej ułatwiał oddychanie. A i zdenerwowanie stopniowo mijało. Nalał sobie jeszcze jednego. Została tylko godzina do czasu, gdy w klubie zacznie się rozkręcać zabawa. Tyle że teraz nie była to już tak dobra zabawa jak kiedyś. Od momentu, gdy gliny dostały szału, na ulicach zapanował wyjątkowy spokój, a w interesach nieznośny zastój, bo wszyscy wyruszali na północ, poza Miami, żeby zdobyć to, czego pragnęli. A ponieważ sytuacja stawała się coraz bardziej nerwowa, już od jakiegoś czasu podejrzewał, że lada moment odbierze ten telefon. W dodatku im bardziej przeciągał się przestój, im dłużej gliny deptały mu po piętach, tym bardziej i on stawał się nerwowy, sądząc, że sam może się stać elementem ugody pokojowej. Stanowiło to jeszcze jeden ważny powód, dla którego powinien odebrać telefon. Bo na razie przynajmniej miał tę świadomość, że to nie on będzie musiał ssać wylot lufy magnum, kiedy zapadnie zmrok.

W Miami zdążył sobie wyrobić nazwisko. Miał niezłe dochody. Nikt z nim nie zadzierał. Dlatego likwidacji jakiegoś kutasa, który w pełni sobie na to zasłużył, nie traktował

jak wyzwanie ponad siły. Świat na pewno mógł się swobodnie obejść bez tej jednej szumowiny, a i on nie miał nic przeciwko temu. Nawet gdyby miało to zapoczątkować wojnę, której nie będzie końca.

Z kolumn popłynęła głośna muzyka, didżej Ivo tanecznym krokiem wypłynął ze swojego stanowiska. Na parkiecie pojawiły się światła, wskutek czego odległe kąty sali zatoneły w mroku. Dla Rica była to zawsze dziwna pora, kiedy pozostawało jedynie czekać, aż zabawa się rozkręci, i obserwować od niechcenia ludzi wypełniających klub.

Poczuł nagle wibracje aparatu zaciśniętego w dłoni, chwilę później rozległ się dzwonek. Niemalże świdrował go w uszach, mimo bardzo głośnej muzyki. Popatrzył na wyświetlacz, na którym pojawił się ten sam numer co poprzednio, i jednym haustem opróżnił

chyba już piątą szklaneczkę jacka danielsa. Zegar wskazywał, że minęła ósma. Uświadomił

sobie, że nadal nie podjął tej cholernej decyzji. Odetchnął głęboko, wbijając spojrzenie w trzymany aparat komórkowy. Po trzecim sygnale otworzył go, uniósł do ucha i rzucił bez namysłu:

– Jestem gotów.

Rozłączył się, po czym wyszedł na ulicę, żeby wykonać zadanie.

– Coś panu powiem, panie Lowell. Nie zamierzam panu tłumaczyć, jak powinien pan poprowadzić tę sprawę, ale z pewnością powinien pan usłyszeć ode mnie, jak zwykle prowadzić posiedzenia na swojej sali rozpraw. Otóż nie zamierzam wysłuchiwać bredni. –

Sędzia Guthrie popatrzył na protokolantkę siedzącą w kącie jego gabinetu, a gdy podniosła głowę, puścił do niej oko, chcąc najwyraźniej dać do zrozumienia, żeby ubrała jego wypowiedź w bardziej oględne słówka. – Pański seryjny zabójca na sali sądowej wpada w taki szał, że trzeba aż pięciu strażników więziennych, żeby go unieruchomić, a pan nadal chce skarżyć detektywa prowadzącego dochodzenie w jego sprawie za to, że uderzył go w twarz?

Nick Lowell odchrząknął. Bardzo nie podobała mu się sytuacja, w jakiej został

postawiony, gdyż to on musiał odpowiadać na pytania sędziego federalnego, narażając na szwank swoją wiarygodność, podczas gdy jego mocodawcy, którzy zdecydowali w jego imieniu i przydzielili mu tę sprawę, siedzieli sobie teraz wygodnie we własnych gabinetach, trzy piętra wyżej, i w ogóle się nie pokazywali na sali rozpraw.

– Mamy przecież zapis wideo, Wysoki Sądzie – rzekł.

– Tak, widziałem go. Obraz jest niewyraźny i ziarnisty, częściowo przesłonięty, zobaczyłem tylko tyle, że pańskiemu klientowi został wymierzony policzek. Oczywiście nie twierdzę, iż należy przejść nad tym do porządku dziennego, pytam tylko, czy naprawdę uważa pan, że zdoła przekonać przysięgłych, by wydali wyrok skazujący? Proszę przyjrzeć się lepiej temu człowiekowi! – Sędzia rozpostarł przed sobą wczorajsze wydanie „New York Timesa”, w którym na pierwszej stronie opublikowano zdjęcie Williama Bantlinga przypiętego pasami do wózka na kółkach i wywożonego z sali sądowej w kajdankach, żelaznych okowach na nogach i z rzemiennym kneblem w ustach. – Mogę panu powiedzieć już teraz, że lepiej byłoby nie nazywać go ofiarą brutalnej napaści policjanta, gdyby doszło do publicznej rozprawy. Zapewniam jednak, że na mojej sali ten seryjny morderca będzie mógł

się pojawić wyłącznie w pełnym rynsztunku. Nie dopuszczę, żeby doszło tu do powtórki tego, co stało się w Miami. Proszę się więc przygotować, panie Lowell, bo właśnie tak, a nie inaczej ujrzą tu pańskiego klienta sędziowie przysięgli. I tak samo ujrzą go ja. Dlatego zapytam jeszcze raz, czy naprawdę pan sądzi, że zdoła wywalczyć wyrok skazujący policyjnego śledczego, czy też może lepiej powinniśmy już teraz uzgodnić między sobą, że ten człowiek po prostu wykonywał swoje obowiązki, które potraktował nazbyt poważnie? Za to przecież wystarczyłaby kara wymierzona mu przez szefostwo wydziału.

Wnioski były aż nadto oczywiste. Nick Lowell nie miał złudzeń, że będzie musiał we własnym zakresie popychać dalej tę sprawę, podczas gdy sędzia nie pozostawiał wątpliwości, że nie pozwoli mu jej wygrać.

Les Barquet tylko kiwał głową jak kaznodzieja wysłuchujący spowiedzi.

– Moim zdaniem sędziowie przysięgli co najwyżej wyrażą swój żal, że agent Falconetti ograniczył się tylko do jednego ciosu – rzekł niespodziewanie i zachichotał krótko.

– Pozwolę sobie także przypomnieć, Wysoki Sądzie, że aż czterej funkcjonariusze straży więziennej, mający nieposzlakowaną opinię, są gotowi zeznać, iż obrażenia... – tu uniósł rękę i palcem nakreślił w powietrzu znak zapytania – ...pana Bantlinga wcale nie były tak poważne, jak utrzymuje oskarżenie. To bez wątplenia stawia pod znakiem zapytania cały akt oskarżenia, Wysoki Sądzie.

– Już teraz, z góry, mogę powiedzieć, kto wygra tę jałową przepychankę przed sądem, mimo że oskarżony pochodzi z Miami – oznajmił Guthrie, wzbudzając tłumione śmiechy na widowni. – Więc jeśli nadal zamierzacie forsować swój akt oskarżenia, panie Lowell, przygotujcie się lepiej, żeby nie marnować mojego czasu. Wybór ławy przysięgłych mogliśmy zacząć z samego rana.

– Jutro rano?

– Oczywiście. Pan Barquet utrzymuje, że jego klient nie ma nic przeciwko temu i jest gotów stawić się na rozprawie. Zatem pan i pański zwierzchnik, prokurator generalny, musicie chyba zacząć się modlić, żeby do składu nie trafili ludzie, którzy czytają gazety.

– Wysoki Sądzie, ze strony oskarżenia sprawa jest nieco bardziej skomplikowana –

odparł oskarżyciel, masując sobie palcami tył głowy, jakby ktoś go przed chwilą uderzył.

– Jutro zamierzam ostatecznie pozbyć się tej sprawy ze swojej wokandy, panie Lowell

– rzekł z naciskiem sędzia, spoglądając na niego spod przymrużonych powiek. Nick Lowell uświadomił sobie nagle, że jego ewentualne przyszłe wystąpienia przed tym sędzią mogą się okazać równie mało przyjemne. W gruncie rzeczy chyba wszystkie wystąpienia w imieniu prokuratora generalnego w najbliższym czasie musiały się spotkać z brakiem przychylności sędziego Guthrie. – Nie pozwolę, żeby wlokła się w nieskończoność. Byłby to poważny uszczerbek dla całego wymiaru sprawiedliwości.

– Proszę o krótką przerwę, Wysoki Sądzie. Muszę przeprowadzić rozmowę telefoniczną – rzucił podenerwowany prokurator, podnosząc się z miejsca.

Dość tego! – pomyślał. Za dobrze znał wszystkie okoliczności, toteż nie zamierzał

dopuścić, żeby jego kariera i współczynnik skuteczności procesowej ucierpiały z powodu ślepego pragnienia zemsty kogoś, kto poczuł się urażony.

– Może się pan nie spieszyć – rzucił głośniejszym głosem Guthrie, kiedy Lowell ruszył środkowym przejściem do drzwi. – Przy okazji proszę przekazać swojemu szefowi, żeby nie zwał mi więcej takiego gówna.

Sędzia uśmiechnął się od ucha do ucha i znowu puścił oko do protokolantki.

Przypięty do paska aparat Nextela nagle ożył, co dla Dominicka było jedynie zapowiedzią kłopotów. Ale tego dnia wyjątkowo – i zapewne tylko tego dnia – w jego uszach sygnał zabrzmiał jak najpiękniejsza muzyka.

– Słucham, Falconetti – rzekł do mikrofonu.

– Moje gratulacje. – Pośród gwaru panującego na sali ledwie zrozumiał

wypowiedziane cicho słowa. Ale od razu rozpoznał C.J. Serce ścisnęło mu się w piersi.

– Prędzej należą się tobie – odparł półgłosem, ruszając w kierunku wyjścia z sali na korytarz.

– A ty dokąd, do jasnej cholery?! – zawołał za nim Marlon Dorsett.

– Wrócił do roboty nie dalej jak dwie minuty temu, a już robi sobie przerwę! – Manny Alvarez zaśmiał się gardłowo.

Nie zważając na nic, Dominick wyszedł z sali i znalazł zaciszny kąt za rogiem.

– Mnie chyba jeszcze nie ma czego gratulować – odparła. – Na pewno będą następne apelacje.

– Ale Chaskel wydaje się nieprzejednany. Oglądałem posiedzenie za pośrednictwem sądowej telewizji. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom, gdy dotarły wieści o zabójstwie Rubio. Cóż za wymarzony zbieg okoliczności.

– To prawda. – C.J. odchrząknęła nerwowo, po czym dodała: – Chyba wiesz na ten temat więcej ode mnie, skoro oglądałeś posiedzenie w telewizji. Podobno zginęła w trakcie napadu rabunkowego.

– Tak mówią, ale jak dotąd nie znaleźli podejrzanego.

– W każdym razie dowiedziałam się od Manny’ego, że raczej nie będziesz musiał odpowiadać przed sądem – wtrąciła, zmieniając szybko temat. – To wspaniała nowina.

– Nie wszyscy tak uważają.

– Czyżby de la Flors nie zatwierdził jeszcze wycofania zarzutów?

– Żartujesz? Czemu miałby rezygnować z doprowadzenia mnie do bankructwa, skoro muszę dowodzić swojej niewinności, płacąc adwokatowi po trzysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę? Ten zresztą twierdzi, że de la Flors dostał zawału, jak się dowiedział, co zdecydował sędzia. Słyszałem, że na koniec rozmowy obrzucili się stekiem wyzwisk.

Podobno Geyer swojemu koledze z dystryktu południowego kazał się po prostu odpierdolić.

– Nie wątpię, że Mark Gracker też nie był uszczęśliwiony takim obrotem sprawy.

– On jeszcze dostanie za swoje któregoś dnia. Ale na razie powinienem siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Wszyscy mnie obserwują. – Umilkł nagle. Niezależnie od tego, jak bardzo nie chciał się dalej angażować, jego serce nie zamierzało go słuchać. Niemal bez przerwy nakazywał sobie w duchu, żeby o niej nie myśleć, lecz było to silniejsze od niego. Po prostu nie był już panem samego siebie. Zapytał więc półgłosem: – Co teraz porabiasz?

Widziałem, jak zakończyło się przesłuchanie przed sądem.

– Telewizja sądowa nie pokazała już nic więcej? W każdym razie u mnie wszystko w porządku. Zaczynam następny proces. A ty? Wracasz do pracy?

Znowu zmieniła temat. Doprowadzała go niemal do szału, unikając rozmowy o tym, co było najważniejsze.

– Zgadza się. Od dzisiaj – rzekł cicho. – Ale już nie kieruję specjalnym zespołem dochodzeniowym. Fulton przejął moje obowiązki.

– Jak postępuje śledztwo?

– Mamy pewne nowe poszlaki, ale to jeszcze nic konkretnego. Fulton wciąż trzyma się hipotezy o wojnie gangów, bo wydaje się najbardziej sensowna, chociaż nikt nie chce z nami gadać, co najwyżej wyrażają radość z powodu śmierci czterech gliniarzy. Nie ulega wątpliwości, że Valle maczał w tym palce. W swoich nocnych klubach pierze mnóstwo forsy, choć i w tej sprawie nikt nie chce zeznawać. Black wciąż ma nadzieję, że uda mu się postawić konkretne zarzuty, zanim zrobią to federalni. – Znów zawiesił głos, uświadomiwszy sobie, że wie, o czym, a właściwie o kim ona teraz myśli. – Nie sądzę, żebyś musiała się jeszcze przejmować Bantlingiem. Ta figurka, chociaż nie przyznał się otwarcie, że ją wysłał, na pewno pochodziła od niego. On to traktuje jak dobrą zabawę, chce doprowadzić cię do szaleństwa. W końcu nakazując ci wysłać tę paczkę, doskonale wiedział, że znów się spotkacie. Rubio zapewniła go o tym w liście, w którym przysłała swoje oświadczenie.

Zresztą Bantling nie jest głupcem. Od dawna wiedział, że perspektywa prezentacji szokującego dowodu rzeczowego zapewni mu wycieczkę do Miami i wystąpienie przed sądem.

C.J. nie życzyła już sobie, żeby ją ochraniał, ale robił to niemal wbrew własnej woli.

Dlatego wołał jej nie mówić o tej żalostnej ostatniej próbie Bantlinga wymigania się od krzesła elektrycznego i jego twierdzeniach, jakoby Chambers miał współnika, który teraz uważnie obserwuje każdy ich krok, bacząc na to, by świadkowie nie powiedzieli nic więcej.

Skazaniec nie miał żadnych dowodów na potwierdzenie swoich słów. Masterson nie znalazł

niczego w Internecie, nie było w tej sprawie żadnych dochodzeń ani w wydziałach obyczajowych, ani w urzędach celnych. Nie wpadli na żaden trop ani za pośrednictwem Interpolu, ani Międzynarodowej Agencji Policyjnej. Absolutnie nic nie potwierdzało rewelacji Bantlinga o istnieniu dziwnego międzynarodowego klubu oprawców.

– Przepraszam, Dominicku – rzekła z ociąganiem. – Za wszystko. Już dawno chciałam ci to powiedzieć.

– Daj spokój, C.J. – wydusił z siebie.

Nie prosiłam, żebyś był moim bohaterem. To prawda. I wcale nie zamierzał nim być.

– Nie chciałam cię w to wszystko wciągać.

– Nie wciągnęłaś. I na tym właśnie polega nasz problem.

Poczuła, jak coś ściska ją za serce, gdy dotarło do niej znaczenie tych słów.

– Chciałam cię tylko przeprosić, nic więcej – mruknęła łamiącym się głosem.

Zacisnęła silnie powieki, marząc o tym, żeby cofnąć czas, żeby wróciły niedzielne poranki w łóżku z gazetą rozrzuconą między nimi, weekendowe wypadki do Key West, kiedy to spacerowali, trzymając się za ręce. Było tyle chwil, które pragnęła ożywić, żeby móc przeżyć je od nowa.

– Ja też przepraszam. Ale są pewne rzeczy, których nie da się już naprawić – odparł. I on zacisnął silnie powieki, po czym uderzył otwartą dłońią o ścianę nad głową. Nie zostało mu już nic, co mógłby ofiarować. Kiedy usłyszał na drugim końcu linii dziwne chlipnięcie, rzucił głośniejszym głosem: – No, dobra. Nie przepracowuj się. I życzę powodzenia podczas rozprawy.

– Dominicku... – szepnęła jakby z rezygnacją. Zapatrzyła się na chwilę na strugi deszczu spływającego po szybach jej gabinetu, po czym wydusiła z siebie: – Myliłam się.

Bardzo cię potrzebuję...

Ale było już za późno. Połączenie zostało przerwane.

Oba podwórka, frontowe i na tyłach, porastały chwasty sięgające do pasa, które skrywały porzucone butle od gazu, zardzewiały wrak samochodu i stertę części rowerowych.

Obłazący z farby drewniany parkan zasłaniał przed oczyma mieszkańców Liberty City rozsypujący się, pomalowany niegdyś na zielono dom z zapadniętym dachem. Posesja sąsiadowała z rozległym parkingiem nieczynnej już i pozabijanej deskami hali targowej. Tej pochmurnej bezksiężycowej nocy dom z drzwiami i oknami zabitymi arkuszami dykty pokrytej graffiti, stojący z dala od ulicy, wyglądał odstraszająco. W jego otoczeniu tylko od czasu do czasu rozlegał się szelest, gdy wiatr poruszył uschniętymi badyłami albo przez trawę przebiegło jakieś zwierzątko, poza tym panowała martwa cisza.

Ale wewnątrz domu było niewidoczne z każdej strony. Nawet gdyby ktoś wścibski i lekkomyślny przedarł się przez chwasty i chciał zajrzeć do środka, niczego by nie zobaczył.

Oczywiście nikt nawet nie próbował. Liberty City, które w 1980 roku stało się źródłem zamieszek na tle rasowym, jakie przez trzy dni wstrząsały całą aglomeracją Miami, nadal było siedzibą biedoty i wylęgarnią przestępców. Nic dziwnego, że w takim środowisku nikt niczego nie widział, nawet jeśli coś rozegrało się tuż przed jego nosem.

Po ciemku ostrożnie podkraść się do tylnych drzwi, wymacał obie zasuwki i wprawnie wyważył je kolejno łomem. Cichy trzask pękającego drewna framugi był niewiele głośniejszy od szelestu wybujających traw. Po paru sekundach drzwi stanęły otworem.

Dał nura w ciemność zalegającą pierwsze pomieszczenie, najwyraźniej kuchnię, śmiało zapalił latarkę i ruszył na palcach w głąb korytarza. Zatrzymywał się przed każdymi drzwiami i nasłuchiwał przez parę sekund, gorzko żałując, że tak głośno oddycha. I przez cały czas się zastanawiał, czy da radę to zrobić. Wreszcie wyłowił kilka rzuconych półgłosem słów, krótki stłumiony śmiech, potem parę dalszych słów i znów śmiech. W szparze pod drzwiami raz i drugi rozbłysła niebieskawa poświata telewizora, oświetlając czubki jego butów. Poza tym w całym domu panowała martwa cisza, jak należało się spodziewać. Powoli wsunął klucz do zamka i uniósł pistolet do boku, gotów w każdej chwili zacząć strzelać, gdyby sprawy potoczyły się nie po jego myśli.

Gdy tylko zamek otworzył się z cichym trzaskiem, przekręcił gałkę i pchnął drzwi z całej siły. Zaskrzypiały głośno, ale otworzyły się z takim impetem, że aż huknęły o ścianę i odbiły się od niej.

Jerome Sylvester Lightner, znany także jako Mały J albo LBJ – najbardziej poszukiwany człowiek na całej Florydzie – siedział na stercie brudnych poduszek na starej wyliniałej kanapie i gapił się tępo w telewizor na powtórkę jednego ze starych odcinków programu *Seinfeld*. Pod ścianą wały się puste szklane butelki po whisky i plastikowe po tanim rumie, brudne tacki po daniach z barów szybkiej obsługi i foliowe opakowania po chipsach, powyginane aluminiowe łyżki oraz pozgniatane puszki po coca-coli, niektóre poczerńiałe i upačkane jakąś żółtawą mazią. W powietrzu unosił się kwaśny odór moczu, tworzący z gorzkawym swądem palonej koki odrażającą mieszankę. Dwudziestojednolatek, który dostał się na publikowaną przez FBI listę najbardziej poszukiwanych przestępców, wyglądał nawet bardziej żałośnie niż jego reputacja.

Minęło co najmniej pięć sekund, zanim otumaniony narkotykami mózg Jerome'a przetworzył dostarczoną przez uszy informację, że drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do pokoju. Powoli obejrzał się w stronę wyjścia i zmrużył w wyrazie złości błyszczące piwne oczy, ale gdy spostrzegł wymierzony w siebie pistolet, otworzył je szeroko.

– Co jest, kurwa? – wybełkotał ledwie zrozumiale, próbując rozpędzić narkotykową mgłą otulającą wszystkie zmysły.

To chyba nawet lepiej, że jest w takim stanie, pomyślał Rico, bo mniej będzie czuł.

LBJ próbował wstać, ale bezwładnie zsunął się z kanapy i przewrócił na plecy, po czym wierzgnął raz i drugi bosymi nogami, rozrzucając na boki puste puszkę po coca-coli i papierowe torby z Burger Kinga. Najwyraźniej chciał się doczołgać do otwartych drzwi, jakby spodziewał się za nimi cudownego ocalenia, drogi ucieczki przed nieuchronnym losem, który nawet mimo kokainowego ośpienia musiał być dla niego oczywisty.

– Zamknij mordę i spróbuj sam dojść do łazienki, to nie będzie tak źle – odezwał się Rico, wyciągając z kieszeni gumowe rękawiczki.

Korzystając z kolby magnum i obcasa prawego buta, zdołał jakoś przegnać zbiega przez otwarte drzwi do niewielkiej sąsiedniej łazienki. Ale bandzior cieszący się sławą bezwzględnego zabójcy i tak się domyślił, że będzie kiepsko. Zaczął płakać.

– Lepiej mnie zastrzel, człowieku – powtarzał błagalnym tonem.

– Nic z tego – odpowiadał Rico. – Kto mieczem wojuje...

– Mówili, że tu będę bezpieczny – wychlipał LBJ.

– Kłamali.

Zamknął za sobą drzwi łazienki, wyjął zza pazuchy specjalny nóż i przystąpił do wykonywania szatańskiego dzieła.

– Obudź się, śpiąca królewno. Wezwanie do pałacu. Wracasz do gry – rzucił Manny przez aparat Nextela, po czym zaczął nucić: – Zabierz mnie na wielki bal...

Dominick wymacał telefon na nocnej szafce, przybliżył go do twarzy i odpowiedział, nawet nie otwierając oczu:

– Cholera, tak się cieszę, że nie muszę słuchać twojej pobudki codziennie. Która godzina?

– Siedem po trzeciej nad ranem. W ogóle masz pojęcie, gdzie są twoje dzieci? Czuję się urażony. Myślałem, że o tej porze mój głos brzmi bardzo seksownie.

– Dobra, już dobra. Nie śpię. A skoro mnie obudziłeś, to może raczyłbyś wyjaśnić, po co, do cholery, dzwonisz o tej porze.

– Słuchaj uważnie, bo sam nie mogę się w tym połapać. Oddział szturmowy brygady antyterrorystycznej prowadził akcję przechwycenia transportu brudnych pieniędzy do prania, korzystając z informacji uzyskanych od anonimowego płatnego informatora DEA z Kolumbii.

Nie zgadniesz, kto okazał się odbiorcą tych dwustu tysięcy dolarów przywiezionych przez kuriera. Gruby Freddy Mack z BB Posse.

– Gruby Mack?

– Mówi ci coś ten kolejny pieprzony pseudonim? W każdym razie chodzi o tego samego Grubego Macka, który prowadził klub „Maniak” w imieniu Roberta Vallego od czasu, gdy jego braciszek z Posse, Elijah Jackson, zdecydował się popływać dłużej w zatoce razem z rybami. Ten sam Gruby Mack pojawia się kilkakrotnie w podsłuchanych nagraniach z operacji wymierzonej przeciwko Vallemu, to o nim z taką pogardą wypowiadali się członkowie Latin Kings. No więc mając przed sobą perspektywę czterdziestu lat za kratkami na podstawie oskarżeń o przemyt gotówki przez granicę i pranie brudnych pieniędzy, nie mówiąc już o innych pomniejszych zarzutach, ten wielki, okrutny Mack okazał się wcale nie taki wielki i nie taki okrutny. Wystawił nam, Dommy, tego człowieka, którego nazwisko i aktualne miejsce pobytu mogło mu najbardziej skrócić zasądzony wyrok, jeśli pożyje tak długo, żeby w ogóle zobaczyć salę sądową. Zgadniesz, kogo wydał, zanim Masterson zdążył

przyprawić go o łzy? To powinieneś zgadnąć bez trudu.

– Jeszcze bardziej się cieszę, że nie muszę cię słuchać codziennie o tej porze – odparł

Dominick. – Roberta Vallego?

– Lepiej. Najbardziej poszukiwanego obecnie dupka Ameryki, Dommy. LBJ. Czyli naszego Małego Jerome’a. Pieprzoną Czarną Marynarkę. Cholernego czarnego braciszka z Posse, zabójcę gliniarzy, który zaczął całą tę aferę, likwidując Victora Chaveza. Później Gruby Mack ochoczo opowiedział o

szczegółach wszystkich operacji prowadzonych pod przykrywką „Maniaka”, zdradził Chrisowi, gdzie są księgi, i potwierdził większość poszlak, jakie powstały na podstawie podsłuchu. Dopiero wtedy się pohamował, uświadomił sobie najwyraźniej, jak skutecznie skrócił sobie życie, i zaczął płaczącym głosem domagać się adwokata. W każdym razie mamy adres, pod którym ukrywa się LBJ. Masterson już się tym zajął. To w Liberty City. W cholernym Liberty City, Dommy. Wyobrażasz to sobie? Przez cały czas siedział nam tuż pod nosem. Zaledwie parę przecznic od naszej centrali.

– Kto prowadzi akcję?

– Fulton wezwał oddział specjalny, ale minie trzydzieści albo czterdzieści minut, zanim ci się zorganizują. Ja jestem już w drodze i tobie radzę to samo. Powiadomiłem też Dorsetta i Grima.

– Podaj mi dokładny adres – rzucił Dominick, wyskakując z łóżka i otwierając szafę. –

Zaraz wyjeżdżam.

Rico wierzchem dłoni otarł pot z czoła, lecz nie uwolnił się od strumyków ściekających mu po karku za brzeg bawełnianej koszulki, która i tak była już całkiem mokra.

Nylonową sportową bluzę marki Nike miał całą zabryzganą krwią. Tej zresztą wszędzie było od cholery. Jeszcze raz obrzucił krytycznym spojrzeniem swoje dzieło spoczywające w wannie i z trudem przełknął ślinę. Język miał zeszywniały, a gardło zaschnięte i obolałe. Po raz kolejny zbierało mu się na wymioty, wziął więc kilka głębszych oddechów, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdoła się uwolnić od tego dokuczliwego gorzkiego posmaku w ustach.

W pozbawionym okien pokoju po drugiej stronie korytarza Jerry Seinfeld powiedział coś zabawnego i zgromadzona w studiu publiczność wybuchnęła śmiechem.

Wolał nie tracić czasu na to, żeby się zastanawiać, co właśnie zrobił dla pieniędzy.

Czas na rozmyślenia już minął, skończyło się zaś na tym, że wylądował właśnie tutaj, w sytuacji, którą miał zapamiętać do końca życia, niezależnie od tego, czy mu się to podobało, czy nie. Przez myśl przemknęła mu alternatywa w postaci widoku własnych zwłok spoczywających w tej samej wannie. Odegnął ją szybko od siebie, wyciągnął telefon komórkowy i wybrał numer.

– Gotowe – rzucił krótko, gdy ktoś odebrał po drugiej stronie.

Bez pośpiechu przeszedł z powrotem do kuchni, nie zadając sobie nawet trudu, żeby zamknąć drzwi od pokoju, z którego poświata grającego telewizora wylewała się na korytarz.

Kiedy zauważył, że ręce nadal mu się wyraźnie trzęsą, zadał sobie pytanie, ile czasu musi jeszcze minąć, żeby całkiem się uspokoił. Ile potrzebował, żeby w końcu pogodzić się z tym, co uczynił, żeby móc normalnie dalej żyć? Pchnął kuchenne drzwi i wyszedł na chłodne nocne powietrze, nie zważając, że zatrzasnęły się za nim z hukiem.

– Nie ruszaj się, sukinsynu!

Jaskrawe światło oślepiło go do tego stopnia, że odruchowo skoczył do tyłu, oparł się plecami o ścianę domu, po czym zasłonił oczy ręką i zamrugał gwałtownie. Pokręcił głową na boki, jakby szukał drogi ucieczki, ale w rzeczywistości był całkiem oślepiony. Palce lewej ręki zacisnął na zimnej stalowej kolbie magnum wetkniętego za pasek spodni na brzuchu.

– Słyszałeś?! Nie ruszaj się! Nie waż się nawet drgnąć! Policja!

Rico uświadomił sobie nagle, że już nigdy nie nadarzy mu się taka okazja. Przemknęło mu jeszcze przez myśl, że jego syn będzie się wychowywał bez ojca, a on nie zdąży już odmienić historii ani nawet wpłynąć znacząco na statystyki. Jeszcze godzinę temu sądził, że dwieście tysięcy to wystarczająco duża kupa forsy, żeby dla niej zabić, ale w tej chwili gotów byłby oddać z niej każdego centa.

Jego uszy wypełniły histeryczne zawodzenia Angeliny, a przed oczyma pojawiła się twarz jego matki, kiwającej z politowaniem głową nad jego trumną. I na chwilę przedtem, niż padły strzały, a kule z impetem wdarły się w głąb jego ciała, zdążył jeszcze w duchu skierować prośbę do Boga o wybaczenie wszystkich grzechów.

Zaraz jednak pojął, że nawet na pokutę jest już za późno.

– Padły strzały! Powtarzam: padły strzały! Odebraliśmy zgłoszenie o strzałach z broni palnej w pobliżu skrzyżowania Północno-Zachodniej Pięćdziesiątej Ósmej z Fifth Court Street! – popłynęły z głośnika nextela słowa wykrzykiwane przez Jimmy’ego Fultona. Niemal w tym samym momencie ożyła policyjna krótkofalówka w aucie Dominicka. Dyspozytor wyjątkowo spokojnym, niemal flegmatycznym tonem zakomunikował: – Do wszystkich patroli, napłynęło zgłoszenie o strzałach na posesji numer pięćdziesiąt siedem pięćdziesiąt przy Fifth Court. Powtarzam: Liberty City, Fifth Court numer pięćdziesiąt siedem pięćdziesiąt przy skrzyżowaniu z Północno-Zachodnią Pięćdziesiątą Ósmą. Śledczy z Wydziału do Zwalczania Przystępczości zwraca się o wsparcie do wszystkich znajdujących się w pobliżu patroli.

Kiedy przez radio podawana jest wiadomość, że jakiś policjant potrzebuje pomocy, pozostali rzucają wszystko, żeby odpowiedzieć, niezależnie od tego, w którym wydziale pracują, jak daleką drogę będą musieli pokonać i jakie zadania porzucić. Toteż natychmiast z głośników zarówno krótkofalówki, jak i aparatu Nextela popłynęły krzyżujące się meldunki nadawane ze wszystkich stron. Równocześnie w mieście odezwały się syreny, a radiowozy zaczęły gnać po pustych ulicach z włączonymi kogutami.

Przed frontonem domu szybko powstał nieopisany chaos. Wszędzie było pełno aut tarasujących drogę i zdezorientowanych policjantów. Mieszkający po sąsiedzku ludzie zaczęli wychodzić z domów, zaciekawieni coraz większym rozgardiaszem. Widok jednego czy dwóch wozów policyjnych w tej okolicy nikogo nie dziwił. Ale obecność pięćdziesięciu aut i wycie syren zapowiadające przyjazd następnych musiały oznaczać jakąś większą akcję. I ze wszystkich radiowozów wyskakiwali mundurowi z bronią gotową do strzału, po czym dopiero później sięgali po krótkofalówki, mając nadzieję, że otrzymają jakieś rozkazy. Na szczęście Dominick zdołał zauważyć Fultona, który z wściekłością wykrzykiwał coś do mikrofonu, stojąc przy własnym samochodzie w otoczeniu sporej gromadki śledczych.

– Gdzie, do cholery, ten oddział szturmowy?! Już dawno miał tu być! Nie wejdę do środka bez wsparcia!

– Co się stało? – zapytał Dominick, przepchnąwszy się bliżej dowódcy.

– Mamy na zewnątrz jednego trupa. Niezidentyfikowany, ale wygląda na Brueta, tego gangstera, który kierował Latin Kings. Obserwatorzy stracili go z oczu późnym popołudniem, sądzili jednak, że wyszedł niepostrzeżenie z klubu i zaszył się w swoim domu. A on znalazł

się tutaj, na dodatek uzbrojony w magnum! Masterson zauważył go, jak wychodzi z domu, i kiedy sięgnął po broń, powalił go kilkoma strzałami. Nie mam pojęcia, co się znajduje w środku, ale nie zamierzam dłużej czekać, żeby się o tym przekonać. Możemy zbierać wsparcie z patroli miejskich.

Przed laty Fulton dowodził oddziałem szturmowym i dobrze wiedział, jak należy zorganizować taką akcję.

– W porządku. Bierzmy się do roboty – odparł Dominick, czując gwałtowny przyływ adrenaliny.

Perspektywa szturmu na dom, w którym mogą się czaić uzbrojeni bandyci, szybko go jednak otrzeźwiła. – Wezmę tylko kamizelkę kuloodporną.

– Mam w bagażniku granaty ogłuszające – rzucił za nim Fulton.

– Ja poprowadzę grupę przez tylne podwórko – zaproponował Manny, który także dopiero przed chwilą pojawił się na miejscu.

– Dobra. W takim razie ja wchodzę od frontu – zgodził się dowódca. – Każ Dorsettowi zabezpieczyć okna po stronie północnej. Dom, ty się zajmiesz stroną południową. Wystarczy wam po pięciu ludzi. Wyślijcie najpierw mundurowych, żeby poluzowali te płyty w oknach na dole. Na mój rozkaz wrzucamy do środka granaty i dopiero potem wchodzimy. Nikt nie ma prawa się stamtąd wysliznąć. Jasne?

Niecałe trzy minuty później rozległo się kilka stłumionych wybuchów, a przez szczeliny w zabitych oknach wydostały się oślepiające rozbłyски granatów ogłuszających. Na szczęście płyty z grubej dykty stłumiły huk eksplozji, który wewnątrz domu musiał być ogłuszający.

– Policja! Policja! Wszyscy na ziemię! Nie ruszać się!

Fulton i Alvarez z głośnymi okrzykami poprowadzili swoje grupy do środka, meldując przez radio o kolejnych sprawdzanych pomieszczeniach.

– Salon! Czysty!

– Kuchnia! Czysta!

– Korytarz od frontu i łazienka! Czyste!

Manny pierwszy dopadł wejścia do pokoju na tyłach.

– Coś tu się dzieje! Sypialnia na parterze! Gra telewizor! – Przez chwilę z głośnika dobiegały jedynie szумы i trzaski, lecz zaraz znów rozległy się okrzyki, z jakimi policjanci wtargnęli do pokoju: – Policja! Na ziemię! Nie ruszać się!

– Czysto!

– Zamknięte drzwi!

– Jestem tuż za tobą, Misiek! – odezwał się Fulton. – Ubezpieczaj!

Przez radio doleciał głośny trzask wyłamywanych drzwi i kolejna seria okrzyków:

– Policja! Na ziemię!

W tej samej chwili zapadła nagła, zaskakująca cisza. Dopiero po sekundzie doleciało stłumione:

– O cholera...

Ktoś inny jęknął:

– Matko przenajświętsza...

– Co tam się stało? – zapytał ostro Marlon. – Meldować!

– Sukinsyn... – wymamrotał Alvarez. – Co za pieprzona rzeźnia...

– Znaleźliśmy LBJ – wyjaśnił Fulton. – Ale najwyraźniej oprawcy z Latin Kings dopadli go pierwsi.

– Szlag by to trafił! Nie żyje? – zapytał Dominick.

– Niestety. Mam wrażenie, że... – zaczął Manny, po czym wrzasnął: – Nie rzygaj mi tu, do cholery! Przecież to miejsce zbrodni! Wypieprzaj na dwór! – Znow na parę sekund zapadła cisza, wreszcie Misiak wyjaśnił nieswoim głosem: – Nie żyje to za mało powiedziane, Dommy. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tyle krwi. Kutas leży w wannie i wytrzeszcza na mnie gały. No i ma kolumbijski krawat.

– Uciszyli go na dobre – dodał Fulton. – Dom, chodź tutaj. Coś mi mówi, że możemy już zamknąć naszą sprawę. Zwłaszcza że szykuje się wojna.

– Chyba żartujesz, Andy – rzucił Dominick tydzień później, wychodząc za zastępcą prokuratora stanowego, Andym Mausem, z sali rozpraw 4-10 na zatłoczony korytarz. –

Cztery miesiące harówki, a ty chcesz teraz ot tak ich przekazać?

– Nie mam wyboru, Dom – odparł Andy, ruszając energicznym krokiem w stronę środkowego szybu, jakby miał nadzieję, że zdąży w ostatniej chwili wskoczyć do napakowanej windy i tym samym zakończyć tę dyskusję. – Federalni mają otwartą drogę. To ich jurysdykcja, poza tym działają na podstawie federalnego aktu oskarżenia. Nie dam rady postawić Vallego przed sądem stanowym, dopóki federalni z nim nie skończą i nie zdecydują się oddać go nam. W dodatku sędzia Surace za żadne skarby nie pozwoli na jakiegokolwiek zmiany w swojej przeładowanej wokandzie, zwłaszcza gdy chodzi o sprawę, którą już się zajmuje federalny sąd na dystrykt południowy. Sam słyszałeś, co powiedział. Nie mogę nawet ściągnąć Vallego z powrotem do tego gmachu bez pisemnej akceptacji, zatwierdzonego czasu przesłuchania i kilku szeryfów federalnych będących świadkami rozmowy. Naprawdę nie warto uruchamiać tej maszyny, chłopcy.

– Mam więc rozumieć, że oni zgarną wszystkie zasługi za udaremnienie akcji prania brudnych pieniędzy i rozbicie szajki, włącznie z nagłówkami w gazetach, a nam zostaną trupy i raporty do napisania? – wtrącił zdziwiony Manny. – To chyba lekka przesada.

– Czemu się aż tak wkurzacie? Przecież nikt wam nie odbiera waszej sprawy.

Jak na zawołanie w drzwiach sali 4-10 stanął Mark Gracker, a tuż za nim prokurator federalny przysłany specjalnie przez de la Florsa, żeby czuwał nad wszystkim w czasie posiedzenia. Szef biura FBI znowu uśmiechał się szeroko, rozglądając energicznie po korytarzu i wypatrując zapewne Dominicka. Pragnął się nacieszyć swoim triumfem.

Dominickowi przemknęło przez myśl, że jest na świecie kilka rzeczy, dla których mógłby zaryzykować wydalenie ze służby, ale Gracker z pewnością się do nich nie zaliczał. Wiedział

jednak, że gdyby już teraz ich spojrzenia się zetknęły, za żadne skarby nie zdołałby się pohamować. Dlatego z uporem wpatrywał się w stojącego przed nim Mausem.

– Sprawa federalna potoczy się własnymi torami – ciągnął Andy. – Pranie brudnych pieniędzy i udział w związku przestępczym to doskonałe zarzuty przeciwko bossom karteli narkotykowych. Jeśli Valle zostanie uznany za winnego, pewnie dostanie wysoki wyrok i znajdzie się w niezbyt przyjemnym dla niego otoczeniu. Ostatecznie sądzony za to samo Gotti wylądował w Leavenworth. Natomiast wy prawie nic na niego nie macie. Poza tym kto wie, może Valle zacznie jednak gadać? Może zdradzi, kto wydał rozkaz usunięcia niewygodnego świadka? – Zatrzymał się przed windą i odwrócił, skrzywiony, ze zmarszczonymi brwiami.

Trudno było ocenić, co przyprawiło go o frustrację. – Posłuchajcie – rzekł, zniżając głos. –

Będę z wami całkiem szczery, chłopcy. Czarna Marynarka nie żyje, jak wynika z waszego

dochodzenia. Zarówno Brueto, jak i LBJ nie mogą już zeznawać, a Grubego Macka wsadzono za kratki niemalże z tarczą strzelniczą przyklejoną na czole.

– Straż więzienna miała go umieścić w osobnej celi – wtrącił szybko Manny.

– Ale tego nie zrobiła, więc skończył jak jego koledzy. Dzięki Bogu, że Masterson zdążył go przesłuchać, a wy założyliście podsłuch w klubach Vallego, bo w przeciwnym razie i on pewnie by się wywinął przed karą. Chętnie bym go oskarżył przed sądem stanowym o pranie brudnych pieniędzy, ale staram się być realistą. Na ulicach zaczyna się cholerna krwawa wojna gangów, a nikt dotąd nie chce gadać. Wszyscy wolą strzelać. Każdej nocy dochodzi do porachunków. Nie został już nikt ważny, kogo warto by powoływać na świadka przed sądem. Pozostaje nam więc dalej sprawdzać brudne listy i ponaglać wydziały wewnętrzne, żeby przyglądały się uważnie wszystkim zleceniom brany po godzinach.

Skoncentrujmy się na tym, co jest w naszej mocy.

– Nie podoba mi się takie rozwiązanie – burknął Alvarez.

– Ale nie mamy innego, panowie. Niech teraz gangi same uregulują swoje sprawy, a my zacznijmy sobie gratulować, że w ogóle udało się przyskrzynić za to Vallego. Nikt do tej pory nie mógł postawić mu żadnego zarzutu.

Kiedy otworzyły się drzwi windy, Maus wskoczył do środka, wcisnął guzik i tylko machnął im ręką na pożegnanie, obciążając wymiętą marynarkę.

Dominick ciągle czuł na sobie wzrok Grackera, który patrzył na niego niemal z drugiego końca zatłoczonego korytarza, i miał przed oczami szeroki triumfalny uśmiech rozpychający jego puciołowate, rumiane policzki. Przemknęło mu przez myśl, że za żadne skarby się nie odwróci, by dać temu spasionemu kutasowi satysfakcję. Nadarzy się jeszcze niejedna okazja w sądzie federalnym, gdzie przez najbliższe dwa przekłete lata FBI będzie załatwiało swoje brudne sprawy. Gracker i tak miał wystarczające powody do radości, a Dominick pocieszał się tym, że zemsta, jak mawiali jego włoscy ziomkowie, to potrawa, która najlepiej smakuje na zimno. Właśnie ta myśl pozwalała mu zachować zimną krew.

– Wynośmy się stąd, Mišku – powiedział do Manny'ego, ruszając w kierunku ruchomych schodów.

I wtedy ją zobaczył. Alvarez pierwszy zareagował spontanicznie.

– Pani mecenas! *Hola!* – wykrzyknął.

Jedynym prokuratorem, którego Misiek zawsze witał z radością, była właśnie C.J.

Dominick dopiero wtedy się obejrzał i zobaczył ją tuż przed sobą.

– Cześć – powiedziała miękko.

Sprawiała wrażenie wymęczonej i wychudzonej. Kurczowo przyciskała do piersi grube naręcze

wypchanych kartonowych teczek. Od razu przypomniał sobie, że gdy dokuczały jej senne koszmary, brała pracę do domu i w ogóle nie kładła się spać, całymi tygodniami zadowolając się jedynie półgodzinnymi drzemkami w ciągu dnia. Chcąc jej pomóc, zabierał ją do kina na ulubione komedie i godzinami masował jej kark.

– Witaj – odparł.

Manny wyczuł panujące między nimi napięcie i odsunął się o krok.

– Słyszałam, że federalni zabrali wam sprawę Vallego – rzekła. – Przykro mi.

– Raz na wozie, raz pod wozem – odparł, zdobywając się w końcu na odwagę, żeby spojrzeć jej w oczy. – Znowu nie możesz spać? – zapytał.

– Owszem – skłamała, szybko odwróciła głowę, wyjęła z kieszonki zakietu okulary w drucianej oprawce i włożyła je na nos, mając nadzieję, że choć trochę zasłonią podkrążone oczy. – Prowadzę rozprawę. Wiesz, jak to jest.

– Znowu rozprawa? No cóż, w takim razie powodzenia. – Spojrzał w dół na przybliżający się szybko główny hol gmachu sądu.

– Tęsknię za tobą – powiedziała cicho, niemal szeptem.

– Ja też tęsknię – odparł.

Zeskoczył z ruchomych schodów i pospiesznie ruszył przez tłum w stronę szklanych wahadłowych drzwi głównego wejścia, jakby nie mógł się doczekać, kiedy znowu znajdzie się na skąpanej w słońcu ulicy.

C.J. bez pośpiechu skierowała się od wyjścia z sali 6-7 do ruchomych schodów, ciągnąc za sobą wózek wyładowany pudłami pełnymi dokumentów mających przesądzić o losie kolejnego oskarżonego. Woźny życzył jej dobrej nocy i z głuchym łoskotem zamknął za nią ciężkie drzwi sali rozpraw.

Ruchome schody były od dawna wyłączone, nawet ekipy sprzątające zdążyły się już uporać ze swoją robotą. Wszędzie w korytarzu stały żółte tabliczki z napisami: OSTROŻNIE, MOKRA PODŁOGA. Manewrując wózkiem między nimi, dotarła do windy i zjechała do głównego holu. Wyszła tylnymi drzwiami, za którymi znajdowała się pochyła rampa dostawcza, i ruszyła w cieniu górującego złowieszczo po drugiej stronie wąskiej uliczki gmachu więzienia okręgowego.

Ostatnie tego popołudnia posiedzenie miała w sprawie dwudziestolatka, którego ława przysięgłych uznała za winnego dwóch zabójstw z premedytacją, toteż przysłuchiwała się tylko na pustej sali rozpraw, jak sędzia wymierza mu dwa wyroki dożywocia. Jutro o dziesiątej rozpoczynał się bliźniaczy proces, także o zabójstwo, a potem resztę tygodnia miała wypełnioną spotkaniami i posiedzeniami dotyczącymi dawnego morderstwa, którego zagadkę śledczym z komendy miejskiej udało się po latach rozwiązać dzięki przypadkowej identyfikacji DNA sprawcy na podstawie elektronicznej bazy danych powstałej w Tallahassee. Mniej więcej tak samo zapowiadały jej się kolejne tygodnie przez najbliższe pół

roku. Zmieniać miały się tylko nazwiska osób uczestniczących w procesach.

Sztywno skinęła głową znudzonemu strażnikowi czytającemu magazyn „People” w holu prokuratury stanowej, przeszła przez bramkę wykrywacza metali i skierowała się pustym korytarzem do windy. Bolała ją głowa, a ramiona same się garbiły, jakby przygnięcione ku ziemi olbrzymim ciężarem. Dochodziło wpół do jedenastej wieczorem. Znów ostatnia wracała z pola bitwy, w ramach trofeum taszcząc kolejne ścierwo na swoim składanym wózek. Praca stała się dla niej więzieniem, ale tylko w niej znajdowała ucieczkę, tylko poprzez pracę mogła odbyć swoją pokutę.

Po kolejnej gwałtownej reakcji Bantlinga na sali sądowej wiedziała już z całą pewnością, że niezależnie jak bardzo chciałaby od niego uciec, nie znajdzie sił na rzucenie tej pracy do chwili, aż zostanie wykonany jego wyrok śmierci. Była gotowa poświęcić resztę życia na to, by utrzymać go za kratami i dokończyć postawione przed sobą zadanie. A skoro tak, przy okazji mogła przecież w wolnym czasie doprowadzić do skazania innych przestępców. Stanowisko w prokuraturze w całości definiowało jej życie, czuła się jak w zaklętym magicznym kręgu, od którego tylko parę kroków i kilka par żelaznych drzwi dzieliło ją od morderców, gwałcicieli, złodziei, handlarzy narkotyków, włamywaczy i innych bandziorów. Zaledwie pięćdziesiąt metrów rozdzielało stróżów prawa od ponurego, zakratowanego, betonowego zoo po drugiej stronie ulicy.

Biura prokuratury stanowej były tak samo opustoszałe jak gmach sądu, z którego przed chwilą wyszła. Kiedy zaczęła się przedzierać przez podobny do labiryntu, zagracony laminowanymi meblami sekretariat Wydziału Zabójstw, z głośnym brzęczeniem zapalały się jarzeniówki w kolejnych sektorach, włączane przez czujniki ruchu reagujące na jej obecność.

W wydzielonym zakątku świata należącym do Marisol wyróżniało się duże, oprawione w ramki zdjęcie Manny'ego Alvareza z uroczystej promocji w akademii policyjnej ponad dwadzieścia lat temu. Wyglądało na to, że już wtedy nie miał ani jednego włosa na głowie. A tuż obok stało równie duże, wycięte z wkładki w „Glamour” zdjęcie samej Marisol, szeroko uśmiechniętej, w puszystym boa.

C.J. weszła do swojego gabinetu, zapaliła lampkę na biurku, usiadła w fotelu i zaczęła przeglądać okazałą stertę korespondencji i kartek z wiadomościami.

Sprawę Czarnej Marynarki zamknięto, ale pozostała niewyjaśniona, chociaż Dominick, Manny i Andy Maus próbowali ją zapewnić, że jest inaczej. Dlatego chociaż zespół dochodzeniowy spakował swoje rzeczy, a detektywi wrócili do swoich codziennych zadań, ona się nie poddawała. Bo przecież ktoś z jakiegoś powodu przysłał jej figurkę z jadeitu, miała to potraktować jak ostrzeżenie. Zrobił to ktoś, komu zależało, aby Bantling pozostał za kratkami, kto znał całą prawdę o wydarzeniach tamtej nocy, kiedy zatrzymano jego jaguara na autostradzie, i kto wiedział wszystko na temat Kupidyna.

Ktoś, kogo śmiertelnie się bała, wciąż pozostawał na wolności.

W tej samej chwili, kiedy zamierzała jeszcze raz przejrzeć materiały przygotowane do uzasadnienia wniosku o odrzucenie zeznań świadka, zapiszczał jej przywoływacz. Aż podskoczyła na fotelu. Błyskawicznie odpięła go od paska i rzuciła na stertę papierów na biurku. Nie zdążyła nawet spojrzeć na świecące zielono cyfry maleńkiego wyświetlacza, kiedy urządzeniem wstrząsnęła kolejna seria wibracji, a w pokoju rozległ się nieprzyjemny elektroniczny sygnał.

Do diabła, dostanę kiedyś ataku serca od tego cholerstwa, pomyślała. Nie znosiła przywoływacza. Przeciągnęła dłońmi po włosach i wzięła głębszy oddech, zanim po niego sięgnęła. W tym tygodniu nie miała dyżuru, na okrągło jednak dyżurowała w roli policyjnego doradcy. Poczwała, jak serce jej wali pod wpływem zwiększonej dawki adrenaliny. Jeszcze raz zaczerpnęła głęboko powietrza, zanim podniosła słuchawkę i wybrała numer. Rozmówca odebrał już po pierwszym sygnale.

– Mówi C.J. Townsend z prokuratury stanowej. Ktoś mnie wzywał...

– C.J.? Tu Chris Masterson – przerwał jej zniecierpliwiony męski głos. – Cholera.

Bardzo się cieszę, że cię złapałem. Dziewczyny z naszej centrali nie mają twojego numeru domowego. Posłuchaj, dzwoniłem już do Andy'ego Mause, ale jest poza miastem na jakimś seminarium. Jezu, tak mi przykro, że cię niepokoję... Naprawdę mi przykro, lecz... – Urwał po raz kolejny, jakby nie potrafił znaleźć właściwych słów. Wreszcie rzucił wyraźnie roztrzęsionym głosem: – Do pioruna, C.J., mamy następną ofiarę. Wygląda to cholernie źle...

– Jeszcze raz zamilkł na krótko. – C.J., to Dom...

– Dobranoc, panno Townsend – rzucił za nią ochroniarz, gdy skierowała się do szklanych drzwi wychodzących na parking. – Na pewno nie chce pani, żebym ją odprowadził

do samochodu?

C.J. machnęła tylko ręką i wybiegła na pusty plac. Ruszyła w stronę samochodu, postukując obcasami o brudne betonowe płyty, jedną ręką przerzucając rzeczy w torebce i modląc się w myślach, żeby były tam kluczyki, a drugą ocierając łzy, które spływały jej po policzkach i prawie całkowicie przesłaniały wzrok. W pośpiechu zostawiła na biurku rozłożone papiery, nie wyłączyła laptopa i zapomniała o zakiecie. Usłyszała jeszcze, jak ochroniarz mamrocze coś niezbyt przyjemnego pod nosem, dopóki drzwi nie zamknęły się automatycznie i nie odgrodziły jej od niego.

Za dnia w tej części miasta panował ożywiony ruch, na parkingach trudno było znaleźć wolne miejsce. Ale po zmierzchu rozległe place przypominały asfaltowo-betonową pustynię zagubioną pod rozjazdami autostrady Dolphin w całkowicie pozbawionej życia dzielnicy biurowej.

Tylko z tego powodu serce podeszło jej do gardła. Przełknęła ślinę i przyspieszyła kroku. Pragnęła uwolnić się od paniki, żeby spokojnie pomyśleć. Może to jednak nie była prawda, może ktoś się pomylił w identyfikacji ofiary. Łzy znów napłynęły jej do oczu ze wzmożoną siłą. *Boże, błagam, niech się okaże, że to pomyłka...*

Zarezerwowane dla niej miejsce znajdowało się mniej więcej w środkowej części parkingu przeznaczony dla pracowników prokuratury, ale już za rogiem budynku, od strony mało uczęszczanej jednokierunkowej ulicy Trzynastej – nie dość, że poza zasięgiem wzroku strażnika w jasno oświetlonym holu, to jeszcze w cieniu zwieszających się smętnie ku ziemi liści starej palmy. Po przeciwnej stronie ulicy znajdował się asfaltowy plac zarezerwowany na parking dla sędziów przysięgłych, a za nim ciągnęły się porośnięte wysokim zielskiem nieużytki pod estakadą autostrady Dolphin.

Wymacała w końcu na dnie torebki żelazne kółko z kluczykami od samochodu. Leżały tuż przy zimnej, stalowej kolbie małego pistoletu kalibru.22, który przed laty dostała w prezencie od ojca. Ostatnio nigdzie się bez niego nie ruszała, wyjmowała go z torebki tylko wtedy, kiedy szła do gmachu sądu, gdzie nie wolno było wносить broni.

Wyciągnęła kluczyki, wcisnęła klawisz pilota uruchamiający centralny zamek i natychmiast przeniosła kciuk na sąsiedni guzik włączający alarm. Obowiązkowe zajęcia z samoobrony i czternaście lat doświadczenia nauczyły ją, że kobiety najczęściej padają ofiarą własnej lekkomyślności i nieostrożności, toteż ze szczególnie wzmożoną uwagą obserwowała otoczenie, gdy wchodziła do domu lub wsiadała do samochodu. Obiecywała sobie, że nigdy nie będzie się zachowywać jak typowa kobieta, nawet w sobotnie popołudnie na zatłoczonym parkingu supermarketu.

Szybko otworzyła drzwi, wskoczyła za kierownicę i rzuciła torebkę na sąsiedni fotel.

Jeszcze zanim usadowiła się wygodnie, lewą ręką wymacała zamek i przestawiła go pospiesznie, skutecznie odcinając się od ciemności otaczającej samochód. Zaczepnęła głęboko powietrza, roztrzęsionymi palcami wsunęła kluczyk do stacyjki, przekręciła go i uruchomiła silnik.

Wnętrze jeepa cherokee wypełnił elektrostatyczny szum. Zaskoczona spojrzała na centralną konsolę. W odtwarzaczu siedziała kasetka, klawisz odczytu był wciśnięty.

Ciarki przeszły jej po plecach i zjeżyły się włosy na karku. Intensywny szum nienagranej taśmy urwał się nagle, a z głośników popłynął jak zawsze spokojny, flegmatyczny głos operatora z policyjnej centrali:

– *Słucham. Dziewięćset jedenaście.*

– *Chodzi mi o samochód. To najnowszy model czarnego jaguara XJ-osiem, który w tej chwili skręcił z Lincoln Road w Waszyngtona, w kierunku południowym. W bagażniku wiezie dwa kilo kokainy i zmierza na lotnisko. Będzie jechał do Miami mostem McArthur, gdybyście nie zdążyli go zatrzymać na Waszyngtona.*

– *Proszę podać imię i nazwisko. Skąd pan dzwoni?*

Połączenie zostało przerwane, z kasety znów popłynął tylko szum.

Przez chwilę siedziała nieruchomo, sparaliżowana strachem. Serce podeszło jej do gardła, gdy usłyszała tuż za sobą cichy szelest, a zaraz potem we wstecznym lusterku mignęła jej znajoma twarz.

– Cześć, C.J. – rozległ się tuż przy jej uchu złowieszczy szept. – A może powinienem dzisiaj mówić ci po imieniu, Chloe?

Dominick opuścił wieko laptopa i zamknął leżącą przed nim grubą teczkę z dokumentami. Obok na wiśniowym stole konferencyjnym pozostał jeszcze oprawiony w zielony plastik raport dochodzeniowy oraz harmonijkowy segregator na papiery, oznaczony nalepką z napisem: CZARNA MARYNARKA FDLE 03-0566492, ale i one miały niedługo stąd zniknąć. Specjalny zespół dochodzeniowy został oficjalnie rozwiązany, wszyscy wracali do swoich zajęć w macierzystych wydziałach. Na jutro zaplanowano wyprowadzkę z pomieszczeń Wydziału Defraudacji, którego funkcjonariusze mieli wreszcie powrócić z wygnania na koniec korytarza. Pod ścianą znów miały stanąć kserokopiarki i stanowiska komputerowe, a obok nich biurko sekretarki. Zdjęte z tablicy fotografie czterech zamordowanych policjantów wróciły do odpowiednich teczek z dokumentami, gdzie miały pozostać na zawsze, przeniesione do Archiwum Materiałów Prawnych Stanu Floryda. Na razie jednak tylko od sumienności archiwistów Wydziału do Zwalczania Przeszłości oraz Biura Prokuratora Stanowego zależało to, czy owe przerażające zdjęcia nie zostaną ujawnione opinii publicznej, opublikowane w prasie lub też w sieci. W roku 1997 najgorliwsi dziennikarze gotowi byli zapłacić nawet ćwierć miliona dolarów za fotografie z autopsji Gianniego Versace bądź Andrew Cunanana. Widok okaleczonych i zakrwawionych zwłok w policyjnym mundurze też mógł dla niektórych stanowić łakomy kąsek.

Odchylił się na oparcie swojego starego, głośno już trzeszczącego fotelika na kółkach

– tego samego, którego przed siedemnastu laty zabrał z komendy policji w Bronksie – i potarł

piekące oczy. Przypalił marlboro, mając nadzieję, że papieros pomoże mu dokończyć resztkę przygrzanej w mikrofalówce kawy. Głęboko zaciągnął się dymem, czując, jak napięcie nerwowe nieco słabnie. Dawno stracił rachubę, ileż to razy już rzucał palenie. Aż chciało mu się śmiać, że wrócił do nałogu właśnie teraz, kiedy sprawa Czarnej Marynarki została zamknięta, a jego kariera uratowana, a więc gdy powinien się uwolnić od największego stresu.

Co najmniej po raz dziesiąty tego dnia powędrował myślami do C.J. Nie mógł

zapomnieć, jak wyglądała tego ranka w sądzie. Jak zwykle taszczyła pudła z dokumentami i sterty kodeksów, gotowa do udziału w kolejnym dramatycznym procesie. Sprawiała wrażenie spokojnej i ufnej wobec całego świata. Tylko nie wobec niego.

Przypomniawszy sobie też swojego ojca, a zwłaszcza ten dzień, gdy ojciec oznajmił

oficjalnie przy stole, że od jutra nie idzie do pracy, bo ma zwolnienie lekarskie. Okłamał ich wtedy, Dominicka i jego matkę, tłumacząc z uśmiechem, że wszystko będzie w porządku, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. „To naprawdę nic poważnego, raczej zwykłe nieporozumienie. Za tydzień, najwyżej dwa wszystko się wyjaśni”. Tymczasem nazajutrz Dominick odnalazł jego zwłoki w wannie, kiedy przybiegł ze szkoły podczas przerwy na lunch.

W głosie C.J. usłyszał dzisiaj ten sam ton beznadziei, który wtedy brzmiał w wypowiedziach jego ojca. I właśnie ów ton go przestraszył. Kiedyś obiecał jej, że wszystko między nimi się ułoży, a przecież było inaczej. Brzydził się sobą tylko z tego powodu, że nie dotrzymał danego słowa. Miał

wyrzuty sumienia, że zareagował za ostro, zbyt emocjonalnie podszedł do sprawy jej nieoczekiwanego wyjazdu.

Sygnal telefonu komórkowego wyrwał go z zamyślenia. Dzwonił Manny.

– Dommy, chłopcze. Chcesz dzisiaj zalewać robaka czy mam się zgodzić na wspólne kupowanie mebli?

– Mebli? O tej porze?

– W salonie „Rooms to Go” jest specjalna nocna wyprzedaż. Miałem szczęście. Mogę dostać cały pięcioczęściowy komplet mebli po bardzo atrakcyjnej cenie, pod warunkiem że zapłacę i odbiorę je przed północą.

– Nie wygłupiaj się, Mišku – odparł Dominick, kręcąc głową. – Przecież ostrzegałem cię nieraz...

– Chcemy spróbować zamieszkać razem. Uprzedziłem lojalnie, że nie dostanie pierścionka, jeśli się nie przekonam, że mogę liczyć na ciepły obiad codziennie o piątej. –

Alvarez zachichotał. – Jakbym z którąkolwiek się tego doczekał... Ale coś mi podpowiada, że Mari nie ma żadnych zastrzeżeń. W każdym razie chyba pali się do tego.

– Lepiej uważaj. Jest mnóstwo barów sprzedających dania na wynos, a mikrofalówki są bardzo tanie.

– Jak to jest, że nie mogę w życiu spotkać żadnej ponętnej *mami*, która uwielbia przyrządzać *picadillo* w samych stringach i fartuszkach?

– Sekundę. Uruchamiam wyobraźnię. – Ale upłynęło najwyżej parę sekund, zanim stwierdził, że tego wieczora nie ma ochoty wyobrazić sobie, jak wygląda Marisol Alfonso przy kuchni w swojej najbardziej efektownej różowej bieliźnie z obcisłego spandeksu. Chyba w ogóle nie miał ochoty na takie wyobrażenia. – Nie, nic z tego. Zamierzałem jechać prosto do domu. Ale równie dobrze mogę wpaść do „Big Pink” na spóźnioną kolację. Skąd dzwonisz?

– Z komendy. Zresztą chciałbym z tobą porozmawiać o czymś ważnym.

– Jak się domyślam, chcesz mnie prosić o załatwienie ci przeniesienia do mojego wydziału. Tyle że chwilowo nie jestem pewien, jakimi wpływami jeszcze dysponuję, przyjacielu. Chyba lepiej zadzwoń za parę lat, gdy ci z Tallahassee zapomną, że kiedykolwiek byłem o coś oskarżony.

– Na pewno zabawnie byłoby z tobą pracować, Dommy, ale jednak wolę swoje wyższe dochody z rzetelnie wyliczonymi nadgodzinami od waszej nędznej państwowej pensyjki i dnia pracy trwającego prawie całą dobę. Dlatego dziękuję za propozycję, ale zostanę tu, w komendzie miejskiej. A skoro już mowa o twojej porąbanej agencji, chciałem ci to powiedzieć przy piwie, ale mogę już teraz. No więc jak tylko wróciłem za swoje biurko, mój porucznik zjechał mnie jak burą sukę. Oczywiście nadal jest wściekły za to, co powiedziałem o jego córce. Ale robiąc mi wymówki za to, co się stało w ubiegłym tygodniu, jak całe nasze śledztwo wzięło w łeb, zdradził się, że ma brata w wydziale wewnętrznym. Powiedział więc, że to wspaniale, iż zakończyliśmy wreszcie naszą robotę, ale nie

rozumie, dlaczego tak długo nam to zajęło, czemu nie wzięliśmy pod obserwację Lindemana zaraz po tym, jak miesiąc temu Elijah Jackson zaczął sypać nazwiskami jak z rękawa. Mogliśmy w ten sposób ocalić krawężnikowi życie, bo przecież osierocił dzieci i tak dalej, i tak dalej. Wkurza mnie, jak każdy jest mądry po fakcie i musi teraz wygłosić swoją opinię. Zwłaszcza taki kutas jak on.

Dominick poczuł, że i w nim wzbiera złość. Wydział wewnętrzny komendy miejskiej już parę tygodni wcześniej zajmował się sprawą Lindemana. Czarna Marynarka zdążył

zamordować dwóch policjantów do czasu aresztowania Elijaha Jacksona. Toteż skoro nikt z wydziału wewnętrznego nie raczył powiadomić zespołu dochodzeniowego, że kolejny gliniarz został wymieniony z nazwiska w zeznaniach gangstera, powinien teraz wyłącznie siebie obarczać odpowiedzialnością za jego śmierć.

– Powiedz swojemu porucznikowi, żeby przekazał bratu, iż może to ich nauczy, żeby następnym razem szybciej i bez ociągania przekazywali zbierane przez siebie informacje.

– Już mu to powiedziałem. Ale wtedy usłyszałem od niego coś, co dało mi do myślenia. Odparł mianowicie, że przerwa na łączach musiała być gdzieś między szefostwem waszego wydziału a zespołem dochodzeniowym, a nie wewnątrz komendy miejskiej i wydziału wewnętrznego.

– Gówno prawda. Nikt od nich nie wymienił nazwiska Lindemana, dopóki jego trumna nie spoczęła dwa metry pod ziemią.

– Otóż on twierdzi, że to nieprawda, Dommy. Mówi, że nie trzeba było wam podawać tego cholernego nazwiska, bo już wcześniej było wam znane. Mam nadzieję, że wygodnie siedzisz, kolego. Otóż zgadnij, kto zaraz po zatrzymaniu Jacksona zjawił się w areszcie i osobiście dopomógł chłopcom od narkotyków wyciągnąć z niego kilka nazwisk? Nie wyłączając informacji o jego wspaniałym szefie, Robercie Vallem, oraz naszym nieodżałowanym mężu i ojcu Sonnym Lindemame?

– No kto?

– Wyobraź sobie, że Chris Masterson. Wygląda na to, że Jackson był obiektem jakiegoś dochodzenia zespołu IMPACT. I to właśnie Masterson postraszył go w areszcie, że dostanie dwadzieścia pięć lat odsiadki. To on skłonił Jacksona do mówienia po paru minutach spędzonych sam na sam za zamkniętymi drzwiami pokoju przesłuchań. To on wyciągnął z więźnia nazwiska jego szefa, Vallego, i jego naczelnego goryla, Lindemana. A potem oznajmił jeszcze chłopakom z komendy miejskiej, że mogą sobie przypisać zasługi, bo on nie chce narażać informatorów tajnego dochodzenia zespołu IMPACT. – Manny zawiesił na chwilę głos, po czym dodał ciszej: – W każdym razie tak to tłumaczył.

Dominick przeciągnął rękoma po włosach, próbując dopasować te nowiny do pozostałych elementów układanki. Pytania cisnące mu się do głowy przypominały rój moskitów, które trzeba było wytłuc, żeby znaleźć odpowiedzi.

Dlaczego Masterson nie powiedział w zespole dochodzeniowym o swojej roli w nakłonieniu Jacksona do zeznań? Dlaczego nie uprzedził ich, że Lindeman jest obiektem śledztwa wydziału wewnętrznego, gdy tylko jego nazwisko wyplłynęło w sprawie, a więc zanim gliniarz poniósł śmierć z rąk mordercy?

Wstał, podszedł do stojącej za nim szafki na akta, wysunął szufladę i odnalazł teczkę z naklejką IMPACT-OPERACJA „RAKIETA ŚNIEŻNA”. Przerzucił pospiesznie wszystkie papiery, których treść znał niemal na pamięć, ale nie znalazł w nich niczego podejrzanego, niczego, co by świadczyło, że Elijah Jackson był objęty tym dochodzeniem.

W gardle mu zaschło. Usiadł z powrotem przy stole i zacisnął palce na gardle. *Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.* Jeszcze raz cofnął się do szafki i wyciągnął inną teczkę, zawierającą dziesiątki raportów oficerów policji, będących autorami Listy Brudów w komendzie okręgowej w ciągu ostatnich pięciu lat. Zaczął pospiesznie przerzucać dokumenty, aż wreszcie odnalazł raport dotyczący funkcjonariusza Bruce’a Angelilla. Skargę na niego złożył znany policji i wielokrotnie notowany handlarz narkotyków, który twierdził, że gdy Angelillo zatrzymał go na ulicy Trzydziestej Szóstej za przekroczenie prędkości, podczas rutynowej kontroli ukradł mu z bagażnika sześć kilo kokainy. To doniesienie zapoczątkowało śledztwo wydziału wewnętrznego, które po sześciu miesiącach, a więc w kwietniu tego roku, zostało zamknięte jako „niewyjaśnione”, kiedy to wnioskodawca zniknął bez śladu.

„Niewyjaśnione” w dokumentach wydziału wewnętrznego oznaczało „takie, w którym nie można udowodnić winy”. Dominick spojrział na podpis pod raportem, po czym podniósł

słuchawkę i wybrał numer.

– Lynn – rozległo się na linii, nim przebrzmiał pierwszy sygnał.

– Marty? Tu Dom Falconetti z Wydziału do Zwalczania Przestępczości. Wybacz, że ci przeszkadzam o tak późnej porze.

Marty Lynn był porucznikiem w sekcji kryminalnej jego wydziału. Znali się od lat.

– Nie ma sprawy, Dom. O co chodzi?

– Chciałbym porozmawiać z jednym z twoich detektywów.

– Teraz?

– Tak, jeśli to tylko możliwe. Chodzi o Bobby’ego Haskilla. Siedzę nad raportem końcowym...

– Odnajdę ci go, Dom. Pod jakim jesteś numerem? Poproszę, żeby do ciebie zadzwonił.

– Nadal siedzę u siebie. Znajdzie mnie pod numerem: trzysta pięć, czterysta siedemdziesiąt, pięćdziesiąt pięć, dwanaście.

– Zapisalem – rzekł Marty, po czym dodał: – Gratulacje, Dom, za zamknięcie sprawy Czarnej Marynarki. Odwaliliście kawał solidnej roboty.

– Dzięki – odparł Dominick i odłożył słuchawkę.

Pięć minut później zadzwonił telefon.

– Agent Falconetti? Mówi Bob Haskill z komendy okręgowej Miami-Dade.

– Cześć, Bob. Wiem, że parę miesięcy temu rozmawiałeś z ludźmi z mojego zespołu na temat Bruce’a Angelilla. Siedzę właśnie nad raportem końcowym i...

– Gratulacje.

– Dzięki. W każdym razie zamykamy sprawę i mam do ciebie kilka pytań. Chodzi o twój raport w sprawie Angelilla. Napisałeś w nim, że po wpłynięciu skargi na niego wydział

wewnętrzny próbował zastawić pułapkę.

– Tak. Pomogli nam chłopcy z zespołu IMPACT. Dostarczyli prochy, które miały posłużyć do prowokacji. Ale, jak napisałem w raporcie, Angelillo najwyraźniej zwietrzył, że coś się święci, i nie chwycił przynęty, a potem skarżący go handlarz zniknął bez śladu. Nie mogliśmy nawet sformułować aktu oskarżenia.

Dominick wstrzymał na chwilę oddech, nim zadał następne pytanie, mając uzasadnione obawy, że zna już odpowiedź.

– Nie pamiętasz, Bobby, kto z zespołu IMPACT wtedy z wami współdziałał?

– Oczywiście, że pamiętam. Masterson. Chris Masterson.

Ścisnęło go w dołku.

– Dzięki, Bobby – rzucił w zamyśleniu i odłożył słuchawkę.

Zapatrzył się na to miejsce po drugiej stronie stołu konferencyjnego, na którym wielokrotnie podczas narad zasiadał Chris Masterson. Ani razu nie wspomniał, że miał coś wspólnego z prowokacją wymierzoną przeciwko jednej z ofiar Czarnej Marynarki.

Masterson wiedział jeszcze przed śmiercią Lindemana, że trafił on na Listę Brudów wydziału wewnętrznego, bo przyczyniły się do tego zeznania Elijaha Jacksona, do których sam nakłonił zatrzymanego.

I to Masterson zetknął się z nazwiskiem Angelilla dobry rok wcześniej przy okazji jednego z dochodzeń zespołu IMPACT, o czym też nic nie powiedział.

Masterson miał doświadczenie w walce z miejscową siatką handlarzy narkotyków.

Sam, na podstawie informacji zdobytych w śledztwach zespołu IMPACT, napisał wstępne charakterystyki Vallego i Brueta.

Do tego wcześniej służył w DEA, brał udział w akcjach na terenie Kolumbii, w Bogocie i Cali. To on przecież od razu rozpoznał kolumbijski krawat i wyjaśnił jego ukryte znaczenie.

To Masterson nakłonił Grubego Macka, żeby obrócił się przeciwko Vallemu i zdradził

kryjówkę LBJ, zanim gangster jeszcze tego samego wieczoru zginął w więzieniu.

Wreszcie to Masterson pociągnął za spust, mierząc do Brueta.

Dominick po raz kolejny przeciągnął dłońmi po włosach. Wszystko zaczynało się nagle układać w sensowną całość, uzupełnioną brakującymi dotąd kawałkami układanki.

Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać. W tym wypadku ktoś zrobił wszystko, żeby szukał nie tam, gdzie trzeba, żeby zwracał uwagę na niewłaściwych ludzi. Przypomniawszy sobie też, co usłyszał od Manny'ego po odrzuceniu przez sędziego wniosku Bantlinga o unieważnienie procesu.

Glinozabójca. Bantling twierdzi, że wspólnik Chambersa zyskał ten pseudonim w klubie nie dlatego, iż jest zabójcą gliniarzy, lecz ponieważ jest gliniarzem. Policjantem, który uwielbia zabijać.

Kupidyn. Masterson był także członkiem specjalnego zespołu dochodzeniowego w sprawie Kupidyna od chwili jego powołania. Miał dostęp do wszystkich raportów z tamtego dochodzenia. Sam w nim uczestniczył, rozmawiał ze świadkami. Był na miejscach zbrodni zarówno Kupidyna, jak i Czarnej Marynarki. Przed trzema laty to on kierował przeszukaniem domu Bantlinga. To on odnalazł kasety wideo z sadystycznymi filmami pornograficznymi.

On zabezpieczał dowody rzeczowe. A kiedy C.J. cudem udało się uciec z komory śmierci urządzonej przez szaleńca, to także Masterson kierował czynnościami policji na miejscu zbrodni. Chyba pierwszy zjawił się w gabinecie Chambersa. I to on pierwszy stanowczo uznał, że nie ma nic na potwierdzenie zeznań C.J., iż powinna być co najmniej jeszcze jedna ofiara Kupidyna.

Matko Boska! Serce waliło mu coraz mocniej. *Czy przypadkiem nie naginał faktów do stworzonej naprędce teorii? Nie szedł na skróty, byle tylko uzyskać założony z góry rezultat?*

Bo jeśli tok jego myślenia był słuszny, należało sobie zadać pytanie: dlaczego? Z jakiego powodu Chris Masterson mógłby pragnąć śmierci czterech policjantów? Co chciał przez to zyskać?

Dominick wiedział aż nazbyt dobrze, że często odpowiedzi na pytanie „dlaczego” są po prostu bezsensowne. Dusiciel z Tamiami mordował prostytutki, ponieważ sądział, że są zakażone. Jeffrey

Dahmer zjadał ciała swych ofiar, bo chciał się stać taki jak one. Ted Bundy w ogóle nie zadał sobie trudu wyjaśnienia własnych poczynań, a nikt inny nie wymyślił

żadnego racjonalnego uzasadnienia jego zbrodni. William Bantling nawet nie przyznał się do winy. Ale to przecież byli seryjni zabójcy.

Nagle przyszła mu do głowy myśl, od której zmroziła się krew w żyłach. Z jego pamięci wypłynął lekko chrapliwy głos Manny'ego, który tłumaczył przed paroma tygodniami, gdy siedzieli w dużym pokoju w mieszkaniu Dominicka: *Klub oprawców. Należą do niego faceci podobni do tych zboczeńców, co kupują dziecięcą pornografię, którzy także wymieniają się różnymi nagraniami, tyle że nie chodzi o pornografię dziecięcą lecz o sadystyczne filmy z mordowanymi ludźmi. Nie zamordowanymi, ale zabijanymi przed kamerą. Kapujesz?*

Przeoglądanie stron internetowych w poszukiwaniu śladów tego klubu oprawców nie przyniosło rezultatu, ponieważ tym również zajmował się Masterson. Teraz było już jasne, dlaczego nie dało to żadnych efektów.

– Chris? Tu Dom. Odbierz, proszę.

Dominick niecierpliwie zabębnił palcami o kierownicę auta. Z głośniczka aparatu Nextela doleciał następny sygnał, nadal nikt nie odbierał.

No, dalej, odezwij się! Rozejrzał się niecierpliwie po pustym parkingu przed siedzibą wydziału, zachodząc w głowę, jak wykorzystać zebrane informacje. Sam jeszcze nie mógł

uwierzyć w to, co z nich wynika. Nie mógł się też otrząsnąć z wrażenia przytłaczającego zła, które złapało go w swe szpony. Niepojętego zła. Bo teraz, gdy wreszcie skojarzył pewne fakty, nagle zaczęły do tego obrazu pasować inne rzeczy, nieznajdujące dotąd wyjaśnienia.

Rzeczy, które go zwyczajnie przerażały. Nic nie słyszałem, nic nie widziałem, nic nie mówiłem.

Instynkt nakazywał mu skontaktować się z Chrisem, podjąć próbę uzyskania wyjaśnienia dziwnych ciągów zdarzeń, które mogła przecież łączyć czysto przypadkowa zbieżność. Zespół IMPACT często prowadził tajne dochodzenia we współpracy z innymi wydziałami. Może ujawnienie pewnych informacji naraziłoby na szwank jakąś inną, dużo większą i ważniejszą operację?

Gdyby aparat Mastersona był zajęty, z głośnika nextela popłynąłby szybki urywany sygnał. Ten przeciągły oznaczał, że detektyw po prostu nie odpowiada na wywołanie. Może znajdował się gdzieś poza zasięgiem słyszalności? Na przykład wyszedł do drugiego pokoju czy nawet zostawił aparat w samochodzie i dlatego nie odbierał. Przełączył zatem swój aparat na ciągłe alarmowe wywoływanie tego samego numeru – przez co Chris w ogóle nie mógł

korzystać ze swojego, nie odebrawszy wcześniej połączenia – po czym wybrał numer Jacka Betza, głównego agenta technicznego wydziału.

– Dominick? Ledwie wróciłeś do służby, a już zakłócasz ludziom spokój w domu? –

Jack zaśmiał się głośno. – Tylko mi nie mów, że nagle wypadło ci coś ważnego, bo właśnie wzięłem z wypożyczalni trzecią część *Terminatora*.

– Nie wiem, czy to ważne. Próbuję się połączyć z Chrisem Mastersonem, ale on nie odbiera.

– Przetawiliś się na wywoływanie alarmowe?

– Tak, ale i to nic nie dało. A muszę z nim pilnie porozmawiać. Nie wiesz, czy istnieje sposób na wysłedzenie go?

– Cieszę się, że nie służę w twoim wydziale. Dochodzi jedenasta, a ty ciągle w pracy.

Nie wiesz, czy on jest w swoim samochodzie?

– Nie, nie wiem.

– Ale ma aparat przy sobie?

– Powinien. Da się go namierzyć?

– Centrala Nextela powinna to zrobić bez kłopotu. Przynajmniej chwalili się taką możliwością. Jaki jest jego numer?

– Trzysta pięć, dwieście dziewiętnaście, sześćdziesiąt siedem, siedemdziesiąt cztery.

– Zaczekaj, zaraz się skontaktuję z centralą. Oddzwonię.

Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

Victor Chavez. Sonny Lindeman. Lou Ribero. Lourdes Rubio.

Klucz do rozwiązania zagadek ich śmierci leżał na widoku, należało się tylko skupić na tym, żeby go zobaczyć. Ale on wołał, żeby zabójstwa nie łączyły się ze sobą w jeden logiczny ciąg, dlatego wołał go ignorować. Nie zwracał uwagi na to, co w sposób oczywisty łączyło wszystkie ofiary. Ignorował to, co Bantling powiedział Manny'emu na temat Chambersa, jego klubu oprawców i Glinozabójcy. Zlekceważył nawet własny instynkt, bo przecież kiedy przypominał sobie zeznania ze sprawy Kupidyna, podejrzewał istnienie powiązań z policją. Ostatecznie wszystkie miejsca, w których znajdowano ofiary Kupidyna, miały taki czy inny związek z tajnymi policyjnymi dochodzeniami, były miejscami głośnych zabójstw czy też pułapek zastawionych na handlarzy narkotyków. Ale po śmierci Chambersa łatwiej było przyjąć, że to Bantling był Kupidynem. Bo w ten sposób można było od razu zamknąć dochodzenie. I nie szukać dalej prawdy.

Zamknął oczy. Dla niego ważne było również to, żeby nie mieszać C.J. z zabójstwami.

Nie chciał tego ani wtedy, ani teraz. W ogóle nie dopuszczał do siebie myśli, że to ona wrobiła Bantlinga. Pewnie dlatego ignorował część wskazówek i tak samo ochotczo zamknął

sprawę Czarnej Marynarki, przypisując morderstwa rywalizacji gangów i współpracy Roberta Vallego z kartelami narkotykowymi. Wreszcie nie protestował zbyt, gdy sprawę przejęli federalni, bo i to uwalniało go od pokusy dalszego dochodzenia prawdy.

Nie minęły trzy minuty, kiedy zadzwonił telefon.

– Dominick? – odezwał się Jack. – Namierzyliśmy aparat Chrisa. On też najwyraźniej pracuje po godzinach, więc nie ciosaj mu za bardzo kołków na głowie. Jest w prokuraturze stanowej.

Błyskawicznie sięgnęła do klamki, ale było za późno. Lewym ramieniem objął jej szyję i pociągnął do siebie, wciskając tył jej głowy w zagłówek fotela. Zdążyła tylko cicho pisnąć, wciąż nieporadnie skrobiąc paznokciami wewnętrzną wyściółkę drzwi w daremnej próbie ich otwarcia.

– Spokojnie – szepnął. – Coś mi mówi, że tego się nie spodziewałaś. Przynajmniej nie dzisiaj. – Kątem oka dostrzegła odznaczającą się niemal dziecięcymi rysami twarz Chrisa Mastersona, który wcisnął głowę między przednie fotele. – Na pewno wybaczysz mi ten drobny wybieg. Musiałem go zastosować, bo nie tak łatwo cię dopaść, C.J. – Uśmiechnął się niewyraźnie. – Prowadzisz bardzo nieregularny tryb życia, który aż zwraca na siebie uwagę.

Oczywiście masz ku temu ważne powody. Chyba od początku zdawałaś sobie sprawę, że twoja przeszłość w końcu cię dopadnie. I oto jestem.

Ścisnął ją trochę mocniej, ale nie tak, żeby się dusiła. A przecież bez trudu mógł ją udusić. Jakimś cudem C.J. zdobyła się na całkowity spokój. Zaczerpnęła tylko parę głębszych oddechów i rozluźniła mięśnie, czując bijące mocno serce. Rozmyślała gorączkowo.

Nagle rozległ się dzwonek aparatu Nextela.

– Chris? Tu Dom. Odbierz, proszę – wewnątrz dzipsa wypełnił głos Dominicka.

Poczuła tak przemożną ulgę, słysząc go, że omal nie wybuchnęła płaczem. Aż przygryzła z całej siły wargi, żeby powstrzymać łzy.

– Prawda, że to zabawne? – odezwał się po chwili Chris. – Takie niezwykle wycucie chwili.

– Dlaczego? – zapytała, powtarzając to jedyne słowo, które bez reszty zawładnęło jej myślami.

– Dobrze wiem, jak bardzo jesteś bystra, C.J. Nie zamierzam dołączać do tych, którzy cię nie docenili.

– Naprawdę nie rozumiem – dodała, z lekka kręcąc głową. – Przysięgam, że nie wiem.

Przysunął się bliżej, prawie przytulił twarz do jej policzka. Dokładnie wyczuwała jego palce zaciskające się na jej gardle. Jednym ruchem mógł zmiażdżyć jej krtań, gdyby tylko mu na tym zależało.

– Ile to już było trupów? Cztery? Bo tego kutasa Angelilla dokładam gratis, nie powinniśmy go liczyć. Więc cała ta czwórka nie żyje, C.J. Wszyscy, którzy znali twoją małą tajemnicę. Nie żyją właśnie po to, żeby jej nie zdradzić. Po to, żeby Bill wkrótce pozostał

wyłącznie we wspomnieniach. Zatem pozostało nas tylko dwoje. Ty i ja. – Zamilkł na krótko, po czym syknął, jak gdyby ze złością: – Bo wiem, co zrobiłaś. Wiem, że wcale nie jesteś taka niewinna, więc nie próbuj robić ze mnie durnia.

Coś błysnęło w jego prawej dłoni, przyciągając jej wzrok. Spojrzała w dół. Trzymał

długi nóż o ząbkowanym ostrzu z lekko wygiętym ku górze czubkiem. Na rękach miał

gumowe rękawiczki. Z jej pamięci natychmiast wypłynęły widoki kolejnych ofiar: *Victor Chavez*. *Sonny Lindeman*. *Lou Ribero*. Na każdym z miejsc zbrodni było tak dużo krwi...

Dziwnym sposobem poczuła ulgę, że nadszedł wreszcie koniec, że nie będzie musiała się dłużej zadrećzać domysłami. Jak w wypadku większości prześladowanych ofiar, które przewinęły się przez jej gabinet, i ją paraliżował strach przed niewiadomym, to on znacząco wpływał na jej życie w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Dlatego teraz zapragnęła jak najszybciej się od niego uwolnić. Inni już zostali ukarani, musieli zapłacić za swoje grzechy.

Widocznie teraz przyszła kolej na nią, żeby położyć głowę pod topór kata.

– Wiem, jak bardzo musiały cię nurtować pytania bez odpowiedzi, C.J. Wiem, że budziłaś się pewnie w środku nocy i zachodziłaś w głowę, dlaczego nie wszystko do siebie pasuje, nawet już po śmierci Grega i zakopaniu go na cmentarzu. Stale brakowało ci pewnych elementów łamigłówki, a przecież nie mogłaś się do nikogo zwrócić o pomoc. Nie mogłaś przyjść na nasze zebranie i powiedzieć: „Pomóżcie mi to rozwikłać”, ponieważ nie chciałaś zdradzać własnych sekretów. Mam rację? Nie dawały ci spać? Kazały wyglądać przez okno na ulicę i zastanawiać się, kiedy na ciebie przyjdzie kolej? Czy może zaczęłaś się niepokoić dopiero wtedy, gdy zrozumiałaś, że nie skończy się na jednym trupie?

– Nie, ja... – zająknęła się, próbując gorączkowo dopasować Mastersona do niewyjaśnionych faktów. Nagle ucichł szum płynący z głośników, taśma dobiegła końca.

Zadziałał automat i odtwarzacz zaczął przewijać kasetę w drugą stronę. – To ty... dałeś cynk na policję...

Od tego wszystko się zaczęło. Przypomniała sobie, jak Chris stał w jej gabinecie w prokuraturze i przysięgał na Biblię przed złożeniem oficjalnych zeznań dotyczących przeszukania domu Bantlinga przy LaGorce, znalezionych tam kaset z filmami pornograficznymi i innych dowodów rzeczowych. Przed oczyma stanęły jej inicjały Mastersona widniejące na nalepce plastikowej torebki na dowody rzeczowe, zawierającej rozmaite elementy kobiecej biżuterii znalezione w sypialni Bantlinga, które, jak świetnie wiedziała, stanowiły bezcenne pamiątki z kolejnych podbojów, niezapomniane trofea. I to na jego wargach malował się szeroki uśmiech, gdy w pustej sali konferencyjnej starego budynku Wydziału do Zwalczania Przystępności stanęła nad dowodami rzeczowymi rozłożonymi na stole. To przecież Chris, naruszając policyjne regulaminy oraz wytyczne szefa wydziału, zostawił ją sam na sam z tymi dowodami. Wiedział bowiem, że wcale nie jest niewinna, bo sam zastawił na nią pułapkę. Tak samo wiedział, że Chavez i Ribero złożyli fałszywe zeznania w trakcie procesu Bantlinga, bo to przecież on złożył anonimowe zgłoszenie, które stało się przyczyną działań policji. A o udziale Lindemana w zatrzymaniu jaguara tamtej nocy dowiedział się pewnie, gdy osobiście zjawił się na miejscu zdarzenia.

Mocniej zacisnął palce na jej gardle, aż zaczęła charczeć.

Ponownie rozległ się sygnał wywoławczy aparatu Nextela.

– Chris, jesteś tam? Odezwij się wreszcie, człowieku!

– Mam nadzieję, że w końcu wszystko jest dla ciebie jasne. A może twój były cię nie wtajemniczył? Może wolał cię już nie denerwować, gdy w pośpiechu wycofywał się z twojego życia? – zapytał Chris, uważnie obserwując odbicie jej oczu w lusterku wstecznym. –

Otóż nasz kochany doktorek, Greg, miał przyjaciela, C.J. Bardzo dobrego przyjaciela.

Zaufanego. Słyszysz, co powiedziałem? Teraz już nie masz wątpliwości? Prawdę mówiąc, miał nawet kilku przyjaciół, z których wszyscy byli szczerze zafascynowani jego dokonaniem. Dlatego teraz muszę dokończyć to, co wspólnie zaczęliśmy.

Popatrzył na pusty parking przy siedzibie prokuratury i obejrzał się na gmach Grahama, który C.J. wydawał się oddalony o wiele kilometrów od tego miejsca. A przecież niedawno stamtąd wyszła. Zaledwie parę minut temu była jeszcze za zamkniętymi drzwiami, w jasno oświetlonym pomieszczeniu. Tyle że w ciągu tych paru minut podjęła jedną błędną decyzję. Prowadziła w swojej karierze wystarczająco dużo spraw, żeby mieć świadomość, iż dokładnie takie same myśli dopadają wszystkie ofiary w chwili, kiedy uświadamiają sobie, że znalazły się w kłopotach, kiedy wyczuwają, że zbliża się moment decydujący o ich życiu.

Teraz to ona padła ofiarą. „Kiedy snopy świateł z reflektorów prześlizgnęły się po zaroślach, a zawracający wóz zwolnił przed moim samochodem. *Gdybym została trochę dłużej na przyjęciu...*”. „Kiedy rozległ się za mną chrzęst żwiru na tej bocznej alejce biegnącej przez park: *Gdybym nie zapragnęła skrócić sobie drogi do domu...*”. „Kiedy rozwścieczony i zapłakany mąż pojawił się na parkingu jak spod ziemi, wymachując pistoletem: *Gdybym tylko umiała kłamać i powiedziała mu, że możemy dalej być razem.* Ofiary zawsze poświęcają te ostatnie minuty na jałowe roztrząsanie, co by było, gdyby postąpiły inaczej, i jak by to odmieniło sytuację. Czasem właśnie jedna błędna decyzja powodowała olbrzymią różnicę. *Co moja decyzja mogłaby odmienić?*”

– Wygląda na to, że Dom znalazł sobie na dzisiejszy wieczór jakieś pilne zajęcie –

powiedział Masterson, kiedy rozległ się kolejny sygnał aparatu Nextela. – Przełączył

wywołanie na alarmowe. Byłoby nawet ciekawie posłuchać, co jeszcze ma do powiedzenia w tej sprawie, zaciskając jednocześnie dłonie na twoim gardle. A jakie wspaniałe wyszłyby z tego zdjęcia. Mógłbym zbić małą fortunę na takim filmiku. Już dawno się przekonałem, C.J., że Dom nie ma najmniejszego pojęcia o tym, co zrobiłaś. Nawet jemu nie powiedziałaś, co wykombinowaliście do spółki z tamtymi gliniarzami. On też nie jest w ciemny bity, ale dobrze wiem, że gdyby nie ten mały prezent, który przysłałem ci do biura, nic by mu w głowie nie zaświtało, a więc nie miałby powodu, żeby teraz do mnie dzwonić. Ten biedak dał się nawet aresztować, próbując dojść prawdy o tobie, a ty nie kiwnęłaś palcem, żeby mu pomóc. Mogę się założyć, że właśnie dlatego ze sobą zerwał isticie. Przez sekrety i kłamstwa. – Rozejrzał się jeszcze raz i ciągnął: – Niestety, czasem ochroniarz z tego budynku przypomina sobie o swoich obowiązkach, a do tego, co zaplanowałem, będziemy potrzebowali spokoju. Poza tym znam kilka osób, które z wielką przyjemnością spotkałyby się z tobą

ponownie.

Och, Boże. Przecież to jakaś bzdura. Idiotyzm.

Chambers miał przyjaciela? Dobrego i zaufanego?

A może raczej kochanka?

Prawdę mówiąc, miał nawet kilku przyjaciół, z których wszyscy byli szczerze zafascynowani jego dokonaniem.

Próbowała zmusić swój umysł do uwolnienia wspomnień sprzed trzech lat, które tak usilnie starała się dotąd wypchnąć z pamięci, a konkretnie wspomnień o chwilach spędzonych sam na sam z krwiożerczym potworem – jeszcze jednym potworem w jej życiu, ukrytym pod maską o znajomych przyjaznych rysach. Potworem, który znał wszystkie jej myśli, senne koszmary, lęki, pragnienia i najgłębiej skrywane tajemnice. Znał je, gdyż sama mu o nich opowiadała. Przez dziesięć lat raz w tygodniu zwierzała mu się, zagłębiona w wygodnym, obitym skórą fotelu za zamkniętymi drzwiami gabinetu w Coral Gables.

Doktor Gregory Chambers do dziś pojawiał się w jej koszmarach, zazwyczaj na tle swej poczekalni urządzonej na żółto i niebiesko, wyłożonej meksykańskimi kafelkami i zastawionej wielkimi roślinami w doniczkach, wypełnionej cichą muzyką klasyczną płynącą z głośników pod sufitem. Często w wyobraźni widywała razem z nim jego antyspołecznego i psychopatycznego pacjenta, Billa Bantlinga, gdy równocześnie wciągali gumowe rękawiczki, żeby w środku nocy jej dotykać i wspólnie zaśmiewać się w głos z jej bezskutecznych prób ucieczki przed nimi.

Bantling gwałcił jej ciało przez cztery koszarne godziny, za to Greg Chambers przez dziesięć lat dokonywał gwałtu na jej umyśle. A ona nie zdawała sobie nawet z tego sprawy.

To właśnie było aż tak denerwujące, niewiarygodne i zdradzieckie. Nie miała pojęcia, co się dzieje. W trakcie cotygodniowych sesji jako jej psychoterapeuta troskliwie pielęgnował i rozbudzał jej uczucia, uprawiał jej umysł niczym przydomowy ogródek, sterował jej myślami na potrzeby swoich chorych fantazji, cały czas prowadząc pokrętną grę. Niekiedy wychodziła z jego gabinetu rzeczywiście z lepszym mniemaniem o sobie, gdy w miejsce poczucia wycieńczenia i emocjonalnego wyczerpania pojawiało się wrażenie duchowego oczyszczenia, które niesło nadzieję, że przynajmniej jakaś część jej psychiki wraca do normy. Ale w rzeczywistości Chambers tylko brał to, na czym mu zależało. A ona mu za to jeszcze płaciła i serdecznie dziękowała. Przez lata usiłowała zrozumieć, dlaczego jej się to przydarzyło.

Dlaczego wybrał właśnie ją?

Teraz próbowała przywołać z pamięci tamte doznania. Przed trzema laty, kiedy leżała w ciemnościach wypełniających jego salę śmierci, przywiązana do metalowego stołu na kółkach – otoczona kwaśnym zapachem szampana, zalatującym od jej pozlepianych i potarganych włosów, i odorem strachu – jej umysł, otumaniony dużą dawką jakiegoś specyfiku, daremnie próbował wyłowić sens z tego, co usłyszała. Niemniej denerwujące słowa wryły jej się głęboko w pamięć.

Muszą powiedzieć, że ty i Bill byliście wprost idealną parą do przeprowadzenia eksperymentu na potwierdzenie czysto hipotetycznej teorii. Gwałciciel i jego ofiara. Co się stanie, jeśli role się odwrócą i prześladowana stanie się prześladowcą? Jak daleko się posunie, kierowana żądzą odwetu?

Teraz już wszystko rozumiała. Odpowiedzi, których świadomie przestała szukać przed laty, teraz pojawiały się jak na dłoni, choć zapewne przez cały czas miała je tuż przed nosem.

Chambers dokonał morderstw na jedenastu kobietach, żeby sprawdzić swoją teorię i udowodnić postawioną tezę.

Wszyscy byli szczerze zafascynowani jego dokonaniem...

To Chris Masterson pomógł mu sprawdzać ową teorię. A potem złożył anonimowe doniesienie na policję, doskonale wiedząc, że zatrzymanie na tej podstawie Bantlinga będzie od strony formalnej niezgodne z prawem. *Żeby zobaczyć, jak daleko się posunie i do czego to doprowadzi; do jakiego stopnia będzie gotowa nagiąć reguły etyki zawodowej, byle tylko na własną rękę wymierzyć sprawiedliwość.* I to on znalazł dowód rzeczowy jednoznacznie wiążący ją z Bantlingiem, po czym w trakcie okazania materiału dowodowego zostawił ją samą w sali, dzięki czemu mogła się pozbyć niewygodnego dowodu. *Żeby zobaczyć, jak daleko się posunie.* Przecież i tak podczas najbliższej sesji miała wszystko wyznać Gregowi ze łzami w oczach, on zaś z pewnością opowiedział o tym Chrisowi. W ten sposób łatwo było na bieżąco piętrzyć przed nią przeszkody albo je usuwać, w zależności od potrzeb. *Żeby zobaczyć, jak daleko się posunie, kierowana żądzą odwetu.*

Od początku do końca manipulowanie jej świadomością było dla Grega Chambersa nie tylko świetną zabawą, ale i solidną pracą naukową.

I oto znalazł się jego naśladowca.

– Widzisz? Czasami naprawdę przypominają sobie o swoich obowiązkach.

C.J. spojrzała w lusterko wsteczne. W otwartych drzwiach frontowego wejścia prokuratury stanowej pojawił się ochroniarz. Ziewnął szeroko, przeciągnął się, po czym zrobił

parę kroków, przysiadł na skraju wielkiej cementowej donicy, przypalił papierosa i zaczął się leniwie rozglądać. W chłodnym wilgotnym powietrzu rozszerzający się powoli obłok dymu otoczył go niczym chmura kurzu. Po paru sekundach przechylił się na bok i wyciągając szyję, spojrział na tę część parkingu, na której stał jej džip.

Chris błyskawicznie wzmocnił uścisk na jej szyi i przybliżył do gardła nóż, którego górna część, ząbkowana i wygięta na końcu, pojawiła się jej przed oczami jak złowieszczy uśmiech.

– Zapal światła i powoli wycofaj wóz spod krawężnika. Przejedziemy tylko kawałek, gdzie łatwiej będzie zakończyć całą sprawę. Jeśli skreścisz w niewłaściwą stronę albo zrobisz cokolwiek innego niż każę, bez wahania wbiję ci nóż w szyję, a to z pewnością będzie bolało.

To nie jest tak jak na filmach. Nie będziesz miała okazji, żeby poszukać policjanta czy jakiegoś dobrego samarytanina, który ci z chęcią pomoże. Już ja o to zadbam, żebyś jej nie miała. A jeśli teraz spróbujesz jakoś dać znak temu ochroniarzowi, tylko niepotrzebnie zwiększysz liczbę trupów, bo i tak sobie z nim poradzę. Rozumiesz? W przeciwieństwie do tego, co zapewne myślałaś o mnie do tej pory, wcale nie jestem miłym i sympatycznym gościem, C.J.

Ostrożnie pokiwała głową, gdyż ostry czubek boleśnie wbijał jej się w gardło. Kiedy dygocącą ręką trąciła kluczyki tkwiące w stacyjce, aż zabrzęczały głośno. Przypomniała sobie o pistolecie od ojca, który leżał w jej torebce na sąsiednim siedzeniu, zaledwie pół metra od niej, a przecież zdecydowanie poza jej zasięgiem. Posłusznie włączyła światła, wrzuciła wsteczny bieg i powoli wycofała samochód z miejsca parkingowego. Ochroniarz wciąż siedział na brzegu cementowej donicy, ale już nie patrzył w tę stronę, tylko na jasno oświetlony hol budynku.

– Wyprowadź wóz z parkingu i skreść w prawo, w Czternastą. Ściśle przestrzegaj przepisów ruchu drogowego. Przejedziemy tylko pod estakadą autostrady i miniemy pierwszy kwartał osiedla. Potem skreścisz w prawo i zatrzymasz się, a ja się zajmę resztą.

Sterowana elektrycznie barierka u wylotu parkingu powędrowała w górę. C.J.

wykręciła w ulicę Czternastą, za dnia bardzo ruchliwą, i omiotła spojrzeniem puste zatoczki przed piętrowym garażem i przychodnią lekarską Cedars Sinai. Kiedy zatrzymała się na czerwonym świetle na skrzyżowaniu z Twelfth Avenue, jej ciało przeszył mimowolny dreszcz. Wsłuchując się w szmer powolnego głębokiego oddechu tuż nad swoim ramieniem, domyśliła się, że on próbuje odgadnąć jej myśli. Niemal z lubością przesunął nieco ostrzem noża po jej gardle i poczuła, jak krople krwi z rozciętej skóry zaczynają spływać jej po szyi za kołnierzyk bluzki.

Gdyby teraz skręciła w lewo, najwyżej kilkaset metrów dzieliłoby ją od Szpitala imienia Jacksona i

Centrum Urazowego Rydera, gdzie pracowali chyba najlepsi chirurdzy z południowej Florydy. To właśnie oni łatali dziury wybite w ciałach przez kule mściwych gangsterów załatwiających swoje porachunki w sobotnie wieczory, zszywali kolejnych Hatfieldów, żeby mogli wrócić na wojnę z McCoyami, układali na nowo śledziony i wątroby w jamach brzusznych ludzi, którzy przebijali się przez barierki na wiaduktach autostrady I95.

Może przy odrobinie szczęścia zdołałaby dotrzeć na podjazd karetki przed oddziałem przyjęć, żeby dać lekarzom kolejną szansę na poskładanie jej w jedną całość, wyciągnięcie noża z szyi i wlanie w jej puste żyły paru litrów życia innego człowieka. Może daliby radę odnaleźć wszystkie brakujące kawałki, powkładać je na miejsce, pozaszywać rozcięcia i połatać dziury.

Gdyby zaś przejechała jeszcze ze dwa kilometry ulicą Czternastą, znalazłaby się przed ceglanyim budynkiem Zakładu Medycyny Sądowej okręgu Miami-Dade. Zaoszczędziłaby wyjazdu karetce.

Mogła też wrzucić wsteczny bieg i z impetem skierować samochód na zwieńczone drutem kolczastym siatkowe ogrodzenie więzienia okręgowego. Chyba znalazłaby się wreszcie w przynależnym jej miejscu.

No i ostatnie wyjście, skręt w prawo, który oznaczał najprostszą drogę do jej nagłej śmierci z ręki wytrawnego zabójcy. Gdy tylko przekazałaby mu miejsce za kierownicą, zabrałby ją do jakiejś przyczepy mieszkalnej we Florida City czy też rozsypującego się porzuconego baraku na terenie parku Everglades, gdzie mógłby wykorzystać przeciwko niej najgorszą broń, a mianowicie czas. Wszyscy stróże prawa doskonale znali złotą zasadę, którą wbijali do głów dzieciom w czasie szkolnych pogadarek zaraz po nakazie, aby nigdy nie dotykały broni palnej; zasadę, którą ona sama rozpowszechniała wśród funkcjonariuszy zajmujących się przestępstwami na tle seksualnym i którą powtarzała na każdym kursie samoobrony dla kobiet – *pod żadnym pozorem nie wsiadać do samochodu*. Niech bandyta lepiej zastrzeli cię na ulicy, niech cię ściga po całym osiedlu z kijem baseballowym, niech cię wlecze za włosy po chodniku, nie bacząc na twoje dzikie wrzaski, lecz niezależnie od wszystkiego *nie wsiadaj z nim do samochodu*. Bo gdy tylko znajdziesz się w środku, będziesz zdana wyłącznie na jego łaskę.

Łzy pociekły jej po policzkach. To koniec, pomyślała, już się rozsypuję na tysiąc kawałeczków i nikt ani nic nie pozbiera mnie do kupy. Jak dziecko przez lata maltretowane w rodzinnym domu, które zostaje przeniesione do domu dziecka, gdzie znów spotykają je same cierpienia ze strony innych potępionych duszyczek, którym nie można już pomóc. Czasami zniszczenia są zbyt głębokie, nieodwracalne, nienadające się do naprawy. Przez piętnaście lat próbowała uciec przed upiorami noszącymi gumową maskę klauna, które wciąż nawiedzały ją w nocy. Nawet gdy wszystko wskazywało, że jest już bezpieczna i nic jej nie grozi, nie potrafiła wrócić do normalnego życia. W końcu trafiła na kolejnego oprawcę, którym okazał

się jej psychoterapeuta. Znalazła sobie zastępczego opiekuna, w założeniu mającego dopomóc jej uwolnić się od nieszczęścia, który tymczasem umiejętnie zaprowadził ją z powrotem na skraj załamania nerwowego i z przymilnym uśmiechem manipulował jej świadomością dla swoich zboczonych potrzeb. Teraz zaś wpadła w łapy następnego, jeszcze jednego pozornego przyjaciela. Powodów jego zdrady także nie rozumiała. I ani przez chwilę nie podejrzewała, co się święci.

Skręciła w prawo. Chris cofnął nóż, jakby świetnie wyczuwał walkę, którą toczyła z samą sobą, i tak samo wyczuł, że jej zmagania dobiegły końca.

– Załatwimy sprawę szybko – powtórzył szeptem. – Przynajmniej tyle mogę ci obiecać. Szczerze mówiąc, zawsze bardzo cię lubiłem, C.J.

Jadący przed nimi samochód skręcił na wjazd na autostradę i zniknął jej z oczu. W

przodzie rozlał się głęboki cień skrywający teren pod estakadami rozjazdów, był tak blisko, że nie zostało jej już wiele czasu do namysłu. Z zakamarków jej umysłu wydobył się bezgłośny histeryczny krzyk: *Zróbże coś! Uciekaj! Wskocz z auta! Poszukaj patrolu! Walnij w drzewo!*

Nigdy nie wsiadaj do samochodu...

Wreszcie wyłoniła się otrzeźwiająca myśl:

Nie pozwól mu ze sobą skończyć. Nie pozwól mu utrzymywać kontroli nad wydarzeniami.

Tak, to było najistotniejsze. Przynajmniej dopóki decyzja należała do niej.

Zacisnęła powieki, przywołując w myślach widok Dominicka oraz niedzielnej porannej gazety rozrzuconej na łóżku między nimi. I bez wahania wcisnęła pedał gazu do podłogi.

Kurwa!

W jednej chwili domyślił się, co ona zamierza, ale nie zdążył zareagować. Jego lewa ręka wbiła jej się w gardło i ze zdwojoną siłą przycisnęła głowę do zagłówka, gdy impet przyspieszenia rzucił go do tyłu na oparcie siedzenia.

I żaden dźwięk nie poprzedził huku dżipa uderzającego w betonowy filar estakady. Nie rozległ się pisk hamulców ani świst towarzyszący poślizgowi opon na asfalcie czy też wycie silnika podczas ostatniej desperackiej próby uniknięcia zderzenia. Tym bardziej ogłuszający wydawał się ten łoskot połączony ze zgrzytem gniecionych blach, wypiętrzających się w górę i składających w harmonijkę.

Masterson bezwładnie odbił się od oparcia tylnego siedzenia, potem od dachu, wreszcie został ciśnięty twarzą na oparcie fotela. Z donośnym trzaskiem eksplodowały poduszki powietrzne i wystrzeliły do środka niczym czasie dwóch spadochronów. Przednia szyba rozprysła się na setki okruchów, a ich grad posypał mu się na głowę.

I nagle nastąpiła wręcz ogłuszająca cisza. Ale tylko na chwilę.

Potrząsnął głową, próbując odegnać mgłę sprzed oczu i jak najszybciej zorientować się w sytuacji. Gdzieś z przodu doleciał jej cichy jęk.

Pieprzona suka! W głowie mu pulsowało. Rozejrzał się wśród otaczających ciemności.

W końcu uniósł rękę do twarzy i poczuł w dotyku ciepłą, lepłą krew. Ostrożnie przeciągnął palcami po szerokim rozcięciu na czole, w którym nadal tkwiły drobne odłamki szkła.

Nóż! Upuścił go gdzieś. Mógł się tylko łudzić nadzieją, że zdążył wbić jej go głęboko w gardło, zanim postanowiła rozbić wóz o filar estakady. Zaraz jednak przypomniał sobie jej cichy jęk, świadczący dobitnie, że tego nie zrobił.

Na wrak dżipa spadło nagle wycie policyjnej syreny, rozbłyśki niebieskiego migacza odbiły się na oparciu przedniego siedzenia znajdującego się tuż przed jego oczyma. W panice zaczął macać po podłodze, szukając wśród odłamków szkła noża, ale natrafił jedynie na swoją służbową odznakę.

Nagle Dominick Falconetti podetknął mu pod nos lufę pistoletu i kazał wyskakiwać z samochodu.

Dominick od razu zauważył wydziałowego czarnego pontiaca grand prix na parkingu przed sądem przy ulicy Trzynastej, w sektorze zarezerwowanym dla policji, naprzeciwko rampy wyladowczej dla więźniów. Coś gwałtownie ścisnęło go za serce. Miał wrażenie, jakby ujrzał własny służbowy samochód.

Może przywiózł jakiegoś aresztanta?

Może zorganizował spóźnione przesłuchanie na terenie więzienia?

Może prowadzi w gmachu sądu jakieś działania związane z tajnym dochodzeniem, o którym nikomu nic nie wiadomo?

Próbował gorączkowo posegregować w myślach te wszystkie „może”, ale żadne wyjaśnienie nie było ani trochę tak wiarygodne, jak to, którego nadal nie chciał do siebie dopuścić – to, które kazało mu przygnać tutaj autostradą Dolphin z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, z włączonymi światłami i na sygnale; to, które zmuszało go do wypatrywania samochodu C.J. na tonących w mroku parkingach przed gmachem sądu oraz przed siedzibą prokuratury stanowej po drugiej stronie ulicy.

Kiedy próbował się do niej dodzwonić z domu, po czterech sygnałach włączyła się poczta głosowa, co świadczyło wyraźnie, że linia jest wolna, a jej po prostu nie ma jeszcze w mieszkaniu. Ale nie można było też wykluczyć, że po prostu nie odbiera telefonu, chcąc się przekonać, kto dzwoni. Z drugiej strony nie odbierała ani komórki, ani telefonu służbowego w biurze, nie odpowiadała też na wezwania wysyłane pod numer jej przywoływacza.

Początkowo łudził się nadzieją, że jest jeszcze w sądzie, gdzie nie można było mieć włączonych ani przywoływaczy, ani aparatów komórkowych. Może nadal uczestniczyła w jakiejś rozprawie? A może wyszła na spóźniony obiad? Może po prostu wolała nie odbierać telefonu od niego po tym, jak obojętnie przeszedł obok niej po zakończeniu tamtego posiedzenia w sądzie? W głębi duszy coś mu jednak mówiło, że powód jest zupełnie inny.

Domyślał się, że stało się coś złego. A obecność wozu Chrisa Mastersona na parkingu tylko potwierdzała te obawy.

Mimo to nie potrafił jej odnaleźć.

Do diabła, C.J.! Gdzie jesteś, do cholery?!

Ledwie minął róg więzienia i skręcił w ulicę Czternastą, zauważył tylne światła jej dżipa skręcającego w prawo w Twelfth Avenue, w kierunku wjazdu na autostradę, którą normalnie wracała do domu. Odetchnął z ulgą, czując, jak natychmiast zanika napięcie nerwowe, które kierowało nim od pewnego czasu, a serce przestaje się tłuc w klatce piersiowej. Równocześnie kazało mu to przemyśleć na nowo kilka spraw. *Na pewno wraca z zakończonej późno rozprawy. Nie inaczej. I ignoruje wiadomości ode mnie oraz sygnały przywoływacza z powodu sytuacji, w jakiej ją*

zostawiłem, jawnego lekceważenia z mojej strony i braku wyrozumiałości.

Przeciągnął dłonią po włosach i westchnął ciężko, po czym znów włączył niebieski policyjny migacz.

Postanowił ją zatrzymać. Chciał ją ostrzec, przedstawiając zdobyte dzisiaj informacje na temat potworów występujących pod maską przyjaciół, co do czego nie miał już żadnych wątpliwości, jak też nielegalnych klubów oprawców oraz najemnych morderców szerzących wokół siebie samo zło. Zamierzał jej powiedzieć, że świetnie rozumie to wszystko, co zrobiła, żeby wpakować Bantlinga do więzienia, i że powinien już dawno jej to wyznać.

Potem chciał ją zabrać w jakieś bezpieczne miejsce, samemu zaś wrócić tutaj, żeby podjąć łowy na kolejnego seryjnego zabójcę, a do niedawna jego bliskiego znajomego.

Pragnął jej powiedzieć, że gdy tylko się z nim rozprawi, gdy tylko ta wojna dobiegnie końca, wyjedzie stąd razem z nią, obojętne dokąd, do Kalifornii, na Hawaje czy do Hongkongu, byle dalej od źródła jej nieszczęścia – tam, gdzie nie będzie musiała się niczego bać, gdzie nikt nie będzie ich budził o trzeciej nad ranem z powodu odnajdywanych na mieście zwłok, gdzie nie dosięgnie ich przeszłość i gdzie będzie możliwe dalsze naprawianie jej, jeśli tylko mu na to pozwoli. Bo za nic nie chciał już nigdy czuć się tak jak wówczas, kiedy stracił Natalie.

Dojechał do skrzyżowania i skręcił w ulicę Dwunastą, kierując się śladem dzipa, który zaledwie parę sekund temu zniknął mu z oczu. I nagle ku swemu przerażeniu ujrzał jak gdyby na zwolnionym filmie, jak jej cherokee gwałtownie przyspiesza i roztrzaskuje się na filarze estakady autostrady Dolphin.

– Wyskakuj z samochodu, do cholery! – wrzasnął, podtykając pistolet pod nos niewyraźnej postaci skulonej pod tylnym siedzeniem rozbitego dżipa, podczas gdy kątem oka nerwowo zerkał na przedni fotel.

Oczy miała zamknięte, a głowę opartą bokiem o poduszkę powietrzną. *Krew. Wszędzie było pełno krwi...* Obok niej na przednim siedzeniu leżał duży myśliwski nóż o ząbkowanym ostrzu i czubku lekko zagiętym ku górze, także usmarowany krwią. Dżip zderzył się z filarem przy prędkości około osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, toteż cały przód uległ

zniszczeniu. Z roztrzaskanej chłodnicy unosiły się strumyki gorącej pary, w powietrzu rozchodził się swąd palonej gumy i smród benzyny.

– Dom, ty nic nie rozumiesz... – wymamrotał człowiek z tyłu, który do niedawna był

jego dobrym kolegą, a nawet przyjacielem. I tak samo służył w policji.

– Owszem, rozumiem, Chris. Więc lepiej rób to, co ci każą. Trzymaj ręce tak, żebym stale miał je na widoku, i wyłaż wreszcie z tego pieprzonego samochodu!

C.J. jęknęła cicho, jakby chciała coś powiedzieć.

– Karetka będzie tu za chwilę. Nie ruszaj się! – zawołał do niej Dominick, ani na chwilę nie przestając mierzyć z broni do Mastersona. Wiedział, że nie wolno go nawet na moment spuścić z oka.

– Nie jestem uzbrojony, Dom. Zobacz, nic nie mam. Nie musisz panikować... – mówił, przesuwał się z wolna tyłem w kierunku lewych drzwi. Pod jego stopami chrzęściły okruchy szkła.

– Dobrze wiem, co masz na sumieniu.

– Na sumieniu? Mam czyste sumienie. C.J. zgodziła się mnie podwieźć.

– Wiem o wszystkim, sukinsynu. Absolutnie o wszystkim. Wiem, jak wystawiłeś Lindemana śledczym z wewnętrznego i jak załatwiłeś Elijaha Jacksona, a potem Grubego Macka. Wiem, że współpracowałeś z Angelillem, więc jego śmierć, jak się domyślam, była wyrównaniem rachunków za uwolnienie Vallego od sześciu kilogramów towaru. Wiem, że to ty wspólnie z Rickym Bruetem wykończyłeś pozostałych gliniarzy. – Pospiesznie wykombinował, że jeśli nawet Brueto sam zbrukał ręce krwią LBJ, to i tak stał za tym Masterson. Musiał mieć dostęp do harmonogramów służb i przydziałów rejonów patrolowych. Znał wszystkie kody radiowe, a jego odznaka i dość powszechnie znana twarz sprawiały, że wszyscy otwierali mu drzwi swojego radiowozu. – Słyszałeś, Chris! –

wykrzyknął. – Byli gliniarzami, do cholery! Jak my!

Masterson zmarszczył brwi. Wyglądał jak niewierny mąż przyłapany ze śladami szminki na koszuli, który wcześniej naciągnął swoją zmyśloną historyjkę do granic możliwości, aż został przyparty do

mur w ślepej uliczce. Z głupia frant wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Mógłbym się jednak założyć, że nie o wszystkim wiesz, szefie.

– Wyłaź! – krzyknął Dominick, szarpnięciem otwierając drzwi auta. – Bo postrzelę cię w dupsko i siłą wywlokę na zewnątrz!

– Nie jestem uzbrojony, Dom – powtórzył Chris, unosząc obie ręce i stawiając stopę na ziemi.

Dominick z całej siły pchnął go na maskę samochodu, mając wielką ochotę rozkwasić mu nos tak samo jak Bantlingowi.

– Jestem nieuzbrojony – powtórzył Masterson z twarzą przyciśniętą do maski dżipa, gdyż Dominick mocno trzymał go za kark. – Możesz więc śmiało wykonywać dalej swoje obowiązki. Aresztuj mnie. A przy okazji możesz także nałożyć kajdanki swojej dziewczynie siedzącej za kierownicą, bo tym razem jej się nie upiecze. Przypomnij mi, jaka jest kara za usiłowanie zabójstwa.

Nie odpowiedział, lecz mimowolnie spojrzął w kierunku przedniego fotela auta.

– Skoro wszystko wiesz, to powinieneś także zdawać sobie sprawę z jej winy, Dom.

Mówiłeś o tych zakłamanych gliniarzach? Przecież powtarzali tylko jej kłamstwa. To ona wpakowała niewinnego człowieka do celi śmierci. Poświęciła jego życie w imię odwetu.

Dominick cofnął się nieco, luzując uścisk na karku Mastersona, jak gdyby poraził go prąd elektryczny. Mankietem koszuli otarł kropelki potu z górnej wargi, a gdy spojrzął na trzymaną w garści beretę, zauważył, że ręce mu się trzęsą. Nadal nie wyciągał kajdanków, zatem Chris musiał się domyślać, że zastanawia się nad tym, co przed chwilą usłyszał.

– Moim zdaniem to poważne przestępstwo – ciągnął Chris, odwracając się ostrożnie twarzą do niego i unosząc wyżej ręce. Z dali dobiegło wycie policyjnych syren. – Może być zakwalifikowane jako umyślna próba zabójstwa. A za to grozi kilkanaście lat za kratkami.

Pewnie nawet więcej, jeśli sąd postanowi przykładowo ukarać przedstawicielkę władzy. A jeśli dorwą się do tego federalni... Do diabła! Przecież doszło do naruszenia praw obywatelskich.

Ten zarzut można chyba połączyć z usiłowaniem zabójstwa, jeśli się nie mylę. Za coś takiego naprawdę warto dać się samemu wpakować do więzienia.

Zachichotał, uważnie wpatrując się w wyraz twarzy byłego kolegi, na której malowały się gwałtowne uczucia wywołane nakreśloną perspektywą. Nie ulegało wątpliwości, że w wyobraźni Dominick ujrzał swoją piękną C.J. w pomarańczowej więziennej bluzie i z żelaznymi okowami na nogach, siedzącą po niewłaściwej stronie sali rozpraw, naprzeciwko stołu oskarżenia, przy którym zwykle rezydowała.

– Wsiadaj z powrotem do samochodu! – rozkazał, popychając go ku otwartym drzwiom.

Uzmysłowił sobie, że niepotrzebnie tak krzyczy, jakby chciał w ten sposób zanegować wszystko, co mówił Chris. Ale świetnie wiedział, że nie były to czeże pogrożki.

– Ja i tak nie pójdę do więzienia, Dom. Jeśli naprawdę wiesz wszystko, powinieneś także wiedzieć, że mam wystarczająco dużo do powiedzenia właściwym ludziom, żeby wytargować sobie za to wolność – powiedział Chris, nieporadnie gramoląc się na tylne siedzenie z rękami w górze. – Znam nazwiska najważniejszych, od Kolumbii i Meksyku po Singapur, wiem, kto tylko handluje, a kto odwała brudną robotę. Nigdy byś nie uwierzył, jacy ludzie siedzą w tej branży. A to przecież jeszcze nie wszystko. Mogę naszym dobrym znajomym z FBI wystawić grupę, o której istnieniu nikt nawet nie chciałby wiedzieć. Grupę facetów, którzy żyją i pracują podobnie jak ja. I myślą tak jak ja, Dom.

Masterson z trudem odwrócił się w jego stronę. Wycie policyjnych syren szybko się przybliżało i wyraźnie przeplatało z sygnałami wozów strażackich i karettek pogotowia.

Spojrzał Dominickowi w oczy i ciągnął nieco ciszej:

– Mówię o facetach, którzy mają wystarczająco dużo forsy, władzy i przyjaciół, żeby spełniać swe zachcianki i oglądać na żywo śmierć innych ludzi. Oni to naprawdę lubią, a w dodatku czują się bezkarni. Są gotowi dużo zapłacić za swoje bezpieczeństwo. Część z nich to najpilniej poszukiwani mordercy świata, zbrodnie innych nie zostały jeszcze ujawnione, ale tak czy inaczej są to ludzie, przy których Jeffrey Dahmer będzie się wydawał potulny jak baranek. Mogę się założyć, Dom, że za tego typu informacje wytarguję sobie nowe życie pod nowym nazwiskiem na jakimś zadupiu. Gdzieś, gdzie będę mógł czytać w gazetach o twojej dziewczynie i o tym, jak błagała o łagodny wymiar kary.

– Kładź się! Mordą na podłogę! – wrzasnął Dominick, aż pistolet zakołysał mu się w rękę.

– A po paru latach może nawet przyjadę tu, żeby ją odwiedzić, jak wyjdzie z więzienia

– dodał Chris, z ociąganiem klękając na podłodze dzipa. Nagle obejrzał się w bok i oczy mu się rozszerzyły.

Dominick popatrzył w ślad za jego wzrokiem i ujrzał C.J., ewidentnie jeszcze oszołomioną, stojącą przy tylnym błotniku samochodu. Krew ściekała jej po twarzy z wielkiego rozcięcia na czole, ciemnoblonde włosy miała nią pozlepiane, a całe ubranie zaplamione na czerwono. W dodatku była obsypana drobnymi okruciami szkła, które połyskiwały w świetle ulicznej latarni. Stała lekko pochylona w bok, lewą rękę przyciskając do brzucha, a prawą trzymając zwieszoną wzdłuż ciała.

– Zamknij się! Na podłogę! – krzyknął Dominick na Chrisa, ale już bez takiego przekonania jak wcześniej. Broń wciąż trzymał wymierzoną w Mastersona, ale coraz częściej oglądał się w bok. – C.J.! Karetka zaraz tu będzie! Lepiej usiądź!

Wyprostowała się powoli i uniosła trzymany w prawym ręku pistolet.

– Jezus, Maria! C.J.! – huknął Dominick.

Oczy Chrisa na chwilę rozszerzyły się jeszcze bardziej, ale zaraz zniknęły za półprzymkniętymi powiekami. Domyślił się, że ona musiała wszystko słyszeć. Popatrzył na kołyszący się lekko wylot

lufy jej pistoletu.

– Znam procedury równie dobrze jak ty, Dom – powiedział, nie spuszczać z oczu C.J. i posłuszenie klękając na podłodze auta. – Więc lepiej mnie aresztuj. Zobaczymy, jak potoczą się nasze sprawy.

Dominick uświadomił sobie, że Masterson ma rację, że bez trudu wywinie się od kary, bo rzeczywiście dobrze zna procedury i dysponuje wieloma cennymi informacjami. Chyba od samego początku zakładał, że z taką monetą przetargową może sobie pozwolić na to, żeby ujawnić winę C.J., i tylko czekał na właściwy moment, gromadząc swoje rewelacje niczym w sejfie. Z pewnością zamierzał stopniowo odsłaniać tajemnice, kolejno ujawniać co bardziej smakowite kąski, żeby wywalczyć sobie wszystko to, na czym mu zależało. Ale po chwili dotarło do niego, że jednak cała prawda nigdy nie wyjdzie na jaw, dręczące pytania pozostaną bez odpowiedzi, przynajmniej tej nocy.

Wszystko stało się tak szybko, że później, nawet już po latach, Dominick nie był

pewien, w jakiej kolejności nastąpiły poszczególne wydarzenia. Usłyszał okrzyk C.J. Kątem oka dostrzegł szybki ruch Chrisa, który błyskawicznie opuścił obie ręce i schował je za siebie.

Usłyszał także własny krzyk, ale dziwnym sposobem nie mógł sobie przypomnieć, co wtedy zawołał. Poczł gwałtowny przypływ adrenaliny we krwi, od którego serce skoczyło mu do gardła. Usłyszał też ogłuszający huk wystrzału i poczul kwaśny odór prochu, który od razu przylepił mu się do języka i podniebienia.

Mimo to nie umiał powiedzieć, co wydarzyło się najpierw, co było bezpośrednią przyczyną tej istnej lawiny przewracających się kostek domina. Wszystko zaszło w mgnieniu oka, w ułamku sekundy. Niemniej już w tym samym momencie dotarła do niego świadomość, że w myślach będzie odtwarzał tę jedną chwilę w nieskończoność.

Nastąpiła zupełna cisza, wszystkie odgłosy jakby utonęły w tym ogłuszającym huku.

Dominick poczuł przyspieszony puls aż w krtani, serce waliło mu jak oszalałe, a ziemia pod stopami niemalże zadygotała. Zamrugał szybko i odgłosy z zewnątrz zaczęły stopniowo powracać, z dzwoniącego w uszach huku stopniowo wydzieliło się zawrodożenie coraz bliższych syren, jakby słuchał tego przez radio, powoli kręcąc gałką głośności.

Popatrzył na C.J., która wydawała się tak samo sparaliżowana tą jedną chwilą. Łzy popłynęły po jej zakrwawionej twarzy, a roztrzęsione wargi rozchyliły się szeroko. Bez słowa schował pistolet do kabury i pochylił się nad wyciągniętym nieruchomo ciałem Mastersona.

Przeszukał go pospiesznie i odnalazł broń, której istnienia łatwo się domyślił. Zawahał się na chwilę, po czym wyciągnął z rozpiętej kabury na jego łydce mały rewolwer kalibru.36, chwytając kolbę przez brzeg swojej koszulki polo, i położył go obok wyciągniętej prawej ręki Chrisa. Bardzo uważał, żeby nie klęknąć w kałuży krwi, która zaczynała się szybko powiększać pod brodą zabitego. Spływała z rany na czole, rozlewała się po podłodze dżipa i zaczynała już ściekać na ziemię przy krawężniku. Szkliste oczy Mastersona niemalże wpatrywały się w niezbyt odległy skraj jezdni, jakby obserwowały tę strużkę krwi spływającej mu po nosie i skapującej z progu dżipa na ziemię, wręcz kierującej się samoistnie w stronę rynsztoka. Jego stopa zadrgała spazmatycznie w niekontrolowanym odruchu.

– Chciał cię zabić, ponieważ odkryłaś jego powiązania z Ricardem Bruetem – rzekł

Dominick, prostując się w otwartych drzwiach samochodu. Nawet nie spojrział na nią. –

Brueto handlował narkotykami i pomagał Vallemu w praniu brudnych pieniędzy. Masterson był ich łącznikiem z kartelami. Zamierzałaś go wydać, powiadomiłaś mnie telefonicznie.

Specjalnie wjechałaś na filar wiaduktu, żeby go powstrzymać. A ja zjawiłem się chwilę później i chciałem go aresztować, ale wyciągnął broń, więc go zastrzeliłem.

Z uporem wpatrywał się w trupa. Przynajmniej w jakiejś części te wyjaśnienia były prawdziwe... Tylko czy na pewno? Bez wątpienia zauważył „groźny ruch ręki”, jak zwykle określano to w policyjnych raportach czy notatkach służbowych, mógł zatem nabrać uzasadnionych podejrzeń, że zatrzymany próbuje dobyć broni. Właśnie ten gwałtowny ruch był najlepszym uzasadnieniem użycia broni palnej. Klękając, Chris opuścił ręce i sięgnął do tyłu, a rewolwer miał przecież w kaburze nad prawą kostką. Dominick i tego mógł się bez trudu domyślić. Co prawda powinien był go przeszukać, jak tylko wyciągnął go z rozbitego samochodu, ale wszystko wydarzyło się tak szybko...

Więc czemu zapasowy rewolwer miałby nadal tkwić w kaburze, a nie spoczywać w dłoni zabitego?

Policyjne syreny były już bardzo blisko.

– To tyle. Powinno wystarczyć – oznajmił stanowczo. Jeszcze raz otarł pot z twarzy i podszedł do

stojącej bez ruchu C.J. – Oddaj mi broń.

Wyciągnął rękę, ostrożnie rozchylił jej palce kurczowo zaciśnięte na kolbie małego pistoleciku, wyjął go z jej roztrzęsionej dłoni, zabezpieczył i pospiesznie wetknął sobie zapasek spodni na plecach. Następnie odwrócił ją tyłem do samochodu i odciągnął kilka kroków, żeby nie musiała patrzeć na stróżkę krwi ściekającej na ziemię ani myśleć o sekretach zabitego, które teraz stały się ich sekretami.

Posadził ją na brzegu przedniego siedzenia rozbitego dżipa i uklęknął przed nią.

Ostrożnie zgarnął jej włosy do tyłu i musnął palcami brzeg rozcięcia na czole. Było głębokie i wciąż broczyło krwią, a ponadto tkwiły w nim okruchy szkła. Przeciągnął też dłonią po jej prawym ręku, wciąż przyciśniętym do brzucha. Chyba miała zwichnięty nadgarstek. Poza tym stłukła sobie policzek i prawdopodobnie także nos. Sądząc po tym, jak stała pochylona i poruszała się, kulejąc, nie można było wykluczyć, że odniosła jakieś obrażenia wewnętrzne.

– Gdzie ta karetka?! – rzucił ostro do mikrofonu aparatu Nextela. – Potrzebna natychmiastowa pomoc! Skrzyżowanie Północno-Zachodniej Trzynaście Pięćdziesiąt z Dwunastą, nieopodal Biura Prokuratora Stanowego. Niedaleko skrzyżowania Dwunastej z Twelfth Avenue! – Obejrzał się na zwłoki Chrisa Mastersona, spoczywające już bez ruchu. –

Mam tu trupa. Zginął funkcjonariusz policji.

Te słowa niemal zapiekły go w gardle: *Funkcjonariusz policji*. Człowiek leżący pod tylnym siedzeniem rozbitego samochodu nie był przecież policjantem, nie był godzien tego tytułu, nie mówiąc już o służbowej odznace czy mundurze.

Zacisnął powieki, usiłując odegnąć od siebie myśli o tym, co przed chwilą zrobił, jak kłamliwe znalazł wyjaśnienie usprawiedliwiające jego czyny. Przekroczył granicę, której pod żadnym pozorem nie powinien był przekraczać, bo zza niej nie było już powrotu. Z jego pamięci wypłynęły wspomnienia ojca, a zwłaszcza tamtych chwil sprzed lat, krótkiej rozmowy przy kuchennym stole.

– Dlaczego? – zapytała szeptem, unosząc ku niemu zapłakaną i zakrwawioną twarz.

Zamyślił się na krótko. W końcu to on miał do niej tak wiele pytań.

Po chwili wziął ją za rękę i zacisnął palce na jej dłoni, nabrawszy pewności, że nigdy, ale to nigdy już nie pozwoli jej odejść. Pierwsze radiowozy skręciły właśnie w Twelfth Avenue, rozbłysły światła niebieskich i czerwonych migaczy, dokoła pojawili się nagle ludzie w granatowych mundurach, biegnący im na pomoc.

– Czasami... – odezwał się cicho, gardłowym, nieco chrapliwym szeptem – po prostu nie da się odpowiedzieć na pytanie: „dlaczego”.

Epilog

– Będzie pan potrzebował co najmniej dwóch silników, jeśli zamierza pan wypływać na otwarty

ocean – oznajmił sprzedawca o imieniu Buddy, ubrany w poplamioną od potu koszulę i wymięty krawat. Zmrużył oczy od słońca i dodał: – Chyba nie chce pan utknąć gdzieś tam, jeśli coś się przydarzy.

Dominick pokiwał głową, rozglądając się po pokładzie ośmiometrowego jachtu

„SeaRay Sundancer”, który roztaczał niezbyt przyjemny zapach kojarzący się ze świeżo wytłoczonym plastikiem albo syntetyczną wykładziną podłogową.

C.J. przyglądała mu się ze swego miejsca na ławeczce rufowej. Ruszył powoli w stronę dziobu, uważnie oglądając wszystkie żeglarskie gadżety i najnowsze urządzenia techniczne.

– Poza tym to doskonałe miejsce do przyjmowania gości, pani Falconetti – rzekł

Buddy, zwracając się wreszcie bezpośrednio do niej. – Obok ławek ma pani uchwyty na szklaneczki z napojami. Są na stałe przytwierdzone do burty.

– Aha – mruknęła, posyłając Dominickowi skąpy uśmiech.

Rzadko się uśmiechała w ciągu minionego roku. Dopiero teraz rysowała się szansa na zmianę tej sytuacji. Tego ranka bowiem prokurator okręgu Broward ostatecznie zakończył

dochodzenie i wydał oficjalny raport dotyczący okoliczności śmierci Chrisa Mastersona.

Wstrzymywał się od wniesienia przeciwko nim jakichkolwiek zarzutów.

Zgodnie z przepisami obowiązującymi na Florydzie każdy przypadek użycia broni przez funkcjonariusza pełniącego obowiązki służbowe musi być dokładnie zbadany pod kątem zasadności jej użycia. Trzeba ustalić, czy funkcjonariusz miał uzasadnione powody, żeby się bać o własne życie lub życie innych osób. Wszczęcie dochodzenia leży w gestii Biura Prokuratora Stanowego, w którego jurysdykcji znajdował się teren, gdzie doszło do strzelaniny, nawet jeśli z pozoru użycie broni było całkowicie uzasadnione albo też nikt nie ucierpiał od kul. Ale w tym wypadku, z powodu oczywistego konfliktu interesów między prokuraturą stanową a motywami poczynań Dominicka, na polecenie Tiglera śledztwem zajął

się specjalnie do tego celu wyznaczony prokurator z biura okręgu Broward.

W ciągu minionych lat C.J. nieraz musiała sobie odpowiedzieć na podobne pytania, szykując raport w analogicznych sprawach. Policjanci dysponowali bronią i mieli ściśle wytyczne co do jej użycia w określonych sytuacjach, a do tego reprezentowali władzę, co odróżniało ich od zwykłych obywateli. Aby tej władzy nie nadużywali, w każdym wypadku użycia broni przez policjanta podejmowano śledztwo w zakresie przestępstwa kryminalnego, a funkcjonariusz automatycznie stawał się podejrzanym. Jeśli wskutek oddanych strzałów ktoś ginął, od razu podejmowano dochodzenie w sprawie o zabójstwo. Powoływano specjalny zespół policyjny, angażowano w sprawę niezależnych oskarżycieli i doradców prawnych, jasno określano strony konfliktu, jako że dotychczasowi sprzymierzeńcy z policji i prokuratury musieli w tym wypadku odgrywać role przeciwników.

Strzał oddany przez Dominicka nie był wyjątkiem. W rzeczywistości potraktowano go ze szczególną wnikliwością, jako że ofiarą padł inny funkcjonariusz policji, a jedynym świadkiem była narzeczona sprawcy, która jeszcze przed zamknięciem śledztwa została jego żoną. Zatem same okoliczności zdarzenia budziły wiele wątpliwości. I chociaż nie zawieszono go w obowiązkach służbowych, mógł dalej nosić odznakę oraz broń i wykonywać swoje zadania w Wydziale do Zwalczania Przestępczości, C.J. doskonale wiedziała, że trwające dochodzenie wisi mu nad głową niczym chmura gradowa.

Ale tego dnia zjawił się w jej biurze jeszcze przed południem, zaraz po tym, jak wróciła z sądu, i z uśmiechem na ustach pokazał jej kopię raportu prokuratora. Po czym – nie mówiąc, dokąd chce ją zabrać – wyciągnął ją z biura, wsadził do samochodu i przywiózł

właśnie tutaj, do „Marine Max”, na prywatną przystań sprzedawcy jachtów w Pompano Beach. W czasie przejazdu miała okazję dokładnie zapoznać się z raportem prokuratora.

Szczegółowy opis faktów i wypływające z nich wnioski zajmowały pięćdziesiąt stron, a i tak pozostawały pytania, na które, zdaniem C.J., nie dało się już odpowiedzieć, gdyż nie został nikt, kto mógłby cokolwiek wyjaśnić. Za pośrednictwem zespołu IMPACT Chris Masterson został powiązany zarówno z Angelillem, jak i Lindemanem, choć nie udało się do końca wyjaśnić natury ich wzajemnych powiązań. A ze względu na to, że federalni nie chcieli skrócić ani o minutę uzgodnionego już wymiaru kary dla Roberta Vallego, ten, rzecz jasna, wyparł się jakiegokolwiek znajomości z Mastersonem. Na podstawie zeznań świadków i zgromadzonego materiału dowodowego prokurator wysnuł wniosek, że Masterson zawiadywał praniem brudnych pieniędzy karteli, nie udało się jednak namierzyć nikogo z kartelu North Valley Domingo Montoi ani spośród kolumbijskich rewolucjonistów FARC, kto mógłby potwierdzić tę poszlakę. Wszelkie dalsze spekulacje prowadziły w ślepy zaułek.

C.J. zdawała sobie sprawę, że tak już zostanie na zawsze.

– I co o tym myślisz, kochanie? – zapytał Dominick. – Podoba ci się?

Popatrzyła na niego, a przede wszystkim na tajemniczy uśmieszek błakający się na jego wargach. Od razu zrozumiała, o co ją naprawdę pyta.

Buddy wyczuł zapach pieniędzy i wtrącił szybko:

– Jeśli zechce pani zejść do kajuty, wspólnie obejrzymy wspaniałą kuchnię. Jest tam elektryczny piekarnik i kuchenka mikrofalowa, które umożliwią przyrządzanie doskonałych posiłków dla wygłodniałych miłośników wędkarstwa.

– Nie zechciałbyś zostawić mnie sam na sam z żoną na parę minut, Buddy? Mam wrażenie, że to dla niej za duża niespodzianka.

– Masz rację – odparła C.J., kiedy sprzedawca zeskoczył na nabrzeże i oddalił się w głąb parkingu.

– Nie jesteś na to gotowa? – zapytał, rozglądając się dookoła z wysokości mostku.

– Nie miałam pojęcia, że ty już jesteś na to gotowy. – Zwróciła uwagę na stosy kartonowych pudeł na skrzyni jego toyoty, gdy jechali na przystań, ale nie odezwała się ani słowem na ich temat. Odniosła wrażenie, że były w nich spakowane wszystkie jego rzeczy z wydziału. – A szczególnie już dzisiaj, Dom. Przecież dopiero co zostałeś oczyszczony z zarzutów.

Pokręcił głową i odparł cicho:

– Nie mam już siły do tego wracać. Dotrwałem do dzisiaj, ale nie dam rady dłużej. To nie dla mnie.

Pracował w otoczeniu tych samych ludzi, tyle że dla niego nie była to już ta sama praca. Zatarły się granice jego obowiązków służbowych. Odczekał rok, żeby usłyszeć ów ostateczny werdykt, doskonale zdając sobie sprawę, że uznanie za niewinnego wcale nie będzie oznaczało, że jest niewinny. Przez cały ten rok zastanawiał się nad swoją decyzją, którą musiał podjąć w ułamku sekundy, i wmawiał sobie, że postąpił słusznie. Nie zmieniało to jednak faktu, że już parę minut później, na przykład w drodze do domu albo do pracy, zaczynał roztrząsać to samo od nowa. W końcu zbrzydło mu to niepomierne.

– Razem z Fultonem doszliśmy do wniosku, że trzeba przekazać dochodzenie w sprawie klubu oprawców Wydziałowi Przystępstw Informatycznych. Oni i tak mają większą wprawę w przeczesywaniu Internetu. Może im się poszczęści.

Przeszukanie domu Mastersona i prześwietlenie jego komputerów nie przyniosły żadnych rezultatów. Prawdopodobnie korzystał z wynajętego pomieszczenia, lecz nikłe były szanse na to, że ktoś je kiedyś odnajdzie. Chris był zanadto sprytny, żeby się nie zabezpieczyć. Poza tym, jak sam wyznał C.J., byli jeszcze inni ludzie, którym powinno bardzo zależeć na tym, żeby jego tajemnice nigdy nie ujrzały światła dziennego.

Dominick westchnął ciężko i powiódł wzrokiem dookoła.

– Najwyższa pora, żeby się stąd ruszyć. Powinniśmy to zrobić już dawno temu.

Nie odpowiedziała.

– Tym będziemy mogli popłynąć wzdłuż Florida Keys – dodał, zapatrzony w stanowisko sternika. Po chwili podniósł wzrok i ruchem głowy wskazał przeciwległą stronę pomostu, gdzie cumowały jednostki na tyle duże, by można je nazwać prawdziwymi jachtami. – Którymś z tamtych moglibyśmy się już teraz wybrać w rejs dookoła świata. Ale najpierw musimy przywyknąć do koczowniczego trybu życia pod żaglami.

Z wyraźną tęsknotą wodził spojrzeniem po całej przystani. Marzyło mu się nowe życie, rozpoczęcie wszystkiego od nowa. Chciał się uwolnić od ciągłych kontaktów z kryminalistami czy terkotu przywoływacza w środku nocy, który wybudzał ich oboje. Istniał

zresztą jeszcze jeden ważny powód, dla którego chciał już teraz podjąć decyzję – w przyszłym tygodniu miała zostać przeprowadzona egzekucja Bantlinga.

– Więc co pani na to, pani Falconetti? – zapytał niemal szeptem, biorąc ją za rękę i uśmiechając się

tajemniczo. – Dla pani też już nadeszła pora?

Kiedy poczuła ciepło bijące od jego dłoni i ujrzała na jego wargach ten bezcenny uśmiech, pomyślała, że jeśli tylko tyle trzeba...

– Tak – odparła po chwili namysłu. Przytknęła drugą dłoń do jego piersi i zapatrzona w lazurową toń za burtą dodała: – Myślę, że jest już na to najwyższa pora.

Wzdłuż szeregu pustych cel odgłos rytmicznego kapania wody z kranu niósł się niczym tykanie wielkiego zegara. Prawie po miesiącu spędzonym w tej mrocznej, zapleśniałej betonowej norze Bill Bantling miał wrażenie, że lada moment ten odgłos doprowadzi go do szafu. Do skrajnego, niewypowiedzianego szaleństwa. *Ale im przecież byłoby to jedynie na rękę, prawda?*

Przyszli po niego do skrzydła Q jakieś trzy tygodnie wcześniej. Gubernator ostatecznie podpisał wyrok śmierci i w ciągu zaledwie paru godzin ogłoszono początek fazy pierwszej, służba więzienna została postawiona w stan pełnej gotowości, wyznaczono termin egzekucji i wydano oficjalne oświadczenie w tej sprawie. Jego zaś natychmiast przeniesiono do podziemi, do celi sąsiadującej bezpośrednio z komorą egzekucji, gdzie na okrągło znajdował

się pod czujnym okiem zmieniających się strażników, gdy tymczasem wszystko szykowano na ten najważniejszy dzień.

W ciągu lat spędzonych w celi śmierci Bill widział wielu współwięźniów sprowadzanych do podziemi. Na specjalnej tablicy wiszącej obok dyżurki na końcu bloku wypisywano nazwiska wszystkich skazańców, którzy oczekiwali na wykonanie wyroku śmierci, wraz z wyszczególnieniem zbrodni, za które zostali skazani. W wydzielonej części tej tablicy wyliczano więźniów przebywających już w podziemiu, umieszczonych „pod śmiertelnym nadzorem”. Niektóre nazwiska powracały do głównej części spisu, co oznaczało przyjęcie przez sąd w ostatniej chwili wniosku apelacyjnego bądź też przychyłność gubernatora. Inne zaś po jakimś czasie ścierano z tablicy.

Wczoraj ogłoszono dla niego przejście do fazy drugiej – ostatni tydzień. Sierżant Żalсны Kutas i jego podwładni przystąpili do trenowania na sucho przebiegu egzekucji.

Słyszał, jak tłuką się na końcu korytarza po całych popołudniach, wypróbują kolejno działanie poszczególnych pompek do robienia śmiertelnych zastrzyków, które znajdowały się na zewnątrz komory, sprawdzają awaryjny generator prądu, kontrolują alarmową linię telefoniczną łączącą więzienie bezpośrednio z siedzibą gubernatora. Do tego przez cały czas sypali pikantnymi dowcipami, specjalnie tak głośno, by świetnie je słyszał.

Teraz jego uwagę przykuł znajomy brzęk kluczy i odgłos ciężkich stąpień przybliżających się do jego celi. Poczul nagły przypływ adrenaliny. Czyżby to już dzisiaj miała się odbyć generalna próba kostiumowa? Zamierzał powiedzieć strażnikom, żeby się od niego odpieprzyli, poszukali sobie jakiegoś manekina, na którym będą mogli trenować wbijanie igieł w żyły.

Brzęk kluczy ucichł.

– Ręce do dziury! – warknął przez kratę Żaloszny Kutas. Tuż za nim stało trzech strażników. Sierżant nieruchomo wlepił w niego swoje świńskie oczka i dopiero po paru sekundach dodał: – To chyba najszczęśliwszy dzień twojego życia, dupku. – Splunął gęstą żółtawą flegmą na podłogę. – Dostaliśmy rozkaz, żeby cię stąd zabrać. Wygląda na to, że znowu wracasz na południe. Dopiero co dzwoniли z biura gubernatora. Twój wniosek apelacyjny został przyjęty. Będziesz miał nowy proces.

Podziękowania

Chciałabym podziękować następującym osobom za ich nieocenioną pomoc; do niektórych już wcześniej wydzwaniałam wielokrotnie, a jednak nadal podnoszą słuchawkę, nawet gdy wiedzą, że to ja: doktorowi Reinhardtowi Motte'owi z Zakładu Medycyny Sądowej okręgu Broward; Bruce'owi Songdahlowi, funkcjonariuszowi policji z Miami Beach i pracownikowi Wydziału Policji w Miami Beach; sierżantowi Travisowi J. Bairdowi i porucznikowi Andrew P. Smithowi z Więzienia Stanowego Florydzkiego Departamentu Więziennictwa; agentom specjalnym z Florydzkiego Wydziału do Zwalczania Przeszeczności, a zwłaszcza agentowi specjalnemu Edowi Royalowi, agentowi specjalnemu Chrisowi Vastine'owi, agentowi specjalnemu Larry'emu Mastersonowi i agentowi specjalnemu Michaelowi Mannowi; Esther Jacobo, szefowej Wydziałowego Zespołu do spraw Przemocy w Rodzinie w Biurze Prokuratora Stanowego na okręg Miami-Dade; Gail Levine, starszemu oskarżycielowi procesowemu z Biura Prokuratora Stanowego na okręg Miami-Dade; Ivonne Sanchez-Ledo, szefowej wydziału w Biurze Prokuratora Stanowego na okręg Miami-Dade; Johnowi Periklesowi, zastępcy prokuratora stanowego, szefowi Sekcji Przeszeczności Zorganizowanej w Biurze Prokuratora Stanowego na okręg Miami-Dade; zastępcy radcy prawnego Marie Perikles z Biura Inspektora Generalnego okręgu Miami-Dade; zastępcy prokuratora stanowego Julie Hogan z prokuratury stanowej; Anicie Gay, zastępcy prokuratora krajowego z prokuratury federalnej na dystrykt południowy; Michaelowi McManusowi, szefowi operacji na Meksyk i Amerykę Środkową w Agencji do Walki z Narkotykami (DEA); panu Edwardowi Hoganowi; i wreszcie mecenas Rose Marie Antonacci-Pollock.

Chciałabym także podziękować kilku absolutnie wyjątkowym osobom, które bez wahania i obaw poświęciły mi swój cenny czas i podzieliły się swoją wiedzą, a szczególnie jestem za to wdzięczna mecenas Lynn Broder, mecenas Julie Hogan oraz mojemu bratu, Johnowi Pellmanowi juniorowi.

Ponadto pragnę podziękować mojej redaktorce Jennifer Hershey za jej ciężką pracę i niewyczerpane słowa zachęty, i mojemu agentowi Luke'owi Janklowowi za jego poświęcenie i niesłabnące wsparcie.

Na koniec chciałabym skorzystać ze sposobności i podziękować wszystkim moim przyjaciołom i członkom rodziny, którzy podtrzymują mnie na duchu od chwili, gdy sięgnęłam po pióro, szczególnie mojemu niezwykłemu mężowi, dzieciom, rodzeństwu oraz rodzicom Johnowi i Thei Pellmanom. Jestem bardzo szczęśliwa, że mam tak zdumiewający i oddany zespół wsparcia, który każdego dnia zachęca mnie oraz inspiruje i na którym zawsze mogę polegać.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)